Miłość

- co widzi adwokat od rozwodów ▸4
- jak zmieniła Jakuba Małeckiego ▸6
- co w niej martwi młodą psychoterapeutkę ▸31

WYSOKIE OBCASY

Ewa Bem
Zostałam sama w wielkim domu

MAGAZYN wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

TRUMP
PUTIN
MAXWELL
BARAK
DERIPASKA
CLINTON
GATES
BANNON
CZURKIN
THIEL

EPSTEIN
Stręczyciel czy agent

Co, kogo, komu i za co sprzedawał ▸ 17-22

FOT. NEW YORK STATE SEX OFFENDER REGISTRY VIA AP, FILE/EAST NEWS/MONTAŻ: JAKUB PIOTROWSKI

GAZETA wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348199
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 07>

Młody marksista sprawdza, czy młodej lewicy odejchał peron ▸12

Co myślał Putin, kiedy patrzył na matkę ▸23

Ma przegonić Luwr. Byłem w najdroższym muzeum świata ▸27

Autor najgorszej książki IPN szkoli nauczycieli historii ▸47

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Sobota – czwartek, 14-19 lutego 2026 | Redaktor prowadzący **Marek Markowski** | Cena gazety **11,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 37.11136, 1 Nakład 74 tys. + **317 tys. prenumerat cyfrowych**

eprasa.pl e842ac5a5d

Agnieszka Kublik

A może „szczeżuja” zamiast „Nowrocky”

Nie jest jeszcze za późno. Dzień języka polskiego przypada dopiero 21 lutego.

Wtedy na całym świecie obchodzimy Międzynarodowy Dzień Języka Ojczystego. To święto ustanowione przez UNESCO, cel – ochrona języków. Wedle ONZ, od 1950 roku zanikło ich aż 250! To nieuchronny proces, bo na przykład pojawiają się słowa obcojęzyczne. Dlatego język ojczysty warto pielęgnować.

Hołubienie polskich słów jest wśród wielu rzeczy, których mamy prawo oczekiwać od prezydenta Polski. A zwłaszcza od takiego, który po prezydenturę biegł z hasłem „po pierwsze Polska, po pierwsze Polacy”. Aż się prosi dokończyć wyborczy slogan Karola Nawrockiego: „po pierwsze język polski”.

Prezydent Polski właśnie pozuje w wiosce olimpijskiej, gdzie ogląda go cały świat, w ciuchach z wielkim napisem na piersi „Nowrocky”. Litery widnieją na tle biało-czerwonej flagi.

Istnieją polskie słowa rzadko używane, piękne i krótkie, w sam raz na prezydencką koszulkę

To i bardzo niepatriotyczne, i wprowadza cudzoziemców w błąd. Bo nie jest po polsku, udaje, że jest po angielsku. Polski prezydent na tle barw narodowych obnosi się w wielkim świecie z anglojęzyczną wersją nazwiska.

„Biało-czerwony” „Nowrocky” może pojawić się nie tylko na bluzach czy czapkach, ale i dekoracjach świątecznych, sportowym sprzęcie, a nawet ciasteczkach cebulowych, lodach czy piwie. Takie plany rozwojowe firmy zdradza wniosek o ochronę patentową. Firmy – bo te ciuchy i gadżety z „Nowrocky” to prywatny biznes jego siostry i kolegi z IPN.

To niewiarygodne, jeśli głowa państwa zamierza reklamować to wszystko. To niewiarygodne, że prezydent stał się – jak ujął to prof. Matczak – „słupem, w tym przypadku ogłoszeniowym, reklamującym prywatny biznes, i to w czasie pełnienia funkcji publicznej”. Równie niewiarygodne, że prezydent wierzy w markę „Nowrocky”, nie w „Nawrocki”. A może to tylko wielkie nieporozumienie? Karol Nawrocki ma jeszcze czas. Szybko może podmienić to słowo na coś bardzo polskiego.

Jak wiemy, najstarsze zdanie po polsku zostało zapisane około 1270 roku, a brzmi tak: „Day, ut ia pobrusa, a ti poziwai”. Że za długie na prezydencką pierś? Albo na czapeczkę czy cebulowe ciasteczka? To mam alternatywną propozycję. Istnieją wszak piękne, polskie, za rzadko używane słowa, które są prawdziwym wyzwaniem dla cudzoziemców. Można by wokół nich budować całe pomysłowe, zabawne, angażujące kampanie reklamowe. Na przykład „szczeżuja”, „skąposzczety” czy „szczwół”.

„Szczeżuja” na koszulce? Zmieści się! A ileż będzie śmichów i chichów, gdy cudzoziemiec podpyta, co to znaczy i jak się wymawia. No i się tak ładnie rymuje (któż by nie pamiętał Kabaretu Starszych Panów: „szuja – niewykluta larwa i szczeżuja”). ●

Dublin
Przez nowy rok stępem, galopem czy cwałem

FOT. REUTERS/ CLODAGH KILCOYNE

Lingqian Zheng i Yuheng Chen zaprzyjaźniają swoje hobby horse z Bradenem służącym w Garda Síochána, czyli irlandzkiej policji. Funkcjonariusze odwiedzili miejski rodzinny ośrodek kultury i nauki podczas obchodów chińskiego Nowego Roku. Każdy rok ma swój znak zodiaku, rozpoczynający się będzie rokiem Ognistego Konia. W chińskiej astrologii jego lata są czasem nieokiełznanych zmian, a nawet destrukcji – ale też wolności, entuzjazmu, okazji.

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Ze śrubami w kości przyspieszyła
Maryna Gąsienica Daniel

Prawdziwą narciarką została w wieku trzech lat. Wtedy mama zadecydowała, że już pora na narciarski chrzest i zjazd z Kasprowego Wierchu.

W gigancie na igrzyskach wystartuje Maryna Gąsienica Daniel. Czy medal to realne marzenie? Narciarstwo alpejskie to jedna z tych dyscyplin, w której niespodzianka goni niespodziankę. Faworytom zdarzają się niemiłe wpadki. Outsiderom spada manna z nieba.

Polka jeździ w tym sezonie lepiej niż kiedykolwiek. A najlepszy start odnotowała właśnie w Cortinie d'Ampezzo: była szósta na mistrzostwach świata w 2021 r.

Wychowała się w Tatrach, rodzice prowadzą schronisko na Hali Ornak. Na nartach jeździ cała jej rodzina. Do kadry alpejek trafiła, gdy miała 15 lat.

W seniorskiej karierze Marynie przytrafiła się tylko jedna poważna kontuzja. W tej dyscyplinie to oznaka wyjątkowego farta. Złamanie nogi na treningu w Ameryce Południowej zabrało jeden sezon. Po powrocie, ze śrubami w kości, zaczęła jeździć lepiej niż wcześniej. W styczniu 2021 po raz pierwszy wjechała w gigancie do pierwszej piętnastki. W gigancie jeszcze nie udało się to żadnej Polce w historii, w slalomie – siostrom Tlałkom, które ścigały się w latach 80.

FOT. MAREK PODMOKLY / WYBORCZA

Za Marynę trzymamy kciuki w niedzielę od 10. ●

Anna Kwiatkowska

Andrzej rysuje

Cytat tygodnia

Już skupiliśmy się na budowie miasta na Księżycu. Możemy to osiągnąć w mniej niż 10 lat, szybciej niż bazę na Marsie

ELON MUSK
na X o nowej strategii SpaceX

Więcej o zmianie kursu Muska i Bezosa oraz kłopotach NASA na **Wyborcza.pl/nauka**

Liczba tygodnia

FOT. YURCHWANIKA SIARHEI / SHUTTERSTOCK

odnotowano w Holandii od 2004 r. To oznacza, że w kraju żyje co najmniej 3 tys. dzieci z 25 lub więcej przyrodnim rodzeństwem, nieświadomie ryzykujących kazirodztwo i chów wsobny. W reakcji na podobne dane z wielu państw koalicja ministrów zdrowia UE chce ustanowienia międzynarodowych limitów na dawstwo nasienia i komórek jajowych

1 RP

eprasa.pl e842ac5a5d

Ciepło z Polski dla Kijowa

Otóż nie zniknęliśmy

Nie lękajmy się pomagać Ukrainie i głośno o tym mówić. Odrobina odwagi, przyzwoitości i ciężkiej pracy, a historia zmienia się na lepsze.

Waldemar Paś

Od mniej więcej trzech lat zastanawiam się, co zdaniem polityków stało się z milionami Polaków, którzy cztery lata temu nieśli pomoc uchodźcom z Ukrainy, jak i samej Ukrainie.

Pierwsze tygodnie po 24 lutego 2022 roku zrodziły energię na miarę 1989 r, WOŚP, zbiórek dla powodzian po Powodzi Tysiąclecia w 1997 r., czy mobilizacji i radości po 15 października 2023 r. Najlepsze, polskie chwile. Po czym dopadła nas codzienna, polska chandra. Coraz więcej było nienawiści. A my, którzy pomagaliśmy Ukraińcom, staliśmy się niewidzialni i politycznie niezagospodarowani. Żaden polityk do nas nie mówi. Czas mroku.

Real politik w czasach ksenofobii

Jaśniej było tylko w chwilach społecznej mobilizacji np. zbiórek pieniędzy na Bayraktara dla ukraińskiego wojska (blisko 25 mln zł), czy wojskowych karetek medycznych (blisko 3,3 mln zł). Wspomnijmy tu prywatną zbiórkę dziennikarzy „Wyborczej", którzy zebrali blisko pół mln zł i ponad 20 razy pojechali do Ukrainy z pomocą.

Po 15 października 2023 r., wbrew nadziejom, codzienność stała się jeszcze bardziej nikczemna. Bandyci przeszli od gróźb do czynów, w miejscach publicznych atakują osoby mówiące po ukraińsku.

Kilka dni temu w Pruszkowie kibole w kominiarkach (prawdopodobnie też kobieta) wtargnęli do miejsca zamieszkania uchodźczyń. Uzbrojeni w kije bejsbolowe pobili ukraińską rodzinę: matkę, teściową i trzyletnie dziecko, krzyczeli: Won do siebie, k...wo!

Śmierdzi pogromem, wszyscy to czujemy. Wstyd i hańba, Polsko.

To, że Karol Nawrocki myli prezydenckie biurko i prawo weta z klepiskiem za garażami, gdzie bije się słabszych, zamiast ich bronić, to nie jest eksces. To zgodność słów i czynów.

Jak to ujęła dr Hanna Machińska, „postawy antyukraińskie nie wzięły się znikąd".

To był ciąg wystąpień polityków i katolickiego kleru tworzący klimat nienawiści wobec Ukraińców. W antyukraińskim bagnie nurzali się nie tylko politycy tradycyjnej oraz neofaszystowskiej prawicy. Nasz, demokratyczny kandydat też szarżował na 800 plus dla ukraińskich uchodźców w czasie kampanii wyborczej.

Polscy demokraci ustawili się plecami do antyukraińskiego wiatru. Real politik w czasach zarazy ksenofobii. Może i pożyczymy sąsiadowi wąż ogrodowy do ugaszenia ognia, ale nie zaprosimy do stołu na niedzielny rosół i schabowego. Ukrainki mogą sprzątać nam mieszkania, my będziemy wypominać im Wołyń i – jak sufluje nam w sieci Moskwa – rzekome bajońskie zasiłki, które wzięły od naszego państwa. No i to, że zabierają Polkom mężów (to też Moskwa).

Kompulsywne sprawdzanie słupków poparcia przez rządzącą ekipę ogłupia wszystkich niczym rolki na Facebooku. Tak brakuje przywództwa, które uwierzy i doprowadzi do codziennego, aktywnego braterstwa, a właściwie siostrzeństwa Polski i Ukrainy. Wbrew Moskwie, Trumpowi i wszystkim hejterom.

Jako wyborcy zwykle milczymy. Tylko nieliczni, promil promila robią każdego dnia to, co należy robić. Biją na alarm, organizują pomoc walczącej Ukrainie. Są słabo słyszalni. Reszta elektoratu zapada się w Upside Down z modnego serialu „Stranger Things", alternatywnego świata-piekła, który staje się naszą codziennością.

Ciepło dla Kijowa

Kilka tygodni temu zaczął się kolejny cud. Grupa polskich i ukraińskich zapaleńców uruchomiła zbiórkę pieniędzy na agregaty prądotwórcze dla pogrążonego w mroku i mrozie Kijowa. Blisko 76 tys. osób wpłaciło już blisko 10,2 mln zł, a zbiórka będzie trwać co najmniej do 24 lutego, czwartej rocznicy zbrodniczej agresji Rosji na Ukrainę. Tę akcję należy opisać krok po kroku: jak z niczego zrobić coś wielkiego. Wbrew politycznym sondażom oraz socjalowym trendom rozbudzić w sercach potrzebę solidarności. Nawet na polskiej prawicy pojawiły się głosy: szkoda, że nacjonaliści nie umieją przeprowadzić podobnych wydarzeń i z taką werwą.

„Ciepło z Polski dla Kijowa" to szeroka koalicja mediów, przedsiębiorców, rządu, samorządów, a nawet kościoła – brawa dla abp. Grzegorza Rysia, krakowska archidiecezja zebrała 5,7 mln zł. Tysiące Ukraińców ślą podziękowania organizatorom. Ukraińscy żołnierze z okopów myśleli, że Zachód, w tym Polska porzucili Ukrainę, a oni walczą o beznadziejną sprawę. – „Ciepło z Polski dla Kijowa" wróciło nam nadzieję – mówią. Znów wierzą, że nie są sami, a Moskwa przegra.

Dla Moskwy ta zbiórka to dotkliwy cierń. Trolle z Balszojej Łubianki starają się, jak mogą, aby ją zohydzić. Mamy do czynienia z największym od miesięcy atakiem na polską przestrzeń informacyjną. „Gdy rosyjskie pociski niszczą ukraińskie elektrociepłownie i zabierają ciepło milionom ludzi, rosyjskie boty i prorosyjskie trolle próbują jednocześnie »zabierać prawdę« – fabrykują kłamstwa, podczas gdy Polacy pomagają Ukraińcom" – czytamy w komunikacie polskiego MSZ z 6 lutego.

Fałszywe treści o rzekomych nadużyciach polskiej pomocy humanitarnej przez Ukraińców miały prawie trzy razy więcej wyświetleń niż czasie ataku informacyjnego podczas nalotu dronów we wrześniu zeszłego roku.

Gdy więc znów spojrzymy na sondaże np. o sympatii Polaków do Ukraińców albo czy należy zwiększyć pomoc Ukrainie, to wspomnijmy, że na wojnę o polską duszę Moskwa wyda każdy milion dolarów. A „Ciepło z Polski dla Kijowa" i podobne akcje to odtrutka na jej na haniebną dezinformację. Neofaszystom pod górkę, niech ludzie dobrej woli narzucają swoją opowieść.

W akcję, oprócz redakcji „Wyborczej" włączyła się m.in. Fundacja Demokracja naszego szefa Adama Michnika. Twarzą akcji w Ukrainie jest wydawca polsko-ukraińskiego serwisu Sestry.eu, Jerzy Wójcik, były redaktor i wydawca „Wyborczej". ●

Zbiórkę znajdziecie tu:
https://pomagam.pl/a7emy8

REKLAMA Kraj/34417343

Od cesarskich pałaców po skalne miasta.

Odkryj jedno z najbardziej imponujących miast Europy oraz wyjątkowy krajobraz Kapadocji – krainy jak z baśni.

2 posiłki dziennie

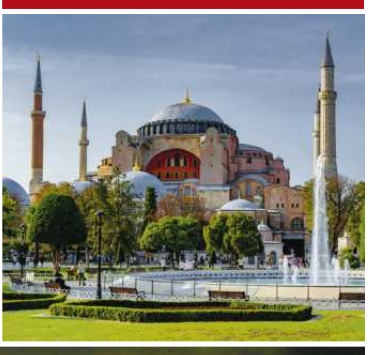

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot z Warszawy do Stambułu. Zakwaterowanie i kolacja powitalna. **Dz. 2** Zwiedzanie miasta: Hipodrom, Błękitny Meczet, Hagia Sophia i cysterna Binbirdirek. **Dz. 3** Meczet Sulejmana Wspaniałego, rejs po cieśninie Bosfor i Wielki Bazar. **Dz. 4** Poranek w Stambule i przelot do Kapadocji. **Dz. 5** Kapadocja. Twierdza Uçhisar, Dolina Wyobraźni, Muzeum Göreme i możliwość lotu balonem. **Dz. 6** Kapadocja. Wąwóz Ihlara, klasztor Selime i podziemne miasto. **Dz. 7** Powrót do domu.

7 dni | Wyloty z Warszawy 01/06, 11/09, 18/10 2026 | od 6.998,–

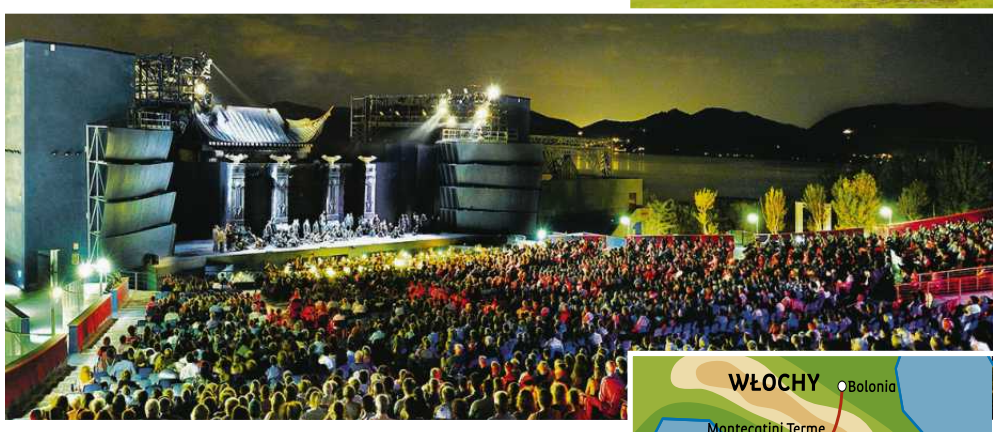

Festiwal operowy Pucciniego

Zobacz dwie wspaniałe opery Pucciniego podczas słynnego festiwalu w Torre del Lago w połączeniu z wycieczkami do San Gimignano i Lukki.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Bolonii i przejazd do Toskanii. **Dz. 2** Zwiedzanie Montecatini Terme i miasta Lukka – miejsca urodzenia Pucciniego. Wieczorem opera. **Dz. 3** Relaks w Montecatini Terme lub opcjonalna wycieczka do Florencji lub Pistoi. Wieczór z operą. **Dz. 4** Średniowieczne San Gimignano oraz wizyta w winnicy wraz z obiadem. **Dz. 5** Bolonia i powrót do domu.

5 dni | Wyloty z Warszawy

Turandot i Tosca | 16/07 2026 | od 4.998,–

La Bohème i La Fanciulla del West | 27/08 2026 | od 4.998,–

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8 p.
Kod reklamy: GW06

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

eprasa.pl e842ac5a5d

WAŻNY TEMAT MIŁOŚĆ

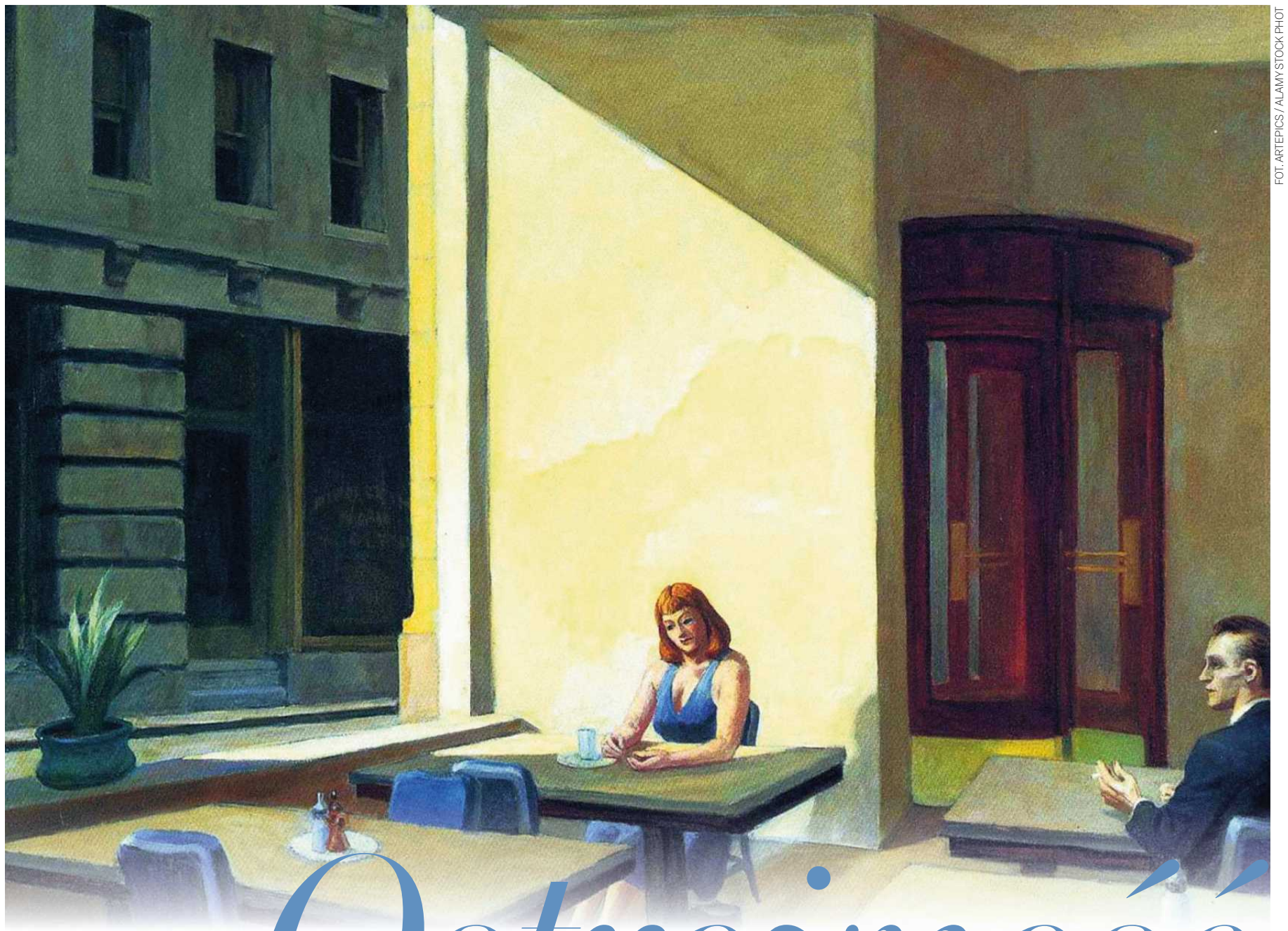

FOT. ARTEPICS / ALAMY STOCK PHOT

Ostrożność

Można być z kimś w łóżku i równocześnie stać już na peronie. Trzymać rękę na klamce, jak na przycisku „delete”

Artur Nowak

Miłość jest ruchem powietrza, który zostaje w pokoju, gdy ktoś wychodzi. Powidokiem – jasną plamą pod powiekami, kiedy zbyt długo patrzyłeś w słońce. Niby robi się ciemno, a ono wciąż tam jest.

Ludzie przetrwali piekła nie dlatego, że byli silni. Przetrwali, bo ktoś na nich czekał. Jak światło zapalone w oknie domu, do którego może już nikt nie wróci, a jednak zapala się je co wieczór. Na wszelki wypadek.

Pewien mężczyzna ruszył z armią Andersa na wieczną tułaczkę – dookoła świata, w poszukiwaniu miejsca, które nie będzie tylko przystankiem. Zanim wyruszył, był gułag. Potem marsz, głód, choroby, śmierć oglądana z bliska tyle razy, że przestała być abstrakcją.

I kiedy skończyły się wielkie słowa, a zostało tylko marznięcie i pusty żołądek, padło jedno zdanie – i zostało we mnie jak drzazga:

Przy życiu utrzymała go miłość.

Krewna pokazała mi jego listy z drogi. W każdym wracała ta sama myśl – jedyna, która dawała mu jeść i pić, kiedy nie miał już siły. Nie ojczyzna – bo ojczyzna potrafi być abstraktem. Nie idea – bo idea jest dobra, dopóki człowiek nie zaczyna marznąć. Tylko miłość. Czyjaś obecność. Czyjeś czekanie. Czyjeś „wracaj”.

Sobota, nowy początek

Przez wiele lat patrzyłem na matkę, której nadzieja bywała bardziej pijana niż ojczym. Wiele lat czekała. W domu słowa miały ciężar. Lepiej było milczeć: nakrywać do stołu, wycierać blat, prasować koszule. Matka była funkcją – żeby było ciepło, schludnie i czysto. Żeby był chleb i masło. Żeby się nie rozsypało.

Czekała. Bezsensownie – tak mi się wtedy wydawało.

Dziś wiem, że „bezsensownie” było tylko moją dziecięcą miarą, która zna sens wyłącznie wtedy, kiedy coś ma koniec. Matka żyła w świecie, w którym drugi człowiek był zadaniem. Próbą. Codziennym egzaminem.

W sobotę on podnosił się na chwilę, jakby na moment wracał z tamtej strony. Przystanek w piciu, który matka nazywała nowym początkiem. I zaczynała się liturgia soboty: zakupy, obiad, wspólne krzątanie. Wciągała mnie w to jak w teatr, w którym mam rolę syna z normalnego domu. „Chodź, pomożesz” – mówiła. I ja pomagałem, bo chciałem wierzyć, że sobota ma moc naprawczą; że obiad jest obietnicą, a wózek w sklepie – wózkiem do wywożenia wstydu.

Matka patrzyła na nas tak, jak patrzy się na światło w oknie: jakby to światło mogło jeszcze kogoś sprowadzić do domu. Stawiała talerze, poprawiała obrus, wygładzała brzegi serwetek, jakby dało się wygładzić także to, co pod spodem. Uśmiechała się odrobinę za szeroko – twarz, która udaje spokój, a w środku ma alarm.

W niedzielę – odświętni, wyprasowani – szli do kościoła. I to jest jeden z najbardziej okrutnych obrazów mojego dzieciństwa. Jest czysty. Pachnie krochmalem. Matka młodniała: garsonka, wyprostowane plecy, włosy poprawione tak, jakby ten ruch dłoni mógł poprawić też całą resztę. Jasny moment po upokorzeniu. Chwila, w której mogła uwierzyć, że „jest normalnie”.

Wracaliśmy do domu, a potem od poniedziałku znów wracało to samo. W kółko, dzień po dniu. Do czasu. Doczekała wreszcie chwili, kiedy ojczym wstał jak Feniks z popiołów i wywalił stolik, przy którym przez lata siedział z kieliszkiem.

Rozwód

Jestem adwokatem od rozstań. Zrobiłem setki rozwodów. Kiedy zaczynałem, jeszcze dbano o pozory: żeby lata wspólnego życia domknęły się choć na moment, żeby ludzie zdążyli się wygadać, pożegnać, żeby w papierach i rytuałach zostało coś, co przypomina zamykanie drzwi.

Dziś pośpiech bywa cnotą. Szybko. Sprawnie. Bez kłopotu. Jak odinstalowanie aplikacji.

Wpadają jak do sklepu obuwniczego: paragon, karta, krótkie „nie pasują”. Zapytani, co nie grało, wzruszają ramionami – niby chodzić się dało, ale obcierało. A kto dziś ma czas się rozchodzić.

Miłość w papierach wygląda śmiesznie. W pozwach i odpowiedziach na pozew nie ma rubryki: „kto zdjął jej ciężar”. W aktach możesz przeczytać co najwyżej: „zanik więzi”, „brak porozumienia”, „trwały rozkład”.

Emocje żyją dziś w trybie wersji próbnej: krótkie, wymienne, gotowe do natychmiastowego porzucenia z gotową narracją: „taki jestem”, „taka jestem”, „ja już tak mam”. Temperament staje się wyrokiem, złość – charakterem.

A jednak są ludzie, którzy po miłości zostają jak po huraganie: ściany stoją, ale okna wybite, meble wyniesione na ulicę. I potem znów idą w drogę, szukając swojego

1 RP

eprasa.pl e842ac5a5d

miejsca – tej kobiety, tego mężczyzny. Coraz rzadziej bywa „na zawsze".

Domów mamy kilka: jedno mieszkanie, drugie życie, trzecią wersję siebie, czwartą relację „na próbę". I choć to daje wolność, przynosi też nową samotność.

Pamiętam inne domy – większe, gęstsze od ludzi. Spotykali się w letnich kuchniach, na gankach, na ławkach pod sklepem. Kiedy komuś „ubywało" – milkł, znikał, zamykał się w sobie – zaraz wyciągali go na powierzchnię, jakby brali na siebie odpowiedzialność za zgodę.

Uciekliśmy od tego, bo bywało duszące. Bo człowiek nie może żyć w akwarium, gdzie ktoś stuka palcem w szybę, sprawdzając, czy jeszcze jesteś – a gazeta sąsiedzkich plotek relacjonuje twój kryzys.

Ale poszło to wszystko za daleko: zamiast nauczyć się granic, zrobiliśmy z granic mur, a z muru – styl życia.

Można żyć na kilkunastu metrach w zaludnionym po brzegi wieżowcu i zostać przeraźliwie samotnym.

Ktoś jednak zostaje. Z niedopitą herbatą. Z ciszą po twoich krokach. Z miejscem przy stole, z kubkiem stojącym jak dowód w sprawie, której nikt nie chce doprowadzić do końca.

Zostają też substancje miłości: drobne, niewidzialne resztki, które nie umieją wybrać strony. Osad w codzienności – w ciszy po rozmowie, w odruchach, w ciele, które pamięta więcej niż głowa. Nie pytają o zgodę i nie znikają na wezwanie. Są jak dzieci, które chciałyby zostać z każdym – choć „razem" jest już podarte, a jego strzępy wciąż zaczepiają o dzień powszedni. Jak ślad po ciepłej dłoni na zimnej poręczy: trwa chwilę, a potem jeszcze długo nie chce zniknąć.

Granice oddaliły się tak bardzo, że czasem nie trzeba się dotknąć, żeby zabolało. Boli całe ciało: zanim kogoś poznasz, już boli cię, że przekroczysz granicę, że coś wydarzy się naprawdę.

Poczekalnia

Ale po co od razu się dotykać?

Portale randkowe mają w sobie coś z poczekalni: cichej sali, w której ludzie udają spokój, a w środku ściskają numerki jak amulety – „tym razem się uda".

Czasem w rozmowie dotykasz struny i budzi się zapomniany język. Drży jak spławik, kiedy bierze ryba. Znasz go jak z tamtej podróży, z innego czasu, jakby z poprzednich wcieleń: podobny humor, podobna wrażliwość.

I znów dajemy sobie szansę. On opowiada jej kolejny raz o nowej drodze do miłości. Są razem, ale ostrożniej – zgodnie z podręcznikiem. Pięć zasad, jak kochać dobrze. Wszystko mądre, tylko brzmi jak instrukcja bezpieczeństwa, a nie jak spotkanie.

Rynek randek stoi otworem pod palcem klawiatur. Według amerykańskich badań sondażowych „How Couples Meet and Stay Together „(HCMST; fale 2009 i 2017), analizowanych między innymi w artykule Rosenfelda i współautorów w Proceedings of the National Academy of Sciences (2019), około 65 procent par jednopłciowych, które poznały się w 2017 roku, poznało się online, wśród par heteroseksualnych było to około 39 procent.

Można być z kimś w łóżku i równocześnie stać już na peronie. Mówić „kocham", mając w kieszeni drogę ewakuacji. Trzymać rękę na klamce jak na przycisku „delete". A potem wracasz do poczekalni. Tylko że ciało pamięta.

Myślę o tamtym człowieku z Andersa, który szedł przez śmierć i mróz bez zębów, bez pewności, bez adresu. I myślę, że nie przeżyłby dzisiejszego świata, w którym wszystko jest możliwe, więc nic nie jest konieczne. Jego trzymało coś bez reguł, ale z ciężarem: czyjeś czekanie.

Ręka w ręce

Znałem ją z kasy. Nie z imienia, nie z historii – tylko z napięcia, które miała w rękach. Z krótkiego „następny". Z tej złości, która wygląda jak tarcza: nie po to, żeby kogoś zranić, tylko żeby w ogóle się utrzymać na nogach.

Jej dzień składał się z piknięć skanera. Metronom sklepu. Pik – chleb. Pik – mleko. Pik – wędliny, które zawsze pachną cudzym obiadem. Pik – czyjś wstyd w postaci najtańszych papierosów. Pik – czyjaś próba bycia miłym, od razu odbita jak piłka o szybę.

Aż któregoś dnia zobaczyłem ją poza sklepem.

Szła za rękę z mężczyzną. Bez gestów na pokaz, bez teatralnej czułości. Tylko ręka w ręce – spokojnie, bez pośpiechu. A ona... ona była rozświetlona. Nie „uśmiechnięta w dobrym humorze", tylko jak człowiek, któremu ktoś w końcu zdjął z ramion coś ciężkiego. Jakby nagle nie musiała trzymać świata zębami.

Zobaczyłem tę twarz i pomyślałem: to ulga. Taka, która przechodzi przez ciało. Najpierw puszcza brzuch, potem ramiona, a na końcu szczękę – tę szczękę, którą przez lata zaciska się tak mocno, że człowiek nie pamięta już, jak wygląda spokój.

Ale ciepło miłości ma w sobie też coś bezlitosnego. Nie w sensie okrucieństwa, tylko prawdy. Rozpuszcza patynę kreacji, zdejmuje pancerz, pod którym zwykle trzyma się wstyd: „nie zasługuję", „zaraz zepsuję", „zaraz mnie sprawdzą i wyjdzie, że jestem pusty". Bliskość, kiedy dzieje się naprawdę, działa jak światło zapalone nagle w środku nocy.

W świetle widać wszystko: lęk, braki, niewypowiedziane dzieciństwo. I człowiek instynktownie chce zrobić krok w tył, bo wstyd podszeptuje, że to będzie przesłuchanie, a nie spotkanie. Że zaraz padną pytania, że zaraz przyjdzie kontrola, że ktoś sprawdzi, czy „masz prawo" do czułości. Odsłonięcie uruchamia alarm: jedni reagują zamarciem, inni atakiem, jeszcze inni ucieczką.

Ta złość w sklepie mogła być właśnie tym – tarczą, która nie dopuszcza bliskości, bo bliskość kojarzy się z ryzykiem demaskacji.

A jednak na chodniku nie widziałem tarczy. Widziałem człowieka, który pozwala się prowadzić tempem drugiej osoby. Który nie skanuje świata w poszukiwaniu błędu, nie stoi na straży, nie pilnuje, żeby nikt nie wszedł za daleko. Jakby ktoś obok mówił: „nie musisz już udowadniać, że dasz radę sama".

Nie odmienia nas „pięć zasad". Odmienia obecność. Ktoś, kto ogrzewa ci dłonie – i nagle zaczynasz czuć palce.

Jej sposób milczenia

Formalności da się dziś załatwić szybko: podpis, wniosek, termin, pieczątka. Koniec ogłasza się w kalendarzu. Ale miłość nie zna trybu „zakończ". Miłość robi to wolniej: stygnie w kubku, cichnie w odruchach, wycofuje się z ciała.

Ona ma rytuał: codziennie o tej samej porze stawia wodę na herbatę. Ta sama filiżanka, ten sam smak – zawsze trochę za mocny. Stawia ją na stole i nigdy nie dopija do końca. Nie dlatego, że wierzy w cud. Raczej dlatego, że czekanie bywa formą wierności własnej pamięci: dowodem, że to się wydarzyło naprawdę.

Jestem adwokatem od rozstań. Zrobiłem setki rozwodów. Wpadają jak do sklepu obuwniczego: paragon, karta, krótkie „nie pasują". Niby chodzić się dało, ale obcierało.

Światło zapala się punktualnie. Ona nie stoi przy szybie. Układa rzeczy, wyciera stół, poprawia książki.

Najbardziej zdradliwa jest noc: ten krótki błysk uwagi – winda, kroki, klucz w zamku. Pamięć ciała, które wciąż zna świat w wersji, która kiedyś była prawdziwa. A potem coś się przesuwa. Herbata stygnie szybciej. Światło czasem zapala się później. Albo wcale. Sprawdzanie dźwięków nie znika – tylko traci ostrość.

Pewnego dnia łapie się na tym, że nie czeka już na niego. Czeka na moment, w którym przestanie czekać. I kiedy to rozumie, rytuał zaczyna kończyć się sam: bez deklaracji, bez sceny, bez wielkich słów. Światło w oknie gaśnie – nie jak klęska, tylko jak coś, co spełniło swoje zadanie.

Jest druga strona tej historii: ten, który odszedł.

On też jest w drodze – tylko nikt nie nazywa tego tułaczką, bo dziś tułaczka ma ładne nazwy: „zmiana", „rozwój", „nowy etap", „dbanie o siebie". Kiedyś była armia i świat dookoła, bo nie było dokąd wracać. Dziś są lotniska, aplikacje, walizki na kółkach i relacje „na chwilę".

Ten mężczyzna nie idzie przez śnieg, tylko przez możliwości: przez „jeszcze nie", „zobaczymy", „nie teraz". Nie marznie fizycznie. Marznie inaczej – w środku, w miejscu, w którym kiedyś było czekanie, a teraz jest ostrożność.

Nosi w sobie coś, czego nie zamierzał zabrać: jej rytm, jej sposób milczenia. To, jak poprawiała mu kołnierz, kiedy było zimno. Nie myśli o niej codziennie, ale gdy zmęczenie dociera do kości, oddycha tak, jakby ktoś kiedyś oddychał obok.

Stoi w kolejce w urzędzie. Ktoś się przepycha, ktoś gada przez telefon tą intonacją, która wpycha cię w kąt. On czuje, że zaraz odpali: wstyd, gorszość, stara niewystarczalność, od której kiedyś uciekł „w rozwój". A potem mówi do okienka miękko, jej tonem:

– Dobrze. Już. Spokojnie. Zróbmy to po kolei.

I dopiero po chwili dociera do niego, że to nie jest jego zdanie. Odszedł, a jednak wyniósł z domu coś cięższego niż walizkę: instrukcję, jak nie rozsypać się w ludziach.

Był sobie chłopiec

Każdy dom ma inne powietrze. Inny zestaw rzeczy, których „się nie rusza". W jednym domu kubek stoi zawsze po prawej stronie zlewu. W drugim to drobiazg, który potrafi wywołać lodowate milczenie. Dziecko uczy się porządku nie z zasad, tylko z napięcia w powietrzu.

Z czasem zaczyna rozumieć, że ma kilka wersji siebie: tę od mamy, tę od taty, tę od nowych partnerów, którzy na początku bardzo się starają, a potem przestają. Nie są fałszywe – są adaptacyjne.

Miłość jest jak coś, co może się skończyć bez ostrzeżenia – ale też bez winnych. Dorośli mówią: „to nie przez ciebie". Dziecko słyszy: „to może się wydarzyć zawsze". Więc uczy się nie stawiać wszystkiego na jedno miejsce. Zostawia sobie wyjścia ewakuacyjne. Nie przywiązuje się zbyt szybko. Nie mówi za dużo. Nie prosi za mocno.

Ma świetny instynkt: wyłapuje zmiany nastroju szybciej niż inni. Umie czytać między zdaniami. Umie być „w porządku", nawet kiedy nie jest. To są umiejętności, które ratują w dzieciństwie. W dorosłości zaczynają kosztować.

Miłość czasem nie ma twarzy. Jest ruchem powietrza, który zostaje w pokoju po tym, jak ktoś wyszedł. I nawet jeśli drzwi zatrzasnęły się dawno, ona jeszcze chwilę krąży – nie po to, żeby kogoś zawrócić, tylko żeby powiedzieć: to było prawdziwe.

Hermann Hesse powiedział, że możemy się nawzajem zrozumieć, ale każdy musi sam siebie wyjaśnić. A to wyjaśnianie trwa całe życie: jakby człowiek chodził z latarką po własnym wnętrzu, wracał w te same korytarze, odkrywał te same drzwi – tylko za każdym razem trochę inaczej je nazywał. Bo dopóki się nie wyjaśnisz, dopóty będziesz powtarzał to, czego nie rozumiesz. Dopóty będziesz uciekał – nie przed światem, tylko przed sobą.

Nie wszyscy uciekają, bo są źli albo płytcy. Czasem uciekają, bo ich ciało pamięta. Bo mają w sobie stare alarmy, które odzywają się szybciej niż rozum. I wtedy miłość – zamiast ratunku – staje się sygnałem zagrożenia.

Był sobie chłopiec.

Jego matka nie miała już na nic siły i podzieliła się z nim żałobą. Dom wypełniła cisza po kimś, kto był i nagle go nie było. Ciało chłopca zapamiętało tę zmianę jak nagłą zmianę pogody w mieszkaniu: jakby w środku lata spadł śnieg. Jakby ktoś przekręcił regulator głośności na „maksymalnie cicho".

A w nim pojawił się ruch – instynkt małego zwierzęcia, które biegnie za czymś, co odjeżdża. Biegł z myślą, że jeśli będzie wystarczająco szybki, dobry, dzielny – to wszystko wróci na swoje miejsce. Chciał, żeby było jak dawniej. Wołał, choć nikt tego nie słyszał: zobaczcie mnie, zobaczcie.

Ten chłopiec dorastał, ale lęk nie dorastał razem z nim. Lęk zostawał mały, uparty, przyczajony – gotowy do skoku. Do dziś żyje w nim tamto przeczucie porzucenia. On nie boi się odrzucenia tak wprost. On boi się bać, że będzie odrzucony. Że ktoś przestanie wracać.

Dzieciństwo nauczyło go czujności: że miłość potrafi zniknąć nagle. I dlatego, kiedy w dorosłym życiu pojawia się bliskość, jego ciało czyta czułość jak ryzyko.

Jak drzwi, które zaraz mogą trzasnąć bez ostrzeżenia. Jak coś pięknego, co od razu grozi stratą.

Więc znika sam, zanim ktoś zdąży go wymazać.

Wystarczy jeden sygnał paniki – zwykły SMS bez odpowiedzi, opóźnione „oddzwonię", urwane połączenie – i w jego głowie zaczyna się automatyczna narracja katastrofy. Mózg uwielbia ten moment, kiedy może postawić kropkę tam, gdzie jest tylko przecinek.

A przecież on wcale nie chce znikać. Chce być wybrany. Chce zostać. Chce, żeby ktoś powiedział: „widzę cię" – i nie zniknął na pierwszym zakręcie. Bo jego logika jest prosta i okrutnie dziecięca: jeśli odejdziemy sami, nikt nas nie porzuci.

A jednak wciąż wierzymy w miłość – i właśnie dlatego jej szukamy, nawet kiedy nie jest „o nas", tylko jest dowodem dobra. Takim, który nie krzyczy, nie żąda, nie stawia warunków, po prostu zostaje w świecie jak ciepło po dłoni na zimnej poręczy. I dlatego po rozstaniu boli nie tyle brak osoby, ile to, że nagle trzeba samemu utrzymać w sobie tę temperaturę.

Ktoś siada przy łóżku osoby, z którą nie da się rozmawiać. Nie ma już wspomnień do opowiedzenia, nie ma planów do ustalenia, nie ma „naprawmy to". Jest tylko obecność, czynność bez nagrody. Poprawia koc, podaje wodę, trzyma dłoń przez chwilę dłużej. I w tym geście świat na moment robi się znośny.

Dlatego przetrwaliśmy. ●

eprasa.pl e842ac5a5d

PRZESTAŁEM BYĆ NIEZNOSNY. DLA NIEJ

Dla mnie to ściema, dla niego pole badawcze. **Pojechałam do Jakuba Małeckiego porozmawiać o poliamorii.**

Dorota Wodecka
Zdjęcie: **Mateusz Skwarczek / Agencja Wyborcza.pl**

Jakub Małecki

• Rocznik 1982, pisarz i tłumacz, z wykształcenia ekonomista. Pierwsze książki „Błędy" i „Przemytnik cudu" wydał w 2008 r. Sił próbował w różnych gatunkach: science fiction, reportaż, horror, powieść obyczajowa. Najbardziej znane książki to: „Dygot", „Rdza", „Horyzont", „Święto ognia" i „Sąsiednie kolory". Nominowany m.in. do nagród: Nike, „Angelus", Odkrycia Empiku. W 2023 r. Kinga Dębska zekranizowała „Święto ognia". Najnowsza powieść to „Obiekty głębokiego nieba" (2025).

Z Jakubem Małeckim spotkałam się po raz pierwszy i drugi siedem lat temu. Zaprosił mnie wtedy do swojego mieszkania na warszawskim Grochowie albo sama się wprosiłam z potrzeby poznania kontekstu miejsca, w którym pracuje.

Przekraczając próg, wyczuwałam jego skrępowanie, ale rozluźnił się, opowiadając o sposobach parzenia kawy i ulubionych czekoladkach. Czułam bliskość z trzydziestoparolatkiem, kiedy przyznał się, że uwielbia słodycze, a szczególnie czekoladę. W dużych ilościach.

Jego książki poleciła mi Iza, kosmetyczka, z którą często wymieniamy się literackimi odkryciami. Zaczęłam czytanie od „Rdzy", ale już w połowie wiedziałam, że będzie mi żal ją skończyć i zostać z niczym, dlatego kompulsywnie dokupiłam wszystko, co się wówczas ukazało.

„Dygot", „Ślady" i „Nikt nie idzie". I chociaż postaci jednej historii nadpisywały mi się w drugiej, nabierałam pewności, że muszę poznać ich autora.

Przy tamtej kawie i czekoladkach opowiedział mi o swoim życiu, które „nie miało prawa się zdarzyć", o porażkach, o strachu, o wstydzie i o Marcie. Ja też coś opowiadałam. Między nami łaziły dwa koty.

Od tamtej pory na Messengerze wymienialiśmy świąteczne życzenia. Na zdjęciach poznałam Martę i Jurę, suczkę owczarka holenderskiego, o której będzie dalej.

Napisał mi, że umarł mu tato, a ja – że miałam udar.

Dwa małżeństwa

W styczniu pojechałam do niego porozmawiać o związkach otwartych i poliamorii, która dla mnie jest emocjonalną ściemą, bo nie ma siły, by ktoś prędzej czy później nie cierpiał, a dla niego polem badawczym, którego ramy określił w swojej najnowszej powieści.

W dużym uproszczeniu fabuła „Obiektów głębokiego nieba" toczy się w dwóch przenikających się planach.

Pierwszy: Dwa małżeństwa 30 plus, szczęśliwe, jedno z malutkim dzieckiem. Klasa średnia i jej typowe aspiracje. Nie nudni. Towarzyska bliskość obu par prowadzi do eksperymentu pod tytułem „wymieńmy się na kilka godzin partnerami/partnerkami". Eksperyment nie jest jednorazowy i prowadzi, dokąd prowadzi. Czytając, wydawało mi się, że wiem dokąd, ale niekoniecznie wiedziałam.

Drugi: Małżeństwo ze stażem, ona odchodzi, zakłada kolejną rodzinę. On zostaje na gospodarce z kilkuletnim synem. Obaj tęsknią za kobietą, która ich porzuciła. Syn ma na imię Janek i kiedy dorośnie, będzie jednym z mężczyzn, który bierze udział we wspomnianej roszadzie. Dorosłość stawia go przed koniecznością opieki nad chorym ojcem.

Ich relacja rezonowała we mnie szczególnie i kiedy skończyłam czytać, poczułam, że muszę się przytulić do mojego 87-letniego taty i powiedzieć mu, że będę za nim bardzo tęsknić.

Pisarz, którego sprzedaż książek na różnych nośnikach przekroczyła pół miliona egzemplarzy, czeka na mnie na dworcu w Grodzisku Mazowieckim. Ruszamy stamtąd do jego domu na skraj wioski, której nazwy nie zapamiętałam. Zapamiętałam za to, że po drugiej stronie pola i lasu, które widać z okna jego salonu, mieszkał Józef Chełmoński.

Jura

Zanim przejdziemy do rzeczy, czyli do różnych odmian miłości, oszczekuje mnie podekscytowana Jura. To pies pracujący, zazwyczaj towarzyszy na służbie Marcie, która jest zawodową strażaczką w jednostce poszukiwawczo-ratowniczej. Dziś została w domu. Ma zapalenie stawów, więc jest jakby na L-4.

Czekam, aż mnie obwącha, by przejść w kolejny etap znajomości polegający na lizaniu, gdzie popadnie i podbijaniu mojej ręki, tak by opadła na jej głowę i rzecz jasna ją głaskała.

– Szkolenie tych psów opiera się na miłości do człowieka. Gdyby nie kochała ludzi, nie chciałaby ich szukać na przykład pod gruzami – gospodarz próbuje – zdaje się – usprawiedliwić jej nachalność.

– Kiedy w trakcie treningów znajduje Martę albo innego pozoranta przykrytego maskującą płachtą, jest przeszczęśliwa. Dostaje smakołyki, jest głaskana i przytulana, po to by znalezienie człowieka kojarzyło jej się z najwspanialszą rzeczą na świecie – opowiada i dodaje, że to z powodu Jury przeprowadzili się dwa lata temu na wieś. Bo zwierzę musi się codziennie zmęczyć, fizycznie i intelektualnie, chociaż ostatnio ma te pierwsze przyjemności ograniczane. I niewykluczone, że pójdzie na rentę.

Neuroza

Żałuję, że znów nie poznam Marty. Jest w jednostce na służbie, wróci następnego dnia rano. O swojej fascynacji nią pisarz opowiedział mi za pierwszym naszym spotkaniem, kiedy zauważyłam, że w swoich książkach nie wstydzi się obnażać neurozy zakochania z perspektywy mężczyzn i chłopców.

Literatura i życie przyzwyczaiły mnie bowiem do okazywania przez nich w tej kwestii powściągliwości bądź wręcz milczącego twardzielstwa. Bo „przecież wiadomo, że kocham, bo co tyle o tym mówić".

Przytoczę fragmenty tamtej rozmowy:

„– Wydawało mi się, że znam tę neurozę z podstawówki i liceum, ale co potrafi ze mną zrobić, objawiła mi dopiero wtedy, kiedy poznałem moją obecną żonę. Pisaliśmy wtedy do siebie papierowe listy, które zostawialiśmy w umówionych miejscach. Ja w kiosku Ruchu blisko jej mieszkania, a ona u stróża, który pilnował parkingu niedaleko mojego. Kiedy tylko dostałem list od niej, jechałem rowerem do kiosku zostawić odpowiedź. Mamy te listy.

O czym pisaliście?

– O tym wszystkim, co sobie wyobrażaliśmy, co może się stać albo co się nie stanie. Takie szaleństwo burzliwego początku i dużo emocji. Cieszyliśmy się tym, że możemy się spotkać, raz, drugi i kolejny. Nie zakładaliśmy, że będziemy razem czy nie razem. To się stało po prostu.

Dopóki śmierć?

– Ja bym chciał. Wiele rzeczy mógłbym dokumentnie schrzanić, ale tego spróbuję nie zepsuć. Próbowaliśmy nawet, trochę w żartach, a trochę jednak nie, wymyślić sobie idealny scenariusz na koniec i wymyśliliśmy, że jesteśmy starzy, ona umiera pierwsza, a ja sobie potem strzelam w głowę. Ale może będzie tak jak w Skibinie, gdzie mieszkał wujek Stachu. Jakaś kobieta umarła rano, a jej mąż trzy godziny po niej. Żyli razem 50 lat. To niby zwyczajne, ale jednak nie".

Dlatego, kiedy napisał mi, że mieszka pod Grodziskiem Mazowieckim, poczułam niepokój, że jednak ktoś „dokumentnie schrzanił", czyli rozstali się z Martą, a on zamieszkał na wsi tak jak Janek, bohater książki.

To nie była myśl naiwna, bo nieraz podkreślał, że przerabia na literaturę biografię jego

eprasa.pl e842ac5a5d

bliskich, bo ma nadzieję, że dzięki temu ich losy całkiem nie znikną.

Po drugie, nie licząc zamieszkania na wsi, para z „Obiektów głębokiego nieba", tak jak Jakub z Martą, prowadzi dziennik kawowy, w którym opisuje swoje wrażenia z nowo odwiedzanych kawiarni albo zostawia sobie wiadomości.

Wysyłam wiadomość na Messengerze:

– Czy przeprowadził się pan z Martą? Denerwuję się, że książka niekoniecznie jest fikcją.

Odpisuje: „Hahaha, tak z Martą. Jesteśmy razem siedemnasty rok i planujemy jeszcze ze sobą pobyć".

Czuję ulgę, ale prawdopodobnie i tak nie uniknę zadania krępującego pytania, czy wymiana partnerów jest wymyślona i czego dzięki takiej roszadzie Jakub chciał się dowiedzieć o sobie.

Ciotka

Autobiografizm? Okazuje się, że owszem, ale tylko w kwestii jednego zdania, o którym też porozmawiamy. Teraz dowiaduję się, że do pracy wyobraźni zainspirowała pisarza para bliskich znajomych żyjących, jak to określił, „w dość nietypowy sposób", czyli w związku otwartym.

– Ci znajomi są jedną z najfajniejszych par, jakie z Martą znamy. Kiedy się z nimi rozmawia, to wręcz widać, że są wobec siebie wyrozumiali, szanują się, no po prostu, że się kochają. Podejrzewam, że zna pani takie pary, po których widać, że są sobą zmęczeni. Jest między nimi jakieś napięcie, złość, przerywają sobie, kiedy coś mówią. A patrząc na moich znajomych, to widzę, że oni są ze sobą szczęśliwi. I zacząłem się zastanawiać, co sprawia, że w czasach, kiedy tak łatwo się rozstać, ludzie trwają w związkach dłużej niż przeciętna. I trochę z tych moich rozmyślań wzięła się moja książka. Oczywiście, nie pomogła mi zbliżyć się do odpowiedzi na to pytanie choćby o centymetr.

– Mam wrażenie, że zbliżył się pan do odpowiedzi na inne pytanie, mianowicie, dlaczego w kolejnych związkach ludzie bywają rozczarowani. Narrator zauważa, że to dlatego, że wchodzili w nie z dużym obciążeniem.

– Wydaje mi się, że wejście w nowe nie zawsze jest proste. Bo trzeba sprzedać mieszkanie albo dom, podzielić majątek, rozważyć zasady relacji z dziećmi i w efekcie w drodze do nowego życia zadaje się wielu osobom ból. To duże obciążenie, dlatego prawdopodobnie ludzie liczą na to, że skoro tak dużo stracili, inwestując w nowy związek, to on nie może być zwyczajny. On musi być mega super. Wydaje mi się, że oczekiwania rosną, im wyższą cenę człowiek zapłacił za to, żeby być w nowym miejscu, nie sądzi pani?

W tym miejscu ja muszę zapewnić osoby czytające ten tekst, że jego bohater parokroć tego dnia powiadał, że ludzie mają prawo żyć, jak chcą i jeśli nikogo przy tym nie krzywdzą, to nikomu nic do tego. I dlatego trudno mi było dowiedzieć się od niego, czy nie sądzi, że może monogamia sprawia, że ludzie naszej kultury, niemonogamiczni z natury, decydują się na korekty wyborów życiowych.

Z pewnością Małecki nie jest konserwatywnym moralistą, dość dodać, że ksiądz Adam Szustak, mający na YouTubie „miliony obserwujących" i uwielbiający książki Jakuba, nie przyjął z zachwytem „Obiektów głębokiego nieba".

Bo choć powieść jest ładnie napisana, to nie mógł znieść, że bohaterowie się zdradzają (od siebie dodam, że o tym „jak" się zdradzają, też można przeczytać). Dużo zaś starsze od pisarza znajome znajomych uznały, że książka jest obrzydliwa, i co też temu Kubie chodzi po głowie, że wymyśla „takie rzeczy".

– Ale nie udawajmy, że ludzie eksperymentują ze swoją seksualnością dopiero teraz – mówi, w czym przyznaję mu rację.

– Tata opowiadał mi, że na każde rodzinne wesele jedna z ciotek przyjeżdżała z wujkiem i z kierowcą. Wujek sobie pił i gadał z innymi wujami, a ten drugi tańcował z ciotką. Wszyscy wiedzieli, co jest grane, ale nikt się nie oburzał. A działo się to na wsi z 50 lat temu.

Przegryzamy chleb, gdy niespodziewanie Jura zaczyna ujadać, Gloria wygina grzbiet, a ja widzę na tarasie lisa! Dzieli nas dwa metry odległości i szyba okienna.

Znajomi opowiadali nam o spotkaniach, na których wszyscy chodzą nago i sypiają, kto z kim chce. Moje ciało nie zadziałałoby tylko na sam widok drugiego ciała

Nie chcę spoilerować książki, ale przez sekundy literatura nakłada się na życie i aż brak słów, by wyrazić zachwyt z tego powodu.

Sekundy, kiedy lis się objawił, a potem zniknął za winklem, i nasze zerwanie się z kanapy do okna wystarczyły, by Jura zmiotła ze stołu kilkanaście plasterków szynki parmeńskiej.

Zwierzęta

Za oknem śnieżna pustka i zimnozielona ściana zagajnika. Przy ogrodzeniu drzewa, których mogłabym się naliczyć dwieście. Pisarz ogrodnik objaśnia, że rośnie tu wszystko, co mógł zasadzić. Owocowe i nieowocowe. Platany, lipy, dęby, brzozy, jarzębiny i derenie. Niektóre sadził z myślą o ptakach.

– Będą miały zawsze owoce drzew, by się pożywić. I nawet gdyby mnie tu zabrakło, to drzewa zostaną – mówi, a ja nie chcę psuć jego szlachetnych intencji, zauważając, że skończyły się czasy, że drzewa przydomowo przeżywają tych, którzy je posadzili. Bo zdaniem sąsiadów rzucają cień albo, co gorsza, zrzucają liście.

Jakubowi marzy się, że kupi widoczny z kuchennego okna kawałek lasu. Nie dla siebie, dla Ducha, białego daniela, który się tamtędy przechadza, a niekiedy podchodzi pod ogrodzenie. Pisarz pokazuje mi jego zdjęcia zrobione teleobiektywem. Jest bajkowy.

– Przez dwa miesiące widywałem go codziennie. Przygotowywałem sobie śniadanie i patrzyłem, czy jest. To czarne ustrojstwo, które wisi na krzakach, to fotopułapka, na którą nagrywa nam się bardzo często w nocy.

– Nie boi się pan, że zastrzelą go myśliwi? – pytam.

– Pani ze szkółki ogrodniczej, w której kupuję drzewa, powiedziała mi, że wśród myśliwych panuje przesąd, że białych zwierząt się nie zabija, co mnie trochę uspokaja.

Mnie też, ale podejrzewam, że Duch może ściągnąć nieszczęście na recepcję twórczości Jakuba Małeckiego.

Bo skoro ten czerpie z życia, to chętnie się założę, że jeśli w kolejnej książce pojawi się biały daniel o imieniu Duch, to jakiś krytyk lub krytyczka literacka napiszą, że Małecki

eprasa.pl e842ac5a5d

już nie tylko wywołuje „łatwe wzruszenia", ale przecukrował i osunął się w kicz.

Nie wiem, co pisali o lisie, ale pisarz też nie wie, bo programowo nie czyta recenzji swoich książek. I uściśla, że lisa pojawiającego się w książce sobie wymyślił i nigdy wcześniej na swoim tarasie go nie widział.

Marta

Unikanie przez mojego bohatera generalizacji ułatwia mi dziennikarską robotę, bo mogę pytać wprost, jaki mają z Martą patent na trwałość związku i miłość (kolejność mimo wszystko dowolna).

– My sami często zastanawiamy się, dlaczego nam się udało być ze sobą tak długo. Wiele osób, które znaliśmy, jest już w drugich czy nawet trzecich życiorysach związkowych, mają dzieci z kolejnymi partnerkami czy partnerami, a te patchworki tak się rozrastają, że czasami nie nadążamy z rozpoznawaniem, kto jest czyim dzieckiem.

– I do jakich doszliście wniosków?

– Kiedy poznałem Martę, pracowała w firmie rodzinnej, a ja zakładałem garnitur i szedłem do pracy w banku. Byłem wtedy dużo bardziej szalony. Jeździłem motocyklem bez prawa jazdy albo włamywałem się z kolegą do wszystkich bunkrów w Poznaniu. Byłem ogolony na łyso, ważyłem ponad 100 kilo i tak dalej.

A teraz jestem poukładany, melancholijny, siedzę w domu w nieformalnym stroju i piszę książki. A Marta zaczęła działać w prospołecznych organizacjach, bo chciała robić coś, co ma znaczenie. I w końcu została strażaczką zawodową, gasi pożary, pomaga ludziom, szkoli psy. Odjechaliśmy w inne strony i jesteśmy kompletnie innymi ludźmi pod różnymi względami niż wtedy, gdy się poznaliśmy. Mogło się jej przecież nie podobać to, co ja teraz robię albo jaki jestem.

– Duża zmiana – przyznaję.

– I niejedyna. Życie nam się zmieniało wielokrotnie. Mieszkaliśmy w Poznaniu, później przeprowadziliśmy się do małego mieszkania w Warszawie, potem na Grochów, a w końcu tutaj. Bardzo często w naszym życiu dzieją się takie małe rewolucje.

– I tym samym nowe początki – wtrącam.

– Zauważyłem, że one nam służą. Nie jest powiedziane, że będziemy tu mieszkać do końca życia, chociaż w sumie to bym chyba chciał. Ale jeśli Marta nagle wymyśli, że przeprowadzamy się do Wrocławia czy – nie wiem – Berlina, to bez żalu się stąd wyprowadzę, bo zmiany kojarzą mi się pozytywnie.

Przypomina mi się moja dawna rozmowa z Jerzym Pilchem, który zapytany, co się u niego zmieniło, odpowiedział: „Broń Boże, żeby się cokolwiek zmieniało". No, ale kiedy to mówił, był starszy od Jakuba Małeckiego i ode mnie i wiedział, co wiedział.

– I przez ten czas żadnych kryzysów? – dopytuję.

– Wie pani, co Marta czasami powtarza?

– Co?

– Boże, jak ja się cieszę, że byłam mądra, że się z tobą nie rozwiodłam, kiedy byłeś taki nieznośny. Jaka ja jestem wspaniała, że to wytrzymałam.

Śmieję się z jej autoironii: – Chętnie się z nią zgodzę, chociaż musi mi pan opowiedzieć o swojej nieznośności.

– Oboje mamy świadomość, że mieliśmy gorsze czasy. Ale wie pani, co jeszcze dodaje? Że beze mnie byłaby rozwalona. Bo ona jest chaosem, a ja wszystko ogarniam. I wie, że kiedy wstanie rano, to o nic nie musi się martwić, bo ja o wszystko zadbam i wszystko będzie działać.

Myślę: zazdroszczę, ale mówię, że Marta ma złe zdanie o sobie, bo skoro wytrenowała Jurę, to nie może wzniecać chaosu.

– Tak, w pracy jest super poukładana, ale tutaj pozwala sobie na większy luz. Bywa, że wracam do domu, a one rozwalone na kanapie i śpią. Tu coś gra, w kuchni coś się gotuje, wokół rozsypane chipsy i pobojowisko, a one śpią po pracy. Strażaczki moje dwie. Tak, Jurka? – pyta Jakub i podnosi się z kanapy, by przynieść nam dzbanek herbaty. I kiedy tylko odwraca się do nas plecami, Jura wylizuje dip z miseczki postawionej na stoliku, przy którym siedzę.

Yes man

– Nie potrafiłem reagować spontanicznie na drobne oczekiwania czy prośby Marty. Byłem totalny control freakiem. I jeśli Marta proponowała, byśmy gdzieś pojechali albo coś wspólnie zrobili, to nie było mowy, bym się zgodził – Jakub odpowiada, co znaczy, że był nieznośny.

– Dlaczego?!

– Miałem zaplanowane, że będę pisał przez dwie godziny, później pójdę pobiegać, potem będę czytał książkę czy robił coś innego. Pracowitość i rzetelność na pierwszy rzut oka kojarzą się pewnie z czymś pozytywnym, ale jeśli przekładają się na brak spontaniczności, to dla drugiej osoby nie jest to fajne. Na sto składanych przez Martę propozycji 99 było na „nie".

– Musiała się wpisać w pana kalendarz?

– No tak jakby. I musiała mieć dosyć, bo moje kolejne, że teraz muszę to, to, to, to, to i to odbywało się kosztem jej pragnień. A ja z kolei miałem cały czas poczucie, że jeżeli nie będę się pilnował i trzymał się tego, co zaplanowałem, to wszystko mi się rozleci. Bo zawsze będzie powód, żeby zająć się czymś, co mnie odciągnie od pracy.

Przypominam sobie naszą pierwszą rozmowę, kiedy mówił, że po odejściu z banku nałożył sobie reżim i codziennie przez pierwsze cztery lata wstawał o 6.30 i pracował. Pierwszą połowę dnia przeznaczał na tłumaczenie tekstów, drugą na pisanie powieści.

Opowiadał mi przed sześciu laty, że nawet jeśli wrócił do domu o 3 nad ranem nieprzytomny, to i tak wstawał o 6.30. Lęk przed tym, że mu się nie powiedzie, był silniejszy niż odruchy ciała.

Stresowało go, że bliscy pomyślą, że rzucił dochodową robotę, bo jest leniem. A literatura jest nieprzewidywalna, zauważał, i jego pracowitość w żaden sposób nie gwarantowała mu, że będzie się mógł utrzymać z pisania książek.

– Bardzo długo zajęło mi zaakceptowanie tego, że jeśli codziennie będę siedział osiem godzin przed komputerem, nie znaczy, że zrobię coś lepiej niż wtedy, gdy będę siedział pięć. Z moim charakterem trudno mi było przyzwyczaić się do tego, że czasami nie muszę pracować więcej, żeby osiągnąć lepszy efekt. Ale ja się czuję dobrze z samego faktu, że się napracowałem. Powoli to zmieniam.

– Coś się w pana głowie poprzestawiało? Przestało panu zależeć na opinii innych?

– Od 14 lat codziennie wstaję rano i pracuję, napisałem te kilka książek i udowodniłem sobie, że się przez ten czas nie rozleniwiłem. Pracuję rzetelnie, więc jeżeli jeden dzień czy dwa odpuszczę, to nie będę już myślał, że jestem beznadziejny. Czuję, że kwestię lenistwa mam odhaczoną. Udowodniłem, że nie jestem leniem. I moi rodzice o tym wiedzieli, i moi bracia, i moja Marta, i rodzice mojej Marty.

Sam pan ją ze sobą przepracował?

– Trochę sam, a trochę na terapii. Czasami dostaję od terapeutki zalecenia, bym robił w życiu rzeczy, które mnie zaskakują, i dawał im na to przyzwolenie.

Są efekty?

Tak. Byłem no manem, ale staram się być yes manem. Marta zapisała sobie mój numer telefonu pod nazwą „nowy mąż".

Tu prośba do osób czytających nadal ten tekst. Proszę nie traktować powyższej wypowiedzi jako puenty afirmującej życiowy spontan naszego bohatera. Bo Jakub wprawdzie „zawsze już zgodzi się pójść na ten spacer do lasu, ale musi wiedzieć o nim wcześniej, żeby go sobie zaplanować".

> Byłem no manem, ale staram się być yes manem. Marta zapisała sobie mój numer telefonu pod nazwą „nowy mąż"

Lojalność

I znów sięgam do naszej pierwszej rozmowy.

Dorastał w Kole przed blokiem, z przypakowanymi i wytatuowanymi kolegami, którzy tłukli się na ulicy albo jeździli na kibolskie ustawki. Chodził z nimi na siłkę i marzył, by dźwignąć 200 kilogramów. Różniło go od nich tylko to, że czytał książki, do czego się zresztą wstydził im przyznać, nie miał tatuaży, nie brał sterydów i musiał wracać wieczorem do domu.

Mówił, że cienka granica dzieliła go od zasiedzenia się na tej ławce. Wystarczyłoby, że wbiłby sobie do głowy, że będzie strongmanem na przykład. Studia na Akademii Ekonomicznej w Poznaniu polecił mu wujek.

Stres już na starcie, bo koledzy z roku czytali „Politykę", a on nie wiedział o jej istnieniu. Dręczyło go poczucie gorszości i wstyd. Spiął się i został jednym z najlepszych studentów. Potem kolejny stres i praca doradcy finansowego.

Ucieczką od niego było pisanie historii o chłopakach sprzed bloku, którzy dokonują przedziwnych rzeczy. Czytał wtedy „Inne pieśni" Jacka Dukaja, wpisał w Google'a „Jacek Dukaj e-mail" i napisał do niego: Dzień dobry, panie Jacku, mam na imię Kuba, mam 25 lat i piszę książkę. Zastanawiam się, co się później z nią robi".

Wysłał mu tekst, a on go sobie wydrukował i odesłał skany ze swoimi uwagami. Od tej pory czyta większość książek Małeckiego.

„Dygot" Jakub wysłał do wszystkich dużych wydawnictw. I wszystkie odpisały, że książka im się bardzo podoba, ale jej nie wydadzą, bo nikt jej nie kupi. Po sukcesie „Dygotu" ci sami wydawcy pisali do niego, że chcą wydać następną książkę. Tym razem on odrzucał ich propozycję. Od jedenastu lat wydaje w SQN.

I zdaje się, że ta lojalność odnosi się do życia po prostu. Do miłości, przyjaźni, koleżeństwa etc.

– Jaką ma wartość? – pytam.

– Nie wiem jeszcze, ale czuję, że ma – odpowiada.

Miłość

Zasypuję go serią pytań:

– Czy można sobie postanowić, że się w kimś nie zakocha?

– Czy można sobie obiecać, tak jak powieściowy Janek z Weroniką, że nie zakochają się w swoich partnerach seksualnych?

– Czy to nie jest myślenie życzeniowe? Bo przecież endorfiny i hormony, wydzielając się w trakcie seksualnego spełnienia, sprzyjają bliskości, przywiązaniu i wzmocnieniu poczucia więzi. Tak, wiem, że przywiązanie seksualne bywa mylone z miłością, ale takie pomyłki mogą być kosztowne dla związków, co potwierdza fabuła „Obiektów".

Jakub się ze mną zgadza i nie zgadza, bo ponownie broni się przed jednoznacznością ocen.

– Wie pani, ja mogę mówić tylko sobie. No a przecież każdy człowiek jest inny, a już kombinacja dwóch osób jest na tyle wyjątkowa, że niemożliwością byłoby wrzucanie wszystkich tych niesamowitych, skomplikowanych relacji do jednego worka i stwierdzenie, że jeśli spełnisz takie czy inne warunki, to będziecie razem, a jeśli nie, to się związek rozsypie.

– A miłość to jest kwestia postanowienia?

– Myślę, że kwestią postanowienia jest dbanie o miłość.

– Jak pan dba?

– Kupuję jej kwiaty, słucham jej, zwracam uwagę na to, co mówi, zresztą mnóstwo rzeczy przegadujemy. Nie chcę kiedykolwiek pokłócić się o źle postawiony kubek, bo wiadomo, że to nie o kubek by chodziło, tylko o to, że ktoś komuś kiedyś zrobił przykrość. Więc dużo rozmawiamy. Jeśli wyruszamy w dalszą podróż, łapiemy się na tym, że przez cztery i pół godziny nie włączyliśmy radia, bo cały czas gadaliśmy.

Moim językiem miłości jest dbanie o nią. Kiedy Marta jeździła na trzymiesięczne kursy przygotowawcze do zawodu strażaczki, to w poniedziałki wstawałem z nią o 5 rano, by zrobić jej kawę na drogę, a kiedy wychodziła z domu, ponownie szedłem spać. To są drobne rzeczy, które mogę sobie postanowić.

– Ale zdrada bywa spontaniczna, nieprzemyślana – chcę jednak podrążyć tę kwestię. I dobrze, bo wtedy dowiaduję się, co wspólnego ma Jakub z powieściowym Jankiem.

– Domyślam się, że wielu facetów, widząc jakąś piękną dziewczynę w sklepie, na przykład Reserved, poszłoby z nią chętnie do przebieralni i się z nią w tej przebieralni przespało. A ja to bym chociaż chciał wiedzieć, skąd ona pochodzi, o czym marzy i czy lubi na przykład czekoladę.

Nie bez powodu Janek wypowiada zdanie, że nigdy nie spał z kimś, w kim nie byłby zakochany. I to jest bardzo moje. Znajomi opowiadali nam, że brali udział w wyjazdowych spotkaniach, na których wszyscy chodzą nago i sypiają ze sobą, kto z kim chce. Moje ciało nie zadziałałoby tylko na sam widok drugiego ciała.

Puenta

Janek: Otwarte związki nie działają.

Jakub: A zamknięte działają?

Puenta druga

I znów się zawieszamy na widoku z okna.

– Czasami, kiedy wyczuwam dobry moment, żeby Martę urobić, rzucam pomysł, co by powiedziała, jakbyśmy mieli wolno chodzące kury. Albo świnkę. Raz nawet zaproponowałem krowę, która nie dawałaby żadnego mleka, tylko po prostu sobie żyła. Jak moje pszczoły, którym nie zamierzam wybierać miodu, tylko zostawiać im na zimę, bo w końcu one sobie po to go robią.

– Krowa? Tutaj? – do tej historii zachowuję dystans.

– Taka uratowana z rzeźni na przykład. Byłaby szczęśliwa, żyjąc tu.

Pielęgnuję bezpieczną pozycję dystansu i zauważam, że z krową jest jednak kłopot, bo gdzie by mieszkała, ale Jakub i to odpiera, zapewniając, że „coś by jej zbudował". Albo by przekształcił dla niej garaż, bo przecież nie musi trzymać samochodu w garażu.

Nie pytam, siłą jakich argumentów Marta ucina propozycje Jakuba, ale najwyraźniej wciąż jej się to udaje.

– Zamierzam zawsze mieć jakieś zwierzątko, najlepiej więcej niż jedno – zapowiada, a ja chcę, by doprecyzował dlaczego.

– Dlaczego zamierzam mieć zwierzątko? To tak, jakby mnie pani zapytała, czy wolę jeść czekoladę, czy nie jeść czekolady. No wolę jeść czekoladę, bo jest wspaniała. I wolę mieć pieska, bo jest wspaniały. I kotka. I wszystko. ●

3 RP

eprasa.pl e842ac5a5d

Przenieść stolicę do Szczebrzeszyna!

„Mariusz Błaszczak w Szczebrzeszynie brzęczy niemal jak chrząszcz w trzcinie" czyli jak PiS chce „animować język polski na cały świat".

Michał Rusinek

W październiku 2022 roku powołano agendę państwową działającą w imieniu rządu RP, nadzorowaną przez Ministerstwo Edukacji: Instytut Rozwoju Języka Polskiego im. Świętego Maksymiliana Marii Kolbego. Wybór patrona może dziwić, bo nie są nam znane dokonania o. Kolbego w dziedzinie językoznawstwa, ale nie był przypadkowy. Instytut powstał w czasie, gdy PiS domagał się od niemieckiego rządu, aby, zgodnie z wcześniejszymi umowami, finansował naukę języka polskiego w niemieckich szkołach. Wybrano więc patrona, który był zamordowany przez Niemców w Auschwitz.

●

Zadania Instytutu – jak czytamy dziś na oficjalnej stronie Instytut Rozwoju Języka Polskiego – „mają na celu zapewnienie wszechstronnego wsparcia Polonii oraz Polaków za granicą w podtrzymywaniu ich tożsamości oraz więzi z Ojczyzną, a także wsparcia osób nieposiadających polskiego pochodzenia, a zainteresowanych nauką języka polskiego jako języka obcego". Są one spójne z „działaniami MEN dotyczącymi organizacji kształcenia dzieci obywateli polskich, czasowo przebywających za granicą. Dotyczą one wspomagania Polonii, kształcenia dzieci pracowników migrujących i nauczania uzupełniającego dla dzieci i młodzieży, funkcjonującej w systemach oświaty innych państw". I bardzo słusznie.

Patron Instytutu był natomiast postacią, delikatnie mówiąc, kontrowersyjną. Uprawiał bowiem dość haniebną publicystykę na łamach prowadzonych przez siebie periodyków „Rycerz Niepokalanej" i „Mały Rycerz" (miał ponoć ambicje założenia rozgłośni radiowej i apelował o datki na „Wydawnictwo Milicji Niepokalanej"; można powiedzieć, że doczekał się godnego kontynuatora swojego dzieła).

Swego czasu Adam Leszczyński na portalu oko.press wypisał co obrzydliwsze wątki pojawiające się w tych pismach: „Żydzi z Polski mogą jechać na Madagaskar", „pozwalają sobie na zbyt wiele", są w Polsce tylko „gośćmi". Autorzy pytali: „Jak długo żydowski kram będzie górował nad polskim sklepem?", z entuzjazmem opisywali jak „energicznie do zwalczania wpływów żydowskich" bierze się Rumunia i Łotwa oraz ubolewali, że tak trudne jest „odżydzenie handlu" w Polsce. Po wyborach w 2023 roku Instytut nie został rozwiązany.

●

Niedawno Mariusz Błaszczak, Janusz Kowalski, marszałek województwa lubelskiego Jarosław Stawiarski i burmistrz Szczebrzeszyna Rafał Kowalik ogłosili, że złożyli projekt ustawy, która doprowadziłaby do „przeniesienia siedziby Instytutu Rozwoju Języka Polskiego im. Świętego Maksymiliana Marii Kolbego z Warszawy do Szczebrzeszyna" w ramach – jak donosiła TV Republika – „polityki zrównoważonego rozwoju polskiego państwa i dekoncentracji centralnej".

Żeby zrozumieć ten, skądinąd uroczy, oksymoron, trzeba przeczytać post Janusza Kowalskiego na portalu X, w którym wyjaśnia on, że chodzi o „dekoncentrację centralnej administracji publicznej". A także chwali inne państwa Unii Europejskiej, które skutecznie realizują „politykę wzmacniania mniejszych ośrodków w ramach polityki zrównoważonego rozwoju", ze szczególnym uwzględnieniem Niemców, którzy w realizacji tej polityki są „najbardziej zaawansowani": „W Niemczech siedziby urzędów administracji centralnej mieszczą się poza Berlinem: prezydium policji federalnej w Poczdamie, naczelny sąd administracyjny w Lipsku, federalny sąd pracy w Erfurcie, dyrekcja archiwów państwowych w Koblencji, kontrwywiad w Kolonii, główny urząd statystyczny w Wiesbaden, urząd ochrony konsumentów w Brunszwiku, urząd patentowy w Monachium, a federalny urząd pracy w Norymberdze". Jak widać, antyniemiecka polityka się kończy, gdy potrzebny jest argument do przeniesienia instytutu, który powstał w ramach walki z polityką niemiecką.

Dlaczego Szczebrzeszyn? Bo to nieformalna stolica języka polskiego – za sprawą wiersza Jana Brzechwy o chrząszczu. Do tej idei nawiązuje odbywający się tam co roku festiwal, którego obecni organizatorzy odcięli się wprawdzie od pomysłu posłów PiS-u w osobnym oświadczeniu, ale – jak potwierdził marszałek Stawiarski – zabiegali wcześniej o powołanie centrum języka polskiego w Szczebrzeszynie, ponoć uzupełniającego działania Instytutu. „My będziemy tworzyć centrum kongresowe, centrum, które będzie animowało język polski na cały świat. Pamiętajmy, że ten chrząszcz, przysłowiowy chrząszcz, jest naprawdę najbardziej rozpoznawalnym zwierzątkiem na całym świecie, wśród Polonii całego świata. Dla tych 20 milionów polonusów Szczebrzeszyn jest symbolem polskości" – mówił Stawiarski.

●

Nie wiemy wprawdzie, ani jakie przysłowie marszałek miał na myśli, ani na czym miałoby polegać animowanie języka na cały świat, ani też nie bylibyśmy tacy pewni, czy akurat chrząszcz jest najbardziej rozpoznawalnym polskim „zwierzątkiem"; zakładalibyśmy raczej, że np. orzeł biały lub koń ułański. Na wszelki wypadek przyklaskujemy idei, bo propagowanie świadomości językowej jest nam bliskie. Nie wydaje nam się jednak, by dobrym pomysłem było upolitycznienie tego, co przez wiele lat działo się w Szczebrzeszynie wokół języka i literatury. To grozi już całkowitym pogrzebaniem pierwotnej idei festiwalu.

Konferencja czterech panów w Szczebrzeszynie natchnęła nas także do parafrazy wiersza Brzechwy, która może przyczynić się do upamiętnienia inicjatywy PiS.

Mariusz Błaszczak w Szczebrzeszynie
brzęczy niemal jak chrząszcz w trzcinie.
Zwłaszcza, gdy rzeczony Błaszczak
Brzechwy wiersz sobie zawłaszcza.
Wspólnie z posłem z zamojszczyzny
twierdzą, że to dla polszczyzny
szczytna ta inicjatywa.
Tak to PiS-u posłom bywa.

Cóż, jeśli panowie posłowie chcą wykorzystywać Szczebrzeszyn do celów politycznych, proponowałbym, żeby nauczyli wierszyka Brzechwy ambasadora ich ulubionego sojuszniczego kraju, w razie gdyby musiał on jednak wymówić nazwisko osoby, z którą zrywa kontakty dyplomatyczne: „marszałek Włodzimierz Czarzasty". Bo to jest dopiero wyzwanie! ●

Nawrocki czy Nałroki

Nie widzimy niczego niestosownego w tym, że ktoś uczynił sobie z naszego państwa prywatny folwark.

Marcin Matczak

Czy jeśli komuś niepowiązane ze sobą rzeczy wydają się powiązane, to ten ktoś jest wnikliwy, czy szalony? Nurtuje mnie to pytanie i zadaję je w swoim własnym interesie, bo jak patrzę na ostatni wniosek posłów PiS do Trybunału Konstytucyjnego oraz nową serię odzieży, którą na igrzyskach olimpijskich promuje prezydent Nawrocki („Nowrocky"), to widzę między nimi ścisły związek.

Zacznijmy od wniosku, potem przejdziemy do ubrań. Grupa posłów PiS z Marcinem Warchołem na czele, byłym zastępcą Ziobry, kieruje do Bogdana Święczkowskiego, byłego zastępcy Ziobry, wniosek, który ma zablokować obecnej większości wybranie sędziów do TK. Chodzi między innymi o to, żeby nikt nie mógł uchylić immunitetu Święczkowskiemu, jak się liczba sędziów w TK niebezpiecznie dla niego zwiększy.

Posłowie PiS kwestionują w tym wniosku sposób wybierania sędziów, który sami wprowadzili, i uznają za skrajnie niekonstytucyjne przepisy, na podstawie których wybrali wszystkich sędziów zasiadających obecnie w TK, w tym samego Święczkowskiego. Samobójcze? Nie, bo kolejny były współpracownik Ziobry, Kamil Zaradkiewicz, od razu pisze na platformie X, że TK powinien orzec o niekonstytucyjności tylko na przyszłość – a więc tylko wobec kandydatów Koalicji.

TK tylko dla Asta

Co jest niby niekonstytucyjne? To, że sposób proponowania kandydatów reguluje regulamin Sejmu (od dziesięcioleci tak było), że wybiera się uchwałą (też od dziesięcioleci tak było), a także to, że sędziów wybiera większość, a nie mniejszość. Tak, nie przesłyszeliście się: we wniosku posłowie PiS chcą, żeby uznać za niekonstytucyjne niewybranie do TK kandydata PiS, a więc – jak piszą – kandydata zgłoszonego przez „największy klub parlamentarny".

To nic, że ten klub jest w opozycji, to nic, że konstytucja mówi, że sędziów wybiera Sejm, a nie PiS, nawet jeśli ma największy klub. Po prostu Warchoł i spółka twierdzą, że wybór do TK kogokolwiek innego niż Marek Ast jest przez naszą konstytucję niedopuszczalny.

Nic, tylko czekać na orzeczenie, w którym PiS rękami Święczkowskiego uzna za niekonstytucyjne odrzucenie ustawy zaproponowanej przez tenże PiS w Sejmie, mimo że nie ma w nim większości. No bo są przecież „największym klubem parlamentarnym"! W ten sposób niekonstytucyjna okaże się sama idea większości parlamentarnej i będzie można się rozejść. Oczywiście do czasu, w którym ta większość znowu będzie przysługiwać PiS.

Nawrocki jako „Nowrocky"

Tymczasem popierany przez największy klub parlamentarny prezydent (całe szczęście, bo inny byłby niekonstytucyjny) paraduje w Predazzo w nowej kolekcji odzieży. Na czapce i piersi dumnie nosi biało-czerwony napis „Nowrocky", który, jak się okazuje, jest znakiem towarowym zarejestrowanym przez osobę prywatną, czyli jego siostrę. W ten sposób prezydent Najjaśniejszej Rzeczypospolitej stał się słupem – w tym przypadku ogłoszeniowym – reklamującym prywatny biznes, i to w czasie pełnienia funkcji publicznej. To po pierwsze.

Po drugie, chyba jeszcze gorsze – na tych koszulkach widnieje nazwisko prezydenta przekręcone przez Donalda Trumpa, który tak bardzo ma go w nosie, że nie chce mu się nawet nauczyć jego poprawnej wymowy. I co robi w tej sytuacji Nawrocki, zawsze chętnie odwołujący się do narodowej dumy? Przyjmuje z dumą to przekręcone nazwisko i każe sobie uszyć z nim koszulkę oraz czapkę.

Mówi więc Trumpowi: „Donald, nazywaj mnie, jak chcesz, ja się dostosuję. Kiedyś wprawdzie nazwisko nazywało się w Polsce »godnością«, ale to było dawno i nieprawda. Ty chcesz, żebym był Nałroki, ja będę Nałroki, a jak będziesz chciał inaczej, to uszyje się nową koszulkę".

Prywatyzacja państwa i brak godności – to łączy wniosek posłów PiS do TK i nowe szaty prezydenta. Na długo przed Funduszem Sprawiedliwości PiS doszedł do wniosku, że jak coś jest publiczne, to jest jego. Dlatego zamienił Trybunał Konstytucyjny i wiele innych publicznych instytucji w prywatne złote rybki, która spełniają ich życzenia. Przekształcił podstawową dla demokracji instytucję w swoje magiczne lustereczko, do którego podchodzi i pyta: „Trybunale, powiedz przecie, kto jest najbardziej konstytucyjny na świecie", a lustereczko zawsze odpowiada: „Ty!". Więc PiS bez mrugnięcia okiem przedstawia niegodną prawnika argumentację, która doprowadza do ataku śmiechu studenta pierwszego roku prawa. Zgodnie z nią sędziów do TK będzie mogła wybrać tylko jedna partia, a dodatkowo niekonstytucyjny jest każdy parlament, w którym decyzji nie podejmuje PiS.

Bo panom pozwala na więcej

Podobnie prezydent podchodzi do swojego lustereczka i pyta, czy ma największą klatę na świecie – klatę, która stała się prywatną przestrzenią reklamową transportowaną z miejsca na miejsca za publiczne pieniądze i pozwalającą zarobić komuś prywatnemu. Bo przecież wartość znaku towarowego rośnie z każdą dumną, prezydencką prezentacją. I lustereczko odpowiada prezydentowi: „Ty, Nowrocky, masz najpiękniejszą klatę na świecie. Ale godności nie masz za nic".

I nic to, bo przecież polski biedny naród przywykł do tego, że panom pozwala na więcej. A im bardziej temu narodowi ktoś pokazuje, że nim gardzi, tym bardziej w narodzie rośnie przekonanie, że to musi być ktoś wyjątkowy, skoro tak bez żenady pluje temu narodowi w twarz. Nie widzimy niczego niestosownego w tym, że ktoś uczynił sobie z naszego państwa prywatny folwark. Wszystko można, nic nie jest wstydem, bo przecież Polska jest najważniejsza.

Nie ma sensu w takim kraju być prawnikiem, nie ma sensu być patriotą, nie ma sensu głosować, skoro elektorat patriotyczny nie widzi nic złego w fakcie, że o jego państwie decyduje w TK facet, którego tylko immunitet ochronił przed poważnymi zarzutami karnymi, a jego prezydent zaprasza na Radę Bezpieczeństwa Narodowego ruskie onuce. Najlepiej, jakbyśmy wszyscy włożyli na siebie biało-czerwone koszulki z napisem „frajer" i nosili je dumni, że ktoś nas tak po przyjacielsku nazywa. ● śródtytuły od Redakcji

eprasa.pl e842ac5a5d

KRAJ

KAŻDY W PIS KOGOŚ MU PODŁOŻYŁ

Na pierwszym planie są urzędnicy poważni, młodzi, nieskompromitowani. Ale w drugim szeregu Kancelarii Prezydenta roi się od postaci, które mają sporo za uszami

Dominika Wielowieyska

Karol Nawrocki na życzenie Nowogrodzkiej zatrudnił ludzi odpowiedzialnych za wypompowywanie publicznych pieniędzy na partię lub do prywatnej kieszeni i za kłamliwe kampanie. Niejedna osoba związana z Pałacem Prezydenckim ma problemy z wymiarem sprawiedliwości.

Frakcje PiS zyskały pulę stanowisk, aby aparat partyjny mógł przetrwać chude lata. Wokół Nawrockiego są ludzie i od Jacka Sasina – byłego ministra aktywów państwowych, wieloletniego zaufanego współpracownika Kaczyńskiego – i od Zbigniewa Ziobry czy Mateusza Morawieckiego. Prezydent dostał też w spadku współpracowników Andrzeja Dudy.

Cała konstrukcja personalna jest nieźle pomyślana od strony wizerunkowej. Postacie występujące na pierwszym planie, takie jak szef Kancelarii Prezydenta Zbigniew Bogucki, szef gabinetu prezydenta Paweł Szefernaker czy minister odpowiedzialny za sprawy zagraniczne Marcin Przydacz nie kojarzą się ze złodziejstwem charakterystycznym dla aparatu PiS z lat 2015-23. Ale w dalszych szeregach można znaleźć wiele barwnych postaci, które mają sporo za uszami.

●

Szefową biura wydarzeń w kancelarii prezydenta jest Anna Plakwicz, spin doktorka PiS pracująca przy kampaniach wyborczych partii oraz Dudy. To ona współtworzyła szczujący na imigrantów spot, który krytykowano nawet w samym PiS-ie. I ona odpowiadała za kampanię przeciwko sędziom w 2017 r., w której roiło się od dezinformacji. Tę kampanię przygotowała spółka Solvere, której Plakwicz wraz Piotrem Matczukiem była właścicielką. Jak ujawnił Onet, Solvere za swe usługi dostała co najmniej 1,2 miliona złotych. Do tego dochodziły zlecenia z PiS, warte dziesiątki tysięcy. Co więcej, twórcy spółki Solvere złamali ustawę antykorupcyjną – ustaliła prokuratura. Bo założyli spółkę, będąc urzędnikami kancelarii premierki Beaty Szydło. Ale śledztwo skończyło się niczym – bo oboje nie pracują już w KPRM, więc nie ma sprawy.

Za kampanią oczerniającą sędziów zapłaciła Polska Fundacja Narodowa. Żyjąca z dotacji spółek skarbu państwa instytucja wedle statutu miała budować pozytywny wizerunek Polski w świecie. Jak informacje o sędzi, który ukradł kiełbasę, miały poprawić wizerunek Polski i wzmocnić naszą *soft power*, do dziś pozostaje tajemnicą. Prokuratura Regionalna w Rzeszowie prowadzi śledztwo w sprawie kampanii „Sprawiedliwe sądy". Śledczy szacują szkodę wyrządzoną skarbowi państwa na co najmniej 8,43 miliona złotych.

Gdy Plakwicz przez lata doradzała PiS w kampanii, jej usługi powinny być opłacane z subwencji partyjnej. Rzecz jednak miała się zupełnie inaczej: żyła z pieniędzy spółek skarbu państwa. Według „Newsweeka" zespół badający nieprawidłowości w PZU ustalił, że przez rok zarobiła w spółce 997 tys. zł – około 83 tys.miesięcznie. Audytorzy są zdania, że zakres jej obowiązków był wyjątkowo skromny.

PZU zapłaciło też Plakwicz za dyplom MBA w Collegium Humanum – niesławnej uczelni, która sprzedawała znanym politykom, samorządowcom, sportowcom prestiżowe dyplomy.

Dokumenty sugerują, że na zrobienie kursu MBA pani dyrektor potrzebowała ledwie dwóch miesięcy. Jej dokształcanie na koszt obu spółek uznano za całkowicie bezzasadne. Według audytorów „zachodzi uzasadnione podejrzenie, że Anna Plakwicz wręczyła korzyść majątkową rektorowi dawnej uczelni Collegium Humanum w zamian za uzyskanie dokumentu w postaci świadectwa ukończenia studiów podyplomowych bez ich faktycznego odbycia". „Zasadne jest przekazanie informacji do CBA w związku z kompleksowym śledztwem prowadzonym w sprawie nadużyć popełnianych na uczelni" – zwracają uwagę autorzy. Obecna dyrektorka w kancelarii Nawrockiego szybko skorzystała z dyplomu – w czerwcu 2021 została wybrana do rady nadzorczej spółki Sanok Rubber (wcześniej Sanockie Zakłady Przemysłu Gumowego „Stomil"). Do rady desygnowało Plakwicz... PZU – podaje Jakub Korus, autor „Newsweeka".

Za rządów PiS zmieniono przepisy tak, by osoby nominowane do rad nadzorczych państwowych firm nie musiały zdawać trudnego egzaminu państwowego. Wystarczał tylko dyplom MBA. Ludzie związani z PiS zaczęli załatwiać sobie te studia, głównie w Collegium Humanum. Ich certyfikat – teoretycznie tej samej jakości, co wydawane przez SGH czy Harvard – miały marną wartość, ale pozwalały więcej niż przyzwoicie zarabiać w radach nadzorczych.

Po roku pracy w branży gumowo-kompozytowej Plakwicz zmieniła stanowisko i w grudniu 2021 przeniosła się do PKO BP jako szefowa marketingu. Początkowo dział HR tego banku nie chciał jej zatrudnić, argumentując, że nie zna się na marketingu bankowym. Nie są znane informacje o jej zarobkach. Gdy PiS stracił władzę, Plakwicz poszła do NBP, a z banku centralnego do prezydenckiej kancelarii.

●

Gdy już jesteśmy przy sektorze bankowym, nie można nie wspomnieć o Leszku Skibie, byłym prezesie Pekao S.A., dziś społecznym doradcy prezydenta Nawrockiego.

Z raportu podsumowującego kontrolę działalności firmy za lata 2017-23 wynika, że w tym okresie Pekao SA zatrudniało aż 18 doradców zarządu, których zarobki pochłonęły około 30 mln zł. Po odejściu Skiby przeprowadzono audyt zatwierdzony przez Walne Zgromadzenie Akcjonariuszy. I okazało się, że posady pięciu doradców „nosiły znamiona fikcyjności". Nowy zarząd banku wystąpił do tych osób o zwrot pieniędzy. Ministrem aktywów państwowych za rządów Zjednoczonej Prawicy, który miał pieczę nad Pekao SA, był Jacek Sasin.

Doradcy zarabiali od miliona do 3,3 mln. Są wśród nich: znajoma Jarosława Kaczyńskiego Małgorzata Raczyńska-Weinsberg, od lat 90. związana, z przerwami, z TVP i Polskim Radiem jako korespondentka, producentka i doradczyni; jedna z dzisiejszych gwiazd TV Republika, Jarosław Olechowski, w TVP za rządów Jacka Kurskiego szef informacji i publicystyki; Agnieszka Piesiewicz, żona zaprzyjaźnionego z Sasinem Radosława Piesiewicza, szefa PKOl; Ryszard Madziar, człowiek Sasina, za rządów PiS przewijający się przez różne rady nadzorcze; i Rafał Bukowski, człowiek z kręgu Jacka Sasina i Jakuba Banaszka, jednocześnie PiS-owskiego prezydenta Chełma oraz doradcy społecznego prezydenta.

Ryszard Madziar, od którego Pekao SA domaga się zwrotu pieniędzy, został zatrudniony w Kancelarii Prezydenta na stanowisku wicedyrektora biura prezydenta, ale już odszedł. Według Jacka Gądka z „Newsweeka" nie przepracowywał się, rzadko bywał w biurze.

●

Wśród doradców społecznych wyróżnia się specjalista od marketingu politycznego Piotr Agatowski, który doradzał także prezydentowi Andrzejowi Dudzie.

W czasie pandemii doszło do zdumiewającej koincydencji. PZU zlecało badania socjologiczno-polityczne, które miały ułatwić Dudzie walkę o reelekcję. Na przełomie lutego i marca 2020, gdy politycy PiS zaczęli się obawiać, że koronawirus i związany z nim kryzys może pozbawić ich władzy, PZU zamówiło badanie „Polacy o koronawirusie". Opłaciło je biuro marketingu spółki. Pytano w nim Polaków, czy rząd i odpowiednie służby w Polsce robią dość, by zabezpieczyć kraj przed epidemią. Respondenci odpowiadali, jak zareagowaliby na zamknięcie szkół i przedszkoli, na wysłanie na przymusowy, bezpłatny urlop i tym podobne. Pytani o aktywność rządzących w walce z covidem, Polacy najgorzej oceniali działania prezydenta. Wkrótce potem Duda zwiększył aktywność, zaczął występować z ministrem zdrowia Łukaszem Szumowskim, który wówczas cieszył się dużą popularnością.

Badanie zleciła Anna Janiczek, dyrektor zarządzająca obszarem marketingu i relacji z klientami PZU, równocześnie pełniąca obowiązki prezesa PZU Zdrowie. Prywatnie – przyjaciółka Aleksandry Agatowskiej, szefowej PZU Życie. Czyli żony Piotra Agatowskiego, który pilotował prezydencką kampanię Dudy. W rozmowie z „Wyborczą" Agatowski przekonywał, że to tylko koincydencja, nie znał wyników badań PZU, nie korzystał z nich, przygotowując strategię dla obozu PiS.

System stworzony przez PiS polegał na tym, że wydatki, które powinny być finansowane z kasy partii, ze składek członkowskich i subwencji budżetowej, pokrywały firmy i instytucje państwowe. Dzięki temu partia Jarosława Kaczyńskiego mogła subwencję wykorzystać na inne cele, a pula środków, którą dysponowało główne ugrupowanie obozu władzy, przekraczało wszelkie znane do

eprasa.pl e842ac5a5d

• **Uroczystość powołania doradców Prezydenta RP. Karol Nawrocki jedną z nominacji wręczył Beacie Kempie. (Warszawa, 8.08.2025)**
FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

tej pory limity, na dobrą sprawę stapiając się z budżetem państwa. Żadne inne ugrupowanie nie dysponowało takimi, praktycznie nieograniczonymi, pieniędzmi i zasobami, co potężnie zaburzało równość szans w wyborach. Jak widać, odpowiadają za to również ludzie z otoczenia Nawrockiego.

•

A problemy z wymiarem sprawiedliwości kilku postaci z kręgu prezydenta nie ograniczają się do kwestii nadużywania środków budżetowych czy synekur. Na pierwszym miejscu można wymienić szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego Sławomira Cenckiewicza. Akt oskarżenia w sprawie „lustratora Tuska" i dawnego mentora Karola Nawrockiego jako młodego historyka rozpoczynającego karierę w IPN jest w sądzie od sierpnia 2025. Chodzi o ujawnienie tajnych planów obronnych Polski „Warta" w spocie wyborczym PiS. Szefowi BBN grozi do 10 lat więzienia. Cenckiewicz twierdzi, że jest niewinny i „szczególnie dumny" z tych zarzutów. Jednak nawet w samym PiS niektórzy politycy mówią nieoficjalnie, że ujawnianie planów obronnych – choćby nieaktualnych – w interesie partyjnym na użytek kampanii wyborczej to grzech niewybaczalny. W tej sprawie zarzuty ma też były szef MON Mariusz Błaszczak, długo typowany na delfina Kaczyńskiego; gdy Sejm głosował wniosek o uchylenie mu immunitetu, „za" podniosła rękę nawet część Konfederacji.

Frakcja Morawieckiego umieściła u Nawrockiego Adama Andruszkiewicza. O dzisiejszym zastępcy szefa Kancelarii Prezydenta zrobiło się głośno za sprawą tak zwanych kilometrówek. Jako poseł pobierał z sejmowej kasy pieniądze na paliwo. Choć nie ma samochodu, w ciągu dwóch lat otrzymał z publicznych pieniędzy prawie 70 tysięcy złotych.

Ta sprawa ucichła, lecz od 12 lat trwa śledztwo, w którym prokurator bada, czy Andruszkiewicz zlecał fałszowanie podpisów na liście Ruchu Narodowego w wyborach do sejmiku podlaskiego w 2014 roku. 24-letni Andruszkiewicz był wtedy szefem Wszechpolaków. Już w lutym 2019 roku, w toku postępowania prokuratorskiego ustalono, że część podpisów na pewno była sfałszowana – co nie przeszkodziło premierowi Morawieckiemu mianować go wiceministrem cyfryzacji.

Gdy na początku lutego pojawiła się informacja, że wiceszef Kancelarii Prezydenta usłyszy zarzuty - co ziściło się w środę - oburzenie wyraził prezydent. „12 lat śledztwa bez dowodów, jednoznaczne opinie grafologów wskazujące na brak związku ze sprawą Adama Andruszkiewicza – i nagle olśnienie. Prokuratura działa w tej sprawie wolno i selektywnie, ale dziwnym trafem zawsze zgodnie z oczekiwaniami »kierownika« [tak w KO nazywa się Donalda Tuska]. Atakuje człowieka, który od lat konsekwentnie działa na rzecz Polski bez względu na polityczne koniunktury". Jest jednak jeden problem: przez osiem ze wspomnianych dwunastu lat rządził PiS, a prokuratura była pod nadzorem Ziobry. Skoro uniewinniające opinie grafologów były jednoznaczne, to czemu przez osiem lat prokurator przedłużał śledztwo, zamiast je umorzyć?

•

Wśród etatowych doradców prezydenta jest też Beata Kempa, niegdyś gwiazda PiS, jedna z głównych postaci bogoojczyźnianego skrzydła partii, która nie załapała się na mandat europosłanki mimo dobrego drugiego miejsca na liście na Dolnym Śląsku. Prześcignął ją najbliższy współpracownik Morawieckiego i bohater afery mailowej Michał Dworczyk.

Jako doradczyni odpowiada za sprawy społeczne i humanitarne. Głównie jest znana jednak z gorącej obrony Zbigniewa Ziobry po jego ucieczce na Węgry.

Kempa ma własny epizod rządowy – jako szefowa kancelarii premiera u Beaty Szydło zasłynęła tym, że nie opublikowała wyroku Trybunału Konstytucyjnego w 2015 roku, choć nakazywały to przepisy. Był to świadomy zabieg, część planu przejęcia Trybunału przez PiS. Ma też niejakie doświadczenie w działalności humanitarnej – swego czasu było głośno o zbiórce wyposażonych tornistrów dla dzieci w Syrii, którą zorganizowano w Sycowie, rodzinnym mieście doradczyni. Kompletowali je uczniowie sycowskich szkół. Według lokalnych mediów tornistry nie trafiły od razu do Syrii, lecz zalegały przez kilka miesięcy w magazynie, a część z nich zaginęła. Prokuratura otrzymała doniesienie o przywłaszczeniu co najmniej 85 plecaków szkolnych z wyposażeniem o łącznej wartości 17 tysięcy złotych. Śledztwo zostało umorzone w 2021 roku – i tyle pozostało w pamięci społecznej, jeśli chodzi o dokonania humanitarne Beaty Kempy.

•

Innym doradcą etatowym jest Krzysztof Wacławek, były szef Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Prezydent ma wobec niego dług wdzięczności. W 2021 roku Kolegium IPN wskazało (a PiS zaakceptował) Nawrockiego jako kandydata na szefa Instytutu Pamięci Narodowej. Wtedy ABW sprawdzała go po raz trzeci, by wydać poświadczenie dostępu do informacji niejawnych. Zajmowali się tym szeregowi funkcjonariusze, którzy natrafili na transakcję dotyczącą kawalerki Jerzego Ż. – komunalnego mieszkania, które młody historyk IPN przejął od znajomego za 10 procent wartości rynkowej. Zaczęto sprawdzać sprawę i to wtedy Nawrocki złożył oświadczenie, które odbijało mu się czkawką podczas prezydenckiej kampanii wyborczej: „Ja niżej podpisany Karol Nawrocki oświadczam, iż zobowiązałem się do dożywotniego utrzymania Jerzego Ż. poprzez dostarczenie mu wyżywienia, ubrania, mieszkania położonego w Gdańsku, światła i opału, zapewnienia odpowiedniej pomocy i pielęgnowania w chorobie oraz sprawienia własnym kosztem pogrzebu odpowiadającego zwyczajom miejscowym". Nawrocki tych zobowiązań nie dotrzymywał, Jerzy Ż. znalazł się w DPS-ie na koszt miasta Gdańska. Późniejsze oświadczenie służb w sprawie kawalerki brzmiało tak: „Dysponujący całością wiedzy, w tym między innymi na temat negatywnej rekomendacji funkcjonariusza analizującego akta postępowania, ówczesny Szef Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego Krzysztof Wacławek (obecny doradca Prezydenta RP) podjął decyzję o wydaniu Karolowi Nawrockiemu poświadczenia bezpieczeństwa" – informował rzecznik ministra koordynatora służb specjalnych Jacek Dobrzyński w 2025 roku.

•

Wisienką na torcie jest socjolog Marcin Zarzecki, którego Karol Nawrocki powołał do Rady Polityki Pieniężnej. To współpracownik Nawrockiego z czasów w IPN, były wiceszef Biura Przystanków Historia. W latach 2019-24 był prezesem finansowanej z pieniędzy spółek skarbu państwa Polskiej Fundacji Narodowej – tej samej, która wcześniej opłacała „kampanie społeczne" uderzające w opozycję oraz grupy zawodowe stawiające opór „reformom".

Gdy było już jasne, że PiS musi oddać władzę, nagle zmieniły się umowy zarządu Fundacji. „Rzeczpospolita" podała, że prezes i dwaj wiceprezesi, Michał Góras i Cezary Jurkiewicz, dzięki aneksom dostali gigantyczne odprawy. Wydłużono im zakaz konkurencji do 12 miesięcy z pełną miesięczną pensją, co daje w przybliżeniu około 400 tys. zł. Marcin Zarzecki w rozmowie z „Rz" stwierdził: „Wszystko odbywało się lege artis, nasza działalność była oparta na podstawie obowiązującego prawa i analizach ekspertów". Eksperci na pewno uznali, że w przypadku PFN zakaz konkurencji wart ponad 400 tys. jest niezbędny, bo przecież prezesi mogliby się podzielić z kimś tajną, cenną dla licznej konkurencji zajmujące się promocją Polski, wiedzą o zarządzaniu fundacją.

Na przykład innowacyjną koncepcją marketingową stojącą za wytransferowaniem ponad 12 milionów. na Litwę do Wileńskiego Centrum Kultury i Duchowości, instytutu znajomego Jurkiewicza, franciszkanina Marka Dettlaffa. Zakonnik był gotów zgodzić się na zwrot części pieniędzy, ale gdy tylko wybory wygrał Karol Nawrocki, zerwał rozmowy. Rzeszowska prokuratura badająca działania na szkodę PFN zajmuje się i tą sprawą, a także 10 milionów przekazanych Fundacji Kresy w Potrzebie, zaprzyjaźnionej z zarządem PFN w 2024 r., w końcówce pracy nominatów PiS.

•

Co o tych personalnych wyborach „dużego pałacu" można usłyszeć po prawej stronie sceny?

„Nawrocki jest zbyt uzależniony od PiS, by fikać. Rzecz w tym, że psują mu szyki Jankesi, którzy nie chcą koalicji trzech formacji, w tym Brauna, pod egidą prezydenta. Dlatego Karol nie za bardzo może się budować jako lider całej prawicy, musi się opierać na kadrach PiS".

Oraz: „To, że w Kancelarii nie ma ludzi Konfederacji, to nasza w pełni świadoma decyzja. Nie chcemy brać odpowiedzialności za to, kto jeszcze tam się znalazł, za podział stanowisk między frakcjami PiS".

W sejmowych kuluarach słychać, że Nawrocki próbuje nieco się uniezależnić, ściągając na swoje zaplecze ludzi z IPN. „Ale i tak PiS ma u prezydenta pełną kontrolę. A ludzie z IPN stanowią zdecydowaną mniejszość".

Lansowana przez ludzi PiS i ekipę prezydenta opowieść o świeżości Nawrockiego i odcięciu się od patologii Zjednoczonej Prawicy jest niewiele warta. W Pałacu Prezydenckim nie ma sprzeciwu, gdy z gabinetu prezesa Kaczyńskiego lub tej czy innej frakcji na Nowogrodzkiej płyną prośby o zatrudnienie skompromitowanych postaci. ●

eprasa.pl e842ac5a5d

FOT. GRZEGORZ SKOWRONEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

LEWICA NA ZAKRĘCIE

Zmiany w elektoracie partii lewicowych na świecie wskazują, że raczej nie są to ludzie, których dotykają problemy materialne

Z **DR DAWIDEM KUJAWĄ***, AUTOREM KSIĄŻKI „W MYŚL PRAW GEOMETRII. JAK LEWICA PRZESTAŁA SIĘ MARTWIĆ I POKOCHAŁA LOGIKĘ TOWAROWĄ" ROZMAWIA **DOMINIKA TWOREK**

Uważasz się za lewaka?
– Niespecjalnie. Nie czuję potrzeby tego typu identyfikacji. Ale jeśli pytasz o moje poglądy, powiedziałbym, że są one socjalistyczne.

Pytam, bo wśród ogromnej części Polaków słowo „lewak" funkcjonuje po prostu jako obelga. Kojarzy się z jakimś odklejeństwem.

– Nie dziwi mnie to. Sam mam problemy z dzisiejszą lewicą, które wynikają właśnie z tego, że myślę o świecie marksistowskimi kategoriami.

Co dla ciebie znaczy więc lewicowość?
– To wcale nie musi oznaczać, że wszystkimi możliwymi środkami próbujemy znieść kapitalizm. Ani przekonania, że wszyscy kapitaliści są z gruntu absolutnie źli. Wychodzę z założenia, że fundamentem tego, jak kreujemy rzeczywistość, jest praca. To pracownicy – a nie kapitał – wytwarzają wartość. Dlatego myślę, że tylko oni są w stanie poprawiać ogólną sytuację materialną całych społeczeństw. Także dlatego, że nie stosują szantażu moralnego. Masowy ruch, który odmawia produkcji, wywołuje realną presję na zmianę.

Napisałeś książkę o ostrym podtytule: „Jak lewica przestała się martwić i pokochała logikę towarową". Głównym zarzutem wobec współczesnej lewicy jest dominacja polityk tożsamościowych nad problemami większości ludzi.
– Na studiach poznałem pojęcie intersekcjonalności, które oznacza po prostu krzyżowanie się różnych wykluczeń. Gdy zacząłem podchodzić do problemu bardziej krytycznie, zrozumiałem, że wykluczenia to nie są kolejne żetony, które się zbiera, i kto ma więcej, ten wygrywa. Niestety dzisiejsza rzeczywistość przypomina taką właśnie grę.

Dlaczego lewica zakopała się w politycznej poprawności i zapomniała o problemach, którymi powinna się zająć? Słabe płace, umowy śmieciowe, drogie mieszkania, ubóstwo energetyczne, problemy samotnych matek... Przykłady istotnych problemów społecznych moglibyśmy mnożyć.
– Kiedy zadasz to pytanie komuś, kto identyfikuje się z lewicą i nie dostrzega jej kryzysu, zapewne odpowie, że materialne problemy też leżą mu na sercu i że zajmowanie się sporami kulturowymi wcale nie wyklucza walki o bezpieczeństwo socjalne.

I będzie miał rację – teoretycznie może się to przecież nie wykluczać.
– Sęk w tym, że ta retoryka socjalna bywa po prostu pusta. Zmiany w zakresie elektoratu partii lewicowych na świecie wyraźnie wskazują, że raczej nie są to ludzie, których szczególnie dotykają problemy materialne. A jeśli już, dotyczy to prekariuszy ze świata kultury, doktorantów, młodych naukowców. Ci ludzie towarzysko żyją w świecie, do którego pod względem statusu materialnego dopiero aspirują. Jak każdy człowiek, priorytetowo traktują więc swoje sprawy – często związane z wolnościami osobistymi – i nie uważam, że jest to coś, co powinniśmy mieć im za złe.

Na poziomie czysto retorycznym popierają politykę związkową, rolników, progresję podatkową, świadczenia socjalne. Ludzie pracy są jednak poza ich orbitą, oni ich po prostu nie widują. A kiedy chodzi już o konkretną sprawę, zawsze pojawia się jakieś „ale".

Na przykład?
– 500+ było złe, bo to był program PiS-u. Wolne niedziele złe, bo ludzie będą chodzić do kościoła. Protesty rolników przeciwko importowi zboża z Ukrainy złe, bo stoi za nimi odruch ksenofobiczny. Reforma Państwowej Inspekcji Pracy co prawda jest potrzebna, ale bez przesady – przecież ja jestem informatykiem na B2B i nikomu krzywdy nie robię. Nie wziąłem tego z powietrza, naprawdę słyszałem tego rodzaju argumentację.

W książce bronisz wyrzuconej z Partii Razem posłanki Pauliny Matysiak, która publicznie powiedziała, że dla większości ludzi w Polsce ceny prądu są ważniejsze niż zaimki.
– Oczywiście wylało się na nią za to straszne błoto. Tymczasem ona wcale nie chciała powiedzieć, że osoby zmagające się z transfobią nie są ważne. Chodziło o to, że ci ludzie również płacą za prąd.

O czym świadczy kręcenie takich inb?
– O nieumiejętności myślenia w uniwersalnych kategoriach. Owszem, istnieją pewne problemy kulturowe, które wymagają odpowiedzi. Ale stawianie ich na pierwszym miejscu zaciera klasowy charakter społeczeństwa, a często nawet klasowy wymiar tych właśnie problemów.

Tymczasem trwa negocjowanie kompromisu między pracą a kapitałem. Ta granica obecnie przesuwa się na niekorzyść pracownika. A bardzo wiele zależy od jego siły przetargowej: jeśli mamy silne związki zawodowe, wszyscy możemy na tym skorzystać – na przykład poprzez poprawę jakości usług publicznych. A gdy sytuacja na rynku pracy jest taka jak dziś, wszystkim żyje się trudniej. To są problemy, którymi powinniśmy zajmować się w pierwszej kolejności – co wcale nie oznacza lekceważenia pozostałych.

Lewicowi intelektualiści często traktują słowa dokładnie tak, jakby to były sztylety?
– Tak. Jak za dużo pracujesz w dyskursie, cytowanie Biblii wydaje się równie brutalne, jak pobicie.

Co masz na myśli?
– W książce porównuję ze sobą dwie historie. Pierwsza to opowieść o ruchu Lesbians and Gays Support Miners w Wielkiej Brytanii – mocno spopularyzowana przez film „Pride". Zresztą polska lewica też go bardzo lubi.

LGSM to grupa gejów i lesbijek, która – widząc, co rząd Margaret Thatcher robi górnikom – postanawia zorganizować zbiórkę na fundusz strajkowy. Oczywiście ich propozycja spotyka się z mocnym oporem – ruch związkowy wcale nie chce pomocy od takich „dziwadeł". Pojawia się wyśmiewanie, a nawet groźby śmierci. Ale oni się upierają: „Chcemy wam pomóc, bo mamy wspólny interes". Ostatecznie z tych zbiórek udało się kupić vana, którym reprezentanci ruchu związkowego jeździli, prowadząc swoją kampanię.

A następnego roku Paradę Równości prowadzili właśnie ci górnicy, odwdzięczając się za wsparcie.
– To historia o tym, że uniwersalizm nie ignoruje problemów kulturowych, a wręcz jest jedynym sposobem na ich rozwiązanie. Zestawiam ją z przykładem z polskiego podwórka, kiedy pracownik Ikei na wewnętrznym forum firmy zamieścił cytat z Biblii o homofobicznym wydźwięku, który wiele osób odebrało jako nawoływanie do przemocy. To stało się w trakcie Pride Week. Mężczyzna został zwolniony. Nie komentuję decyzji jego pracodawcy. Interesuje mnie natomiast to, jak wyglądał później lewicowy dyskurs.

Lewica bardzo się z tego powodu ucieszyła.
– To było wręcz pianie z zachwytu! Nie trafiłem na ani jeden głos, który jakkolwiek podałby w wątpliwość to, co się wydarzyło. A przecież możemy zapytać: Dlaczego się cieszycie, że człowiek stracił pracę? Z perspektywy fundamentalnej wartości dla lewicy, jaką jest solidarność, radość z tego, że duża korporacja zwalnia swojego pracownika za światopogląd, nie jest do końca okej.

Zestawiasz te dwie historie, bo?
– Bo chcę pokazać, czym może być solidarność. Współczesne ruchy tożsamościowe myślą o sobie w kategoriach lewicy, ale nic nie wnoszą od siebie, tylko oczekują wsparcia. Nagonki na polskie pielęgniarki, górników czy rolników w Polsce nie spotykają się z ich oporem. Mało tego – pojawia się wielka pretensja, że polscy robotnicy są zacofani i w ogóle nie da się z nimi rozmawiać.

Cóż, jeśli progresywna agenda ma właśnie taką twarz, że cieszymy się ze zwolnienia człowieka, trudno się dziwić, że tak trudno przekonać do siebie ludzi.

Niechęć do lewicy opiera się też głównie na tym, że ludzie nie lubią, gdy ktoś im mówi, jak mają żyć?
– Uważam, że zdecydowana większość ludzi doskonale zna swój własny interes. Problem leży po drugiej stronie: to intelektualiści nie potrafią zrozumieć indywidualnych decyzji robotników. Mówiąc „robotnicy", mam na myśli wszystkich, których praca nie polega na „grzebaniu w dyskursie": budowlańców, kasjerek, kurierów, pracowników usług. Natomiast tym wykształconym ludziom bardzo trudno jest pojąć prosty fakt: zdobycie się na solidarność, na przykład strajk w pracy, wiąże się z ogromnym ryzykiem utraty środków do utrzymania rodziny.

Amerykański socjolog Vivek Chibber opowiadał, że rozmawiał kiedyś z kierowcą Ubera, który był zachwycony, że ten nie poucza go, by przesiadł się na zwykłą taksówkę.
– Zgadza się. Bo zawsze, gdy wiezie marksistów, tłumaczą mu, że musi zrozumieć, iż wcale nie

2 RP

eprasa.pl e842ac5a5d

jest przedsiębiorcą samego siebie. Tymczasem przecież to on wybiera, co jest dla niego wygodne. Jeśli chce, by zarządzał nim algorytm, a nie pogardliwy szef, ma do tego prawo. To nie jest tak, że ktoś nie rozumie własnego położenia – po prostu waży potencjalne korzyści i ryzyka.

Ludzie nie znoszą również aktywistów właśnie przez ten ton moralnej wyższości. A przecież aktywizm nie ma prawa funkcjonować bez społecznego poparcia.
– Bardzo ciekawy jest tutaj problem „rzecznictwa". Podam przykład z lokalnej polityki.

Partia Razem, która deklaruje walkę z wykluczeniem transportowym, jednocześnie pozbywa się posłanki, która jako jedyna rzeczywiście z tym wykluczeniem walczyła. Oni mówią w interesie ludzi wykluczonych, ale ich wyborcy to nie są osoby faktycznie wykluczone transportowo – tylko ci, którym na sercu leży los tych osób. Ta partia nie chce elektoratu, który naprawdę ma ten problem, tylko tego, który się nim interesuje. Analogicznie jest z aktywizmem. Bardzo często osoby, które dany problem faktycznie mają, są od niego odcinane, właściwie stoją obok.

À propos lewicowego przewrażliwienia na punkcie języka. Rozmawiałam z wieloma osobami poruszającymi się na wózkach inwalidzkich, które krytycznie odnosiły się do tego, że dziś trzeba mówić „osoba z niepełnosprawnością". Twierdziły: „Wiem, że jestem niepełnosprawny/a, i akceptuję to. Dlaczego ktoś ma mi narzucać, jak mam się określać?".
– Sam mam dwie niepełnosprawne siostry i one też nie rozumieją, o co chodzi – przez 40 lat były niepełnosprawne, a teraz mają być „osobami z niepełnosprawnością". To wydaje się bezsensowne, bo ich realne problemy leżą zupełnie gdzie indziej.

Podobnie moi znajomi LGBT raczej nie biorą udziału w Paradach Równości. Nie czują, że ich organizatorzy rzeczywiście reprezentowali ich interesy. Piszesz w książce, że kiedyś sam uczestniczyłeś w takich demonstracjach, dziś już nie.
– Kiedy byłem młody, chyba bardziej wierzyłem, że takie formy działania mogą zmieniać rzeczywistość. Dziś postrzegam je po prostu jako sposób ekspresji światopoglądu, który ma bardzo ograniczone przełożenie – zwłaszcza w dzisiejszych warunkach – na realne zmiany polityczne.

Uważasz, że obecnie trudno też o postawy buntownicze wśród samych pracowników. Nasze mózgi są już skalibrowane pod tiktokową kulturę szybkich gratyfikacji, co pozbawia nas zdolności do podejmowania konsekwentnych działań we własnej sprawie.
– To prawda, ruch pracowniczy organizuje się dziś w zupełnie nieznanych wcześniej warunkach. Uzależnienie od prostych przyjemności, które przychodzą natychmiast, stało się dominującym sposobem naszego życia. Dlatego nie powinno dziwić, że ludzi nie martwią kwestie takie jak emerytura czy służba zdrowia.

Wolę zapłacić niższą składkę zdrowotną, bo więcej zostanie mi w kieszeni i przynajmniej wiem, na co pójdą te środki. Nie myślę o odroczeniu bezpieczeństwa na lata – liczy się tylko to, że dziś mam więcej w portfelu. Utrata zdolności do zabezpieczania przyszłości może być poważnym skutkiem dopaminowych pętli, w których stale funkcjonujemy. Sam w pewnym momencie przestraszyłem się tych wniosków.

Wiara, nadzieja, miłość, wolność, równość, braterstwo, współczucie, szczodrość, mądrość – to tytuły rozdziałów twojej książki. Chcesz przez nie powiedzieć, że dziś obserwujemy powolne zanikanie kultury opartej na wartościach? Przynajmniej po tej lewicowej stronie. Konserwatyści przecież chętnie odnoszą się do wyznawanych przez siebie wartości.
– Zdecydowanie. Lewica deklaratywnie również się do pewnych wartości odwołuje, ale w praktyce tego nie widać – na przykład w kontekście solidarności czy braterstwa. Formułuje się zarzuty wobec prawicy, że ta myśli o wspólnocie zbyt wąsko, jako o wspólnocie narodowej: co prawda jest solidarystyczna, ale tylko wobec swoich. Tymczasem co robi lewica? Wystarczy, że ktoś się ze mną nie zgadza, i już nie ma dla niego miejsca w mojej wspólnocie.

Solidarność nie polega na tym, że wszyscy musimy się kochać. Ba, nie musimy się nawet lubić. Ale jeśli mamy wspólne interesy, gramy do jednej bramki.

Skąd twoim zdaniem bierze się potrzeba wykluczania osób, które w jednej konkretnej sprawie myślą inaczej niż my?
– Źródłem problemu jest mylenie rzeczywistości materialnej z jej językowym przedstawieniem – życia społecznego z dyskursem na jego temat. Dotyczy to głównie właśnie intelektualistów. Joshua Citarella – nowojorski artysta i badacz internetowych subkultur – używa skrótu, który bardzo lubię: MANGO's, czyli media, akademia, NGO'sy.

Cóż, często całe ich życie kręci się właśnie wokół tego „dyskursu".
– Bardzo ciekawie opowiada o tym wspominany już Vivek Chibber. Że to właśnie ludzie zatrudnieni w wydziałach zajmujących się genderem czy – szczególnie w USA – urasowieniem mają dziś największy interes w podtrzymywaniu wojen kulturowych. Nie odpuścisz problemów kulturowych, jeśli dają ci środki do życia, wykształciłaś się w tym polu i siedzisz w nim od wielu, wielu lat.

Nie możesz teraz przyznać racji komuś, kto mówi, że poprawa sytuacji ekonomicznej na rynku pracy przyniesie korzyść nam wszystkim. Nie, nie – przecież są grupy bardziej wykluczone i to nimi trzeba się w pierwszej kolejności zająć.

Krytykujesz również kulturę terapeutyczną, bo dzięki niej „kapitalizm pochwycił ludzką duszę" – strefę wcześniej dla niego nieuchwytną. Jak do tego doszło?
– Kapitalizm miał w swojej historii kilka faz. Pierwsza faza opierała się na odczarowywaniu rzeczywistości – skupieniu się wyłącznie na sferze materialnej. Bo kapitał interesuje się tylko tym, co policzalne i co można sprzedać, również jako siłę roboczą. Pracownik idzie do fabryki i tam sprzedaje swoją zdolność do pracy. Natomiast to, czy w wolnym czasie będzie odmawiał różaniec, z perspektywy kapitału w ogóle nie jest istotne.

Jednocześnie kapitał opiera się na ciągłym wzroście, więc nieustannie szuka nowych przestrzeni, które może sobie podporządkować. W okolicach lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku w kulturze powstaje duży ruch oporu zwany dziś kontrkulturą. Towarzyszył on nowej lewicy – ruchowi, który nie działa już na starych zasadach współpracy ze związkami zawodowymi, tylko zaczyna walczyć o sprawy kulturowe.

Ta kontrkultura kojarzy się dziś z seksem, braniem LSD i świetną muzyką.
– Jeżeli popatrzymy na nią z innej perspektywy niż ta popowa, to jej roszczenie wobec kapitału brzmiało wtedy: nie chcemy być wyalienowani. Nie chcemy, żeby nasza praca fabryczna była mechaniczna i powtarzalna, chcemy się realizować. Towarzyszą temu idee emancypacyjne.

Mniej więcej w latach siedemdziesiątych–osiemdziesiątych zmienia się model gospodarczy: mamy kryzys naftowy, silne związki zawodowe i duże zmiany społeczne. Elity polityczne szukają więc idei, które legitymizowałyby nowy porządek ekonomiczny: neoliberalizm. Opiera się on na finansjalizacji: państwa zachodnie mają funkcjonować jako ogromne rynki finansowe, a cały przemysł przenoszony jest do krajów, w których praca jest po prostu tańsza.

Wspominaliśmy wcześniej Margaret Thatcher w Wielkiej Brytanii. W tym samym czasie prezydentem USA jest Ronald Reagan.
– Ci konserwatywni politycy nie mogą znaleźć solidnej podbudowy ideologicznej dla decyzji, które dotyczą materialnego życia ludzi, wręcz niszczą rodziny. Thatcher zamyka kopalnie i odbiera dzieciom w szkołach szklankę mleka przysługującą im od 1946 roku. Polityka cięć i bardzo surowego podejścia do klasy robotniczej mocno zgrzyta z tym konserwatywnym, prorodzinnym światopoglądem.

Lewicowe, hipisowskie idee po prostu lepiej pasują do nowej rzeczywistości?
– Właśnie tak. Idee końca alienacji – gdzie liczy się przede wszystkim indywidualna realizacja i prawo do autoekspresji – są znacznie bardziej kompatybilne z nowym reżimem ekonomicznym niż idee konserwatywne.

Z jednej strony mamy sytuację, w której baza materialna nie pozwala już rodzinie utrzymać się z jednego dochodu, oboje rodziców musi pracować. I można to przedstawić jako przymus ekonomiczny, ale to się ludziom nie spodoba. Dlatego lepiej powiedzieć, że kobiety są teraz wyemancypowane i mogą realizować się w pracy. W ten sposób przedstawia się pewną ideę, która w gruncie rzeczy wiąże się z utratą materialnego statusu, jako coś pozytywnego.

Istnieją pewne problemy kulturowe, które wymagają odpowiedzi. Ale stawianie ich na pierwszym miejscu zaciera klasowy charakter społeczeństwa

Na fali tych zmian wyłania się też kultura terapeutyczna?
– Tak, ona również nastawiona jest na jednostkę, a im większa autoekspresja, tym lepiej. Dziś żyjemy w społeczeństwie, w którym każdy ma się samorealizować, walczyć o swoje, samodzielnie rozwiązywać własne problemy. Oczywiście mamy nie widzieć tego, że one wynikają również z tej nowej ideologii.

Niektórzy badacze twierdzą, że kultura terapeutyczna na wielu poziomach zastępuje dziś religię.
– Zgadzam się z tym, ale zwróciłbym uwagę, że tylko w ramach tej kultury mamy do czynienia z wymianą rynkową. Katolik idzie do spowiednika, wyznaje winy i otrzymuje odpuszczenie grzechów. Oczywiście instytucja Kościoła bywa skorumpowana, ale strukturalnie: w konfesjonale nie ma kasy fiskalnej. Buddysta ma indywidualną sesję ze swoim mistrzem, od którego nieodpłatnie dostaje pewne wskazówki, na przykład koan do rozwiązania. U podstaw funkcjonowania tych trzech modeli – chrześcijańskiego, buddyjskiego i terapeutycznego – tylko ten ostatni jest oficjalnie nastawiony na transakcyjność, tylko tam wystawia się paragon.

Kultura terapeutyczna otwiera furtkę do policzalności tego, co nosimy w naszym wnętrzu, a w ten sposób doskonale buduje indywidualistyczny – czy wręcz narcystyczny – model rzeczywistości.

Jaki jest środowiskowy odbiór twojej książki?
– Jestem przekonany, że większość tej grupy jest nie do odzyskania – w tym sensie, że ci ludzie nie dostrzegą opisywanych przeze mnie mechanizmów we własnych działaniach. Zresztą widać to po reakcjach na książkę. W pewnym sensie mnie one cieszą, bo potwierdzają większość moich tez. Część tych komentarzy to po prostu dobre ilustracje zjawisk, które krytykuję. Jeśli mam im coś do powiedzenia, to: „Zróbcie krok do tyłu i nie przeszkadzajcie, jeśli nie jesteście w stanie pomóc".

Skoro środowisko jest tak oporne na krytykę, to po co do nich pisać?
– Zwróciłbym uwagę na to, że w ogóle pojawiła się taka furtka. Jeszcze kilka lat temu nie dało się o tym głośno mówić. Oczywiście można było tłumaczyć brytyjskiego intelektualistę Marka Fishera, zachwycać się „zamkiem wampirów" – bo tak nazywał on współczesną lewicę pogrążoną w pułapkach polityk tożsamości i toksycznych wewnętrznych sporów – i komentować: „Oj, na Zachodzie ta lewica jakaś taka mało otwarta". Ale gdyby ktoś powiedział to samo, podając przykłady z polskiego podwórka, nikt by tego nie wydał.

Czyli jednak obserwujemy pozytywną zmianę?
– Na pewno część środowiska, które kiedyś prezentowało mocno wzmożone podejście do kwestii tożsamościowych, dziś złagodniała. Dla tej grupy moja książka będzie miała wartość porządkującą. Na innych może zadziałać jak szczepionka przeciwko sporom kulturowym. Wielu moich znajomych twierdziło, że nie ma co się spodziewać dużego hejtu, bo wiemy już o lewicy to wszystko, co opisałem. Dziś są zaskoczeni, bo jednak się pomylili – spora część tego środowiska wciąż funkcjonuje tak jak kiedyś.

Co powiedziałbyś tak zwanemu zwykłemu człowiekowi, który przez działania współczesnych intelektualistów ma awersję na wszystko, co kojarzy się z lewicowością?
– Powiedziałbym, że istnieje też inna tradycja lewicowa, która jest dużo starsza. Nie lubię nazywać jej „alt-leftem". To określenie funkcjonuje dziś też jako obelga i ma wskazywać, że to tak naprawdę prawica przebrana za lewicę. Sugeruje też jakiś nowy odłam. A to przecież nieprawda – ci, których nazywa się „alt-leftem", zwykle proponują powrót do źródeł.

A co poradziłbyś osobom „zanurzonym w dyskursie"?
– Publicystka Amber A'Lee Frost pisała, że ludzie angażujący się w politykę, którzy budują znajomości wyłącznie w ramach tych inicjatyw, stają się bardzo toksyczni. Myślę więc, że warto najpierw rozejrzeć się wokół i pomyśleć nie tyle o zmianie świata, ile o tym, jak wygląda nasze życie w kontekście budowania relacji.

Na pewno nie zaszkodzi detoks od portali społecznościowych. Życie codzienne bywa wyczerpujące i nie każdemu starcza siły na zajmowanie się polityką – nie ma w tym nic złego, ja sam nie jestem obecnie szczególnie zaangażowany. Złe ustawienie priorytetów wywołuje frustrację, a na frustracji nie da się budować politycznej sprawczości.

Czy takimi radami sam nie uprawiasz aby kultury terapeutycznej, którą tak krytykujesz?
– Dobra uwaga. Pewnie tak by było, gdyby za tą radą stała obietnica szczęśliwego życia. Ja jedynie chciałbym żyć w kraju, w którym lewica potrafi negocjować swoje stawki. Nie widzę się w roli politycznego stratega, nie jestem też „jedynym sprawiedliwym". Napisałem tylko książkę o tym, co mnie wkurza. ●

*Dawid Kujawa

• doktor nauk humanistycznych, eseista, krytyk literacki, redaktor i programista. Zajmuje się najnowszą polską poezją. Autor książki **„W myśl praw geometrii. Jak lewica przestała się martwić i pokochała logikę towarową"** (2025).

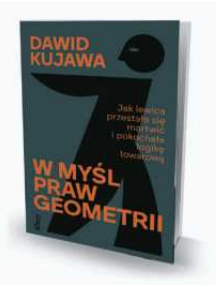

1 RP

eprasa.pl e842ac5a5d

• Podlasie zimą 2026 r. W drodze do granicy mijam plakat z podziekowaniem dla pograniczników

ANI JEDNEGO ŻUBRA

Dobrze, że mur powstał, bo wie pani, jak tu same kobiety mieszkają”. Wybrałam się obejrzeć granicę białoruską po 4 latach kryzysu migracyjnego

Tekst i zdjęcia: **Anna Wyrwik**

Pracę zaczyna od rozpalenia w piecu, a potem siada z drutami i robi.

Katarzyna Szuma pochodzi z Kleszczeli, za Hajnówką w lewo, jest leśnikiem, ale marzeniem jej „artystycznej duszy” było rękodzieło. Od dziewięciu lat prowadzi z mężem Drewutnię. Kawałek od centrum Białowieży w małym domku na półkach kolorowe ptaszki i kubki, koszulki i rzeźbione w drewnie żubry, bo mąż w drewnie robi, więc są i stoliki z pieńków, i czapki szydełkowane przez Katarzynę.

Za oknem przejeżdża wojskowa ciężarówka. – Ja już ich nawet nie zauważam, wrosły w krajobraz.

Katarzyna pracuje od rana do nocy i nie ma czasu na ogarnianie świata, ale świat ma to gdzieś i 2 września 2021 roku kazał się ogarnąć. Władza w odpowiedzi na kryzys migracyjny wprowadziła stan wyjątkowy. Strefa buforowa, do której mogli wjeżdżać tylko mieszkańcy i służby, objęła 115 miejscowości w podlaskim i 68 w lubelskim – wszystkie gminy przy granicy oraz gminy sąsiadujące, jeśli granica między nimi przebiegała do 15 km od granicy państwa.

– Myśleliśmy, że to będzie miesiąc, ale był kolejny i kolejny. Nikt nie mówił, że to potrwa do lipca. – Katarzyna poprawia kamizelkę, bo na zewnątrz minus 15, a piec na zapleczu. – Hotele i restauracje miały rekompensaty, a my? Stawaliśmy na rzęsach, by mieć za co żyć.

Zdarzyło się, że do Drewutni weszło dwóch panów i poprosiło o wodę, to trzeba nie mieć serca, by nie dać. Przecież to, kurcze, ludzie i nie można ich wyrzucać za płot. Choć były chwile, gdy Katarzyna była zła, bo zdemolowali jej życie. „Po co tu idą?”. Potem jechała przez las i myślała, że ktoś tam umiera z zimna.

Bardziej jednak starała się nie myśleć, by zachować zdrowie psychiczne. – Byliśmy skupieni na tym, by przetrwać. Gdy 1 lipca zniesiono strefę, pierwszy klient przyszedł o 15, a mnie już policzki bolały od uśmiechania się od rana.

Teraz wchodzą klienci z drugiego końca Polski i wybierają koszulki, pytają o ceny stolików, oglądają rzeźbionego łosia, wybierają, oglądają, popisują się wiedzą na temat ptaków żyjących w puszczy. Zostawiają kilka stów.

– Jestem zdziwiona, że ktoś tu przyszedł w taką zimę. Sytuacja się uspokoiła. Choć wciąż mam z tyłu głowy, że znowu może wlecieć białoruski helikopter i wymiecie turystów.

•

Żubr nie daje mi spać. Adam Wajrak codziennie wrzuca zdjęcia żubrów. Mam wrażenie, że tylko się budzi, a one czekają przed domem. „Takiego dziś chłopaka spotkałem” – pisze i wrzuca. A ja toczę auto po okolicy w śniegowych koleinach i spotkać nie mogę. Pozostaje mi pomnik żubra w Hajnówce, otoczony sercem z napisem „I love Hajnówka”.

– Ja w tym roku dwa razy nowy rok obchodzę – mówi mężczyzna na targu. Jest 14 stycznia, prawosławny Nowy Rok, w cerkwi biją dzwony. Ze środka wysypują się babuszki w futrach i chustach na głowach, ledwo utrzymując równowagę na lodzie.

Kilka straganów na pustym placu, bo mróz. Buty, dresy, wiertarki. Tu lokalni kupują. Ale ci, co jeżdżą na targ do Białegostoku, widzą różnice. Drewutnia też kiedyś jeździła z rękodziełem i często Białorusinom sprzedawała. Dziś Białorusinów nie ma. W 2018 r. było ponad 8,9 miliona przekroczeń w osobowym ruchu na granicy białoruskiej, a w 2024 – 2,28, miliona, co stanowi spadek o 74,4 proc.

– Kryzys graniczny to mniej pieniędzy – mówi Paweł Jamróz, prezes zarządu Podlaskiej Fundacji Rozwoju Regionalnego. – Dane wskazują, że ograniczenie funkcjonowania granicy ma negatywny wpływ na gospodarkę województwa podlaskiego, prowadzi do pogorszenia koniunktury w jej kluczowych sektorach. Efekty są szczególnie dotkliwe dla obszarów przygranicznych, gdzie gospodarka w znacznym stopniu była uzależniona od przepływów osób, towarów i usług.

•

Na parkingu w Białowieży stoi wielki, plastikowy żubr z tabliczką „Żubrze, zdjęcie z nami zrób że...”. Parkuję na lodzie i przedzieram się przez zaspy do Gospody Pod Żubrem, gdzie jest „Swojski klimat!”, a przy talerzu z plackami ziemniaczanymi czeka Anna Skiepko.

Białowieżanka z dziada pradziada. Gdy słucham, jak mówi, że w dzieciństwie puszczę traktowała jak plac zabaw, myślę o tym, co Anna Kamińska w „Białowieży szeptem” pisała o „swoich, czyli rodowitych białowieżanach” – „dumni z tego, że się tu urodzili, w rodzinach zamieszkujących wieś od pokoleń, w tej znanej wsi odwiedzanej przez królów i carów”.

Anna była nauczycielką muzyki, a w latach 90. zaczęła oprowadzać turystów po puszczy w noc i w dzień, bo lubi pokazywać puszczę, bo za każdym razem znajduje w niej coś innego. – Puszcza to dla mnie świątynia. Już jako dziecko czułam się w niej jak mała istotka.

Czasem Anna chodzi samotnie do Parku Pałacowego w sąsiedztwie siedziby dyrekcji Białowieskiego Parku Narodowego, gdzie rosną stare dęby. – Lubię z nimi pobyć, bo to daje mi energię do życia. Niektóre liczą po kilkaset lat. Tyle widziały, tyle słyszały. Chciałabym, by mi to opowiedziały.

Późnym latem 2021 Anna wiele nocy nie spała. Czuwała. Siostra opowiadała jej, że ktoś pukał do drzwi. Czego chciał? Sąsiadka mówiła, że słyszała rozmowy za domem nie w naszym języku. – Oczywiście, że się bałam. Nigdy nic nie wiadomo.

W lesie na uchodźców Anna nie natrafiła, bo chodzi głównymi szlakami, ale słyszała historie od pograniczników, których ma w rodzinie, a przybyszów czasem spotykała przy branie BPN. Jeden powiedział, że sprzedał większość majątku, by tu przyjechać. Chcieli jechać dalej, do Niemiec.

Gdy pojawiło się wojsko, Anna poczuła się bezpiecznie. Białowieża to jej dom, którego – nawet gdyby Putin wjechał – nie zostawi. Przyjdą żołnierze na wojnę, to zupki ugotuje, placuszków nasmaży. Gdy postawili mur, poczuła się jeszcze bezpieczniej. – Jest normalnie, spokojnie, mogę z psem o północy wyjść i się nie boję. Może jedynie, że wilki przyjdą.

Wilków ostatnio nie widziała, ale kilka dni temu na drodze do Pogorzelec żubr przebiegł jej drogę.

•

Zawsze mogłabym pójść na łatwiznę i kupić bilet do Rezerwatu Pokazowego Żubrów. Zamiast tego idę do dyrekcji BPN, gdzie spotykam się ze starszą specjalistką do spraw udostępniania Parku Anną Gierasimiuk.

1 RP

eprasa.pl e842ac5a5d

– Gdy władza wprowadziła zakaz poruszania się po fragmencie regionu, dla branży turystycznej był to bardzo trudny moment.

Strefa buforowa sprawiła, że jeszcze długo po jej odwołaniu ludzie bali się przyjeżdżać na Podlasie. Dzwonili, czy jest bezpiecznie. Klienci Drewutni też opowiadali o reakcji znajomych: „Boże, gdzie wy jedziecie? Przecież tam jest strasznie niebezpiecznie, wojna że prawie”.

– Przypominam sobie rozmowę telefoniczną z mężczyzną, który zobaczył w mediach białoruskie helikoptery i pytał, czy powinien przyjechać po żonę i córkę – Anna Gierasimiuk cytuje fragment „Apelu przedsiębiorców branży turystycznej do mediów i rządu” z lipca 2024 r.: „Medialny przekaz, że w regionie Puszczy Białowieskiej i na całym Podlasiu turyści mogą czuć się bezpiecznie, jest nam w tej chwili niezwykle potrzebny i może nas uchronić przed bankructwem”.

Branża się zjednoczyła, pomogła Podlaska Regionalna Organizacja Turystyczna, Lokalna Organizacja Turystyczna „Region Puszczy Białowieskiej”, władze lokalne i państwowe. Na Podlasie zaprosili media, influencerów, blogerów, a Park udostępnił tereny, żeby pokazali je reszcie kraju. Strzałem w dziesiątkę był według Gierasimiuk Podlaski Bon Turystyczny. Akcja była głośna i wiele osób, które na bon się nie załapały, i tak przyjechało.

Zjednoczona branża reagowała też na działania władz. Gdy wiosną 2024 r. Donald Tusk zapowiedział przywrócenie strefy buforowej (Katarzynie wtedy łzy z oczu poleciały), przedstawiono kontrargumenty. W rezultacie nie wprowadzono strefy w kształcie z lat 2021–22, a tylko zakaz przybywania 200 m od granicy, a w kilku zalesionych fragmentach – do 2-4 km.

Rok 2025 był najlepszy od dawna. Widać to w danych BPN dotyczących liczby zwiedzających rezerwat Żubrów. Było ich 167 tysięcy, co jest drugim wynikiem w historii parkowych statystyk. W najsłabszym 2022 r. – kiedy działała strefa – do rezerwatu, choć zona go nie obejmowała, zajrzało tylko 98 tysięcy ludzi.

Gierasimiuk podkreśla, że głównym celem BPN jest udostępnianie parku turystom i ochrona wyjątkowej przyrody. – Czujemy odpowiedzialność, by opiekować się tym miejscem i turystykę organizować tak, by i turysta był zadowolony, i przyroda zachowana.

– I by nie zrobić drugich Mazur?

– Albo Tatr. Mam nadzieję, że gdy turysta zobaczy Puszczę Białowieską, zda sobie sprawę z celowości powoływania parków narodowych i rezerwatów przyrody. Tutaj widzi las takim, jakim był w średniowieczu, widzi prawdziwą dziką naturę, spotyka się z żubrem.

●

Ja na razie spotykam się z żubrem tylko na breloczku z parkowego sklepiku, z którym w kieszeni jadę do restauracji Fanaberia.

Jeśli Anna to „swoja”, to Sławomir Droń mieści się w kategorii „nawołocz”, bo się tu nawlókł z Polski. Biolog molekularny po studiach w Warszawie i dzieciństwie w lubuskim mówi, jak od zawsze przyjeżdżał do Białowieży, najpierw do dziadka, potem jako dorosły.

– Potencjał Podlasia jest nieprawdopodobny. Zwarta zabudowa drewniana, pierwotna puszcza, ptaki, żubry, tropienie wilków, jazda na rowerze setkami kilometrów bez konieczności powtarzania trasy, zapachy, wiatr… – mówi, popijając herbatę. Ja popijam lokalnym piwem kartacze. – Jeśli wrażliwy człowiek tu trafi, zakocha się. Problem, by tu trafił, bo za granicą jesteśmy pokazywani w „Nature” i „National Geographic”, ale większość Polaków kojarzy nas z żubrem na puszce piwa.

Sławek nie żałuje ani dnia, odkąd przeniósł się do Białowieży. Zaczął od agroturystyki, potem założył wypożyczalnię rowerów i nart, a w 2017 r. zaangażował się w obronę Puszczy Białowieskiej przed wycinką. – Od kilku osób usłyszałem wtedy, że jestem zdrajcą Polski.

Na ścianach Fanaberii wiszą obrazy Daniela Gromadzkiego, artysty z Hajnówki, a na nich puszcza, zieleń, krzaki, drzewa, bagna. Pod koniec sierpnia 2021 r. w puszczy pojawili się ludzie, a w tej zieleni, na krzakach, drzewach i w bagnach zakwitły kurtki, czapki, plecaki, plastikowe butelki. – Życie zamrożone, biznesy zamrożone, nie wyobrażałem sobie, że w XXI wieku w państwie demokratycznym można zamknąć jakiś fragment kraju i Polska nawet nie kwęknie – wspomina Sławek.

Plan otwarcia Fanaberii przesunął na kolejny rok, a jako że miało być to miejsce dla sztuki, spotkań i dyskusji, skrzyknął przyjaciół, by zastanowić się, co robić. – Przyszło ponad 50 osób, większość to ci sami ludzie, którzy bronili puszczy, czyli przyjezdni albo tacy, którzy wrócili tu po latach. „Nawołocz”. Ale i miejscowi, gdy stykali się z nieszczęściem, wymiękali i pomagali. Białowieża zdała egzamin.

Sławek zdawał go z żoną lekarką. – Widziałem straszne rzeczy. Dzieci wyrzucane za płot, ludzi brutalnie przyduszanych przez służby do ziemi, zamarzniętych ludzi, trupa, który się rozkładał, i w worki go nie można było włożyć.

Wtedy Sławek drugi raz usłyszał, że jest zdrajcą Polski, bo – jak mówi – PiS wszystko pomylił i założył, że pomoc humanitarna jest jednoznaczna z niepopieraniem ochrony granicy.

– Nie jestem za likwidacją granic i wpuszczaniem wszystkich, ale prowadzę biznes, płacę podatki i oczekuję, że państwo będzie w stanie zweryfikować idących ludzi. Tymczasem czuliśmy się, jakbyśmy występowali przeciw własnemu krajowi. Żona nie mogła przeżyć, że musi ukrywać przed służbami to, że pomaga ludziom. Dziś sytuacja jest inna, bo jest mur.

●

Zanim mur, to żubr, jeżdżę po okolicy, samochód tańczy na lodzie, a przy drodze dwa żubry! Wbiegam w śnieg po kolana i podziwiam, jak się pasą i grzebią w śniegu. Majestatyczne. A kupa ludzi z obiektywami jak armaty stoi całkiem od tych żubrów niedaleko.

– U nas jeden po wsi chodzi – mówi Karol Jakimiuk, prezes Agroturystycznego Stowarzyszenia „Puszcza Białowieska”, który jest „swój” i kilka lat temu przejął po rodzicach agroturystykę Raj Pod Jabłonią w Lewkowem Starym.

Wieś leży 25 km od granicy, tu strefa buforowa nie sięgała, ale we wrześniu 2021 odwoływano rezerwacje, bo ludzie nie wiedzieli, czego się spodziewać. – Nie było się czego bać, bo dzięki wojsku czuliśmy się bezpiecznie. Mijałem imigrantów przy drodze, ale żadnej nieciekawej sytuacji przez nich nie było.

Karol uważa, że nie tyle kryzys zawinił, ile media. – Wkurza mnie, gdy mówią o jakimś incydencie i cały region dostaje łatkę niebezpiecznego. Helikoptery białoruskie wleciały do Białowieży i od razu część rezerwacji odpada.

Z danych GUS-u wynika, że w 2023 r. w porównaniu do 2019 r. na Podlasiu było 16 proc. mniej turystów z Polski i 32 proc. mniej z zagranicy. Białorusinów, którzy wcześniej chętnie przyjeżdżali, ubyło o 75 proc. Dane są jeszcze wyższe w powiatach przygranicznych, hajnowskim i sokólskim. W 2024 r. turystów było więcej – wzrost o ponad 6 proc.

– Jest spokój, Podlasie jest bezpieczne, wolne życie, dużo przyrody, kultura, otwartość. Można przyjeżdżać i podziwiać.

●

To teraz mur, a przy murze chata, a przy chacie kobieta, co w bluzie na 12-stopniowy mróz wyszła ze srebrnym wiadrem i w śnieg wodę wylewa.

– Dobrze, że mur powstał, bo wie pani, jak tu same kobiety mieszkają, a ja jako opiekunka najmłodsza… Wie pani, jak to jest… A nie rozumie pani mowy ani nic, to wiadomo, kto to? Ale nie słyszałam, by ktoś agresywny był, przeważnie jeść albo pić chcieli.

Kiedy była mała, Polacy się z Białorusinami spotykali na granicy. Ci z jednej, tamci z drugiej strony i rozmawiali, tamci cukierki dawali. – Inne czasy, wszystko się zmieniło, migracja.

Inne czasy, a ja w innym jeszcze miejscu patrzę na mur. To miejsce, gdzie nie ma tablicy „Obszar objęty zakazem przebywania”, choć wszędzie indziej są, więc korzystam i fotografuję promienie słońca wbijające się przez drzewa w mur i śnieg. Z domku przypominającego leśną bimbrownię, z komina, z kozy pewnie, leci dym. Wychodzi żołnierz.

• **Katarzyna Szuma prowadzi z mężem w Białowieży sklep z rękodziełem Drewutnia**

• **Białowieżanka Anna Skiepko była nauczycielką, ale uwielbia też oprowadzać turystów po Puszczy Bałowieskiej. Spotkałyśmy się tutejszej Gospodzie Pod Żubrem**

• **Anna Gierasimiuk z Białowieskiego Parku Narodowego w siedzibie dyrekcji BPN**

Gdy pojawiło się wojsko, Anna znowu poczuła się bezpiecznie. Przyjdą żołnierze na wojnę, to zupki ugotuje, placuszków nasmaży. Gdy postawili mur, poczuła się jeszcze bezpieczniej

– Dzień dobry – mówię.

– Dzień dobry – odpowiada.

Chodzę chwilę, po czym: – Przepraszam! – krzyczę. I pytam, czy mogę podejść, porozmawiać. Nie mogę. Więc jeszcze chwilę chodzę, po czym wsiadam, chcę odjechać, a tu stuk-puk w szybę.

– Co pani tu robi?! – pyta pogranicznik, gdy otwieram okno, wyraźnie zaniepokojony.

– Chodzę sobie – mówię i widzę w lusterku auta Straży Granicznej. Aż dwa przyjechały.

– Ale tutaj? Skąd pani jest?

– Z Krakowa.

– I z Krakowa pani tutaj przyjechała? – pogranicznik tak bardzo nie może wyjść ze zdziwienia, że aż ja się dziwię.

– A co, wy nie jeździcie do Krakowa?

– Ale pani gdzieś się zatrzymała, czy tak bezpośrednio z Krakowa?

– Zatrzymałam.

– A można wiedzieć, gdzie?

– Z tego, co wiem, to nie można.

– Ale jak to? Pani tu chodzi przy granicy, żołnierzy zaczepia…

Rozkładam ręce, bo prawo to prawo, a jeszcze bardziej zaniepokojony pogranicznik mówi, że prosi o przebieg auta i dokumenty. Podaję oba i czekam. Słońce świeci, dym leci z domku, ja jem kanapkę, bo długo czekam, jak jeszcze nigdy podczas sprawdzania dokumentów przy granicy. Ludzie wspominają, że niedawno można było przechodzić przez granicę, na rowerze przejeżdżać, na kajaku przepływać, ruch bezwizowy, współpraca. A teraz można tylko podawać przebiegi i dowody.

Po kwadransie stuk-puk w szybę i pogranicznik dowód mi oddaje, w porządku wszystko, salutuje prawie i mówi, że pomogą przy zawracaniu w śniegu, nasze samochody zaraz zjadą na bok. Mogę wracać tą samą drogą przez pola, ale mogę i wzdłuż muru, jeśli chcę, wytłumaczą. Wybieram pierwszą opcję. Panowie kierują, podpowiadają, pokazują. Gdy tę scenę w tym reportażu przeczytają, to będzie zero zdziwienia, bo mnie przez ten kwadrans dobrze sprawdzili.

Inne czasy były, a teraz jest mur. Eliza, dopiero gdy mur postawili, zdała sobie sprawę, gdzie przebiegała granica.

●

Eliza Kowalczyk wstaje zazwyczaj przed wschodem słońca i jedzie robić zdjęcia przyrodzie. Jest fotografką. Pierwszej grupie uchodźców, których spotkała podczas wyjazdu na łosie, też zrobiła zdjęcia. Portrety. Dziewczynki z wielkimi oczami zobaczyliśmy w kampanii „Ratujmy ludzi na granicy”.

– Nie czułam się komfortowo, bo wyglądali źle, byli po 13 *pushbackach*, dzieci, w tym 10-miesięczne… Wyobrażasz sobie? Ale powiedzieli, by pokazać światu, co tu się dzieje. Pomyślałam: jeśli nie pokażę, nikt nie uwierzy.

Eliza pochodzi z Mazur, w Białowieży mieszka od ponad 20 lat. Miała kawiarnię, wydawnictwo, *lightowe* życie, a potem przyszedł kryzys i wszystko się przewartościowało. Kiedyś bała się krwi – dziś jest ratowniczką, kiedyś bała się zgubić w lesie – dziś sama chodzi na akcje. – Jesteśmy tutaj i nie możemy inaczej. Mam czwórkę dzieci i gdy wyobrażę sobie, że wybucha wojna i one uciekają, są gdzieś na końcu świata, gdzie są służby i organizacje, a ich życie zależy od tych osób… Choć nie wszyscy przyznawali się, że pomagają. Niektórzy robili to po cichu. Przez ohydną kampanię PiS. Niby tylko brali więcej kanapek do pracy, a potem opowiadali, jak znajdywali w lesie pobitych ludzi i nogi się pod nimi uginały.

Siedzimy w Fanaberii, tym razem piwem popijam babkę ziemniaczaną, a Eliza mówi, że jeszcze niedawno nie umiała rozmawiać o granicy. W lecie 2022 r. , gdy wiedziała już, że kryzys potrwa, a na akcje wydała wszystkie oszczędności, zdecydowała się na pracę w Podlaskim Ochotniczym Pogotowiu Humanitarnym. – Pełnimy dyżury. Mamy numer

eprasa.pl e842ac5a5d

alarmowy, na który ludzie dzwonią i przekazują lokalizację, a my zabieramy do samochodu żywność, ubrania, leki, i jedziemy.

Kiedyś zabierali też wnioski o ochronę, ale odkąd w marcu rząd Koalicji 15 Października zawiesił prawo do azylu, nie ma to sensu. Wiele nie ma sensu. Według Elizy, gdyby państwo wpuszczało ludzi i weryfikowało, czy należy im się ochrona, sprawa byłaby szybko rozwiązana. A tak? – Jeśli ktoś umiera na chodniku, zanim mu pomożesz, pytasz, czy jest przestępcą?

Każdy rok przynosił w lesie coś innego i ludzie myślą, że gorzej już nie będzie.

Najgorsze były ciała. – Wiosna, nagi mężczyzna, prawdopodobnie hipotermia, leżał jak Jezus ukrzyżowany, zresztą nawet podobny.

Najgorsze były dzieci. – Masa samotnych dziewczynek, których przeznaczenia wszyscy się domyślaliśmy.

Najgorsze było widzieć ich po drugiej stronie i nie móc im pomóc.

Najgorsze były spotkania z rodzinami w celu identyfikacji ciał.

Najgorsze były szczątki nie do poznania. Co nie było najgorsze? – Są często brudni i śmierdzą, a pierwszą rzeczą, którą robię, jest przytulenie ich. Chcę, by poczuli, że traktuje się ich jak ludzi.

„Czasem wiatr z domów płonących
Przynosił czarne latawce,
Łapali skrawki w powietrzu
Jadący na karuzeli”.

Eliza przywołuje „Campo di Fiori” Miłosza o karuzeli przy murze warszawskiego getta.

Kiedyś pojechała z mężem na spotkanie do Białegostoku. Wszyscy rozmawiali, śmiali się, a oni siedzieli, jak słupy. Niektórzy dziękowali za to, co robią, bo ratują ich sumienia.

– Miałam ochotę powiedzieć, by sami tu przyjechali, to ja trochę odpocznę. Była we mnie złość, bo jesteśmy takimi samymi obywatelami, jak reszta, więc dlaczego ogranicza nam się prawa obywatelskie, robiąc strefy zamknięte i kontrolując? Dlaczego nikt nas nie wspiera? Nie proponuje naszym dzieciom ferii czy wakacji z dala od tej tragedii? Nie pyta, czy potrzebujemy pomocy psychologicznej?

By sobie z tym poradzić, Eliza skończyła podyplomowo psychotraumatologię. Teraz umie rozmawiać o granicy. I martwi się o dzieci, bo widziały plac zabaw otoczony drutem kolczastym, zamaskowanych żołnierzy w szkole i przedszkolu, w sklepie z długą bronią, widziały ciężarówki, rosomaki, helikoptery...

●

„Wierzymy, że teatr może nie tylko opowiadać historię, ale i zmieniać jej bieg” – czytamy na stronie Instytutu Prawa Performatywnego. W ramach działalności IPP w 2024 r. odbyła się premiera spektaklu „Sytuacja graniczna” w reżyserii Michała Zadary. Maja Ostaszewska, Barbara Wysocka i Mateusz Janicki odgrywają sąd nad państwem polskim za działania na granicy. Słyszymy oskarżenia o nieprzestrzeganie prawa krajowego i międzynarodowego. Wszyscy liczyli, że po zmianie władzy sytuacja się zmieni. Nie zmieniła się.

Zarzuty to: „nielegalne wywożenie ludzi za granicę”, „torturowanie ludzi przekraczających granicę”, „systemowy atak na ludność cywilną popełniany przez organy państwa, co powoduje cierpienie i śmierć ludzi”.

Z dowodów można złożyć kilkutomowe wydawnictwo. Masa oskarżeń pojawia się w kolejnych opowieściach ludzi z Podlasia – brutalne bicie uchodźców, zabieranie telefonów, zmuszanie do klęczenia i leżenia, agresja w stosunku do pomagających, a czasem i do tych, którzy po prostu nawinęli się w lesie. Straszenie bronią i strzelanie, kulami nie tylko gumowymi. W Istoku starszy mężczyzna próbował oderwać żołnierzy od bicia skutego uchodźcy. W Mielniku pijany żołnierz strzelał w kierunku cywilnego samochodu. W Michałowie żołnierz uderzał kolbą karabinu leżącego na ziemi Afgańczyka.

Do *pushbacków*, czyli przymusowych wywózek na drugą stronę granicy – nie tylko spod muru, ale też np. ze szpitali – władza na początku się nie przyznawała. Może dlatego, że – jak słyszymy w „Sytuacji granicznej” – są sprzeczne z konstytucją, z Konwencją Genewską, z Europejską Konwencją Praw Człowieka... Dziś władza ich nie ukrywa.

Z danych przekazanych przez ppłk Katarzynę Zdanowicz, rzeczniczkę prasową Podlaskiego Oddziału Straży Granicznej, wynika, że:

w 2021 r. było 37,8 tys. przekroczeń granicy wbrew przepisom i 33,8 tys. zawróceń, czyli „doprowadzeń do linii granicy” – *pushbacków*, przyjęto 560 wniosków o ochronę;

w 2022 r. było 15,6 tys. przekroczeń i 14 tys. zawróceń, 337 wniosków przyjęto.

w 2023 r. – 26 tys. przekroczeń i 16,3 tys. zawróceń, przyjęto 282 wniosków.

Po zmianie władzy dane są następujące:

w 2024 r. – 29,7 tys. przekroczeń, 13,8 tys. zawróceń i 2434 przyjętych wniosków;

w 2025 r. – 28 tys. przekroczeń, 12,3 tys. zawróceń i 122 przyjęte wnioski.

Grupa Granica w poście podsumowującym 2025 r. pisze: „Ludzie na pograniczu wciąż byli”. Według danych Stowarzyszenia We Are Monitoring organizacje społeczne działające na Podlasiu otrzymały w 2025 r. prośby o wsparcie od 3164 osób, w tym 557 kobiet i 245 poniżej 18. roku życia. „Im trudniejsze staje się dotarcie do bezpiecznej Europy, tym rzadziej w tę drogę wyruszają kobiety, osoby starsze, chore oraz dzieci” – pisze GG.

O służbach – czyli wojsku, SG i policji – na Podlasiu krążą legendy. O żołnierzu, który na zewnątrz WC na stacji benzynowej zostawił karabin oparty o ścianę, o „terytorialsach” rozbijających się rosomakami po lasach, o policjantach bojących się lisa chodzącego wokół radiowozu, o pogranicznikach, którzy radzą, by nie chodzić tam, gdzie przebywają żołnierze, bo tamci są zestresowani i mogą strzelić.

Oddzielna kategoria to historie z checkpointów, na których funkcjonariusze pytali, dokąd ktoś jedzie. – Wyjeżdżam z Białowieży, a oni pytają gdzie. Tam, gdzie chcę – mówi Katarzyna. – Na wjeździe do Białowieży pytali, dokąd jadę. A dokąd mogę jechać? Tyle że oni często nie wiedzieli, w którą stronę jest granica – mówi Eliza. – Tak nas wkurzały pytania typu „czy wiezie pani jakiegoś Mahometa” albo „a co, nasze chłopaki niefajne?”, że zaczęliśmy robić z nich idiotów. Kobiety opowiadały, że „jadą na aborcję” albo do ginekologa i opisywały objawy. A niektórzy nie otwierali szyby, bo wiedzieli, że nie muszą. Znajomość prawa.

– Pokazywaliśmy im, że wiemy, co nam wolno, a czego nie, co im wolno, czego nie i jakie mają obowiązki – mówi Eliza. – Poszłam z mężem pod mur i przyjechała terenówka, wyskoczył rozchełstany facet bez czapki. Krzyczał, że nie mamy prawa tu być. „A pan to kto?”. „Wojsko Polskie”. „Słucham? Wojsko Polskie powinno być na służbie w pełnym umundurowaniu, a pan ma niedopięty mundur, jest bez czapki i nawet się nie przedstawił”. Powiedziałam do męża: „Idziemy, bo nie wiem, czy to jakiś przebieraniec lub groźny uchodźca, czy kto”.

Dziś żołnierze nie chodzą z długą bronią, nie dają powodów do pisania o ich ekscesach alkoholowych. Na Podlasiu opowiadają też, że te wybryki dotyczyły niektórych, wielu chłopców jest w porządku, wielu nie potrafiło się w sytuacji odnaleźć, byli tacy, co mówili, że nie poszli do wojska, by latać za ludźmi po lesie.

Ludzie na Podlasiu bywają murem za mundurem, bywają współczujący żołnierzom warunków pracy, bywają wyrozumiali, czasem obojętni, a bywają i tacy, którzy mają powody, by z mundurem nie chcieć mieć nic wspólnego. Emocje związane ze służbami są wprost proporcjonalne do stopnia zaangażowania w pomoc ludziom w drodze.

– Widzieliśmy jak ludziom, którym dasz mundur, uprawnienia i broń, rośnie ego, a jeśli jest ono zawieszone na pustym łbie, mieszanka jest tragiczna – mówi Kamil.

●

Kamil Syller długo zastanawiał się, jaki wybrać kolor, bo niebieski to policja, czerwony i żółty nie pasowały, fiolet smutny, więc padło na zielony. Kolor nadziei, kolor islamu, zielona granica i zielony był mundur leśniczego, który żonie Kamila powiedział, żeby nie iść dalej do lasu, „bo oni tam siedzą”.

Wtedy Kamil zrozumiał, że to, co od kilku tygodni dzieje się w ikonicznym już Usnarzu Górnym, gdzie wszystko się zaczęło, gdy 8 sierpnia 2021 roku pojawiła się na granicy pierwsza grupa uchodźców, przyszło i tutaj. Ludzie z krańców świata przyszli i siedzą sobie na piaszczystej drodze koło jego wsi.

Kamil jest prawnikiem, do Werstoku z rodziną przeprowadził się 10 lat temu z Warszawy, prowadzą agroturystykę Dom Dobry. Który w 2021 r. zmienił się w magazyn i dom przejściowy dla uchodźców. Zielone światło, które zapalili nad drzwiami, a za nimi wielu innych ludzi na Podlasiu, pokazywało, że tu można przyjść po pomoc.

Przychodzili ludzie z plecami fioletowymi od pobicia, skórą pociętą przez druty, pogryzieni przez psy, śmierdzący po miesiącach w lesie, a Kamil z żoną ich opatrywali, dawali im prysznic, ubrania, łóżko, jedzenie. – Zrozumiałem, że to doświadczenie, na które nie jesteśmy gotowi, bo nikt w normalnym toku życia nie jest na coś takiego gotowy. Nie rozumiałem, jak to możliwe, że dzieją się takie rzeczy, że są trupy, że dzieci śpią w lesie na mrozie, tu, w Polsce...

Kamil też przywołuje „Campo di Fiori” .

– Czasem czułem zazdrość, że już 20 km stąd jest normalna Polska, ludzie żyją swoimi sprawami, a my tu siedzimy, izolowani przez władzę.

Kamil był pełnomocnikiem prawnym wielu uchodźców, przyjmował ich w domu, ratował w lesie. Długo myślał, że z tego lasu psychicznie się nie wychodzi. – Ludzie pomagający zgłaszali się do psychologów. Mnie wydawało się, że mam bezpieczniki, nie wchodzę w relacje, nikogo nie obściskuję, nie uczę się imion na pamięć, tylko pomagam i idę dalej.

Jego żona zaczęła reagować na stres somatycznie – sztywność karku, gorączka, utrata sił. On zaczął zastanawiać nad wyprowadzką, bo wiadomo było, że to kryzys na lata. Zostali.

●

Idę przez las. Przebiega stado saren. Żubrów nie widzę, choć słyszałam, że wróciły w okolice granicy, gdy ucichły strzały i nocne krzyki bitych ludzi, które czasem budziły mieszkańców. Są ślady lisów. Żołnierze stacjonujący w lesie w domkach przypominających bimbrownie dokarmiają je regularnie.

Jest piękna biała zima i trudno wyobrazić sobie, jak w ten śnieg wkracza śmierć. Na razie ta piąta zima jest spokojna. Ale były już takie zimy. Wojsko wciąż jeździ. Kryzys trwa. – Zobaczymy na wiosnę – mówi Kamil. – Dla nas sprawdzianem jest zawsze wiosna. ●

Tęsknimy za wami, Białorusini

O 74,4 procent

• spadł ruch osobowy na granicy polsko-białoruskiej po rozpoczęciu przez Putina i Łukaszenkę migracyjnej wojny hybrydowej. W 2018 r. przekaczało granicę 8,9 mln osób. W 2024 r. tylko 2,28 mln.

167 tys. ludzi

• odwiedziło w 2025 roku Rezerwat Pokazowy Żubrów w Białowieży. Turyści znowu zaczęli przyjeżdżać. To drugi najlepszy wynik w historii Białowieskiego Parku Narodowego

32 proc.mniej

• turystów z zagranicy i 16 proc. mniej z Polski przyjechało na Podlasie w 2023 r. w porównaniu z rokiem 2019. Białorusinów było mniej aż o 75 proc.

122 wnioski azylowe

• w 2025 r. przyjęto na granicy białoruskiej, zawrócono 13,8 tys. migrantów. W 2022 r. – pierwszym pełnym roku kryzysu migracyjnego – przyjęto 337 wniosków, zawrócono 14 tys. migrantów. W 2024 r. – pierwszym roku po zmianie władzy w Polsce – przyjęto 2434 wnioski, i było 13,8 tys. zawróceń

• **Płot na granicy polsko- białoruskiej we wsi Klakowo. Obszar objęty zakazem przebywania**

1 RP

eprasa.pl e842ac5a5d

ŚWIAT

i ty mógłbyś być Epsteinem

Mateusz Mazzini

Agent wrogów Zachodu czy zwykły mizoginiczny samiec alfa z narcystycznym rysem

• **Jeffrey Epstein i jego partnerka w życiu i w zbrodni, Ghislaine Maxwell. Masaż stóp w prywatnym samolocie**

FOT. REX FEATURES/ EAST NEWS

1 RP

eprasa.pl e842ac5a5d

Steve Bannon: Wróciłeś już z paryskiego tygodnia mody?

Jeffrey Epstein: W moich jądrach została już tylko kuleczka pyłu. To oraz mały podmuch powietrza.

Steve Bannon: Powieszę sobie w mieszkaniu twój plakat.

To nie jest najbardziej obrzydliwa wymiana zdań pomiędzy skazanym za przestępstwa seksualne bankierem elit i głównym ideologiem ruchu MAGA, współtwórcą wyborczego sukcesu Donalda Trumpa w 2016 roku. Bannon i Epstein korespondowali regularnie, niemal codziennie, a ich rozmowy najlepiej oddają charakter działalności, którą prowadził finansista stręczyciel.

Przy okazji bardzo wiele mówią o osobowościach obu mężczyzn, ich poglądach na świat, podejściu do kobiet. Obaj jawią się jako rasiści przepełnieni islamofobią, mizogini traktujący kobiety jak przedmioty na handel, pewne siebie samce alfą przekonane o bezkarności i wszechpotężnej naturze pieniądza.

Gdy analizując rozmowy Bannona z Epsteinem nie skupimy się tylko na szukaniu gorących nazwisk i słów-kluczy, ale wpiszemy je w kontekst czasowy, geograficzny i relacje obu mężczyzn z innymi politykami, biznesmenami czy przedstawicielami świata nauki, ujrzymy dwie rzeczy, zdecydowanie najważniejsze w całej tej aferze. Jeśli bowiem na chwilę porzucić wątki pedofilskie i seksualne, jednocześnie przestając maniakalnie doszukiwać się dowodów na współpracę Epsteina z KGB, FSB i pracę dla Putina, widać jak na dłoni, że i on, i Bannon to klasyczni megalomani znacznie przeszacowujący własną sprawczość i wpływ na rzeczywistość.

W całościowej perspektywie historia ich naprawdę intymnej relacji okazuje się przyziemna i smutna: to transkrypcja wielogodzinnych rozmów dwóch facetów w średnim wieku przekonanych o własnej nieomylności, czekających na ten upragniony moment, w którym to oni będą rządzić światem. Jeśli wydarza się coś, co jest akurat po ich myśli, przypisują sobie autorstwo tych projektów i decydujący wpływ na ich realizację. W przypadku porażki to zawsze wina innych ludzi, którzy byli na tyle głupi, żeby nie posłuchać ich rad.

Celem tego tekstu absolutnie nie jest bagatelizowanie afery Epsteina – krzywd, jakie wyrządził wielu dziewczynom i kobietom, roli, jaką odegrał w kształtowaniu życia elit przez ostatnie trzy dekady, jego napędzanego chciwością i ego wpływu na amerykańską politykę. Bez wątpienia bankier stręczyciel miał rozległe wpływy, a ich natura była bardzo różnorodna. To zresztą wydaje się kluczem do jego sukcesu – był niesamowicie uniwersalny, obrotny, każdemu ze swoich klientów – przyjaciół był w stanie zaoferować to, czego akurat potrzebują.

•

Czasami były to spore kwoty, jak 130 tysięcy dolarów pożyczone Terje Rød-Larsenowi, byłemu norweskiemu dyplomacie, współautorowi porozumienia pokojowego z Oslo pomiędzy Izraelem i Palestyną, byłemu szefowi IPI, czyli Międzynarodowego Instytutu Pokoju, wpływowego nowojorskiego think-tanku. Rød-Larsen rzeczywiście okazuje się doszczętnie skorumpowanym politykiem, siedzącym głęboko w kieszeni Epsteina i wykorzystywanym przez niego do różnych celów biznesowych i politycznych.

Ale nie każdy brał od bankiera z Bronksu pieniądze w zamian za zakulisowy lobbing czy organizację kolacji na wysokim szczeblu. Dla Petera Mandelsona, upadłej gwiazdy brytyjskiej Partii Pracy, który może pociągnąć za sobą na dno nawet premiera Keira Starmera, Epstein był szansą na wbicie noża w plecy Gordonowi Brownowi, byłemu koledze z partii, którego postrzegał jako zdrajcę z powodu konfliktu z Tonym Blairem. Całej rzeszy biznesmenów, na czele z Billem Gatesem, oferował z kolei seks z młodymi dziewczynami,

FOT. ANADOLU VIA GETTY IMAGES

• **Bill Clinton był fotografowany z Epsteinem kilkukrotnie w latach 90. i na początku lat 2000., zanim skompromitowany finansista został po raz pierwszy aresztowany.**

co zresztą pojawia się także w korespondencji z Bannonem. Ideologowi trumpizmu daje możliwość „prywatności z panią Miller, na wyspie albo w domu w Palm Beach". Nie jest pewne, kim była „pani Miller", ale w pewnym momencie Epstein chwali się kumplowi, że jest nie tylko łącznikiem i politycznym spin-doktorem, ale też swatką – na co Bannon odpowiada, że kobieta, o której często mówią per „jego dziewczyna", ma „zbyt dużo klasy", żeby chciała się spotykać z kimś takim, jak właśnie strateg Trumpa, czyli on sam.

To wszystko, co medialne analizy wyciągają z akt Epsteina, brzmi bardzo poważnie i imponująco. Ale tak naprawdę wątki dotyczące wielkiej geopolityki, przepływu miliardów dolarów czy kojarzenia prezesów spółek technologicznych i genialnych matematyków z administracjami krajów na całym świecie są rzadkie. To wyspy na oceanie innych historii, które najczęściej okazują się całkiem normalnymi przysługami w świecie ludzi bogatych i wpływowych. Jak chociażby pytanie, czy Epstein byłby w stanie komuś załatwić bilety na mecz reprezentacji Danii na mundialu w Rosji w 2018 roku. Albo prośbą Rød-Larsena, który zapytał Epsteina, czy nie załatwiłby jego nastoletniemu synowi tygodniowego stażu w banku inwestycyjnym. Co Epstein akurat chętnie zrobił, po prostu biorąc CV od chłopaka i wysyłając je do znajomego pracującego w banku Standard Chartered.

To może oburzać, śmierdzieć nepotyzmem, ale jest powszechną praktyką wśród ludzi, którzy mogą i chcą pomóc podobnym sobie. Bo czym się różni przesłanie CV syna kolegi przez Epsteina od napisania listu rekomendacyjnego na studia dzieciom przyjaciół? Albo wykorzystanie własnych koneksji do wysłania kogoś znajomego na wymianę międzynarodową lub staż? Takich wątków w aktach finansisty jest mnóstwo i nie wolno ich pomijać, bo bez nich nie da się całościowo objąć tej afery.

•

Z analizą akt Epsteina jest szereg problemów metodologicznych.

Po pierwsze, finansista był niesamowicie niechlujnym interlokutorem, robił literówki w każdej wiadomości. O premierze Węgier Viktorze Orbánie Epstein pisał na przykład „Urban", nie zawsze się poprawiając – więc proste wyszukiwanie według nazwisk nie pokaże wszystkich wątków, trzeba przeczesywać maile, stosując kombinacje słów kluczowych.

Po drugie, bankier często przerzucał się z SMS-ów na maile i z powrotem, więc czytając dokumenty, trzeba przeskakiwać pomiędzy różnymi materiałami, zestawiając ze sobą daty, miejsca i kilka wątków tematycznych jednocześnie. Ale po wykonaniu takiej pracy osiąga się efekt, którego sam Epstein bardzo chciałby uniknąć: odkrywamy, że wbrew własnej narracji i zbudowanemu wizerunkowi nie był wcale człowiekiem wyjątkowym.

Gros korespondencji Epsteina to prośby typu: czy byłby w stanie załatwić bilety na mecz reprezentacji Danii na mundialu? Czy załatwi czyjemuś nastoletniemu synowi tygodniowy staż w banku inwestycyjnym?

Ani pod względem wpływów, ani majątku, ani znajomości, ani metod. Jeśli z opowieści o nim wyjąć wątki pedofilskie i osobistą obsesję na punkcie seksu z młodymi kobietami, głównie z Europy Środkowo-Wschodniej i Rosji, okaże się, że w czasach radosnej globalizacji, umiędzynarodowienia kapitału, zderegulowanego wolnego handlu i powszechnych podróży międzykontynentalnych ludzi takich jak Jeffrey Epstein były i są tysiące.

Pierwszy wniosek po przeczytaniu tych akt jako tekstu ciągłego brzmi: Epstein był przekonany, że jest człowiekiem wybitnym i ma dostęp do wiedzy niemal tajemnej.

Jedną z jego obsesji były Chiny, jego zdaniem największe zagrożenie gospodarcze dla dominacji Stanów Zjednoczonych na arenie międzynarodowej. Latem 2018 korespondował na ten temat bardzo dużo z Bannonem, umawiając się na spotkanie w jego domu w Paryżu. Pretekstem miały być „informacje wywiadowcze najwyższego szczebla", które kontakt Epsteina mu przekazał na temat Chin. Kiedy Bannon dopytuje, czego dotyczą, Epstein, wyraźnie podekscytowany, opisuje wyłaniającą się z nich wizję.

Otóż Chiny, operujące w ramach „całościowo scentralizowanej nacjonalistycznej gospodarki", chcą mocno stawiać na robotykę, automatyzację produkcji, wdrażanie zaawansowanych rozwiązań technologicznych w jak największej liczbie sektorów gospodarki. Dążą do nowych odkryć w medycynie, przyspieszają badania genetyczne, a w kwestii energii ich celem jest całkowita samowystarczalność. Przy okazji chcą uzależnić od siebie Zachód w zakresie elektroniki i technologii komunikacyjnych jak 5G. Bannon, w typowym dla tej relacji stylu, odpowiada, że to „imponujące" i że muszą o tym porozmawiać.

Tyle że niczego z tego nie można uznać za tajemną wiedzę wywiadowczą najwyższego szczebla, bo wszystko już było powszechnie znane, zanalizowane, opisane nie tylko w tajnych raportach czy adresowanych do specjalistów i polityków analizach think-tanków, ale też w tygodnikach opinii i prasie codziennej – amerykańskiej, francuskiej, brytyjskiej, niemieckiej, polskiej... I włączane w kalkulację strategiczną USA i Europy. Już od 2013 roku polityka Waszyngtonu była nastawiona na ograniczenie rozwoju technologicznego i modernizacji chińskiego przemysłu. Akurat co do tego za oceanem panował trudny do wyobrażenia sobie dzisiaj ponadpartyjny konsensus. Trend zaczął się pod koniec drugiej kadencji Obamy, kontynuowali go Trump i Biden.

A więc obaj panowie, których wyobrażamy sobie – zgodnie z ich oczekiwaniami – zakulisowymi macherami z dostępem do ekskluzywnych tajemnic, podniecali się czymś, co było oczywiste i banalne.

•

Podobnie miała się sprawa z zaangażowaniem Bannona, za pośrednictwem Epsteina, w budowanie prawicowej międzynarodówki spod znaku MAGA w Europie. Dzisiaj, po ujawnieniu trzech milionów stron akt przez Departament Sprawiedliwości, w światowych mediach i na platformach społecznościowych mnożą się eseje o tym, jak wpływowy finansista i ekscentryczny spin-doktor meblowali europejską politykę przez ostatnie 15 lat. Dowiadujemy się, że demokracją na Starym Kontynencie manipulowało dwóch ludzi: uzależniony od seksu bankier średniego kalibru i kochający teorie spiskowe myśliciel noszący zbyt duże ubrania.

Znów: nie wolno bagatelizować wpływów amerykańskiego biznesu i ruchu MAGA, na czele właśnie z Bannonem, na sytuację polityczną w Europie. Ani teraz, ani w latach minionych. Akolici Donalda Trumpa naprawdę szukali ideologicznych sojuszników, inwestując w nich miliony dolarów, pomagając budować sieci wsparcia przy użyciu przychylnych mediów, think-tanków i wydarzeń takich jak CPAC, prestiżowa konferencja światowej prawicy, obecna również od ubiegłego roku w Polsce. Naczelnym przykładem takiego zaangażowania Amerykanów w Europie są oczywiście Węgry, gdzie Bannon pielgrzymował regularnie, wysyłał swoich ludzi i skąd czerpał inspiracje – bo nie da się ukryć, że Orbán imponował mu stopniem kontroli nad zasobami państwowymi i skutecznością w walce z Georgem Sorosem, ideologicznym wrogiem numer jeden. Pod tym względem akta Epsteina są bardzo cenne, dają bowiem wgląd, nawet jeśli niewielki, w anatomię nowych relacji transatlantyckich, budowanych przez skrajną prawicę.

Trzeba jednak być bardzo ostrożnym, żeby nie przesadzić z tymi teoriami – co w wielu środowiskach liberalnych i progresywnych właśnie się dzieje. A wówczas kupujemy propagandę sukcesu Bannona, próbującego uwiarygodnić się w oczach Epsteina jako niesamowicie wpływowy, myślący siedem kroków do przodu strateg. Przypisywanie im obu tak wielkiej sprawczości jest strzałem w stopę Europy z dwóch powodów.

Po pierwsze, dajemy w ten sposób wiarę teoriom spiskowym. A po drugie, znowu zwalamy winę na kogoś innego, zapominając o własnych problemach i zaniedbaniach. Rzecz jasna, łatwiej jest żyć z przekonaniem, że to Bannon z Epsteinem doprowadzili do Brexitu czy wybrali na premierkę Włoch Giorgię Meloni niż spojrzeć w lustro i powiedzieć sobie, że sami mieliśmy w to wkład. Tak jak liberalni Amerykanie od lat powtarzają sobie, że to Rosjanie wybrali im Trumpa za pierwszym razem na prezydenta, tak teraz my znajdujemy wyjaśnienie wszystkich problemów naszego kontynentu i, szerzej, Zachodu, w aktach Epsteina.

Tymczasem trudno brać na poważnie rzeczy, w które obaj wierzyli. Bannon na przykład stwierdza, że to dzięki jego występom w niemieckich mediach przez tydzień, który spędził nad Renem i Odrą, AfD w wyborach do Parlamentu Europejskiego w 2019 roku uzyskało aż 13 procent. Strateg MAGA pisze też do Epsteina, że to on doprowadził do wygranej Zjed-

eprasa.pl e842ac5a5d

noczenia Narodowego Marine Le Pen i porażki ugrupowania Emmanuela Macrona w tych samych wyborach. Za swój największy triumf uznaje „obalenie Angeli Merkel" – choć nie tłumaczy, co ma na myśli ani jak do tego doszło.

Z kolei Epstein uważa się za sprawcę upadku rządu Theresy May, próbującej uporać się z procesem wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii tak, aby choć jedną nogą pozostać w instytucjonalnej Europie, choć wcześniej narzekał Bannonowi, że nawet „nikt z chłopaków na Wyspach, ani Boris Johnson, ani David Davies [główny negocjator warunków wyjścia z Unii w rządzie May], ani Jacob Rees-Mogg [wpływowy torys, w latach 2019-22 przewodniczący Izby Gmin], nie mają jaj" żeby przeprowadzić Brexit do końca.

Wątek wyjścia Brytyjczyków z Unii Europejskiej pojawia się zresztą w tych aktach regularnie, głównie jako opis rozwoju sytuacji korzystny dla politycznego planu Bannona i biznesów Epsteina. Choć nie wszyscy widzieli w tym jakiś wielki plan przemeblowania światowej polityki – kiedy Epstein napisał do Petera Thiela, miliardera, współzałożyciela firmy technologicznej Palantir i jednego z głównych ideologów oraz sponsorów amerykańskiej prawicy, że „Brexit to dopiero początek", ten, skonfundowany, odpisał mu pytaniem: „czego?".

•

Wiele o samoocenie i realnych możliwościach Epsteina i Bannona mówi relacja z Miroslavem Lajčákiem, byłym ministrem spraw zagranicznych Słowacji, później doradcą premiera Roberta Fico do spraw bezpieczeństwa międzynarodowego. Nikt tak jak on nie spełnia kryteriów „pożytecznego idioty" w aferze Epsteina. Był bajecznie prosty do zmanipulowania, choć jego przydatność okazała się ograniczona.

Epstein i Bannon chcieli wykorzystać przede wszystkim jego role w ciałach multilateralnych, a tych nie brakowało. Lajčák zaliczył wiele stanowisk: był dyrektorem w European External Action Service, czyli unijnej służbie dyplomatycznej, przewodniczącym sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ w latach 2017-18, a potem sekretarzem Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (OBWE). Spotykał się też z Siergiejem Ławrowem, najważniejszym dyplomatą Kremla, współtworząc słowacko-rosyjską grupę współpracy bilateralnej razem z rosyjskim wicepremierem Dimitrijem Rogozinem. Problem w tym, że dla zachodniego establishmentu pozostawał osobą całkowicie anonimową, co Epstein próbował za wszelką cenę zmienić.

Po dłuższej lekturze Miroslava Lajčáka wręcz robi się żal. Słowak ewidentnie nie miał świadomości, że jest po prostu pionkiem w grze innych, w której w dodatku on sam niewiele wygra. Epstein przedstawiał go całej masie wpływowych ludzi – tyle że oni najczęściej nie byli takim kontaktem zainteresowani. „Miro" – pod takim hasłem figuruje w korespondencji – olał Ehud Barak, były premier Izraela, którego dziś podejrzewa się o werbunek Epsteina dla Mossadu. Olali norwescy dyplomaci, których w aktach jest cała masa, i ludzie z Bliskiego Wschodu czy Indii. Nikt nie ekscytował się, słysząc „Miro", choć Epstein rekomendował go jako „znanego dyplomatę z ONZ i OBWE, a przede wszystkim – przyjaciela". Rękę do Słowaka wyciągał dopiero Bannon – choć i to nie nastąpiło od razu. Bankier stręczyciel musiał jakiś czas przekonywać go, że „Lajčák jest kluczowy, wniesie nasz ruch na nowy poziom". Żeby to się jednak stało, „musimy dać mu i jego rodzinie gwarancje bezpieczeństwa, to dla niego najważniejsze".

Bannonowi z Epsteinem zamarzyło się namaszczenie „Miro" na kolejnego prezydenta Słowacji. Wybory w 2019 r.wygrała jednak Zuzana Čaputová. Wściekły Epstein pisał, że to „kandydatka Sorosa bez doświadczenia w polityce, wyszła z NGO-sów", a Bannon grzmiał, że „gdyby Miro nas posłuchał, dziś byłby prezydentem".

Według Epsteina i Bannona Macron miał tracić władzę co najmniej cztery razy. Podobnie Mohammed bin Salman, saudyjski następca tronu i realny przywódca kraju, któremu Epstein wieszczył koniec rządów w następstwie zamordowania saudyjsko-amerykańskiego dziennikarza „The Washington Post" Jamala Khashoggiego w październiku 2018 roku. Epstein nie był nawet specjalnie oryginalny, wielu publicystów i ekspertów uważało podobnie.

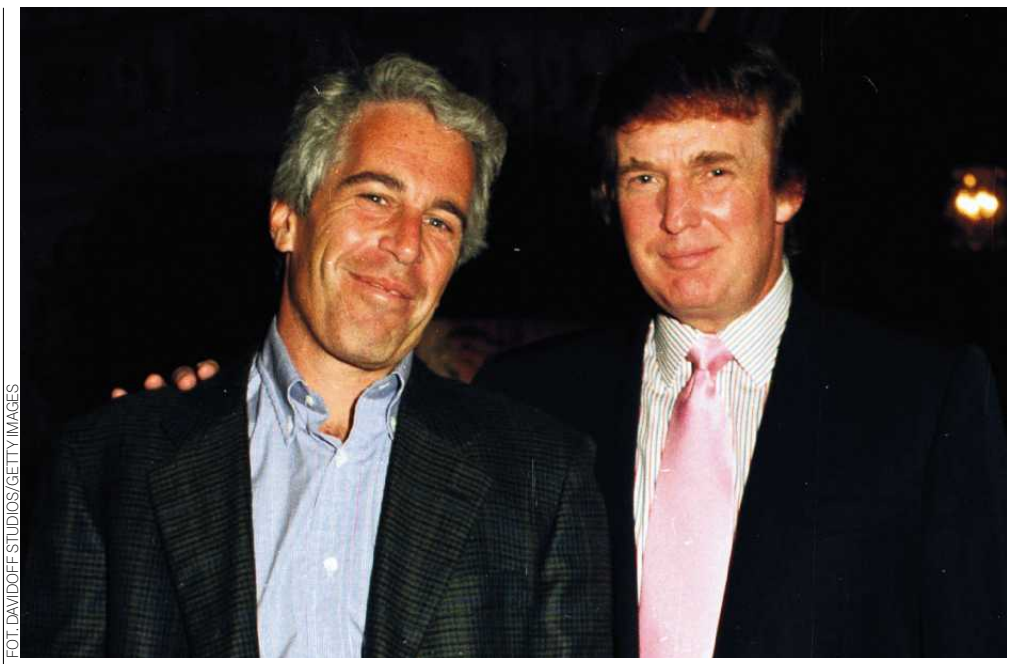

FOT. DAVIDOFF STUDIOS/GETTY IMAGES

• **Sąsiedzi z Palm Beach na Florydzie: Epstein i Donald Trump – wtedy deweloper nieruchomości – w posiadłości Trumpa Mar-a-Lago (22.02. 1997) Fot: Getty Images)**

Jednocześnie spiskowcy sami wszędzie doszukiwali się politycznych spisków – protesty w obronie demokracji w Hongkongu w 2019 roku zdaniem Bannona były „wyreżyserowane przez Chińską Partię Komunistyczną", bo Xi Jinping potrzebował kryzysu, którym mógłby uzasadnić dociśnięcie śruby społeczeństwu i skonsolidowanie władzy.

•

Paranoja wchodziła na poziom osobisty, bo w pewnym momencie Epstein zaczął przestrzegać rozmówców przed „facetem, który właśnie wyszedł na wolność po 20 latach w więzieniu i pisze do agencji modelingowych maile, które mnie oczerniają". Bankier przy całym swoim cynizmie zdaje się wierzyć, że w zarzutach o przestępstwa seksualne nie ma grama prawdy, a działania byłego skazańca „są częścią światowego dżihadu", którego on ma paść ofiarą.

Skoro jesteśmy przy osobowości Epsteina: w lekturze dokumentów ze śledztwa uderza fakt, że jak na człowieka podobno krytycznego wobec liberalnych elit i tradycyjnych instytucji, usiłującego je nadwerężyć w zmowie z innymi outsiderami i przedstawicielami wrogich Zachodowi mocarstw, niesamowicie je cenił i zależało mu na ich akceptacji. Potęgę intelektualną Ameryki uosabiały dla niego dwie uczelnie: Harvard i MIT, Massachusetts Institute of Technology. Indyjskiemu miliarderowi Anilowi Ambaniemu chwalił się, że ma na tych uczelniach „dwa własne think-tanki, które są najbardziej innowacyjnymi centrami analitycznymi na świecie".

Jeśli kontestował liberalny porządek, to w tym sensie, że uważał się albo na takiego pozował – co się nie wyklucza – za wizjonera, który dostrzega i docenia w polityce i biznesie to, czego nie dostrzega i nie docenia establishment. Ambaniemu i całej masie bliskowschodnich biznesmenów oraz polityków reklamował się jako człowiek, który „nie zajmuje się małymi sprawami, bo pochłaniają za dużo czasu". Interesowały go rzeczy wielkie i istotne: „zaawansowana matematyka, nowe technologie, robotyka, pochodzenie życia na Ziemi".

Jednocześnie nieustannie cytował media głównego nurtu – jego skrzynka tonie w newsletterach „Washington Post", rozmówcom regularnie wysyłał linki do tekstów z „The New York Timesa", POLITICO, The Hill czy „MSNBC". Jeśli były nieprzychylne wobec Trumpa czy Bannona – wyraźnie się tym przejmował, denerwował, że to zaszkodzi wspólnej sprawie. Więc jakąś miętę do alt-rightu rzeczywiście czuł – ale trudno stwierdzić, czy szczerą, czy dlatego, że w kręgach MAGA i wśród kontestatorów ładu atlantyckiego był doceniany jako wpływowy gracz i oryginalny myśliciel.

Bulwersująca relacja Epsteina z Bannonem jest tak naprawdę przyziemna i smutna: to transkrypcja wielogodzinnych rozmów dwóch facetów w średnim wieku przekonanych o własnej nieomylności

Bo jednocześnie miał swoich liberalnych do bólu ulubieńców. Imponował mu „The Financial Times", a zwłaszcza teksty felietonisty Janana Ganesha. Bannonowi zresztą też – i u ideologa MAGA ta fascynacja utrzymuje się do dziś. W środowisku europejskich dziennikarzy tajemnicą poliszynela jest fakt, że Bannon utrzymuje bliskie kontakty z Edwardem Luce'em, głównym korespondentem „FT" w Waszyngtonie. Znajomy brytyjski dziennikarz opisał mi tę relację jako *frenemies*, czyli wrogów i przyjaciół w jednym, co nie zmienia faktu, że przepływ informacji między ruchem MAGA a redakcją najważniejszej biznesowo-politycznej gazety anglosaskiego establishmentu jest stały i niezachwiany.

•

Wreszcie: jak na kogoś o takich wpływach, kontaktach i pozycji, jakie mu się przypisuje (i na kogoś absolutnie przekonanego o nieuchronnym zwycięstwie swojego projektu cywilizacyjnego), Jeffrey Epstein strasznie bał się organów ścigania. Dopytywał Bannona, czy jego nazwisko pada w kontekście kolejnych śledztw, które obejmowały Trumpa. Bannon obiecywał mu pomoc, pisząc, że „pracuje nad wysłaniem Epsteina tam, skąd nie ma ekstradycji do USA".

Wszystko to działo się na tle jawnej pogardy dla samego Trumpa, jego rodziny i otoczenia. Epstein sugerował, że deweloper celebryta był złodziejem, bo po spotkaniu z nim „należało sprawdzić, czy ma się jeszcze swój portfel w kieszeni". Śmiał się, że „nie rozumie, jak ktoś może wierzyć, że Trump jest bogaty", skoro oszukuje na podatkach i wykazuje lewe dochody, będąc bankrutem. A Jareda Kushnera, zięcia prezydenta i wówczas głównego jego doradcy, nazywał „zięciem-idiotą", z którym jednak jakoś trzeba współistnieć.

Zresztą szydził nie tylko z Trumpa. Bo choć nowojorski finansista strasznie dużo pisał o lojalności i jej znaczeniu w polityce, potrafił obrazić każdego w rozmowie z każdym. Steve Bannon był jego wielkim przyjacielem, ale już pisząc do Anthony'ego Scaramucciego, byłego dyrektora komunikacji u Trumpa, nazywał go „żulem, którego nie należy wprowadzać do namiotu".

•

Epstein był bez wątpienia człowiekiem bardzo wpływowym. Miał rozległe kontakty ze światem szpiegów i agencji wywiadowczych. Jednak błędem jest założenie, że na dnie tych milionów stron akt znajduje się jedno całościowe wytłumaczenie tej afery, niczym pierwsza komórka, z której rozrósł się cały pasożytniczy organizm. Ta historia raczej należy do takich, w których wiele rzeczy może być prawdą jednocześnie – nawet jeśli wydają się całkowicie sprzeczne. Więc Epstein pracował dla Mossadu, KGB, a prawdopodobnie również CIA i MI6, choć nie jednocześnie i w różnych celach.

Jego postać jest cenna dla opinii publicznej z innych powodów. Jak nikt skupia w sobie i ilustruje mechanizmy działania globalizacji.

Był członkiem światowych elit i jednocześnie beneficjentem ich umiędzynarodowienia się. Robił to, co miliony osób na świecie – skakał z kontynentu na kontynent w comiesięcznych odstępach, korzystając z otwartych rynków, bezwizowego ruchu, kapitału dającego polityczne wpływy. Na tle innych handlarzy informacjami i dilerów znajomości wyróżniał się uzależnieniem od seksu i upodobaniem do bardzo młodych dziewcząt. Czy raczej tym, że otwarcie o tym mówił. Bo przecież nie tym, że dziewczyny i młode kobiety uznawał za towar w handlu wymiennym kontaktami, informacjami i przysługami – lektura jego maili jednoznacznie pokazuje, że bogate i wpływowe kobiety, choćby zarządzające agencjami modelek, wiedziały, co Epstein robi z ich podopiecznymi, i w ogóle im to nie przeszkadzało. Może przy okazji afery Epsteina warto zastanowić się więc – bo chyba już trochę zapomnieliśmy choćby o sprawie producenta filmowego Harveya Weinsteina, hollywoodzkiego magnata, który przez lata napastował młode aktorki oraz oferował kariery za seks, nie tak ekscytującej geopolitycznie i agenturalnie, ale podobnie bulwersującej pod względem obyczajowym – na jakich zasadach funkcjonował świat międzynarodowego modelingu i szerzej, show-biznesu?

Mnóstwo dziś w mediach tekstów i opinii, że oto „wszyscy żyjemy w świecie Epsteina". Może trochę nie wypada nazywać naiwnymi konkluzji tak poważnych autorów, jak znana brytyjska dziennikarka śledcza Carole Cadwalladr. Ale trudno się nie uśmiechnąć gorzko, bo nie żyjemy w świecie Epsteina teraz – tylko od 30 lat. I długo nam to w ogóle nie przeszkadzało. Przecież wybuchały kolejne afery, media ujawniały kolejne obyczajowe i polityczno-finansowe skandale na szczytach władzy, co jakiś czas odsłaniały cynizm, kumoterstwo, małość i miałkość intelektualną w świecie wielkiego biznesu, kultury, polityki. Co jakiś czas odsłaniały biznesowe i towarzyskie relacje elit za kulisami ideowych sporów czy rynkowej lub międzypaństwowej rywalizacji. Ale za każdym razem oburzenie i szok mijały, bo trochę baliśmy się, że upodobnimy się do wyznawców teorii spiskowych, a trochę – że to wszystko *default setting*, ustawienie domyślne znacznej części globalnego establishmentu.

W 1992 roku w słynnej książce wieszczącej koniec historii, czyli finalną supremację demokracji i wolnego rynku, Francis Fukuyama pisał o nadejściu „ostatniego człowieka". Na ten człon tytułu mało kto zwracał dotychczas uwagę. A szkoda – bo dziś wszystko wskazuje na to, że tym fukuyamowskim „ostatnim człowiekiem" był Jeffrey Epstein, skończony produkt globalizacji. ●

eprasa.pl e842ac5a5d

DOKĄD LECIAŁ EP

Kluczowe nazwiska w rosyjskim wątku afery Epsteina

Władimir Putin

Prezydent Rosji

• Epstein chciał się z nim spotkać. W 2013 r. przygotowywał dla Putina strategiczny dokument globalnej przebudowy systemu finansowego – "Projekt Sputnik". Za jego przedstawienie miał odpowiadać były premier Norwegii Thorbjørn Jagland.

Witalij Czurkin

Ambasador Rosji przy ONZ w Nowym Jorku. Zmarł w 2017 r.

• Główny rosyjski kontakt polityczno-dyplomatyczny Epsteina, kanał dyplomatyczny Kremla. Spotkali się wielokrotnie w Nowym Jorku w latach 2015-16. To był początek kampanii prezydenckiej Donalda Trumpa i czas zwiększenia aktywności rosyjskiej w USA. Po śmierci Czurkina w 2017 r. Epstein wspominał: „Zrozumiał Trumpa po naszych rozmowach".

Prześledziłam, kiedy, przez kogo, jak i po co finansista stręczyciel utrzymywał kontakty z Rosją.

Klementyna Suchanow

Decyzja Departamentu Sprawiedliwości o publikacji akt Epsteina poskutkowała ujawnieniem ogromnej rosyjskiej operacji, której beneficjentem jest Donald Trump.

Akt jest ponad 3 miliony, a to wciąż tylko połowa. Wystarczająco jednak, by opowiedzieć, jak wyglądała współpraca finansisty stręczyciela z Rosją.

Od lat podejrzewano, że Epstein pracował dla Izraela, zastępując w tej roli swojego nieformalnego teścia, Roberta Maxwella, magnata prasowego i ojca jego długoletniej partnerki i wspólniczki w przestępstwie, Ghislaine. Jego głównym kontaktem z Izraelem były premier (1999–2001) i minister obrony (2007–13), Ehud Barak. Wszystkich trzech łączyły żydowskie korzenie wschodnioeuropejskie – rodzina ojca Epsteina pochodziła z Białegostoku i mówił on, że czuje się Polakiem. Maxwell pochodził ze wsi w Zakarpaciu, dziś ukraińskiej, a rodzina Baraka między innymi z Litwy.

Epstein poznał Ghislaine w 1991 roku, po śmierci jej ojca, który miał wypaść z własnego jachtu. Osiadłszy w Wielkiej Brytanii, Maxwell stał się potentatem medialnym, jednak wpadł w tarapaty finansowe i ponoć szantażował Mosad ujawnieniem jakichś tajemnic. Urządzono mu wysokiej rangi pogrzeb w Tel Awiwie, a schedę po niedoszłym teściu przejęli jego ulubiona, najmłodsza córka i Epstein.

Nie tylko w kontaktach z Izraelem, ale także z Rosjanami. Maxwell pomagał wyprowadzać majątek KGB po upadku ZSRR i otworzył drzwi na światowe rynki bossowi rosyjskiej mafii i współpracownikowi GRU Siemonowi Mogilewiczowi. Jak mówi były agent MI6 Christopher Steele – „wedle moich amerykańskich źródeł od wczesnych lat [Epstein] 70 był powiązany z rosyjskim światem przestępczym w Brighton Beach w Nowym Jorku". Podobnie jak jego kolega, Donald Trump.

•

Na hasło „Putin" w wyszukiwarce DOJ (Departament of Justice) pojawia się ponad tysiąc rezultatów. Wiele to artykuły prasowe i analizy polityczne, ale część rzeczywiście dotyczy Epsteina i prezydenta Federacji Rosyjskiej. Od tygodnia ludzie z całego świata próbują ułożyć fakty, wymieniając się danymi w serwisach społecznościowych, a dziennikarze przeczesują pliki i opisują, co się działo za kulisami polityki światowej w ostatnich dekadach. Skupiłam się na prześledzeniu, kiedy, przez kogo, jak i po co Epstein utrzymywał kontakty z Rosją.

Można by zacząć od notatki ze spotkania FBI z informatorem w 2017 roku, w którym pada zdanie, że „Epstein był doradcą prezydenta Władimira Putina do spraw majątku i świadczył te same usługi prezydentowi Zimbabwe Robertowi Mugabe". Ale nie wiemy, kto był źródłem tej informacji, a jej potwierdzenia nie znajdujemy w aktach DOJ, choć ewidentnie skala jego biznesu seksualnego oraz przelewy do rosyjskich banków na ogromne sumy nie mogły się odbywać bez wiedzy najwyższych władz Rosji.

Skupmy się wyłącznie na udostępnionych dokumentach – mailach, SMS-ach, kalendarzu spotkań, biletach, wizach, przelewach i tym podobnych. Na podstawie ich przeglądu jestem w stanie stwierdzić, że Epstein interesował się dotarciem do prezydenta Rosji po 2009, czyli po odbyciu kary za werbowanie i nakłanianie do prostytucji niepełnoletnich dziewczyn.

Nazwisko Putina pojawia się w jego mailach w październiku 2010 roku. Pisze wtedy do Nathana Myhrvolda, naukowca, który przez lata pracował w Microsofcie i przez którego miał poznać Billa Gatesa: „czy Putin był u ciebie na statku?". Miesiąc później miliarder z rynku nieruchomości Vlad Doronin oferuje mu pomoc z wizą do Rosji („moje biuro może to załatwić" albo „przyjaciel Putina może załatwić wizę na granicy"). W sierpniu 2011 roku emiracki biznesmen Sultan bin Suleyman pisze: „Putin może przyjedzie do Stanów. Wolałbym tam go spotkać, więc Soczi raczej nie".

Coś się wydarzyło w międzyczasie, bo w 2013 pisze do Baraka: „Putin poprosił mnie o spotkanie w Sankt Petersburgu w czasie konferencji ekonomicznej. Odmówiłem. Jeśli chce się spotkać, będzie musiał zapewnić sobie odpowiednią ilość czasu i prywatność. Zobaczymy, co się wydarzy".

•

13 maja 2013 roku pojawia się ciekawy alarm ustawiony w mailach Epsteina: „prepare putin paper" (przygotować dokument dla putina). Z kolei 19 maja: „Jagland putin sochi" (Jagland Putin Soczi). Chodzi o byłego norweskiego premiera, a wtedy sekretarza generalnego Rady Europy i przewodniczącego norweskiego komitetu noblowskiego, Thorbjørna Jaglanda. Jagland miał przedstawić Putinowi pomysł Epsteina, który ten ochrzcił mianem „Sputnik". Epstein wyjaśniał to tak w mailu z 10 maja 2013: „Kiedy ogłoszono wystrzelenie Sputnika, Zachód został zaskoczony. To samo może się teraz wydarzyć, gdy Rosja obejmie prowadzenie w dziedzinie finansów. Zamiast konkurować z Zachodem w dziedzinie nanotechnologii, naśladować Dolinę Krzemową, szukać start-upów i próbować dogonić Microsoft, Apple, Google i inne podobne firmy, Rosja może wysunąć się na czoło i wyprzedzić społeczność globalną, tworząc na nowo system finansowy XXI wieku. (...) Jak wiadomo, w latach 70. pomagałem tworzyć rynki instrumentów pochodnych w Stanach Zjednoczonych. Było to preludium do znacznie bardziej zaawansowanego, przełomowego programu sekurytyzacji *, który jest obecnie możliwy dzięki technologii. Rosja jest wyjątkowa pod względem zdolności realizacji wielkiej wizji. Nowa forma pieniądza w skali światowej. Jest to projekt znacznie większy niż jakikolwiek inny projekt przewidziany przez jakikolwiek rząd, a w gruncie rzeczy nie jest tak trudny do zrealizowania".

Jagland odpowiada mu, że nie będzie umiał tego dobrze przekazać – „ty musisz to zrobić", „moja robota polega na tym, by uzyskać spotkanie z nim" – i pyta, czy może powiedzieć Putinowi: „wiem, że chcesz przyciągnąć zagraniczne inwestycje, aby zdywersyfikować rosyjską gospodarkę", „mam znajomego, który może pomóc Ci podjąć niezbędne kroki (a następnie przedstawić Cię inwestorom)".

Lata 70.
Nowy Jork
• Według źródeł wywiadowczych to możliwe początki powiązań Epsteina z rosyjskim światem przestępczym na Brighton Beach.

1991
USA / Wielka Brytania
• Epstein poznaje Ghislaine Maxwell i wchodzi w sieć kontaktów jej ojca, Roberta Maxwella.

2002
Japonia ▸ Nowosybirsk ▸ Chabarowsk
• Podróż Epsteina prywatnym samolotem po Azji i Rosji. Według relacji części świadków na jednym z etapów lotu obecny był Bill Clinton.

2005
Palm Beach
• Policja wszczyna dochodzenie po zgłoszeniu molestowania 14-latki. Zidentyfikowano 36 ofiar.

2006
Floryda
• Prokuratura stawia Epsteinowi pierwsze zarzuty.

2008
USA
• „Tajna" ugoda – Epstein unika procesu federalnego. Zostaje skazany na 13 miesięcy w więzieniu z przepustkami.

2008–2009
Palm Beach
• Epstein odbywa kontrowersyjny wyrok z codziennym wychodzeniem do „pracy".

Październik 2010
E-mail
• Pierwsze wzmianki o Putinie w korespondencji prywatnej Epsteina.

Listopad 2010
E-mail
• Oligarcha Vlad Doronin oferuje wyrobienie wizy rosyjskiej.

2011-2012
Rosja
• Pierwsza ujawniona rosyjska wiza (po wcześniejszych krótszych), jaką udało się znaleźć, wystawiona została na rok od 18 stycznia 2011; częste pobyty w hotelu Hyatt.

Sierpień 2011
E-mail
• Emiracki biznesmen Sultan bin Suleyman wspomina o możliwości spotkania Putina.

2012
Moskwa
• W rosyjskiej wizie Epsteina jako instytucja zapraszająca widnieje „МОО ВЫМПЕЛ МОСКВА" – organizacja powiązana z elitarną jednostką specjalną FSB Wympieł.

13 maja 2013
E-mail
• W kalendarzu i alertach mailowych Epsteina pojawia się wpis „prepare putin paper", sugerujący przygotowanie materiału przeznaczonego dla Władimira Putina.

Maj 2013 r.
E-mail
• Wiadomości na temat projektu Epsteina nazwanego „Sputnikiem" – służącego przebudowie globalnego systemu finansowego. Projekt miał przedstawic Putinowi były norweski premier Thorbjørn Jagland.

Połowa 2014 r.
USA
• Po aneksji Krymu kontakt z Epsteinem nawiązuje oficer FSB na stanowisku wiceministra Rozwoju Ekonomicznego, Siergiej Bieliakow. Spotykają się 19 czerwca 2014 w domu Epsteina, czasem do siebie dzwonią.

Lipiec 2014
• Epstein uznaje, że czas po zestrzeleniu nad Ukrainą samolotu MH17 to zły moment na kontakt z Putinem.

2010–2015
Rosja
• Korespondencja wskazuje na wsparcie Olega Deripaski w sprawach wizowych i logistycznych Epsteina. W aktach znajduje się skan wizy z 2015 r.

wątek rosyjski · kontakty · procesy/śledztwa · polityka USA · ujawnianie akt

INFOGRAFIKA: DOMINIK UHLIG / WYBORCZA.PL/BIQDATA;
PRZYGOTOWANIE WERSJI DO DRUKU: ŁUKASZ RUDNIKOWSKI / WYBORCZA.PL/BIQDATA
ŹRÓDŁO: TEKST KLEMENTYNY SUCHANOW

1 RP

eprasa.pl e842ac5a5d

STEIN W SPUTNIKU

Epstein zgadza się i dodaje, że Putin „jest w wyjątkowej sytuacji, aby dokonać czegoś wielkiego, podobnie jak zrobił Sputnik w wyścigu kosmicznym. Chętnie się z nim spotkam, ale na co najmniej dwie do trzech godzin, nie krócej”.

Inny korespondent, Joi Ito, wpływowy inwestor w branży internetowej, w następnym roku pisał: „nie udało mi się przekonać Reida [Hoffmana – współzałożyciela Linked In] do zmiany grafiku, żeby pojechał z tobą na spotkanie z Putinem”, na co Epstein odpowiada, że teraz (mowa o lipcu 2014) to zły moment, bo rozbił się – w istocie został zestrzelony, z 283 pasażerami i 15 członkami załogi na pokładzie, przez rosyjskiego Buka – samolot Malaysia Airlines na terytorium samozwańczej separatystycznej republiki donieckiej.

Na razie nie udało się znaleźć potwierdzenia na spotkanie Epsteina z Putinem. Następstwo wydarzeń wskazuje jednak, że Amerykanin dostał zielone światło.

●

Okazji do spotkania było wiele, gdyż Epstein często bywał w Rosji. Pierwsza rosyjska wiza, jaką udało się znaleźć, wystawiona została na rok od 18 stycznia 2011 do 18 stycznia 2012. Epstein zatrzymywał się często w Hyatt, hotelu kolegi, ale na wizie jest też inna ciekawa informacja. W rubryce dotyczącej „czy dostał Pan kiedyś wizę do Rosji?” pada odpowiedź, że tak: w 2022 NY, 2003 NY, 2004 NY, 2006 NY, 2007 NY.

W 2002 roku Epstein rzeczywiście był w Rosji. Poleciał tam własnym samolotem razem z Ghislaine. Najpierw do Japonii i stamtąd do Nowosybirska, gdzie na pokład wsiadł… Bill Clinton, z którym polecieli do Chabarowska.

Z kolei w 2010 Epstein i jego koledzy udają się po pomoc z wizą do metalurgicznego oligarchy, jednego z zaufanych Putina, Olega Deripaski; później jest nawet mowa o przyjęciu jego asystentki do siebie. W plikach można znaleźć skan paszportu z wizą z 2015.

Ale najbardziej pikantna informacja dotyczący wizy z 2012, gdzie wpisano w rubryce dotyczącej rosyjskiej instytucji, którą zamierza odwiedzić: МОО ВЫМПЕЛ МОСКВА, czyli Międzynarodowej Organizacji Społecznej Wympieł. To elitarna jednostka w FSB do prowadzenia operacji specjalnych za granicą, zajmująca się antyterroryzmem, uwalnianiem zakładników, ale też dywersia.

Epstein przybywał do Rosji albo rejsowymi samolotami, albo swoim prywatnym Boeingiem 727-100, zwanym „Lolita Express”, miał też inne samoloty i helikopter lub wynajmował je na miejscu. Udało mi się odnaleźć bilety do Moskwy z października 2012, kiedy dodatkowo załatwiano mu rezerwację w Hyatt Hotel na 15 października 2012 w Kijowie, z kwietnia 2015, na lot Nowy Jork-Moskwa na 27 kwietnia i powrót 8 maja 2018 i ostatni, na dwa miesiące przed śmiercią, do Moskwy w kwietniu 2019 roku. Ale jest też bilet do Mińska na okres dwóch miesięcy (czerwiec-sierpień 2015 roku). Ten być może wiąże się z jego białoruską partnerką, Karyną Szuliak, która odziedziczyła po nim spory majątek.

Swoim odrzutowcem planował na przykład takie trasy, jak Londyn-Paryż-Oslo-Kijów-Sztokholm-Paryż (2011). Raz przeleciał z Pekinu do Abakanu na Syberii, Irkucka, potem do Moskwy i Petersburga (sierpień, nie znamy roku). Pod Abakanem zatrzymał się jeszcze w Sajanogorsku, skąd pochodzi Mr D., czyli nazywany tak w mailach z przyjaciółmi Deripaski. Wyjazd jest trochę turystyczny, ale odbywa również spotkania, w Moskwie mowa jest też mowa o zwiedzaniu Kremla „od środka”.

●

Barak i Jagland będą regularnie spotykać się z Epsteinem, raz, a czasem dwa razy w miesiącu w Nowym Jorku, Palm Beach, Paryżu. Zwłaszcza Norweg okaże się niezwykle efektywny i przez niego odbywają się kontakty z Putinem bądź z Siergiejem Ławrowem, najważniejszym z dyplomatów Putina.

Najpierw jakby Epstein starał się dobić do Kremla, ale teraz to Kreml stuka do jego drzwi. Od połowy 2014, czyli po aneksji Krymu, puka do niego oficer FSB na stanowisku wiceministra rozwoju ekonomicznego, Siergiej Bieliakow. Pojawił się problem sankcji, a Epstein wiedział, jak pomóc.

Po wymianie maili spotykają się 19 czerwca 2014 w domu Epsteina, czasem do siebie dzwonią. Po powrocie do Moskwy Bieliakow pisze: „przedyskutowałem to z A. Szymanowskim, wice szefem Central Banku, odpowiedzialnym za walutę BRICS ** & nowy bank rozwojowy. Najdogodniejsze daty – druga połowa sierpnia, wstępnie albo ostatni tydzień lipca”.

Z kolei Epstein w pewnym momencie doradza koledze: „Nowy bank rozwoju mógłby być wzorowany na kapitalistycznym banku komercyjnym, udzielającym kredytów w wysokości dziewięciokrotności swoich rezerw, a NIE na Banku Światowym, którego modele są przestarzałe. Można by wprowadzić monetę BRIC (zamiast bitcoina), umożliwiającą udzielanie kredytów o wartości 500 miliardów”.

Jednak potem Bieliakow traci stanowisko i zostaje przesunięty na szefa fundacji organizującej Międzynarodowe Forum Ekonomiczne w Petersburgu. Epstein jest bardzo pomocny w wyszukiwaniu potencjalnych gości, którzy po Krymie i nałożeniu na Rosję sankcji są mniej chętni jeździć do Rosji.

Teraz Bieliakow pomoże mu z wizą. Asystentka Epsteina, Lesley Groff, dopytuje kogoś: „Jeffrey pyta jak tam sprawa rosyjskiej wizy”, a potem informuje: „rozmawiałam z osobą od Siergieja, aby ułatwić proces ubiegania się o wizę dla Jeffreya. Sergiej obiecał zapewnić nam wszelką pomoc niezbędną do uzyskania wizy”. Faktycznie odnajduję wizę Epsteina na rok 2015 z adresem Forum.

W 2015 roku poznał Bieliakowa z Ehudem Barakiem, rok później z kolei ten polecił mu swojego partnera, Rubena Verdanyana, biznesmena z Górskiego Karabachu cieszącego się bliskim, długoletnim dostępem do Putina. Epstein przyjmował u siebie także Tsakhiagiina Elbegdorja, prezydenta Mongolii, gdzie Barak próbował sprzedać izraelskie technologie bezpieczeństwa. Zainteresowany był również Koreą Północną. Takie miejsca uznawał za okazje dla siebie.

●

Co jednak istotne w kategorii geopolitycznej i co wywiera skutek na naszą obecną sytuację, to poznanie na początku lipca 2015 Bieliakowa z Peterem Thielem – współtwórcą PayPala, jednym z najbardziej wpływowych inwestorów technologicznych, filozofem amatorem wpływającym na libertariańsko-feudalną ewolucję poglądów w Dolinie Krzemowej, a przede wszystkim właścicielem Palanti-

Siergiej Bieliakow

Wiceminister Rozwoju Ekonomicznego Rosji, później wysoki urzędnik Forum Petersburskiego. Powiązany z FSB.

• Nawiązał kontakty z Epsteinem w 2014 r., po rozpoczęciu okupacji przez Rosję Krymu. Spotykali się w domu Epsteina, rozmawiali m. in. o sankcjach na Rosję. Bieliakow ułatwiał Epsteinowi otrzymywanie rosyjskich wiz, z kolei Epstein poznał go z amerykańskimi miliarderami Peterem Thielem i Thomasem Pritzkerem.

Oleg Deripaska

Bliski Kremla rosyjski oligarcha.

• Od 2010 r. pomagał Epsteinowi w sprawach wizowych i logistycznych, ułatwiał mu kontakt z rosyjskimi elitami.

Vlad Doronin

Miliarder z branży nieruchomości związany z Kremlem

• Już w 2010 r. oferował Epsteinowi „załatwienie wizy rosyjskiej”, nawet „na granicy”. Miał być kanałem dojścia do Putina i otoczenia prezydenta

30 maja 2015
Nowy Jork
• Pierwsze spotkanie Epsteina z ambasadorem Rosji przy ONZ Witalijem Czurkinem.

2015
• Epstein poznaje Bieliakowa z Ehudem Barakiem.

2015-2016
Nowy Jork
• Epstein regularnie spotyka się z Czurkinem. Część spotkań odbywa się w prywatnych mieszkaniach w pobliżu siedziby ONZ.

Czerwiec 2015
USA
• Dwa tygodnie po spotkaniu z Czurkinem Trump ogłasza start w wyborach.

2015
USA / Moskwa
• Epstein ułatwia kontakt Bieliakowa (rosyjski urzędnik powiązany z FSB) z milionerami z USA – Peterem Thielem i Thomasem Pritzkerem.

2015
Nowy Jork
• Od 2015 roku osoby pojawiające się w kalendarzu Epsteina (Ehud Barak, Thorbjørn Jagland, Witalij Czurkin, Siergiej Bieliakow, Peter Thiel) zaczynają się regularnie przeplatać w spotkaniach i korespondencji.

2015–2016
USA
• Rozległe kontakty Epsteina z Ickowem, Rykowem i Drokową.

2015-2019
Rosja / Europa Wschodnia
• Dokumenty DOJ wskazują na powtarzające się podróże Epsteina do Rosji oraz krajów regionu aż do 2019 roku, w tym na krótko przed jego aresztowaniem.

26 sierpnia 2016
Nowy Jork
• Spotkanie: Czurkin – Barak – Tom Barrack (doradca Trumpa).

Wrzesień 2016
Nowy Jork
• Spotkanie Czurkin – Thiel u Epsteina.

Listopad 2016
E-mail
• Bieliakow pisze do Epsteina: „Congrats with your President”.

2017
USA / Europa
• Bannon i Epstein nawiązują ścisły kontakt. Powstaje plan ekspansji MAGA w Europie.

Kwiecień 2019
Rosja
• Ostatnia podróż Epsteina do Rosji.

Lipiec 2019
USA
• Ponowny areszt Epsteina za handel nieletnimi i przestępstwa seksualne.

Sierpień 2019
Nowy Jork
• Epstein zostaje znaleziony martwy w celi. Oficjalna wersja to samobójstwo przez powieszenie.

2021
USA
• Ghislaine Maxwell zostaje skazana na 20 lat więzienia za udział w siatce Epsteina.

2024–2026
USA
• Publikacja milionów stron akt na podstawie orzeczeń sądowych, wniosków FOIA i działań DOJ/FBI, określanych zbiorczo jako „Epstein files”.

FOT. SHUTTERSTOCK (3); SPUTNIK/VYACHESLAV PROKOFYEV/POOL VIA REUTERS; ESTONIAN FOREIGN MINISTRY; BARAK WEIZMANN; LUCA MARFE/MFA; DAN TAYLOR/WWW.HEISENBERGMEDIA.COM; MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl e842ac5a5d

Dmitrij Ickow

Rosyjski przedsiębiorca powiązany z medialnym aparatem Kremla
• Po 2015 r. kontaktował się z Epsteinem w Nowym Jorku. Współpracował z propagandystą Kremla Konstantinem Rykowem, zaangażowanym w operacje informacyjne Kremla.

Ehud Barak

Były premier Izraela
• Stały partner biznesowy Epsteina ułatwiający powiązania między Izraelem, Rosją i Zachodem.

Thorbjørn Jagland

Były premier Norwegii
• Pośrednik w propozycji przedstawienia Putinowi projektu „Sputnik".

Peter Thiel

Miliarder, właściciel Palantira
• Cel kontaktów rosyjskiej dyplomacji za pośrednictwem Epsteina i Bieliakowa.

Tom Barrack

Doradca Donalda Trumpa
• Część spotkań w 2016 r. z Czurkinen i Barrakiem odbywa się u Epsteina — okres bezpośrednio przed wyborami.

Steve Bannon

Strateg Donalda Trumpa
• Od 2017 r. zacieśnia relacje z Epsteinem, tworząc plan ekspansji idei "Make America Great Again" w Europie.

ra – firmy dostarczającej największym rządom analityczno-inwigilacyjną cyberbroń. Z Thielem łączyła go długoletnia znajomość, zresztą zainwestował w jego fundusz Valar Ventures dla fintechów i start-upów. Thiel był jednym z nielicznych prominentnych miliarderów z Doliny Krzemowej, którzy otwarcie poparli Trumpa i wpłacił 1,25 miliona dolarów na jego kampanię.

Bieliakow po spotkaniu z nim i milionerem Thomasem Pritzkerem cieszył się, że zrozumiał „jak ludzie tacy jak Tom i Peter postrzegają obecną sytuację. I nie chodziło tylko o Rosję. Nawiasem mówiąc, byłem zaskoczony, że mieli tak wiele informacji na temat rosyjskiej gospodarki i naszego społeczeństwa. (...) Peter [podzielił się opinią] na temat nowych wyzwań dla wszystkich rządów. Chciałbym spotkać się z nimi w Moskwie i zastanawiam się nad programem spotkania dla nich obu. Peter jest gotowy, ponieważ powiedział mi, że przyjedzie".

Przysługa za przysługę, dwa tygodnie później Epstein pisze do rosyjskiego kolegi, że ma pewną prośbę i prosi o sugestie, gdyż pewna rosyjska *escort girl* szantażuje w Nowym Jorku ludzi biznesu, co „jest złe dla wszystkich zaangażowanych". Bieliakow dostarcza mu informacji, że dziewczyna działa sama i nie ma „patrona".

W roku 2016, dla Ameryki kluczowym – w listopadzie odbędą się wybory prezydenckie – Bieliakow przenosi się do rządowego Russian Direct Investment Fund, którym kieruje technokrata Kirił Dmitriew, bliski współpracownik Putina. który ostatnio był jego osobistym wysłannikiem na tajne negocjacje z Amerykanami w sprawie wojny w Ukrainie. Zależy mu wtedy bardzo na spotkaniu z hakerem Epsteina, Vincenzo Iozzo, którego rady na temat nowego ekosystemu bitcoinów Mycelium Amerykanin przekazuje Rosjaninowi. Mają się spotkać w Stanach, bo Iozzo pisze: „nie mogę jechać do Rosji ani do kilku innych krajów Europy Wschodniej". Siergiej próbuje także nawiązać kontakt z Googlem, a gdy Epstein oferuje pomoc – odpowiada, że nie trzeba, bo „moja komunikacja z centralą [Google'a] idzie przez biuro w Moskwie".

•

Wszystkie te osoby, które można znaleźć w skrzynce mailowej Epsteina i w jego kalendarzu spotkań, od 2015 roku zaczynają się ze sobą przeplatać. Na przykład Bieliakow poznaje się z Barakiem w domu Epsteina, są śniadania i lunche z Jaglandem i z Thielem. W pewnym momencie do tej ekipy dołącza przedstawiciel Rosji przy ONZ w Nowym Jorku, Witalij Czurkin – agresywnie i elokwentnie broniący stanowiska Moskwy.

W 1946 roku zwycięskie i wyzwolone narody wybrały Nowy Jork na siedzibę dla nowopowstałej Organizacji Narodów Zjednoczonych – i dla ZSRR od razu stała się ona doskonałą bazą do działań szpiegowskich dzięki immunitetowi urzędników.

Od momentu, gdy na scenę wkracza Czurkin, wydarzenia nabierają tempa. 30 maja 2015 Epstein dostaje zaproszenie do domu Czurkina na godzinę 20. O czym rozmawiają, mogą wskazać trzy rzeczy. Pierwsze to wspomnienie Epsteina po śmierci Czurkina w lutym 2017 roku: „Był świetny. Zrozumiał Trumpa po naszych rozmowach". Drugie to chronologia wydarzeń: dwa tygodnie po ich spotkaniu Donald Trump zjechał schodami ruchomymi w Trump Tower z Melanią przy boku i ogłosił start w wyborach prezydenckich. Epstein, stary druh Trumpa, nie był z nim wtedy w dobrych relacjach, poróżniła ich historia sprzedaży willi, która trafiła po zawyżonej cenie do oligarchy Dymitra Rybołowlewa, co uznaje się za rodzaj korupcji. Mimo to cytowane na początku źródło FBI twierdzi, że „wiosną 2015 roku prezydent Trump był u Epsteina na lunchu".

2 sierpnia 2015 roku Epstein informuje „wieczorem kolacja musk thiel zuckerburg", skomentuje to potem krótko: „wild" (dziko).

„Polska i kraje bałtyckie są ważne", dlatego „powinniśmy natychmiast przejrzeć szeregi MEGA w Polsce" – pisał Steve Bannon do Epsteina dzień przed aresztowaniem finansisty w 2019 r.

Jednocześnie – to trzecia wskazówka co do tematu rozmów z Czurkinem – Epstein jest w kontakcie z młodym Rosjaninem Dmitrim Ickowem. To o tyle ciekawa znajomość, że oprócz pasji do innowacji w technologiach i zainteresowania cyborgami Ickow miał związek z człowiekiem, który wprowadzał Putina w internet. Chodzi o Konstantina Rykowa, zwanego też „trollem Kremla". Prowadzili razem holding medialny (gazety internetowe, portale, sieci erotyczne) zaprzęgnięte do celów piarowych na rzecz władzy – i właśnie w połowie 2015 przeniósł się do Stanów.

Tu przeniesie się także w 2017 roku Masza Drokowa, która otworzy fundusz inwestujący w startupy technologiczne, między innymi zajmujące się sztuczną inteligencją, technologią blockchain i fintech, czyli cyfrowymi usługami finansami. Epstein będzie jej doradzał, a ona będzie dbać o jego PR. Drokowa pełniła w systemie ministra propagandy Władimira Surkowa podobną rolę do Rykowa. Raz po wieczornej rozmowie z Maszą i niejakim Bryanem Epstein wsiadł w samolot do Paryża, a potem alerty w jego kalendarzu pokazują loty do Moskwy, Nowosybirska i Jekaterynburga.

Od kilku lat Epstein utrzymywał też kontakt z człowiekiem z trollerskiego, w znacznej mierze incelskiego i altrightowego forum 4chan, który wspierał prawicowych youtuberów, a niedługo przed wyborami prezydenckimi w 2016 roku wypuści teorię spiskową o – nomen omen – pedofilach wśród Demokratów, czyli tak zwaną Pizzagate. To wszystko się dzieje, podczas gdy Epstein spotyka się z Czurkinem (w sumie naliczyłam 11 razy). Nawiązuje również relację z jego synem Maximem (po MGIMO – Moskiewskim Państwowym Instytucie Stosunków Międzynarodowych, czyli elitarnej, założonej w ZSRR szkole dyplomatów i szpiegów – i biznesowych studiach MBA w Nowym Jorku), któremu pomaga znaleźć pracę.

Kolejne spotkania odbywają się już u niego, trzy przecznice od domu Czurkina. W tym dwa razy mają szansę spotkać się razem z Ehudem Barakiem, a na jednym spotkaniu są razem Czurkin i Thiel – na miesiąc przed wyborami w listopadzie 2016 roku. Tematy spotkań może oddawać lista pytań kolegi Epsteina przesłana do Czurkina: „Erdogan. Jego celem jest konsolidacja władzy. Czy jako hasło mobilizujące Turcję wykorzysta nacjonalizm czy islamizm? Syria. Jakie są interesy Rosji w Syrii? Iran. Czy porozumienie nuklearne zostanie utrzymane, czy też zostanie zerwane? Biały Dom. Jak wyrównana musi być rywalizacja, aby Rosjanie zafundowali nam październikową niespodziankę? Która z wiadomości e-mail Hillary była najbardziej zabawna?".

Epstein tkał swoją sieć i zaczął się częściej spotykać z Tomem Barrackiem, milionerem, który został starszym doradcą w kampanii Trumpa. 26 sierpnia 2016 roku odbył się pierwszy lunch u Epsteina w składzie: Witalij Czurkin, Ehud Barak i Tom Barrack. Drugi planowany był na dwa miesiące przed wyborami w szerszym gronie: „Czurkin, Jagland, Pritzker, Woody, Kathy, Tom Barrack, Wolfe, Andrew Farkas".

Gdy Trump wygrywa wybory, Bieliakow pisze „Congrats with your President)".

•

Kiedy Bannon, jeden z najważniejszych ideologów amerykańskiego alt-rightu, z którego wypączkował ruch Make America Great Again, i architekt sukcesu Trumpa, rozstał się z nim w 2017 roku, zszedł się z Epsteinem, który żartował: „trump budzi się zlany potem w środku nocy, kiedy słyszy, że jesteśmy przyjaciółmi". To przy nim Bannon zaczął planować ekspansję ruchu MAGA na Europę pod akronimem MEGA – Make Europa Great Again. Jego wysiłki stały się widoczne zwłaszcza przed wyborami do europarlamentu, gdy próbował zjednoczyć siły nacjonalistyczne w ruchu The Movement.

Bannon był świadom, że przyłapanie go z Epsteinem może być kłopotliwe wizerunkowo, dlatego wchodził do jego domu od tyłu. Wymieniali ze sobą w tym okresie mnóstwo komentarzy na tematy polityczne, Epstein poznał go z Barakiem, doradzał mu, a Bannon zdawał relację ze swojego tournée po Europie i zamierzał nakręcić dokument o Epsteinie, żeby go zrehabilitować.

Zgadzali się co wizji. Epstein głównie zajęty był wprawdzie seksem i robieniem biznesów, ale teraz wszedł mocno w politykę i pisał do Thiela: „Brexit to tylko początek", „powrót do plemienności. sprzeciwić się globalizacji. niesamowite nowe sojusze". I zwierzał się: „Jagland spotyka się z Ławrowem Putinem i przylatuje w pt prosto do Paryża. Zostaje na noc u mnie" (czerwiec 2018).

18 maja 2019 Bannon pisze do Epsteina: „big problem" – dotyczy to upadku prawicowego rządu w Austrii po tak zwanej Ibizagate (czyli prowokacji z podstawioną rzekomą bratanicą rosyjskiego oligarchy, przy której wicekanclerz Heinz-Christian Strache z eurosceptycznej, radykalnie prawicowej FPO, Wolnościowej Partii Austrii, zgodził się na korupcję) i dostaje odpowiedź: „Rosjanie są dobrzy w tym, co robią od lat". A kiedy do Epsteina odezwał się Sebastian Kurz, ówczesny premier Austrii, że chce nawiązać kontakt z Bannonem, zażartował „Epstein Bannon Kurz. Trochę za blisko do Bronshtein, Goebbels".

Epstein użyczał Bannonowi swój samolot, proponował noclegi w swoich mieszkaniach, sprezentował mu i jego synowi drogi smartwatch Apple i oferował wsparcie finansowe dla ruchu. Od publikacji akt Epsteina nad europejską prawicą zawisł ponury cień, nie tylko z powodu ohydnych przestępstw, ale także z uwagi na niebezpieczne powiązania. Bannon pisał na dzień przed aresztowaniem Epsteina w 2019: „Polska i kraje bałtyckie są ważne", dlatego „powinniśmy natychmiast przejrzeć szeregi MEGA w Polsce". ●

• * W świecie finansów – pozyskiwanie kapitału poprzez przekształcenie wyodrębnionych aktywów – na przykład wierzytelności – w papiery wartościowe, czyli akcje lub obligacje, które emitent – przedsiębiorca czy korporacja – wypuszcza na giełdę.

• ** Blok wschodzących i odradzających się mocarstw kwestionujących przywództwo Zachodu, który pierwotnie skupiał Brazylię, Rosję, Chiny, Indie i RPA, a teraz poszerza się o kolejne kraje dawnego Trzeciego Świata.

Klementyna Suchanow

• urodzona w 1974 roku, pisarka, dziennikarka śledcza, autorka między innymi nagradzanej biografii „Gombrowicz. Ja, geniusz" i książki śledczej „To jest wojna. Kobiety, fundamentaliści i nowe średniowiecze", jedna z liderek Ogólnopolskiego Strajku Kobiet. Współautorka raportu „Kontrrewolucja kulturowo-religijna. Czy Polsce grozi prawo podporządkowane ideologii chrześcijańskich fundamentalistów?". Członkini działającej przy ministrze sprawiedliwości komisji do spraw wyjaśnienia mechanizmów represji wobec organizacji społeczeństwa obywatelskiego oraz działaczy społecznych w latach 2015-23.

eprasa.pl e842ac5a5d

• Władimir Putin urodził się 7 października 1952 r. w Leningradzie (dziś Sankt Petersburg). Tam spędził dzieciństwo i młodość oraz ukończył studia prawnicze na Państwowym Uniwersytecie Leningradzkim. Na zdjęciu: Putin w 1983 r.

FOT. ZUMA PRESS, INC. / ALAMY STOCK PHOTO

CO CZUŁ PUTIN, KIEDY PATRZYŁ NA MATKĘ

Chciał tylko dobrze zarabiać i cieszyć się życiem. Jak Putin stał się tym, kim jest

Z **ROMANEM BADANINEM*** ROSYJSKIM DZIENNIKARZEM ŚLEDCZYM ROZMAWIA **WIKTORIA BIELIASZYN**

W podtytule książki „The Tsar Himself. How Vladimir Putin Deceived Us All", stawia pan wspólnie z Michaiłem Rubinem pytanie: „Jak Putin oszukał nas wszystkich". No właśnie: jak?
– Putin poświęcił na to 26 lat życia. I to jeśli liczyć tylko okres sprawowania przezeń władzy, ale ten proces trwał dłużej. Nie jest więc łatwo krótko odpowiedzieć, ale spróbuję: przez te wszystkie lata udawał kogoś, kogo chcieliśmy w nim widzieć. Mówiąc wprost: nieprzerwanie kłamał, bardzo umiejętnie i sprawnie.

Na te kłamstwa nabieraliśmy się nie tylko my w Rosji, również obywatele i przywódcy innych krajów – a on na różnych etapach kariery politycznej udawał kogoś innego.

Kiedy Rosjanie potrzebowali silnego przywódcy, Putin wchodził w jego rolę, a kiedy świat chciał w nim widzieć prozachodniego lidera i partnera do demokratycznej rozmowy – wchodził w tę rolę.

Przed Zachodem Putin udawał najbardziej na początku rządów, kiedy chciał sprawiać wrażenie prodemokratycznego liberała.
– Nie, to nie do końca tak. Nie chcę, żeby ktoś odniósł wrażenie, że Putin już w czasach młodości czy wczesnej dojrzałości, był – jak to dzisiaj modnie mówić – imperialistą. Prawda jest prozaiczna – on jest zwykłym biurokratą, tylko że niepozbawionym talentów. A jego niejednoznaczny pierwszy etap kariery sprawił, że gdy zajął się polityką, łatwiej było mu od samego początku kogoś udawać.

Kiedy jako stosunkowo młody były funkcjonariusz KGB, a potem FSB, i lokalny polityk z Petersburga doszedł w 1999 r. do ogólnokrajowej władzy, w Rosji mało kto go znał, nie mówiąc o świecie. Potrzebował więc jakiejś opowieści o sobie, która byłaby dobrze odbierana.

To nie oznacza, że Putin chciał ukryć jakąś swoją naturę, na przykład imperialną. On w tamtym momencie chciał po prostu rządzić, zarabiać pieniądze, cieszyć się uzyskanymi uprawnieniami i tak dalej. Dlatego założył maskę „wygodnego faceta", z którym można się dogadać.

Czytając pańską książkę, można odnieść wrażenie, że Putin nie kieruje się konkretną ideologią i nie jest imperialnym wielkoruskim fanatykiem, tylko oportunistą. Wiele osób się z pańską opinią nie zgadza.
– Wszystkim wygodniej jest operować stereotypami, ale ja jestem dziennikarzem i nie mogę sobie na to pozwolić. Wiem to, co wiem. Ideologiczne metki – wszystko jedno jakie i która strona je przypina – mnie irytują.

Putin ma oczywiście poglądy. Jak każdy człowiek. W końcu, przepraszam za oczywistość, każdy z nas przeżywa życie, nasze opinie i wartości kształtują dobre i złe doświadczenia. Ale żeby wystawić mu ocenę, na jaką zasługuje, nie trzeba wymyślać dodatkowych zarzutów.

Jest złym człowiekiem – ma na koncie ogromną liczbę obrzydliwych czynów" zabijał ludzi na długo przed rozpętaniem wojny przeciwko Ukrainie, kradł, kłamał, szantażował. Imperializm czy kolonializm to ideologicz-

eprasa.pl e842ac5a5d

ne stereotypy potrzebne innym osobom dla wzmacniania własnej narracji politycznej. Nie trzeba wymyślać dodatkowego zła w przypadku postaci, której jest główną składową.

Jeśli więc nie imperializm, to co skłoniło go do napaści na Ukrainę?
– Zło, seria popełnionych błędów i niepokrywające się z rzeczywistością przekonania. Podobnie było w przypadku wielu innych wojen. Co doprowadziło do wojny w Wietnamie, która była przecież dla Ameryki wstrząsającym doświadczeniem? Również seria błędnych założeń. W Waszyngtonie wydawało się, że komuniści zaraz przejmą władzę nad światem. Putin też nieprawidłowo oceniał sytuację. Wydawało mu się, że NATO za chwilę przejmie władzę w Europie i na pewno stanie się realnym zagrożeniem dla Rosji.

Ale były i są też czynniki wewnętrzne, które miały ogromne znaczenie. Putinowi wojny są potrzebne, żeby utrzymać władzę. Co zresztą nie jest czysto putinowskim fenomenem, w wielu miejscach na świecie różni przywódcy kierują się tą samą zasadą.

No i jeszcze fakt, że Putin jest ogólnie skłonny do stosowania przemocy. Przekraczanie tej granicę nie jest dla niego większym problemem.

Co ma pan na myśli?
– To, że tam, gdzie inny polityk raczej się powstrzyma i ograniczy do gróźb czy ostrzeżeń, Putin bez mrugnięcia okiem działa na maksa.

To nie kojarzy mi się wcale z oportunizmem, tylko właśnie z fanatyzmem.
– Putin nie jest robotem. Putin nie jest diabłem. Putin jest człowiekiem, który, jak każdy, ma jakieś cechy charakterystyczne. Putin jest człowiekiem złym, który atakuje nie w ramach samoobrony, tylko w odpowiedzi na zagrożenie: prawdziwe lub wyobrażone. Wojnę przeciwko Ukrainie początkowo wyraźnie postrzegał jako „mały, zwycięski konflikt", który miał pomóc mu zjednoczyć lud, elitę polityczną i przy okazji pokazać podwładnym, kto tu rządzi. W pewnym stopniu mu się to udało

Okej, przyjmijmy, że Putina nie należy traktować jako prawdziwego imperialisty. Ale już sam imperializm wpisany jest w jego wizerunek dość wyraźnie i, jak rozumiem, świadomie?
– Zacznijmy od tego, że mało kto myśli kategoriami imperium. Oczywiście, Rosja jest dużym krajem i bardzo wielu jej mieszkańców myśli kategoriami dużego kraju. Tak samo, jak Amerykanie i wielu innych. W Polsce też jest spora grupa prawicowego elektoratu, która myśli o Polsce jak o wielkim kraju.

Ale wróćmy do początków Putina. On zaczynał z wizerunkiem silnego przywódcy, którego celem jest zbieranie ziem – wykorzystując bóle fantomowe po rozpadzie ZSRR, bo jeśli idzie o samą Rosję, to nie było potrzeby niczego zbierać, przecież w naszej historii to pojęcie odnosi się do zupełnie innego okresu, do jednoczenia i podporządkowywania przez Moskwę księstw i miast-państw dawnej Rusi w późnym średniowieczu. Ale Putin w pełni wykorzystał ten wizerunek. Zaczęło się od Czeczenii, Kaukazu, a także pozbawienia znacznej części suwerenności rosyjskich regionów, choćby odebrania im prawa do wyborów gubernatorów. Wtedy to wszystko było postrzegane jako działania silnego polityka, zdecydowanego państwowca.

Świat widzi dzisiaj w Putinie, i słusznie, dyktatora, zbrodniarza wojennego, krwiożerczego najeźdźcę. Pan, dziennikarz śledczy, który przygląda się mu od 26 lat i ujawnił w tym czasie mnóstwo nieznanych wcześniej faktów, przypomina, że to przede wszystkim człowiek. Jak by pan go opisał?
– W życiu, w odróżnieniu od świata komiksów, nie ma bohaterów, którzy mają tylko dobre albo tylko złe cechy. Putin, jak każdy, jest mieszanką. Ważne jest coś innego, mianowicie, że władza zmienia ludzi. Nie tylko w Rosji. Im bardziej zepsuty system władzy, w którym dany człowiek zaczyna wiele znaczyć, tym silniej zmienia się on na gorsze. A Putin otrzymał nieograniczoną władzę. Prezydent Rosji jest samcem alfa trzeciego stopnia. Zupełnie zgodnie z obowiązującym prawem prezydent może praktycznie wszystko. Człowiek nagle staje się głową państwa, w którym może zrobić absolutnie wszystko. Pozostanie zwyczajny? Szczery? Normalny? Bliski ludziom?

Tymczasem Putin już na starcie taki nie był. Na co wpływ miała jego pierwsza i najważniejsza praca, w której nasiąkł metodami KGB. Do dziś widzimy, że on wykorzystuje swoje umiejętności i doświadczenie kagebisty jako polityk. Wszystko trzyma w ścisłej tajemnicy, a dla osiągnięcia celu nie waha się sięgnąć po najbrudniejsze środki.

Coś jeszcze?
– Słynna korupcja. Pamiętajmy, że mówimy o Rosji lat 90. i początku dwutysięcznych, kiedy kraj przekształcał się z biednego w bogaty i pojawiło się w nim dużo pieniędzy. Korupcja w Rosji odbywała się wtedy na szokującą, trudną do wyobrażenia, skalę. W książce przypominamy ważny epizod z przełomu 2007 i 2008 roku, kiedy nadszedł czas, aby na dobre odszedł ze stanowiska. Kończyła się jego druga kadencja, ostatnia możliwa zgodnie z ówczesnymi przepisami. I on, i jego najbliższe otoczenie brali pod uwagę, że nie uda mu się wrócić na prezydencki fotel. Więc co zrobili? Zaczęli kraść w przyspieszonym tempie. Gazprom był w tym okresie dosłownie rozniesiony, bo było jasne, że Putin odchodzi, więc trzeba spieszyć się z dzieleniem tortu, póki można.

Korupcja to nie jedyny jego grzech.
– Oczywiście, ale epizody korupcyjnie silnie na niego wpłynęło. To jak z przestępcą, który próbuje ukryć swoje zbrodnie, dopuszczając się kolejnych. W książce czy w filmie zabójca zabija świadka wcześniejszej zbrodni, problem w tym, że i to morderstwo prawdopodobnie ktoś widział, więc historia się powtarza, i tak w kółko. Putin ma dzisiaj sposób myślenia zbliżony do wielokrotnego recydywisty. Jego ćwierć wieku w polityce to seria zamiatanych pod dywan przestępstw. A mimo to, jako dziennikarz, który nie czerpie przyjemności z rysowania demonicznych obrazów, wciąż podkreślam, że Putin jest człowiekiem, produktem swojej epoki. Ma liczne wady, ma jakieś zalety. Jak wiadomo, Hitler też kochał dzieci i zwierzęta. Putin kocha dzieci – swoje, może kocha też swoje zwierzęta, a już na pewno w jakimś stopniu kochał rodziców. Ale władza jest straszną rzeczą. Wszędzie. Po prostu w Rosji przy Putinie wydarzyło się przez nią wiele wyjątkowo paskudnych rzeczy.

Tylko że Putin nie był miłym i puszystym kotkiem już w młodości. Pan i Michaił Rubin, współautor książki, dzielicie jego otoczenie z tamtych czasów na trzy grupy: „bandyci", „czekiści" i „piterscy", czyli wywodzący się z Petersburga. To otoczenie, które najtrafniej nazwać przestępczym, w dużej mierze młodego Putina ukształtowało.
– Na każdego z nas istotny wpływ wywiera nasze najbliższe środowisko. Czekiści, czyli KGB, nauczyli Putina okrucieństwa, skrytości i kultu siły. Nauczyli zatajać i ukrywać informacje, co jest jedną z ważniejszych części jego natury.

„Bandyci" to przede wszystkim byli sportowcy, z którymi młody Putin trenował judo i sambo. Reprezentowali sobą mniej więcej to samo, ale dodatkowo nauczyli go zuchwałości, takiej, zgodnie z którą jeśli uważa się, że trzeba uderzyć, to się to od razu robi. Utwierdzili go też w przekonaniu, że nie wszystko musi odbywać się zgodnie z prawem. Że nie trzeba go respektować, wręcz przeciwnie, jeśli się czegoś chce, to łamanie go jest jak najbardziej dozwolone.

A „piterscy"?

FOT. DOMENA PUBLICZNA

FOT. LASKI DIFFUSION/EAST NEWS

• **Z matką Marią Iwanowną (1911-1998) w 1958 r. Putinowie: Maria i Władimir Spiridonowicz mieli trzech synów, z których przeżył tylko Władimir.**

• **Z Eleną, koleżanką z klasy na imprezie w Lenigradzie w 1970 r. Elena została żoną Siergieja Kudrowa, także szkolnego kolegi Putina**

• **Z żoną Ludmiłą i córkami Marią (ur. 1985 r.) i Jekateriną (ur. 1986 r.) Zdjęcie zrobiono gdzieś w Rosji około 1990 roku**

FOT. RUSSIAN ARCHIVES / AVALON / BE&W

Człowiek nagle staje się głową państwa, w którym może zrobić absolutnie wszystko. Pozostanie zwyczajny? Szczery? Bliski ludziom? Putin już na starcie taki nie był

1 RP

eprasa.pl e842ac5a5d

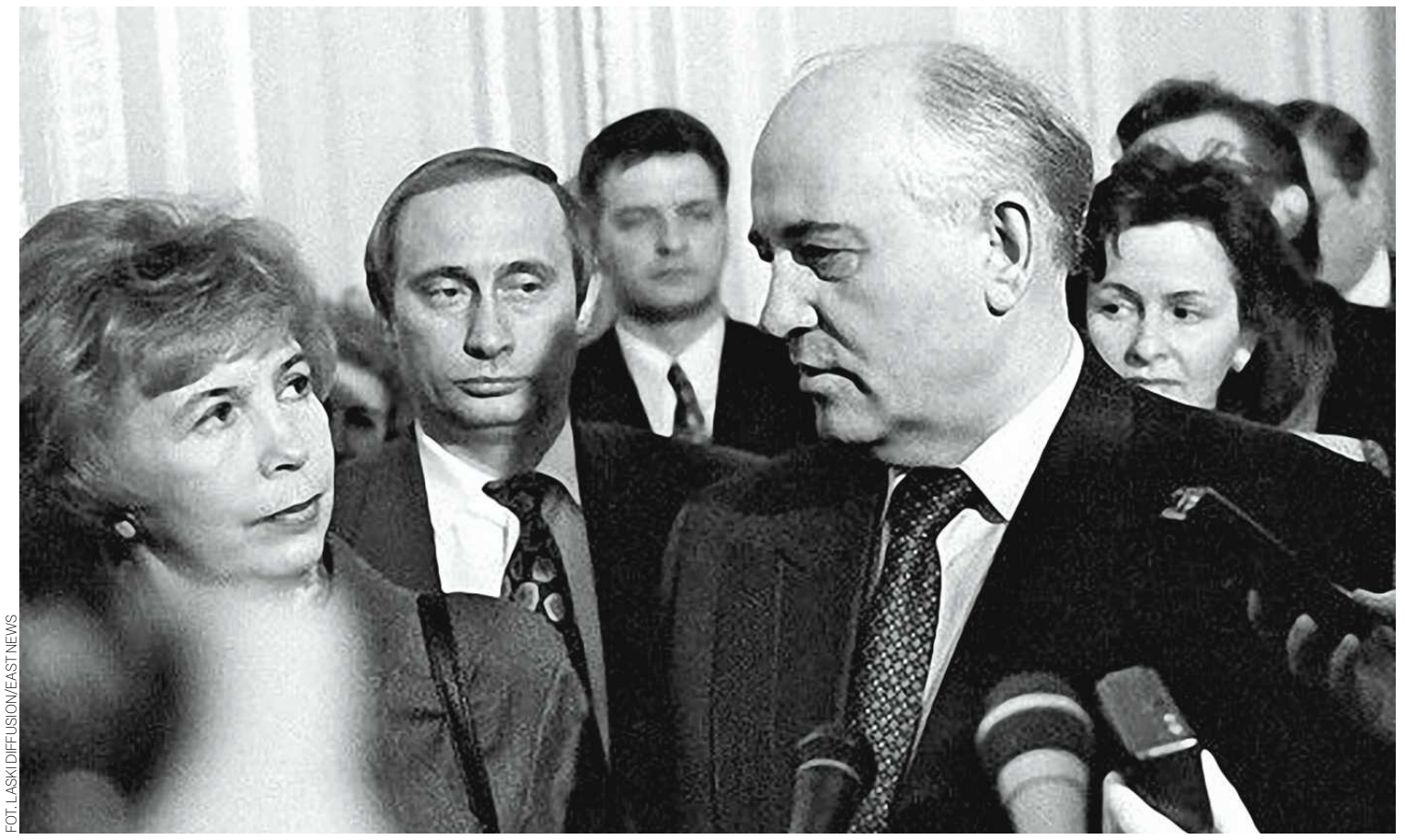

FOT. LASKI DIFFUSION/EAST NEWS

• Za rządów Michaiła Gorbaczowa (1985-91) Putin był funkcjonariuszem KGB w Dreźnie, ale w 1990 r. wrócił do Rosji i zajął się polityką. Na zdj. Putin w 1994 r. na konfencji prasowej Gorbaczowa już w nowej roli – zastępcy mera Sankt Petresburga Anatolija Sobczaka

FOT. KREMLIN.RU

• Prezydent Rosji Borys Jelcyn opuszcza Kreml, po tym jak ogłosił rezygnację z funkcji głowy państwa i tymczasowe przekazanie władzy premierowi Władimirowi Putinowi (Moskwa, 31 grudnia 1999 rok). Ta jego tymczasowa władza trwa już ponad 27 lat.

– To środowisko pojawiło się w jego życiu znacznie później, kiedy po rozpadzie ZSRR zaczął pracować jako urzędnik. Zbiegło się to z początkiem wolnej gospodarki. Dlatego nazywam grupę petersburską szkołą korupcji, w której Putin nauczył się, jak czerpać osobiste korzyści z pełnienia funkcji państwowej i jak zarabiać nielegalnie wielkie pieniądze.

W książce opisujecie też, że Putin źle traktował kobiety, z którymi się wiązał.
– Nie mamy informacji, z których wynikałoby, że bił swoje kobiety. Chociaż... właściwie mamy pewne świadectwo, dzięki któremu wiemy, że był partnerem, mówiąc delikatnie, nie do pozazdroszczenia.

Gdy Putin służył jako kagebista pod koniec lat 80. w NRD, jego żona Ludmiła zaprzyjaźniła się tam z kobietą z ZSRR zatrudnioną w tamtejszej ambasadzie. Były na tyle blisko, że rozmawiały na różne tematy, także intymne. Ludmiła opowiadała przyjaciółce, że Putin nie tylko ją zdradza, ale i potrafi uderzyć. Dowiedziałem się o tym z archiwum zachodnioniemieckiego wywiadu, bo ta kobieta miała być zwerbowana. Ale nie mówię o tym z pełnym przekonaniem, bo to jedyne takie zeznanie. Należy też uwzględnić, że to był czas ideologicznej konfrontacji Zachodu i Wschodu, więc pewnie można było coś wymyślić. Co nie zmienia faktu, że małżeństwo Putina z Ludmiłą było złe.

Podobnie jak małżeństwo jego rodziców?
– Małżeństwo jego rodziców było przede wszystkim wymuszone i zbudowane na tragedii. Ojciec Putina, kiedy zabiegał o względy Marii Szełomowej, przyszłej matki prezydenta Rosji, wpadł pewnego razu w szał i wybił jej oko, prawdopodobnie prawe. Ponoć ojciec Maszy nie wpuścił go do domu, Putin starszy złapał więc za widły, zaczął uderzać w ogrodzenie i niechcący trafił dziewczynę. Rodzice Marii powiedzieli wtedy, że są gotowi mu wybaczyć i go nie pozwą, jeśli się z nią ożeni. Tłumaczyli, że jednooka dziewczyna nie ma szans wyjść za mąż.

Rosjanie nie mają o tym pojęcia. Przynajmniej ci oglądający jedynie państwową telewizję lub przeglądający zaakceptowane przez reżim media, czyli większość.
– Ma pani rację, w dopuszczonych książkach poświęconych Putinowi, podręcznikach, w państwowych mediach tej informacji się nie znajdzie. Istnieje tylko jedno świadectwo tej historii, ale bardzo wiarygodne. Ukazało się w rosyjskiej prasie na początku rządów Putina, kiedy dziennikarze pojechali do trzech wsi w obwodzie twerskim, z których wywodziła się rodzina Putina. Rozmawiali z lokalnymi historykami, ale i ze staruszkami, którzy pamiętali przodków prezydenta. Dzisiaj tego artykułu nie da się znaleźć w sieci, został usunięty. Nie ma powodów, by wątpić w prawdziwość tej historii, także ze względu na portrety Marii Putin. Na wszystkich jest pokazana z tego samego, lewego profilu, co najprawdopodobniej świadczy, że ma protezę prawego oka.

Wie pani, opisując tę historię, zastanawiałem się, czy i jak wpłynęła ona na Putina. Ja na szczęście nie rosłem w takiej rodzinie, ale mogę sobie wyobrazić, że Putin jako syn nie mógł o tym nie myśleć niemal za każdym razem, kiedy patrzył na matkę. Bo przecież to nie była tylko rodzinna opowieść, wspomnienie, do którego się wraca lub nie. Ślad po tym wydarzeniu Putin widział każdego dnia: matkę bez oka. Nie mógł nic nie czuć.

Mówi pan o matce, ale dla Putina wyraźnym autorytetem był przecież ojciec. Duże wrażenie wywarła na mnie scena z waszej książki: starszy Putin powoli umiera i podczas jednej z ostatnich wizyt syna w szpitalu mówi mu, właściwie na łożu śmierci, że tęskni „za sowieckim hymnem i Krymem", z którym był związany jako młody chłopak. W obliczu wszystkiego, co się później wydarzyło, ta historia brzmi jak scena z greckiej tragedii.
– Wiem, ale mam oczywiście świadomość, że to niejedyna przyczyna takich, a nie innych działań i decyzji Putina jako prezydenta. W żadnym wypadku nie twierdzę, że on odebrał Ukrainie Krym, bo z tym terytorium emocjonalnie związany był jego ojciec. Wszystko jest o wiele bardziej skomplikowane.

Jakim małżeństwem później byli jego rodzice? Jaki tworzyli dom?
– Przede wszystkim naprawdę go kochali, czemu trudno się dziwić, tym bardziej, że był ich wyczekanym dzieckiem, które przyszło na świat po śmierci dwóch synów. Pierwszy zmarł w wieku niemowlęcym, drugi podczas hitlerowskiej blokady Leningradu.

Nie wiemy, jakie było małżeństwo jego rodziców. Ani czy jego ojciec był złym człowiekiem. Jasne, w młodości popełnił taki czyn, ale czy możemy wykluczyć, że to była młodzieńcza głupota, którą później zrozumiał? Ja dopuszczam taką możliwość, podobnie jak to, że w rodzinie panował później spokój.

Ale nic o tym nie wiemy.
– I to jest dla mnie najbardziej wymowne, bo charakterystyczne dla Putina. On tę historię przez cały czas ukrywał. Gdyby wszystko było dobrze, a Putin się tego nie wstydził, mógłby o tym opowiedzieć publicznie i zamknąć temat. Wyobrażam sobie wywiad, w którym mówi szczerze: tak, jego ojciec wybił w młodości matce oko, ale rodzice później się pogodzili, kochali się przez resztę życia i wychowywali mnie w miłości. Ale on to wszystko bardzo głęboko schował, w dodatku wykorzystując swoją pozycję.

Wstydził się ich?
– Rzeczywiście, jeśli o nich mówi, to często pobrzmiewa w jego słowach lekceważenie. Nie wiem jednak, czy wstydził się samych rodziców, bo oni naprawdę go rozpieszczali: podarowali mu zegarek, co dla ucznia w latach 50. i 60. było spełnieniem marzeń i wielką rzadkością, później nawet samochód. A musiało to wiązać się z wielkimi poświęceniami, bo byli bardzo prostymi ludźmi. Jego matka miała zawsze najniższe, najsłabiej opłacane posady, sprzątała, myła podłogi. Ojciec pracował w fabryce, najpierw jako robotnik, a potem, dzięki partyjnym powiązaniom, awansował, dzięki czemu rodzina dostała mieszkanie w Leningradzie. Więc nie sądzę, że Putin rodziców się wstydził. W Rosji, właściwie w każdym kraju, pochodzenie z prostej rodziny, nawet biednej,

eprasa.pl e842ac5a5d

nie stanowi problemu dla polityka – a w czasach radzieckich było to wręcz zaletą. To nie dlatego mówi o nich lekceważąco albo wcale.

Rzecz w tym, że on rodzinę, w szerokim znaczeniu tego słowa, bardzo szybko zaczął wykorzystywać jako materiał korupcyjny, portfele na wszelkie możliwe nominały. Dziesiątki krewnych Putina zajmuje stanowiska w strukturach władzy, państwowych przedsiębiorstwach i organizacjach. Jego byłe i obecne partnerki oraz kochanki mają do dyspozycji ogromne majątki. On się bliskich i rodziny nie wstydzi, on o nich nie mówi, bo to niewygodne.

I kłóci się z wartościami, które narzuca, a więc zdaje się wyznawać. Patriotyzm, uczciwość, wiara w Boga, tradycja, rodzina, konserwatyzm, ale i oddanie ojczyźnie na sterydach.

– Putin jest sprawnym populistą. Każdy polityk, którego można tak określić, niezależnie od kraju, w którym sprawuje władzę, potrafi eksploatować społeczne bolączki i lęki. On zrobił to doskonale. Najpierw wziął się za poczucie poniżenia, które miało wielu Rosjan po rozpadzie ZSRR. Jako „silny lider" zaspokajał potrzeby obywateli, demonstrując, że Rosja jest silnym państwem, które powstało z kolan.

Wykorzystał też fakt, że w latach 90. i dwutysięcznych spora część społeczeństwa przejawiała strach lub niechęć wobec kultury LGBT, bo Rosjanie zwyczajnie jej nie znali. Możemy tak wymieniać w nieskończoność. W efekcie pod jego rządami Rosja przeistoczyła się w mocno prawicową dyktaturę ze średniowiecznymi rysami.

Mieszkam w Stanach Zjednoczonych, więc dobrze wiem, że jeśli trafi się do gniazda twardego elektoratu Donalda Trumpa, dajmy na to, w Missouri, to zobaczy się mniej więcej to samo. Tutaj jednak, w demokratycznym kraju, w którym wciąż są swobodne media, wolne wybory, wolność samowyrażania, można z legendami czy podsycanymi strachami walczyć, rozbrajać je.

Jak bardzo te „rosyjskie wartości", jak lubią mówić władze, są serio bliskie samym Rosjanom?

– Zacznijmy od tego, że ludzie w Rosji są różni, jak w każdym społeczeństwie, w którym są osoby o poglądach prawicowych, lewicowych, liberalnych. I jak w każdym kraju liczebność tych grup się waha.

W krajach takich jak mój należy uwzględnić jeszcze jeden szczegół: aparat represyjny. Jeśli gdzieś istnieje aparat karny tak silny, jak w putinowskiej Rosji; jeśli nie ma w nim, jak w putinowskiej Rosji, wolnych wyborów; jeśli za działalność opozycyjną można trafić do więzienia lub zginąć – to kwestie poglądów wyznawanych przez obywateli nabierają oczywiście ogromnego, egzystencjalnego dosłownie, znaczenia. Nie bez powodu w Rosji „liberał" jest słowem obraźliwym, sugerującym antypatriotyczną postawę społeczną.

No i jest jeszcze inna rzecz, na którą trzeba zwrócić uwagę – machina propagandowa, którą przecież stworzył Putin. Wyobraźmy sobie, że w Niemczech, Stanach Zjednoczonych czy w Polsce cała telewizja została przejęte przez władze i transmituje tylko to, co władza chce obywatelom mówić i pokazywać. Nie ma szans, by usłyszeć cokolwiek innego, bo przez władze kontrolują wszystkie kanały. Proszę mi uwierzyć, że jeśli z ekranów, z głośników będzie płynąć, że geje to zło wcielone, a aborcji należy zakazać, to odsetek społeczeństwa, który tak myśli, będzie rósł i coraz bardziej się radykalizował. W przypadku Rosji ten mechanizm należy pomnożyć przez dwadzieścia sześć lat. To zabrzmi potwornie banalnie, ale dyktatura niszczy społeczeństwo. Niszczy ludzi, ich sposób myślenia.

Jak w takim razie szacuje pan dzisiaj poparcie Putina?

– Bardzo trudne pytanie. Bo w świecie obowiązuje teraz wykreowany konstrukt, że Rosjanie w pełni popierają Putina. A ja powiedziałbym tak: Rosjanie, jak mieszkańcy każdego państwa, popierają hasło, że nasz kraj jest dobry. Obywatel każdego państwa chciałby poprzeć takie hasło, być przekonanym, że jego kraj wszystko robi dobrze. A potem zaczyna się alchemia.

Uczciwy polityk nie eksploatuje tego naturalnego pragnienia narodu, nie wykorzystuje go cynicznie. Nie używa hasła „Make America Great Again", bo jest nadużycie naturalnej potrzeby ludzi, by czuć dumę ze swojego kraju. Każdy człowiek, zapytany, czy chce żyć w dobrym kraju, odpowie twierdząco. Tylko że „dobry kraj" to puste pojęcie. Uczciwy polityk opisze go jako demokratyczne, otwarte państwo, które szanuje prawa obywateli i tak dalej. A nieuczciwy, taki jak Putin, powie: „dobry kraj to kraj od morza do morza".

W świecie obowiązuje teraz konstrukt, że Rosjanie w pełni popierają Putina. A ja powiedziałbym tak: Rosjanie, jak mieszkańcy każdego państwa, popierają hasło, że nasz kraj jest dobry

Jak mocno ten polityczny cynizm działa na obywateli?

– Na tyle mocno, by Putin mógł legalnie wygrać wybory. Nie z takim wynikiem, z jakim oficjalnie je zwycięża, ale z wystarczającym, by przekroczyć próg. Nie da się zaprzeczyć, Rosjanie głosują na niego mimo świadomości fałszerstw wyborczych, mimo wiedzy, że w Rosji nie ma realnej polityki, a prawdziwa opozycja – przez niego – nie istnieje.

Putin eksploatuje naturalne pragnienie. Powiedział Rosjanom z prezydenckiego fotela: „Nasz kraj jest taki, taki i taki", wymieniając straszne bzdury. Na nim polega problem. Gdyby nie było Putina, kraj byłby inny.

Jaki?

– Nie wiem. Wkraczamy w sferę niewygodną dla dziennikarza, bo to fantazjowanie. Ale byłoby inaczej, choć z pewnością też mierzylibyśmy się z problemami.

Problem z Putinem jest taki, że zajął się polityką i zaczął sprawować władzę w historycznym momencie, który nałożył się nie tylko na złego, ale i inteligentnego człowieka. Putin nie jest głupi i przez 26 lat nie stał się głupszy, przeciwnie – pozostał twardy, a stał się mądrzejszy, bardziej wyrafinowany, co oznacza, że jego złe cechy tylko się wzmocniły. Zły człowiek pojawił się w złym momencie, gdy w kraju żyło się trudno. W 1999 roku Rosja znajdowała się w bardzo złej sytuacji: tląca się Czeczenia, rozpadająca się gospodarka, niepewne ceny ropy. I wtedy pojawia się Putin ze swoim całym zapleczem.

Gdzie widzi pan przejawy inteligencji Putina?

– Podam aktualny przykład. Wszyscy widzieliśmy, co niedawno wydarzyło się w Ukrainie w związku z korupcją. Ewidentnie sprawa Timura Mindycza, biznesmena związanego z Andrijem Jermakiem, zaufanym Wołodymyra Zełenskiego, to był ogromny skandal korupcyjny. I to taki, o którym prezydent raczej wiedział albo przynajmniej go przeczuwał. Ale w Rosji korupcja jest znacznie gorsza niż w Ukrainie, jej skala, liczby są nieporównywalne, a powiedzieć o Putinie, że to postać skorumpowana, byłoby znacznym niedomówieniem. Jednak w czasie wojny on zaczął na serio walkę z korupcją. Na Zachodzie chyba tego nie dostrzegacie, ale bardzo wiele osób ląduje dzisiaj w więzieniu właśnie za korupcję. Rzecz jasna, to nie są ludzie z nim blisko powiązani, ale już na przykład wiceminister obrony, Timur Iwanow został przymknięty. O czym to świadczy? O tym, że Putin jako polityk jest bardzo przebiegły i doświadczony. Doskonale zrozumiał, że w kraju prowadzącym wojnę trzeba zademonstrować choćby pokazową walkę z łapówkarstwem i kradzieżą, pokazać ludziom jej efekty, wskazać złoczyńców.

Zełenski tego nie wiedział. I trudno się dziwić, jest prezydentem wybranym w demokratycznych wyborach, który przed wybuchem wojny miał trzyletnie doświadczenie sprawowania władzy w warunkach pokojowych. Tego się nie da porównać do CV Putina.

Gdy trzeba, Putin nie raz potrafił bardzo szybko „zmienić buty" i to w sposób, który nie podrywał jego autorytetu, nie wystawiał go na śmieszność. Jest politycznym zwierzęciem i dlatego jest niebezpieczny.

W książce pokazujecie, że przedstawiciele rosyjskich elit politycznych większości wartości, których bronią przed „zgniłym Zachodem" i narzucają ludziom, nie wyznają w najmniejszym stopniu. Mimo deklarowanej miłości do ojczyzny najchętniej przebywali lub inwestowali poza jej granicami. Mimo dumy z „tradycyjnych rodzinnych wartości" rozwodzą się, mają wiele kochanek albo są osobami homoseksualnymi. Deklarują wiarę w Boga, a są niewierzący. Nie mówiąc o tym, że przedstawiają się jako „dobrzy" i zatroskani o pokój – a rozpoczynają wojny.

– Zależało nam na pokazaniu skali hipokryzji. Analizowaliśmy podstawowe „rosyjskie wartości", o których dużo i głośno mówi Kreml, a następnie przyglądaliśmy się, na ile władze same się ich trzymają. Mi zapadły w pamięć zwłaszcza nasze ustalenia, z których wynika, że współpracownicy Putina w czasie, kiedy akurat chwilowo był premierem, organizowali mu „czas wolny" z niepełnoletnią dziewczyną. Kreml po dziś dzień wypłaca ojcu tej kobiety co miesiąc „pensję" za milczenie. Tak wyglądają wartości moralne i rodzinne prezydenta Rosji.

Ale omówmy też patriotyzm, bo jest istotną częścią propagandy i putinowskiej ideologii. Znaczącą rolę w niej odgrywa jedna fraza: rozpad ZSRR był największą katastrofą geopolityczną XX wieku. Putin i ludzie z jego otoczenia zaczęli powtarzać to jak mniej więcej od 2007 roku. Wyraźnie bardzo im się to podobało.

Wielokrotnie słyszałam tę opinię od tak zwanych zwykłych Rosjan. Pana zdaniem Putin tak nie myślał?

– Oczywiście, że nie. ZSRR rozpadł się formalnie w grudniu 1991 roku. Badaliśmy, co w tym czasie robił Putin. I czego się dowiedzieliśmy? Putin był wtedy zastępcą Anatolija Sobczaka, mera Leningradu, wkrótce przemianowanego na Petersburg, i brał udział w projekcie „Surowce za żywność". Konkretnie, odpowiadał za wydawanie licencji na wywóz na Zachód ropy, metali czy drewna. Większość kontraktów otrzymały firmy powiązane z jego przyjaciółmi. Plan oficjalnie był taki, że za uzyskane pieniądze firmy miały zakupić dla miasta żywność, której wtedy, w chaosie panującym podczas transformacji ustrojowej, w mieście bardzo brakowało. Tylko że do tego nigdy nie doszło. A więc w momencie, kiedy działa się ta wielka geopolityczna katastrofa, Putin z przyjaciółmi zarabiał pieniądze, nie myśląc o tym, co się stanie z krajem, z jego krajami, sąsiadami, obywatelami jego miasta.

Kilka miesięcy po oficjalnym rozpadzie ZSRR, w początku maja 1992 roku, odbywały się obchody najbardziej patriotycznego święta w Rosji, czyli Dnia Zwycięstwa. Gdzie jest Putin? W Finlandii, na małej wyspie niedaleko Helsinek, którą jemu, jego rodzinie oraz przyjaciołom bezpłatnie udostępnili fińscy biznesmeni. Mieli nadzieję, że uda im się z Rosjanami zrobić interes na wywozie drewna przez port w Petersburgu. I oto ci rosyjscy patrioci, sowieccy ludzie, w Dzień Zwycięstwa, tuż po rozpadzie ich ojczyzny, nie rozpaczają, nie ronią łez nad tym, co zostało zniszczone, a co – jak będą mówić lata później – było im tak drogie. Świetnie się bawią, robią szaszłyki, piją w willi, z której korzystają na korupcyjnych warunkach. I dyskutują między innymi o zakupie nieruchomości w Europie: we Francji, Szwajcarii, Hiszpanii.

Słynne wideo, które pojawiło się w przestrzeni publicznej kilka lat temu, ktoś nakręcił na tej wyspie, a następnie sprzedał je fińskiej telewizji. Dzięki niemu wiemy, że Putin w momencie, gdy miała miejsce „największa katastrofa geopolityczna", w ogóle o niej nie myślał. Głowę zaprzątały mu zupełnie inne rzeczy: pieniądze, nieruchomości, przyjemności, komfort i dobrobyt.

Także na Zachodzie, który przecież dzisiaj jest przez niego oficjalnie zgniły i znienawidzony.

– Tak, to przykład szczególnej hipokryzji, bo w momencie, kiedy zaczął propagować tę narrację wśród Rosjan, z których wielu bardzo wtedy Zachód znało tylko z sowieckiej propagandy i z kina, on sam zdążył się na nim już dobrze zadomowić. I wyraźnie dobrze się tam czuł. Każdego lata wypoczywał we Francji, Hiszpanii, kupował tam nieruchomości. Pod koniec lat 90. wciąż trudno było o Rosjanina, który odwiedził chociaż raz Europę, a dla Putina już wtedy to była rutyna. Wielu z jego przyjaciół, „bandytów", w tym czasie już w niej mieszkało.

Jak pana zdaniem Putin zapisze się w rosyjskiej historii?

– Wszystko zależy od okoliczności. Żyjemy dziś w takim świecie, że prognozowanie na dekady czy nawet lata jest bardzo, bardzo aroganckie. Ale cała historia pokazuje, że ciemne postępki i prawdziwe oblicza złych ludzi prędzej czy później wychodzą na jaw. Z drugiej strony, czas jest bardzo ważny. A Putin właśnie go sobie kupuje – w tym sensie, że, jak głosi znane powiedzenie, zwycięzców się nie sądzi. Zwycięzcy piszą historię.

Jeśli świat zmieni się na gorsze i będzie żył w takim stanie przez dłuższy czas, silnie wpłynie to na obraz Putina, bo ludzie zapomną, jak było wcześniej. Umrą ci, którzy pamiętali, jak było „wtedy". Inni stracą zainteresowanie. A dla kolejnego i kolejnego pokolenia nie będzie to już tak istotne. Nawet jeśli po latach zaczną wychodzić książki, filmy o jego sprawkach, to będą tylko ciekawostki historyczne. Dlatego istnieje ryzyko, że Putin pozostanie w historii jako, w pewnym sensie, „dobry" człowiek.

Co dzisiaj może osłabić jego pozycję albo wręcz pozbawić go władzy?

– Strata Kadyrowa. Jego reżim to sekret sukcesu Putina, on cały jest politycznie zbudowany na fundamencie „uspokojonej" Czeczenii. A „uspokojona" Czeczenia jest nierozerwalnie związana z nazwiskiem Kadyrowa. Na nim bazuje obietnica „stabilności", którą Putin na przełomie stuleci złożył Rosjanom. Jeśli zabraknie Kadyrowa, nikt inny nie utrzyma tam spokoju. ●

*Roman Badanin

• Rocznik 1976. Znany rosyjski dziennikarz śledczy, założyciel niezależnej redakcji „Projekt", którą Kreml uznał za organizację niepożądaną. Kierował Forbes.ru, RBC – uruchomioną w początku lat dwutysięcznych razem z CNBC i CNN pierwszą rosyjską stacją biznesową – i opozycyjnym, obecnie nadającym z Europy kanałem telewizyjnym „Dożd". Po przeprowadzeniu śledztw dotyczących korupcji na najwyższych szczeblach władzy w Rosji, musiał wyemigrować do USA.

1 RP

eprasa.pl e842ac5a5d

KULTURA I OBYCZAJE

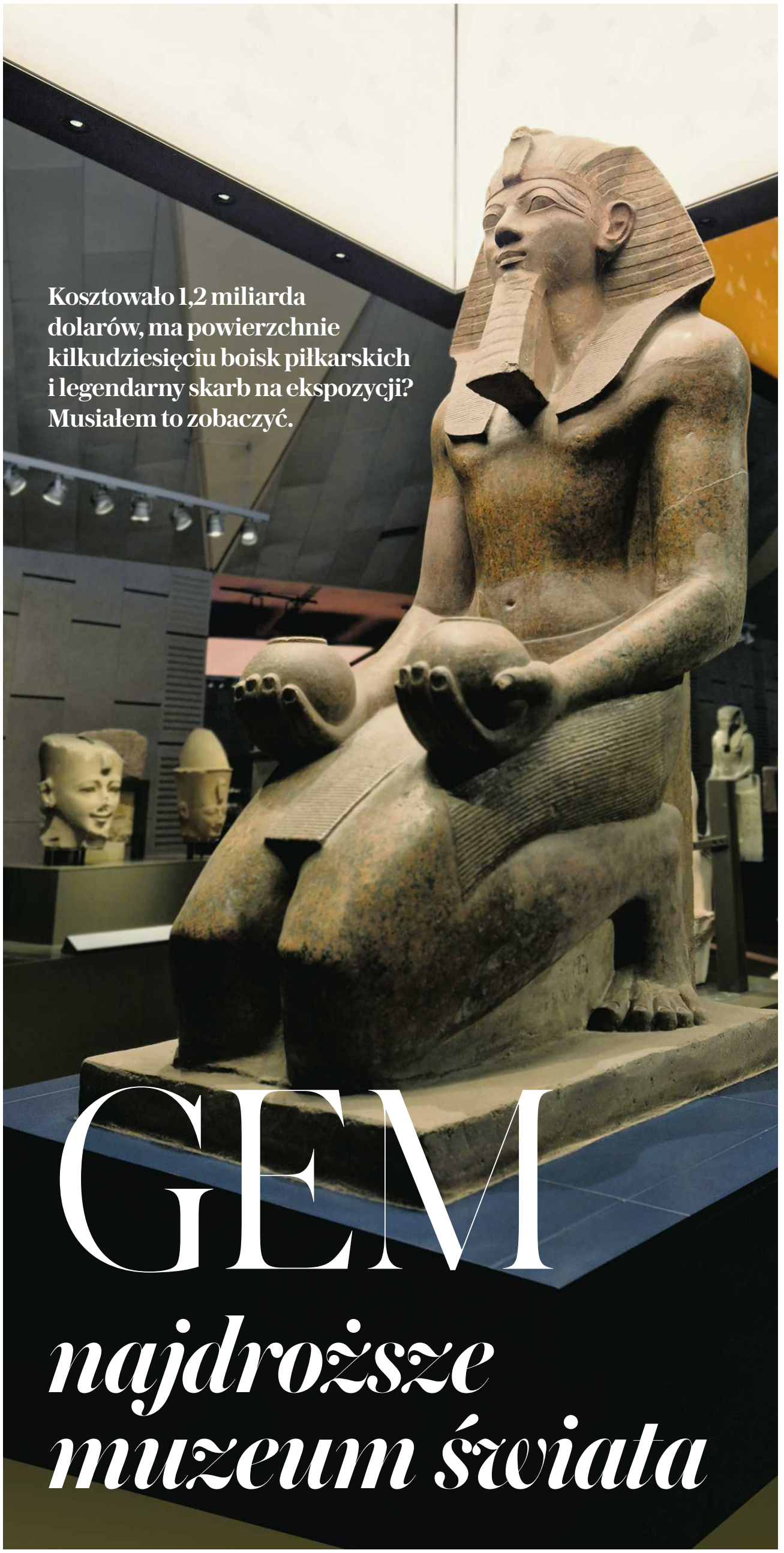

Kosztowało 1,2 miliarda dolarów, ma powierzchnie kilkudziesięciu boisk piłkarskich i legendarny skarb na ekspozycji? Musiałem to zobaczyć.

GEM *najdroższe muzeum świata*

• **Pomnik królowej Hatszepsut. Panująca w XV w. p.n.e. władczyni była jedną z czterech kobiet w historii Egiptu noszących tytuł faraona**

1 RP

Tekst i zdjęcia **Wojciech Szot**

Gdy w 2002 roku zorganizowano konkurs na projekt budynku Grand Egyptian Museum, napłynęło 1557 zgłoszeń z 82 krajów. Chodziło o to, by powstała ikona, największe muzeum na świecie. GEM otwarto w grudniu 2025 r., odwiedza je 30 tys. osób dziennie.

Do 2030 roku GEM ma przegonić Luwr i stać się najpopularniejszym muzeum na świecie. Cel: 8 mln turystów rocznie, czyli ponad 21 tys. osób dziennie.

100 tysięcy eksponatów

Postanowiłem być wśród pierwszego miliona.

Do GEM pojechałem z centrum Kairu taksówką, autostradą przez Gizę, olbrzymie satelickie miasto pełne bloków w kolorze brudnej cegły.

Na miejscu byłem w 30 minut. Z kupionym wcześniej biletem przeszedłem przez bramkę. Widok zapowiada przepych, z jakim za chwilę będziemy mieć do czynienia: widoczna w oddali fasada budynku jest długa na niemal kilometr i wysoka na 50 metrów. Podzielona na dziesiątki trójkątów błyszczy w słońcu.

Samo wejście (alabastrowe i oczywiście trójkątne) jest mimo swojej skali niepozorne. Wchodzimy w mrok, z którego wyłania się olbrzymi, pełen gry świateł, częściowo zadaszony dziedziniec. Pośrodku sadzawki stoi 11-metrowy pomnik Ramzesa II. Tu gromadzą się tłumy, każdy robi selfie, niektórzy wpadają do wody. Na prawo sklepy i kawiarnie.

Źle znoszę grupowe oprowadzanie, ale, wybierając się do Kairu, kupiłem bilety na zwiedzanie z przewodnikiem. Rami mówi perfekcyjnym angielskim. Ma przeprowadzić nas przez ekspozycję w ciągu dwóch godzin. Co wybierze ze 100 tys. eksponatów na 500 tys. metrów kwadratowych?

Wielkie Schody i widok na Piramidę Cheopsa

Pomnik Ramzesa II odkryty w okolicach Memfis od lat 50 XX wieku stał w Kairze przed głównym dworcem kolejowym. Jest jednym z symboli miasta. Żeby go uchronić przed postępującym zniszczeniem, w 2006 roku przeniesiono go do Gizy, a teraz do GEM.

„Dlaczego mamy tu posąg Ramzesa? Bo był za ciężki, żeby Brytyjczycy go wywieźli" – żartuje Rami.

Jesteśmy u podnóża Wielkich Schodów, wysokiej na sześć pięter galerii, w której ustawiono kilkadziesiąt monumentalnych posągów. Faraoni i urzędnicy. Bogowie i ubóstwione zwierzęta. Dla osób, które nie chcą się wspinać, zamontowano schody ruchome, jest i przeszklona winda.

Jadąc na górę, mijamy wejście na wystawę „GEM dla dzieci" (osobne bilety), jeszcze mamy siłę fotografować się z Ozyrysem.

Gdy dotrzemy na szczyt, naszym oczom ukazuje się zapierający dech w piersiach widok na Piramidę Cheopsa i ogrody GEM. W przyszłości muzeum i piramidy połączy dwukilometrowa rampa, dzięki której turyści będą mogli wygodnie przemieszczać się między jedną a drugą atrakcją.

Selfie z widokiem na piramidy zrobione? Czas na decyzję. Po prawej skrzydło ze skarbem Tutanchamona. Po lewej skarby trwającej przez tysiąclecia cywilizacji.

eprasa.pl e842ac5a5d

2 RP

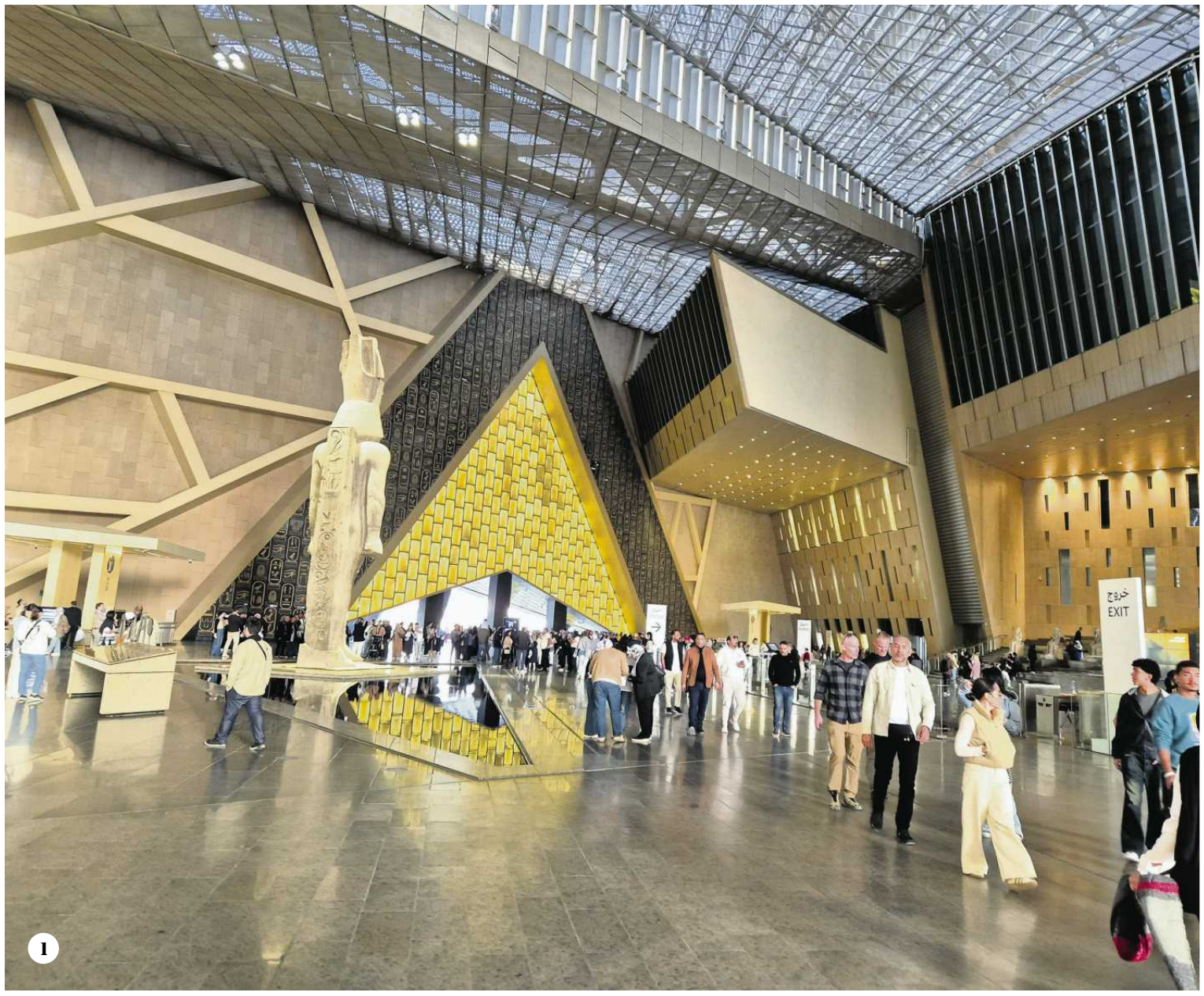

1

Rami i inni przewodnicy zaczynają od skarbów cywilizacji.

Stajemy przed pomnikiem kolejnego faraona, potem wspaniałe płaskorzeźby, opowieść o uprawach nad Nilem i trudach pracy rolnika.

Kolejny pomnik Ramzesa II, którego już sam rozpoznaję. Żyjący w XIII wieku przed naszą erą faraon był jednym z najwybitniejszych władców Egiptu i zasłynął z zamiłowania do wznoszenia budowli ku czci własnej i boskiej. Jest czas na pytania. „Czemu ten pan nie ma ręki?" – dzieci są dociekliwe.

Wciąż pospieszany przez Ramiego, który próbuje dokonać niemożliwego i w ciągu dwóch godzin zakończyć oprowadzanie, rezygnuję z jego przewodnictwa. Zestaw słuchawkowy chowam do kieszeni. Idę zobaczyć skarb.

Młody Tutanchamon

Gdy w 1922 roku brytyjski archeolog Howard Carter po raz pierwszy zajrzał do grobowca Tutanchamona, zapytany, co widzi, powiedział słynne: „Wspaniałe rzeczy".

Wydawałoby się, że największe skarby gromadzili władcy, którzy prowadzili zwycięskie kampanie, a ich władza trwała dekady. Tymczasem Tutanchamon rządził Egiptem zaledwie przez dekadę, i to jako młodzieniec. Nie wiadomo, kto był jego ojcem, znamy za to jego matkę, której mumię znaleziono w Dolinie Królów. Badania genetyczne udowodniły, że była też siostrą jego ojca.

Podczas krótkich rządów Tutanchamona Egipt utracił posiadłości w Syrii, Palestynie i Fenicji, za to wzbogacił się o nowego boga – samego faraona. W tym czasie w Karnaku obok Teb zaczęto prace nad Aleją Sfinksów – trzykilometrową drogą między świątyniami, flankowaną setkami rzeźb sfinksów o baranich głowach.

O tym, że skarb Tutanchamona być może nie dorównywał bogactwom zgromadzonym w innych grobach faraonów, świadczy jego komora grobowa w tebańskiej Dolinie Królów (dzisiaj okolice miasta Luksor). Ma wystrój prosty i oszczędny. Co zatem mogli zgromadzić inni władcy, którzy latami szykowali się do swojego pogrzebu? Ich komory grobowe, rozgrabione często tuż po pochówku, dzisiaj przypominają o dawnej świetności tylko ociekającym bogactwem wystrojem.

Można fantazjować, ile GEM-ów trzeba by zaprojektować, gdyby te bogactwa przetrwały do naszych czasów.

Skarb Tutenchamona. Jak monstrualny butik jubilera

Skrzydło ze skarbem spowija ciemność, z której punktowe oświetlenie wydobywa doskonale odrestaurowane, ociekające złotem przedmioty. Czuję się, jakbym spacerował alejkami gigantycznego, ekskluzywnego butiku z biżuterią. Jest tu sporo miejsca, dzięki czemu, tylko odrobinę przepychając się w tłumie, możemy podziwiać wspaniałe rydwany czy oszałamiające detalem sarkofagi samego „króla Tuta", jak w XX wieku Egipcjanie ochrzcili swojego władcę.

Doceńmy pozłacany drewniany stołek z rzeźbionymi zwierzęcymi nogami czy wazon dekorowany wyrzeźbionymi kwiatami lotosu.

Centralnym obiektem, do którego wszyscy zmierzają, jest wykonana ze stopu 23-karatowego złota i miedzi maska Tutanchamona. Ma 54 centymetry, waży 10 kilogramów.

Twórcy GEM wiedzą, czego potrzebuje współczesny turysta, więc przed szklaną gablotą ustawiono pracownika, który bierze od turystów telefony i robi im zdjęcia. Dzięki temu kolejka przesuwa się bez większych zastojów. Jest spokojniej niż w Luwrze przed „Mona Lisą".

Maska „króla Tuta" łączy w sobie ludzkie z nieludzkim. Realność twarzy młodego człowieka z obcością dzieła sztuki złotniczej. Stop złota z miedzią pozwolił twórcom na niezwykłe uplastycznienie podobizny faraona. Oczy z kwarcu, brwi z lapis lazuli i obsydianowe źrenice nadają jej hardość. Trudno uwierzyć, że 3300 lat temu udało się stworzyć tak niezrównany obiekt.

Zobaczenie wszystkich obiektów z wydobytego w latach 20. XX wieku skarbu zajęło mi 3 godziny.

Muzeum Łodzi Chufu

W drugim skrzydle muzeum czeka kolejnych 12 sal prezentujących skarby starożytnego Egiptu.

Układ jest bardzo sprytny. Idąc od lewej, możemy zwiedzać zgodnie z chronologią, spacerując do przodu i cofając się, będziemy śledzili trzy wielkie tematy ekspozycji: społeczeństwo, władzę i wierzenia.

Najlepiej jednak nie przejmować się tymi narracjami i kierunkami zwiedzania. Eksponaty przytłaczają liczbą, wielkością i bogactwem. Wszystko mieni się w oczach, zlewa niemal w jedną całość. Gdyby nie dokumentacja fotograficzna, nie umiałbym wskazać, co właściwie widziałem.

Jestem oszołomiony.

Taki zapewne był cel projektujących wystawę. Otóż Egipt ma być jeden: wielki, bogaty, pełen bogów i równych im zwierząt. Ludzi już może mniej równych, ale wciąż ważnych. Pytania o tożsamość sprzed stuleci, najazdy i przemiany są tu niemal nieobecne. Widz nie dowie się niczego o królestwach Nubii i Kusz, które stawiały zaciekły opór Egipcjanom, kilkakrotnie też ich podbijając.

Miłośnicy immersyjnych wystaw, w których dźwięk i ruchomy obraz wspólnie opowiadają o przeszłości, będą zadowoleni z podziemnych mikroekspozy-

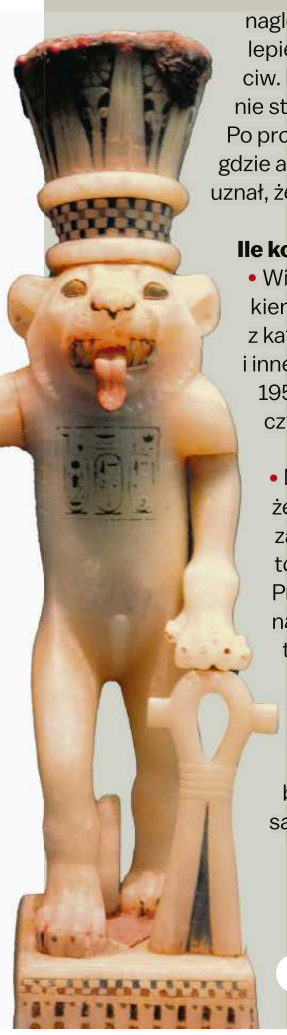

2

GEM – najczęściej zadawane pytania

Czy dzisiaj da się zobaczyć piramidy i GEM jednego dnia?

• Tak, ale tylko jeśli chcemy przez nie przebiec. Nie polecam jednak pośpiechu. GEM warto poznawać powoli, sycąc się monumentalnością, która dzięki doskonałej grze świateł i otwartym przestrzeniom jest zaskakująco kameralna. Warto poświęcić GEM cały dzień, a nawet rozłożyć wizytę na dwa dni. Tak właśnie zrobiłem.

Jak dojechać do Muzeum i czy to jest bezpieczne?

• Dopóki nie będzie działa (a wciąż nie działa) stacja metra przy muzeum, warto skorzystać z taksówki.

• Żeby uniknąć prób oszustwa, radzę skorzystać z popularnej aplikacji, choć i tutaj trzeba być przygotowanym na niespodziankę.

• Wpisałem adres, aplikacja połączyła mnie z kierowcą. 8 minut oczekiwania na przyjazd. Nagle pojawiła się wiadomość: „Dokąd chcesz jechać?". Jak to? Przecież kierowca widzi cel przejazdu? Okazało się, że chodzi o coś innego. „Dokąd chcesz jechać?" to wstęp do negocjacji. Podajemy cel, a wtedy kierowca proponuje, za ile – nie licząc opłaty w aplikacji – jest skłonny z nami pojechać. Kwoty mogą zaskakiwać, choć mnie bardziej zaskakiwały ceny, które wyświetlały mi się w aplikacji. Za 20-kilometrowy kurs, który w kairskich korkach trwa ponad godzinę, aplikacja chciała ode mnie 30 zł.

• Warto pamiętać o podstawowej zasadzie negocjacji – na absurdalną kwotę odpowiadamy równie absurdalną kwotą. Tylko w drugą stronę.

• Trzeba też pamiętać, że egipski taksówkarz potrafi się zatrzymać nie w miejscu, w którym go oczekujemy, ale gdzieś w bliskiej, acz nie zawsze najbliższej okolicy. Gdy kolorowy samochodzik na naszej wirtualnej mapie nagle się zatrzymuje, lepiej wyjść mu naprzeciw. Nie złapał gumy, nie stanął w korku. Po prostu czeka tam, gdzie akurat jego kierowca uznał, że będzie czekał.

Ile kosztuje wstęp?

• Wizyta z przewodnikiem dla dorosłej osoby z kategorii „Arabowie i inne narodowości" – 1950 funtów egipskich, czyli około 150 zł.

• Niech nas nie zdziwi, że Egipcjanin zapłaci za to samo 350 funtów – 26 zł. Przeciętna miesięczna pensja w Egipcie to tylko 7840 funtów egipskich, czyli około 600 zł.

• Ceny biletów bez oprowadzania są o 30 proc. niższe.

eprasa.pl e842ac5a5d

2 RP

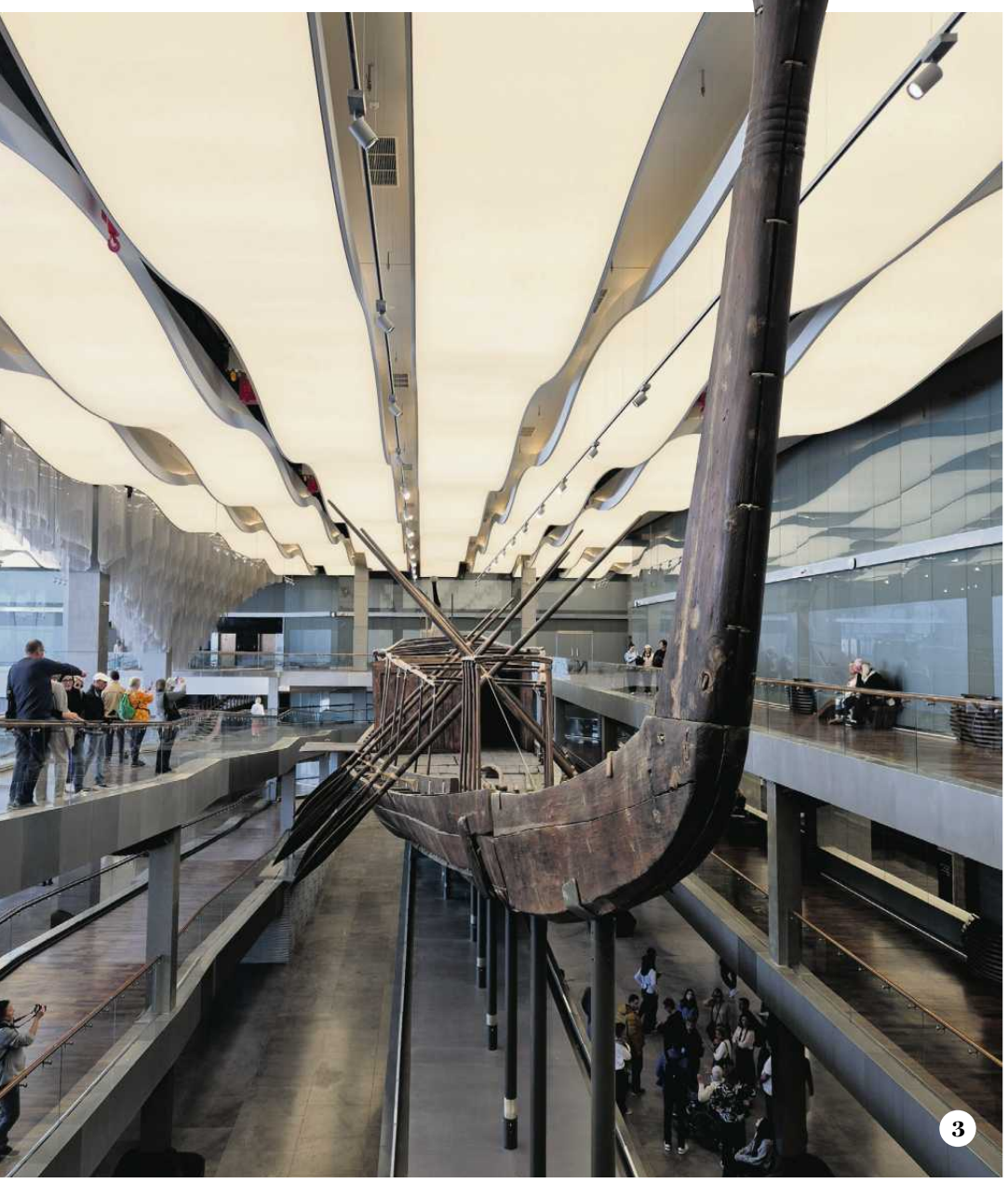

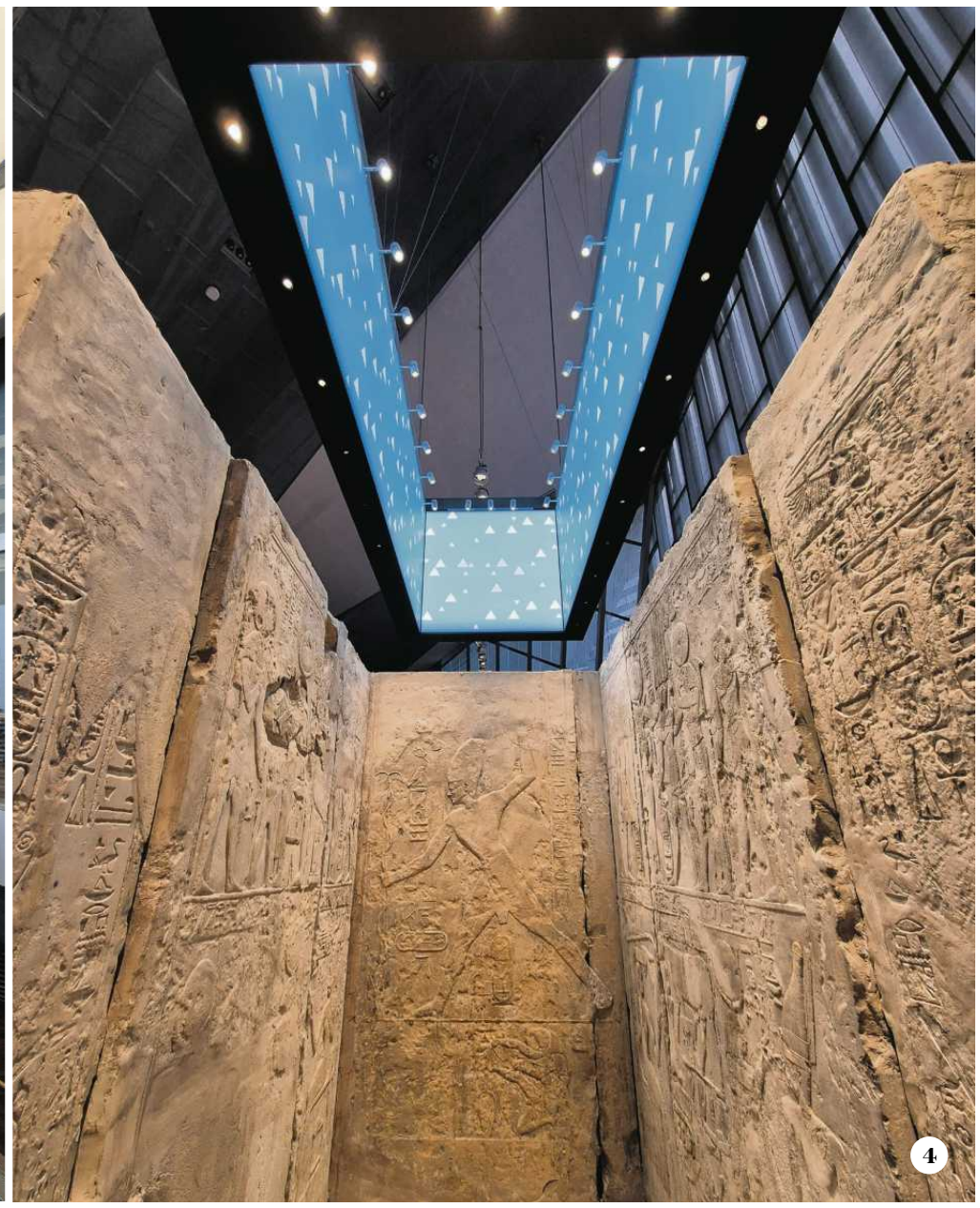

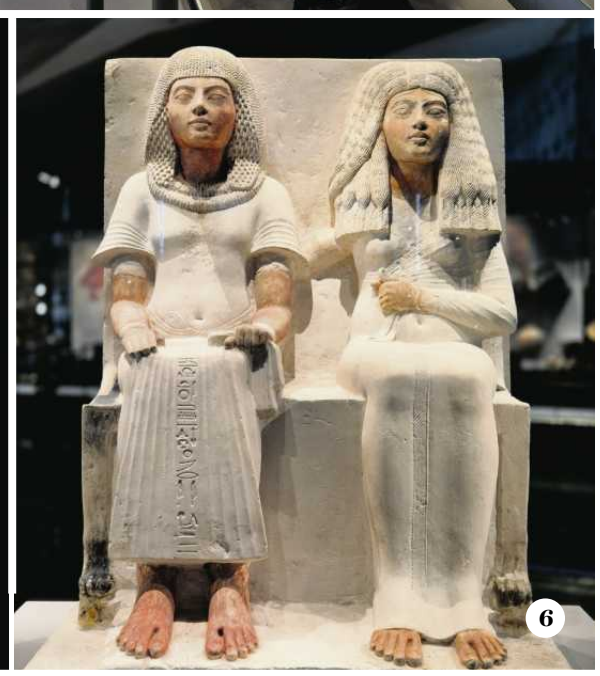

1 • Wielki Hall GEM. Na konkurs architektoniczny wpłynęło 1 557 projektów z 82 krajów. Zwyciężyła pracownia Heneghan Peng Architects z Irlandii

2 • Karzeł z lwim pyskiem i koroną to bóg Bes. Alabastrowe naczynie z jego podobizną znaleziono w grobowcu faraona Tutanchamona

3 • Tak zwana Łódź Solarna, która pochodzi z okresu panowania faraona Cheopsa (ok. 2600 p.n.e.)

4 • Fragmenty kaplicy poświęconej Mentuhotepowi II, faraonowi zmarłemu ok. 2 tysięcy lat p.n.e. Kaplicę zbudowano w Denderze za życia władcy

5 • Maska Tutanchamona. Ważący 10 kg pośmiertny wizerunek faraona zmarłego ok 1323 r. p.n.e.

6 • Żyjący w czasach króla „Tuta" Meryre, arcykapłan Atona i jego żona Iniuia. Rzadki przykład realistycznej, „prywatnej" rzeźby z tamtych czasów

7 • Zewnętrzny pozłacany sarkofag Tutanchamona. Faraon został pochowany w trzech sarkofagach. Wewnętrzny waży 110 kg i jest wykonany z czystego złota

cji, w których słyszymy inkantacje z „Księgi umarłych" czy oglądamy projekcje, które ożywiają starożytne płaskorzeźby.

Gdy przejdziemy przez wewnętrzny dziedziniec, dojdziemy do kolejnego budynku. Zbudowano go dla dwóch obiektów. To Muzeum Łodzi Chufu, faraona polskiemu turyście bardziej znanego jako Cheops. Tutaj widz naprawdę może odpocząć i nasycić się potęgą inżynieryjnej myśli egipskiej sprzed kilku tysięcy lat.

Obie łodzie odnaleziono w okolicach piramid w Gizie w maju 1954 roku. Niemal nienaruszone czekały w podziemnych jamach zakrytych wapiennymi blokami przez niemal 4500 lat. Pierwsza ma 42 metry długości i 6 metrów wysokości. Po dziesięciu latach konserwacji i montażu pokazano ją w specjalnie wzniesionym budynku obok piramid.

Druga przez dekady spoczywała w ukryciu. Wydobycie jej fragmentów rozpoczęto dopiero w 2014 roku dzięki pomocy japońskich specjalistów. Po konserwacji przetransportowano do GEM. Dziś na żywo możemy oglądać, jak na specjalnie przygotowanym metalowym stelażu pracownicy muzeum odbudowują jej konstrukcję. Prace potrwają cztery lata.

Nie wiemy, jaka była funkcja łodzi. Czy faraon podróżował nimi za życia? A może to były łodzie solarne służące jedynie podczas pogrzebu faraona?

Po co GEM?

Jaki sens miała budowa za miliard dolarów zapierającego dech w piersiach muzeum w kraju, w którym połowa społeczeństwa musi przeżyć za mniej niż 20 zł dziennie?

Pierwszym powodem jest turystyka, która odpowiada za niemal 8 procent PKB Egiptu i zatrudnienie 12 procent mieszkańców kraju. W 2025 roku pod piramidy, nad Nil i do kurortów przyjechało rekordowe 19 mln osób. Celem jest 30 mln już za dwa lata.

eprasa.pl e842ac5a5d

GEM ma nie tylko ożywić turystykę, ale też zatrzymać turystę w Kairze na dłużej.

Zdaniem Sherifa Fathy, ministra turystyki i zabytków, muzeum będzie zwiedzało 5 mln turystów rocznie, a w samym mieście powstanie 12 tys. kolejnych miejsc noclegowych.

Drugi powód budowy muzeum jest taki, że choć posąg Ramzesa II nie popłynął do Londynu, los ten spotkał setki innych egipskich zabytków. Czy teraz, na fali ogólnoeuropejskiego trendu zwracania zagrabionych dzieł, artefakty z czasów faraonów wyruszą w powrotną drogę? Czy Berlin opuści popiersie Nefertiti, Londyn – Kamień z Rosetty, a Luwr pożegna się z Zodiakiem z Dendery?

Egipski rząd uzależniony od pożyczek z Międzynarodowego Funduszu Walutowego i przychylności zachodnich inwestorów unika tego tematu, bo oznaczałoby to bezpośrednią konfrontację na arenie międzynarodowej.

Ale zdaniem wielu komentatorów GEM ma być dowodem na to, że Egipcjanie potrafią zadbać o mające 4 tys. lat dzieła, że dorośli do przejęcia roli lidera badań egiptologicznych. Do tej pory nauka ta rozwijała się głównie na europejskich i amerykańskich uniwersytetach.

No i w końcu argument trzeci. Walka z kompleksami.

Egipt jest najpopularniejszym kierunkiem wakacyjnym dla mieszkańców krajów arabskich. W styczniu to właśnie turyści arabskiego, a nie europejskiego pochodzenia dominowali w większości miejsc, które zwiedzałem.

Grand Egyptian Museum pozwala Egiptowi pokazać siłę, którą czerpią od starożytnych przodków. A że za pieniądze japońskich inwestorów?

Egipcjanie mają jednak poczucie, że w świecie arabskim ich państwo jest biedniejszym kuzynem, który ciągle potrzebuje wsparcia. Ostatnio to obietnica ze strony Arabii Saudyjskiej o uruchomieniu inwestycji za ponad 20 mld dol. pozwoliła egipskiemu rządowi uchronić się przed jeszcze większym kryzysem gospodarczym.

GEM pozwala Egiptowi pokazać siłę, którą czerpią od starożytnych przodków. A że za pieniądze japońskich inwestorów?

Czy warto?

Jeszcze jak! Zobaczyłem wspaniałe rzeczy. I w przyszłości chętnie wrócę, by uważniej przyjrzeć się szczegółom.

Na przykład dwóm złotym figurkom, które pochodzą z polskich wykopalisk w Tell Farha. Jak mówił serwisowi naukowemu UW egiptolog Zbigniew Szafrański, mogą przedstawiać pierwszego króla Egiptu. Innym polskim wkładem w GEM są figurki z kości słoniowej z tego samego stanowiska archeologicznego. Zabytki z polskich odkryć mają ponad 5 tysięcy lat.

Nigdy żadne muzeum archeologiczne nie pokazało mi z taką siłą, jak piękne i niezwykłe rzeczy potrafi stworzyć człowiek. Ale nie zapomnijmy, że GEM jest dziełem wojskowej dyktatury, która za nic ma miliony swoich skrajnie biednych obywateli. ●

Tutaj koszty nie miały znaczenia

– Prawiekażdy chce raz w życiu zobaczyć skarb Tutanchamona czy Łódź Solarną Cheopsa. Wiedzieliśmy, że projektujemy miejsce, w którym będzie olbrzymia frekwencja, a w nim znajdą się najcenniejsze egipskie skarby

Z ARCHITEKTKĄ **MONIKĄ ARCZYŃSKĄ,** KTÓRA PRACOWAŁA PRZY GRAND EGYPTIAN MUSEUM, ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

• **Wejście do Grand Egyptian Museum. Fasada ma 800 m długości**

Czy dzisiaj, gdy patrzymy na wejście to GEM, to możemy powiedzieć: to Arczyńskiej?
– Nie.

Jak to, przecież pracowałaś nad fasadą.
– Projekt, który przygotowaliśmy, różni się od tego, który finalnie zbudowano.

Budynek usytuowano w miejscu, gdzie Płaskowyż Gizy obniża się i przechodzi w Dolinę Nilu. GEM zaczyna się zatem w dolinie, a kończy na płaskowyżu. Zadaniem głównej elewacji było symboliczne odzwierciedlenie tego rozdzielenia – świata pustyni i żyznej doliny. Do jej konstrukcji miał być użyty półprzezroczysty kamień.

Długo trwały testy nad tym, czy użyjemy marmuru, alabastru, a może onyksu. Całość miała być gigantycznym inżynieryjnym przedsięwzięciem, za które odpowiadał londyński oddział firmy Arup, specjalizujący się w ultranowoczesnych elewacjach.

Niestety po „arabskiej wiośnie" w 2011 roku w Egipcie zmienił się rząd i nowy resort kultury zmienił zasady współpracy. Straciliśmy kontrolę nad projektem, a nasza rola ograniczona została do uzupełniania dokumentacji, odpowiadania na pytania. Zewnętrzną fasadę przeprojektowano. Stąd te paskudne, złote hieroglify i podświetlone piramidki z półprzezroczystego kamienia.

Przejęcie projektu przez Egipcjan było jednym z powodów gigantycznych opóźnień w budowie GEM. Po prostu nie mieli zespołu, który mógłby ogarnąć coś tak olbrzymiego.

Jak trafiłaś do zespołu zajmującego się projektowaniem kairskiego Grand Egyptian Museum?
– Gdy w 2003 roku skończyłam studia, nie było w Polsce pracy dla młodych architektów. Zwłaszcza takiej, która by mnie ekscytowała. Zdecydowałam się wyjechać. I choć celowałam w Wielką Brytanię, to finalnie znalazłam się w Irlandii, gdzie pracowało wielu moich znajomych. Wyjechałam w 2006 roku. Niemal od razu trafiłam do pracowni Heneghan Peng Architects, która wygrała konkurs na zaprojektowanie GEM. Praca przy projektowaniu największego muzeum na świecie była moim pierwszym tam zadaniem.

W jak dużym zespole pracowałaś?
– W szczytowym momencie nasze biuro liczyło 35 osób, z czego około dwudziestu pracowało tylko nad GEM. Na całym świecie nad projektem pracowało kilkaset osób.

Jakie było twoje zadanie?
– Na początku miałam pracować w zespole, który zajmował się „sklejaniem", czyli koordynowaniem poszczególnych części projektu. Po jakimś czasie okazało się, że potrzebny jest ktoś do projektowania fasad w budynku. Spędziłam nad nimi trzy-cztery lata. Gdy wróciłam do Polski w 2013 roku, zdalnie pracowałam przy doradztwie na budowie.

O jakiej idei stojącej za budynkiem słyszeliście od Egipcjan?
– Głównie o tym, że robimy coś przełomowego. Z tym, że nie tyle przełomowego architektonicznie, co w kontekście skali budynku i tego, co będzie w nim eksponowane.

GEM był projektowany dwie dekady temu. To był czas, gdy powstawały tzw. „białe słonie", czyli imponujące, drogie obiekty, których głównym wyróżnikiem miała być zjawiskowa architektura. Przykładem takich inwestycji jest m.in. Miasto Kultury Galicji w Santiago de Compostela. Świadczyły one głównie o ambicjach zamawiających, którzy chcieli powtórzyć efekt znany z Bilbao.

Od początku było wiadome, że tu architektura nie będzie największą atrakcją. Niemal każdy chce raz w życiu zobaczyć skarb Tutanchamona czy Łódź Solarną Cheopsa. Zatem wiedzieliśmy, że projektujemy miejsce, w którym będzie olbrzymia frekwencja, a we wnętrzu znajdą się najcenniejsze egipskie skarby.

Mieliśmy świadomość tego, że projektujemy budynek, który wpłynie na gospodarkę Egiptu. To wyjątkowy przypadek, gdy jedno muzeum może tak wiele zmienić nie tylko w skali miasta czy regionu, ale kraju.

Myśląc o tym dzisiaj, jestem zaskoczona naszą odwagą. Jeszcze przed chwilą byłam studentką architektury, a tu latam na ustalenia między Londynem a Paryżem, pracując przy projekcie za pół miliarda dolarów, bo na tyle wtedy wyceniano budowę GEM. Oczywiście gdy dzisiaj patrzę na przygotowaną przez nas dokumentację, to widzę, jak bardzo byliśmy w pracowni mało doświadczeni. Pewnie dzisiaj już byśmy zrobili to wszystko inaczej. Tak czy inaczej – wtedy to było nasze spełnienie marzeń.

Co z twojego projektu zostało w GEM?
– Wielki dziedziniec, czyli przestrzeń, do której przechodzi się przez główną elewację. Nie odpowiadałam jedynie za sadzawkę, która opływa pomnik Ramzesa II. Zajmowałam się też okładzinami właściwie we wszystkich galeriach w środku, a także dachem, siatkami od strony południowej i wszystkimi przeszkleniami w projekcie. Przeogromny pakiet.

Najśmieszniejsze w tej historii jest to, że ja nigdy nie czułam się „designerką". Są ludzie, którzy mają do tego niezwykły dryg. Narysują kilka kresek i wszystko się układa, ma odpowiednie proporcje, lekkość. Ja jestem ścisłowcem. Muszę wszystko sobie narysować, policzyć, znaleźć racjonalne argumenty dla konkretnych decyzji projektowych. GEM to było idealne zadanie dla mnie, bo to przestrzeń zaprojektowana w bardzo ścisłym geometrycznym rygorze siatek, podziałów, modułów. Miała tak zaprojektować podziały elewacji, by ściśle zgrywały się z tymi wszystkimi siatkami.

Wyglądało to mniej więcej tak. Powiedzmy, że pracuję nad przeszkleniami w wielkim dziedzińcu. Przygotowuję dziesięć różnych propozycji, następnie z naszym zespołem dyskutujemy, wybieramy najlepsze. Potem muszę to omówić z inżynierami z Londynu lub Paryża, których zadaniem jest znalezienie rozwiązań technologicznych dla naszych propozycji. Następnie to wszystko trzeba przenieść na język technologii, zobaczyć jak współdziała z innymi elementami. Zajęcia z geometrii wykreślnej z politechniki bardzo mi się przydawały.

Czy podczas projektowania mieliście jakieś ograniczenia finansowe?
– Nie. To brzmi aż niewiarygodnie, ale na wczesnych etapach nie było momentu, kiedy ktoś powiedziałby, że coś jest za trudne technicznie, zbyt kosztowne. Dopiero później, po „arabskiej wiośnie" i na etapie projektu budowlanego i wykonawczego szukano oszczędności, co właśnie dotknęło m.in. elewację budynku.

A jak architektura miała dopasować się do ekspozycji?
– W galeriach można zobaczyć kamienne rzeźby, które ważą tony. Zatem architektura budynku musiała być perfekcyjnie zgrana z ekspozycją. Cała konstrukcja była projektowana z myślą o tym, żeby dało się te obiekty wprowadzić do galerii i żeby one stały w odpowiednio wzmocnionych miejscach. W GEM nie ma przypadków.

GEM był początkiem twojej drogi jako architektki zajmującej się muzeami.
– Jeszcze w Dublinie pracowałam przy projektach między innymi Muzeum Palestyny na Zachodnim Brzegu czy przebudowy i modernizacji wiktoriańskiej Galerii Narodowej Irlandii. W Polsce, w mojej firmie A2P2, zajmuję się już nie tylko nimi, ale także innymi instytucjami kultury na etapie przedprojektowym. Opracowuję programy inwestycji i ustalam, jak ma funkcjonować taki obiekt. Przeprowadzam konsultacje z pracownikami, ekspertami, organizuję konkursy architektoniczne. ●

Monika Arczyńska

• Architektka. Absolwentka Politechniki Gdańskiej, współpracowała z biurem Heneghan Peng Architects przy projektach m. in. Wielkiego Muzeum Egipskiego i Muzeum Palestyny. Od 2015 roku współtworzy firmę A2P2 Architecture & Planning, która zajmuje się „rozwiązywaniem złożonych problemów o profilu architektonicznym i urbanistycznym".

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

1 RP

eprasa.pl e842ac5a5d

WSZYSCY MÓWIĄ „KOCHAM SIĘ”

Takie teksty, jak „utul swoje wewnętrzne dziecko”, **stały się produktem reklamowym, a ludzie myślą, że to złota recepta.**

Z **SONIĄ SOKÓŁ***, PSYCHOLOŻKĄ ROZMAWIA **AGNIESZKA KUBLIK**

FOT. ALBERTO SUAREZ / 500PX / GETTY IMAGES

Jak często pani wyznaje sobie miłość, mówiąc do lustra „kocham cię”

– Zdecydowanie wolę mówić do siebie, że „się lubię”. Jakoś to „kocham cię” jest dla mnie zarezerwowane do innych relacji, relacji z innymi. Może to lęk przed narcystycznym zakochaniem.

Rozmawiamy, bo obie po obejrzeniu reklamy zagranicznej drogerii, poczułyśmy, że coś jest tu nie tak. To ta reklama, w której kilka osób z pewnym zaniepokojeniem, lękiem, zawstydzeniem mówi do lustra „kocham cię”.

– Miałam mieszane uczucia. Ucieszyłam, bo to fajnie, że poruszamy kwestię samoakceptacji. Ale potem pojawiła się myśl, że to „kocham się” weszło do poppsychologii, a teraz pojawia się w reklamie zachęcającej do zakupów. Dla siebie.

Nie ma tu sugestii, że to „kocham cię” powinno być konsekwencją naszego stosunku do siebie, wcześniejszej pracy nad sobą.

Bo to akceptacja siebie, takim jakim się jest? Ze wszystkimi wadami?

– Tak, jestem wredny dla innych, no, ale skoro mam się akceptować taki, jaki jestem, no to się akceptuję.

Prawdziwa akceptacja to spotkanie się z rzeczywistością. To trzeźwa ocena, co jest moją mocną stroną, a co nie.

I właśnie to, co mi się nie podoba w tym nurcie poppsychologii, takiej nauczającej, by mówić sobie „kocham się”, to to, że słowa to za mało, by siebie polubić czy nawet pokochać.

Co trzeba uczynić, żeby móc uczciwie powiedzieć do siebie „kocham cię”?

– Po pierwsze, powinniśmy przejrzeć się w lustrze bliskich sobie relacji. Nawet może i wprost zapytać bliskich i ważnych dla siebie ludzi – co jest we mnie dla ciebie dobre? Co nie jest ok? Zapytać siebie: Czy to, jak wygląda ta relacja mi służy, czy może wręcz przeciwnie?

Po drugie, sprawdzić, w czym ja się czuję dobrze? Co mi sprawia przyjemność? Uczciwie sobie odpowiedzieć, co nie znaczy zawsze krytycznie.

Mówienie do siebie o swojej miłości, nie wystarcza, by poczuć się dobrze, no może na chwilkę … Na pewno nie pomaga poczuć się lepiej z innymi.

Dziś, niestety, jest moda na takie płytkie, banalne rady na Instagramie czy TikToku: „Kochaj samego siebie takim, jaki jesteś” i „odnajdź swoje wewnętrzne dziecko”. Oczywiście to też są ważne aspekty w terapii, ale jeśli poprzestaniemy tylko na tym, to kim mamy się stać? Dzieckiem, które jest skupione tylko na sobie?

Ten etap w rozwoju jest niezbędny i kawałek tego warto sobie zachować, ale w końcu trzeba porzucić to egoistyczne spojrzenie na siebie, że jestem najważniejszy, najważniejsza. Bo żyjemy w społeczeństwie. Widzę ogromny kryzys w relacjach z innymi.

Empatię blokuje nam ta podpowiedź „mam być dla siebie najważniejszy”?

– Był czas, kiedy skupialiśmy się na innych, bo poświęcanie się dla innych było nie bohaterstwem a oczekiwaną codziennością. Teraz dostrzegam, że wpadamy w drugą skrajność – najbardziej się skupiamy na sobie.

Relacje z innymi kuleją, do psychoterapeutów ustawiają się kolejki par, potem do sędziego od rozwodów.

Ostatnio kolega, który jest singlem i chodzi na randki, powiedział: – Wiesz Sonia, jak to jest, że te wszystkie dziewczyny po tych terapiach, są szalenie skupione na sobie i właściwie nie da się z nimi już rozmawiać o niczym innym, niż one same.

To trafne spostrzeżenie, tak skupiamy się na sobie, że zapominamy, że ktoś jest obok. I to ktoś, komu na nas zależy, ktoś dla nas dobry.

To dotyczy i mężczyzn?

– Myślę, że dotyczy ludzi w ogóle, w końcu jesteśmy wszyscy odbiorcami treści i porad w internecie. Tyle się nam mówi, że mamy postawić siebie na pierwszym miejscu, że potem ta decyzja o tym, czy kogoś wziąć pod uwagę, pójść na kompromis staje się naprawdę trudna.

To skutek komercjalizacji psychoterapii?

– W naszej dziedzinie, każdy może powiedzieć wszystko i nie ponosi żadnych konsekwencji. Takie teksty „kochaj się” czy „utul swoje wewnętrzne dziecko” stały się produktem reklamowym, a ludzie myślą, że to złota recepta.

Inni nas przerażają, ich oceny, emocje. Sama bliskość przeraża. Zapomnieliśmy, jak to jest być w stadzie

Ktoś sobie tak powie i rozgrzeszy się ze swoich wad. A ktoś inny, kto nie da rady wyznać sobie miłości do lustra, poczuje się ze samym sobą jeszcze gorzej, bo to kolejny wymóg, którego nie można spełnić.

Bardzo mnie niepokoi taka sieciowa psychologia.

Co z tą empatią? Nie zauważamy płaczu dziecka w mieszkaniu obok, krzyków kobiety, gdy partner się na niej wyżywa. Nieszczęście innych ludzi nas nie rusza.

– Wyjechałam z Warszawy pięć lat temu, właśnie wróciłam na miesiąc i zauważyłam, że przez te pięć lat zmieniło się to, że sąsiedzi przestali mi mówić „dzień dobry”. Pięć lat temu wszyscy się tak witaliśmy.

A teraz kilka razy się zdarzyło, że na moje „dzień dobry” nie było żadnej reakcji. Jak byśmy nie mieli już tych słów...

To skąd mielibyśmy mieć uczucia, by reagować na krzywdę innych?

– No skąd?

A może to poczucie bezsilności, sami nie wiemy, jak sobie ze sobą poradzić, a co dopiero z płaczącym dzieckiem za ścianą? Bo gdzieś tam zagubiliśmy relacje z innymi – sąsiadami, znajomymi, przyjaciółmi, rodziną. Być może to wynika z lęku przed poświęceniem się dla kogoś, zatraceniem siebie? Dobrze by było, gdyby w tej reklamie było nie tylko „kocham się”, ale i byśmy wyznali miłość do kogoś – męża, żony, dziecka, rodziców, przyjaciół.

Żebyśmy w ogóle widzieli innych. Nie pojmuję, dlaczego pozwalamy pijanym siadać za kierownicą. W zeszłym roku policja schwytała ponad 95 tys. nietrzeźwych kierowców, spowodowali ponad tysiąc wypadków. Zginęło 124 osób. Ilu było świadków, jak ci pijani wsiadali do auta?

– Z własnego doświadczenia wiem, że trzeba się przemóc, by reagować. Pamiętajmy, ci krzykacze często się boją, gdy ktoś na nich krzyknie. No, ale najpierw, trzeba ten krzyk usłyszeć i zrozumieć, że ktoś nas potrzebuje. Dlaczego to jest dla nas takie trudne? Może nie czujemy się po prostu częścią tego społeczeństwa? Że to moje podwórko, moja ulica, dzielnica, miasto, państwo? A my żyjemy jak taka osobna komórka.

Porozrywały nam się więzi?

– Pozrywały. Dla mnie dużym szokiem była przeprowadzka z Warszawy do mniejszego miasta, pod las. Okazało się, że mamy tam silne więzi z nowymi sąsiadami, choć mieszkają nawet kilometr dalej. I to jest cudowne uczucie. Po prostu potrzebujemy się nawzajem, swojego towarzystwa, pomocy, wiemy o tym, jesteśmy na siebie uważni. A w Warszawie? „Dzień dobry” już nas nawet nie łączy.

Jak daleko od „kocham się” do narcyzmu?

– Narcyzm to nie jest po prostu miłość do samego siebie. Tak naprawdę narcyz samozachwytem rekompensuje sobie to, że jemu jest źle ze sobą. Jest mu źle, bo ma zaburzoną samoocenę, niskie poczucie wartości z jednoczesnym przekonaniem o swojej wyjątkowości. Jak mówi do siebie „kocham się”, to zakrzykuje tą wewnętrzną niską samoocenę.

Nasza dzisiejsza kultura jest trochę narcystyczna. Nauczyliśmy się interesować przede wszystkim sobą, zewsząd słyszymy takie wskazówki. I cóż w efekcie zamykamy się na innych, na uczucia do innych.

Widzę ten problem u 20 i 30latków. Trudno im nawiązać relacje, trudno o nie zadbać. Już wiedzą, że trzeba zadbać o siebie, jeszcze się nie nauczyli, jak dbać o innych. Kolejny krok – jak te relacje budować i umieć je utrzymać. To trochę takie ofiary komercyjnych psychologicznych podpowiedzi.

Chodzi o to, żeby umieć i lubić, i kochać siebie, i widzieć, i kochać kogoś, ale jednocześnie nie zatracać się w tym, żeby kochać kogoś tak zupełnie, by zapomnieć o sobie.

Balans jest skomplikowany...

– Zawsze. Ale jak potrzebny.

Przykładem dowodzącym, że człowiek powinien dbać przede wszystkim o siebie, jest matka z dzieckiem w samolocie. Ona sobie powinna założyć maskę tlenową najpierw, dopiero potem dziecku. Tylko czy to jest dowód, na to, że „kocham się” jest najważniejsze, czy na to, że tylko gdy matka najpierw zadba o siebie, będzie mogła pomóc dziecku?

– Otóż to. Matka to robi dla siebie i ze względu na dziecko. Czyli i ono jest tu istotne, nie tylko „ja”. Bo dla mojego „ja” ważne są relacje z innymi.

Ale powiedzieć „kocham cię” komuś nie jest łatwe.

– Bo jest o emocjach, a te budzą w nas lęk. W szkole, w której się uczę psychoterapii, wiele rozmawiamy o terapii grupowej, to jeden z elementów, który trochę został zapomniany. Proponuję moim pacjentom terapię grupową i często słyszę „nie”, jakieś 90 proc. tak reaguje.

Bo to trudne.

– Jest trudne. W terapii grupowej odtwarzamy w grupie to, co jest problem w kontaktach z innymi. I dostrzegając to, mamy szansę uzdrowić te relacje.

Spotkania z obcymi ludźmi są szansą na otwarcie się na nasze problemy.

Ale ten lęk...

– Inni nas przerażają, ich oceny, emocje. Sama bliskość przeraża. Zapomnieliśmy, jak to jest być w stadzie, takim pierwotnym, prawdziwym, naszym. Dorastamy, wyprowadzamy się z domu, mamy słabe relacje z innymi, więc idziemy na psychoterapię, a tam słyszymy „pokochaj siebie”, no to kochamy bezkrytycznie i mamy jeszcze mniej bliskie relacje z innymi. Zresztą z małym kręgiem, bo partnerem, partnerką albo ze znajomymi z pracy.

Bo boimy się bliskości, ona nas niepokoi, nawet napawa strachem. Bliskość nas oddala.

– Moich pacjentów chciałbym nauczyć umiejętność dogadywania się z samym sobą, by dobrze funkcjonować w związkach, angażować się, czerpać z nich radość, żeby nie były stresujące, bo to relacje z innymi nas koją, uszczęśliwiają. Więc to jest kilka kroków, nie jeden. ●

*Sonia Sokół

• skończyła studia magisterskie na USWPS, teraz jest na drugim roku szkolenia psychoterapeutycznego w w Laboratorium Psychoedukacji w Warszawie. Odbyła staż kliniczny na Oddziale Psychiatrycznym w szpitalu w Działdowie oraz w Środowiskowym Domu Samopomocy w Iłowie-Osadzie. Od czterech lat pracuje z osobami dorosłymi (powyżej 16 lat) z zaburzeniami psychicznymi oraz w kryzysie życiowym.

eprasa.pl e842ac5a5d

DUCHY KRUMLOVA

Każdy budynek daje tu wykład o historii Europy, o ludzkich namiętnościach i ambicjach, o potędze dawnych rodów. A dookoła pyszne widoki na meandrującą wśród lasów Wełtawę i górskie pasma zwane czeską Kanadą.

Andrzej Krawczyk

Gdzie jesteśmy? To Český Krumlov, gdzie można odnaleźć „ducha starej, dobrej Europy". I poczuć, że człowiek nie polega na tym, że jedynie zaspokaja potrzeby materialne. Dają temu świadectwo choćby stary, zamkowy teatr, gdzie jakimś cudem przetrwały 300-letnie kompletne dekoracje i kostiumy do sztuk, czy wiekowe budynki sakralne rozmaitych wyznań chrześcijańskich dokumentujące intelektualne i polityczne zmagania nowożytnej Europy w rozumieniu Boga i roli Kościołów.

W Krumlovie, można się przespać w pochodzących z XVI wieku wnętrzach Hotelu Růže (Róża), zbudowanego jako kolegium jezuickie, które miało zwalczać wpływy protestantów. A spacer po mieście zakończyć na rynku, gdzie jak *Memento mori* (pamiętaj o śmierci) stoi słup morowy wzniesiony na początku XVIII wieku ku czci zmarłych podczas epidemii dżumy (w latach 1680-82) mieszkańców miasta. Przypomina o kruchości ludzkiego życia.

Krumlov ocalony

Krumlov jest drugim po Pradze najczęściej odwiedzanym przez turystów miastem w Czechach. Szczególnie niemieckojęzycznych – leży wszak niedaleko granicy z Austrią, 180 km od czeskiej stolicy. Zresztą w Krumlovie przez wieki to Niemcy stanowili większość mieszkańców, a językoznawcy twierdzą, że nazwa Krumlov pochodzi od staroniemieckiego określenia miejsca „krumbe ouwe", czyli na krzywej łące – ostrym stoku wzgórza schodzącego do Wełtawy. I rzeczywiście, to dominujące wrażenie z tego miasta – zamek na skale.

Do współczesności dotrwało nienaruszone średniowieczne centrum. Zamek i miasto przetrwały drugą wojnę światową niezniszczone. Bezpośrednio po wojnie były przez jakiś czas opustoszałe i wydawało się, że będą skazane na powolne starzenie się i marazm. Dzisiaj miasto kwitnie, przeżywa turystyczny boom, a miejscowe władze i mieszkańcy prześcigają się w pomysłach na nowe atrakcje.

Najważniejszym i najbardziej znanym obiektem w Krumlovie jest górujący nad miastem potężny zamek, do którego sławy przyczyniła się Helena Vondráčková i jej największy przebój „Malovaný džbánku".

Krumlovsky zámek, o którym śpiewała, położony jest na szczycie długiego, wysokiego, skalistego cypla, z którego rozpościera się widok na leżące w dole miasto. Teren zamkowy zajmuje kilka hektarów i obejmuje w sumie 40 różnych budynków a także 5 dziedzińców i ogrody.

Ale czar miejscowości polega na całym kompleksie miejskiej zabudowy otaczającym meandrującą w tym miejscu Wełtawę, nieodległą tutaj od swych źródeł. Zamek krumlowski jest drugą największą budowlą zamkową w Czechach. Bo miano pierwszej należy się praskim Hradčanom, rozległej dawnej siedzibie krolów z potężna katedrą św. Wita.

Zamek na szczycie góry

O jakimś zameczku na szczycie góry wspominał trubadur Ulrich von Liechtenstein w poemacie rycerskim „Frauendienst" (Służba paniom), napisanym ok. roku 1240. Po raz pierwszy zaś osada została wymieniona w dokumencie króla czeskiego Przemysła Ottokara II (tego, który panował nad Mediolanem i założył Królewiec nad Bałtykiem) w roku 1253, a już w roku 1309 nazwano ją miastem.

Stopniowo Krumlov stawał się jedną z największych siedzib magnackich w kraju. Założycielem linii rodowej tzw. Panów z Krumlova był Vitek II (Witiko II von Krumau), dygnitarz na dworze Wacława II z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XIII wieku.

Na początku XIV wieku, po śmierci ostatniego męskiego przedstawiciela rodu, miasto stało się siedzibą Rożemberków. Znana jest nawet dokładna data i miejsce wystawienia odpowiedniego edyktu króla czeskiego – 8 kwietnia 1302 roku w Brnie na Morawach.

Rożemberkowie najpierw rozbudowywali istniejący zamek, a z czasem wbudowali w starą konstrukcję drugą budowlę, w pewnym sensie oddzielną, która do dzisiaj funkcjonuje jako Górny Zamek. Po bitwie pod Białą Górą, w której czescy protestanci ponieśli klęskę, w 1620 roku cesarz Ferdynand II podarował zamek Krumau wraz z przynależnymi do niego ziemiami Hansowi Ulrichowi von Eggenbergowi jako wyróżnienie za udział w stłumieniu powstania stanów czeskich.

W 1719 roku, po śmierci bezdzietnej pary ostatnich właścicieli z rodu Eggenbergów, majątek przeszedł w ręce jednej z gałęzi rodziny Schwarzenbergów. Ci dokonali generalnego remontu i dalszego powiększania. Dobudowali m.in. do lewej nawy bocznej wspaniałego późnogotyckiego kościoła św. Vita z XIV wieku, jednej z dzisiejszych dominant miasta (z zachwycającym sklepieniem sieciowym w prezbiterium), kaplicę św. Jana Nepomucena, która uchodzi za wybitny przykład architektury barokowej.

Pierwsi Schwarzenbergowie: książę Adam Franciszek i Eleonora Amalia zapoczątkowali też tradycję rodzinnych nagrobków i wmurowywania serc zmarłych właścicieli w specjalnej piwniczce – „Grobowcu serc" przy jednej ze ścian kaplicy. Budowę nekropolii rozpoczęli od przeniesienia do kaplicy św. Jana Nepomucenapłyty nagrobnej XVI-wiecznego właściciela Krumlova, Wilema z Rożemberka.

W rękach Schwarzenbergów Dominium Krumlovskie pozostawało formalnie do 1947 r., ale powstanie Czechosłowacji i jej administracji na początku 1919 r. oraz reforma rolna z 1931 r. w istotny sposób ograniczyły starą strukturę feudalnej własności.

Ostatni reprezentant rodziny właścicieli, książę Adolf zu Schwarzenberg, chociaż etniczny Niemiec, był czechosłowackim patriotą. Po układzie w Monachium w 1938 r. i włączeniu dużej części południowo-zachodnich Czech do Niemiec wyemigrował do Wielkiej Brytanii, a jego kuzyni walczyli nawet w czeskim lotnictwie u boku Brytyjczyków. Władze Trzeciej Rzeszy w ramach represji skonfiskowały w 1940 r. majątek rodziny.

Jak wspominałem, miasto i zamek przetrwały drugą wojnę światową nie tylko nie-

eprasa.pl e842ac5a5d

FOT. HARALD NACHTMANN/GETTY IMAGES

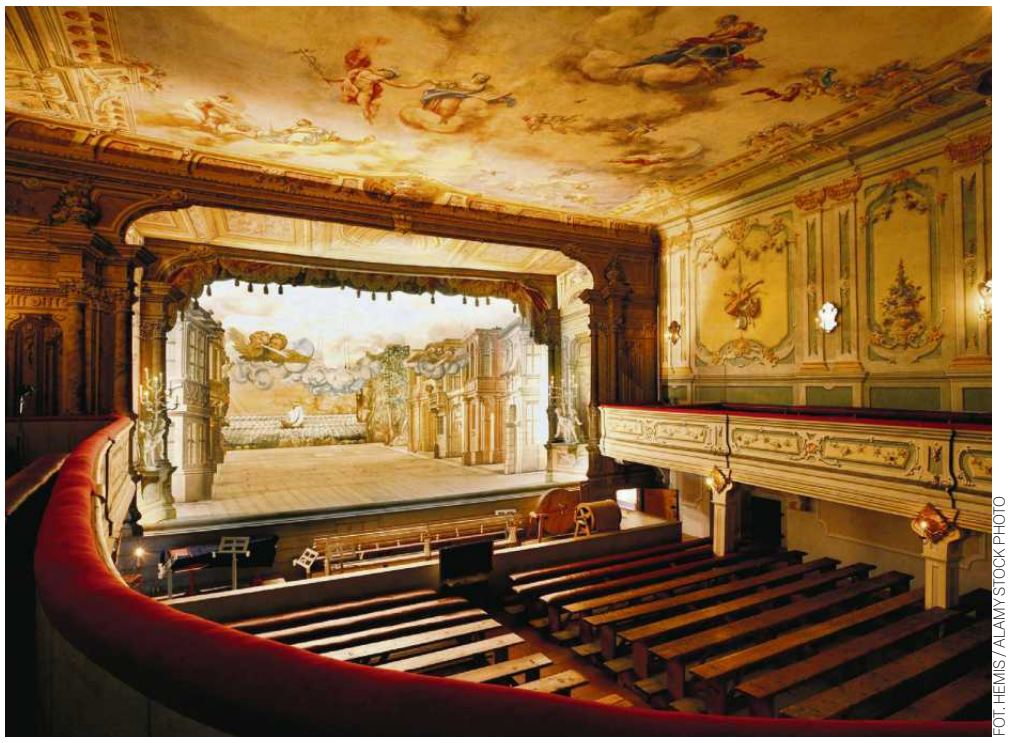

FOT. HEMIS/ALAMY STOCK PHOTO

FOT. JAVIER DALL'/GETTY IMAGES

▼ **Widok na Krumlov i jego wizytówkę – zamek, a raczej kompleks zamkowy: w sumie 40 budynków, kilka dziedziń- ców i ogród. Siedziba rodów: Rożemberków, Eggenbergów i Schwarzenbergów**

▲ **Barokowy teatr zamkowy zachwany w prawie niezmienionym stanie od ponad 300 lat. Fenomen na skalę światową m.in. z kompletnymi dekoracjami, kostiumami, librettami i archiwum**

▲ **Zamkowy Most Płaszczowy czyli kryty, trzykondygnacyjny ceglany pomost wsparty na masywnych filarach połączonych łukami. Imponująca konstrukcja, która pochodzi z XVIII wieku.**

naruszone, ale nawet niesplądrowane. Może dlatego, że w maju 1945 r. wyzwoliły je oddziały amerykańskie, a nie sowieckie? Wtedy też konfiskata straciła teoretycznie ważność, a Schwarzenberga trudno było uważać za zdrajcę.

Ale w 1947 r., pod naciskiem komunistów, parlament czechosłowacki uchwalił specjalną ustawę o nacjonalizacji majątku Schwarzenbergów. Dziś uczą się o tym studenci prawa na całym świecie, bo to niemający odpowiednika państwowy akt prawny rangi ustawy odnoszący się tylko do jednej, konkretnej rodziny.

Niezwykły teatr

Potężny zamek, symbol Krumlova, oprócz swoich podstawowych funkcji obronnych i mieszkalnych stanowił także główny ośrodek administracyjny rozległego tzw. Dominium Krumlovskiego. Kolejni możni właściciele tego „państwa" piastujący ważne funkcje w Czechach dążyli do uczynienia Krumlova południowoczeskim odpowiednikiem królewskiej metropolii – Pragi.

Na zamku zachowały się cenne renesansowe, barokowe i rokokowe komnaty, częściowo z oryginalnym wyposażeniem. Na szczególną uwagę zasługuje tzw. Sala Masek, z iluzjonistycznymi malowidłami w stylistyce komedii dell'arte z 1748 r. Wśród wystawianych ciekawostek znajduje się kareta z 1638 r. wykonana z drzewa orzechowego i pozłacana, którą ówczesny właściciel Johann Anton I von Eggenberg wjechał do Watykanu podczas audiencji u papieża Urbana VIII.

Czesky Krumlov i malownicze okolice

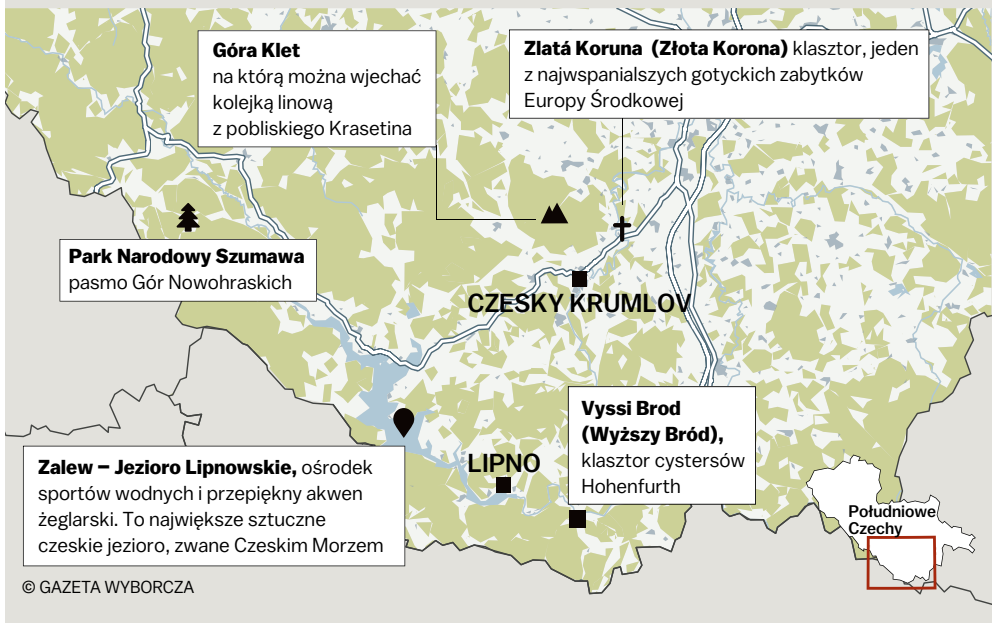

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej" i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty.
W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, między innymi: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją.
Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

Podcast Poznajmy naszą Europę

• **NOWY ODCINEK: Alicja Dąbrowska rozmawi z Andrzejem Jagodzińskim, tłumaczem z czeskiego i słowackiego, wieloletnim korespondentem „Wyborczej" w Pradze** m.in. o tym, czym dziś zaskakują Czechy poza Pragą i dlaczego, i od kiedy Czesi polubili Polaków.

„Perłą w koronie" Czeskiego Krumlova jest teatr zamkowy, wzniesiony w stylu „baroku iluzorycznego" w roku 1680 (dzisiejszy kształt nadano mu blisko sto lat później).

Zachowała się oryginalna widownia, kanał orkiestrowy, scena, maszyneria sceniczna, dekoracje, kostiumy aktorów, a nawet system oświetlenia (przed elektrycznością!) umożliwiający natychmiastowe oświetlenie albo zaciemnienie sceny, a także powóz latający pod sufitem, wjeżdżająca na scenę i funkcjonująca fontanna czy urządzenie wytwarzające odgłosy burzy z piorunami. Obok loży księcia zachowała się nawet toaleta z początku XVIII wieku.

Fenomenem jest też archiwum teatralne: libretta (według opiekunów obiektu ponad dwa tysiące!), scenariusze, teksty, partytury (kilkaset), inwentarze, faktury, informacje prasowe o życiu teatralnym od XVII do końca XIX wieku.

W nienaruszonym stanie przetrwało:
• 11 całościowych dekoracji do sztuk;
• 250 przesuwnych skrzydeł dekoracyjnych tworzących tła np. burzy, gór, zamku, łąki, morza, pola bitwy czy starożytnego Rzymu;
• 540 kostiumów;
• 50 maszyn do efektów specjalnych;
• 200 opraw oświetleniowych.

Kompletną konstrukcję górnej sceny uzupełniają pomosty, podest i dolna scena – wszystkie z odpowiednimi mechanizmami. Oryginalna jest również podłoga sceny wraz z przesuwanymi i uchylnymi panelami oraz czterema zapadniami.

eprasa.pl e842ac5a5d

• Widok na malowniczą górę Klet (1084 m n.p.m.) najwyższy szczyt Pogórza Szumawskiego (Šumavské podhůří)

FOT. ROMAN KYBUS / GETTY IMAGES

FOT. MICHAELA JILKOVA/SHUTTERSTOCK

• Zabudowania dawnego klasztoru Cystersów w Złotej Koronie. Po sekularyzacji zakonu były tu m.in. fabryka tekstyliów i składy. Teraz to muzeum.

FOT. WESTEND61/ GETTY IMAGES

• Vyssi Brod. Udekorowany freskami wjazd do opactwa Cystersów Hohenfurth

O jakie rozkosze chodzi?

Z Zamku Górnego trzeba udać się na dziedziniec warowni tzw. Mostem Płaszczowym, jedną z największych atrakcji miasta. Kryty, trzykondygnacyjny ceglany pomost wsparty jest na masywnych filarach połączonych łukami; ta imponująca konstrukcja pochodzi z XVIII wieku. Pomost na dolnym poziomie łączy Salę Masek z lożą księcia w teatrze. Przejście na górnym poziomie prowadzi do ogrodu zamkowego.

W końcu XVII wieku zbudowano tu tzw. pałac rozkoszy – Bellaria, według modnej wówczas wśród arystokracji koncepcji „belwederu" (wł. Belvedere – piękny widok), czyli pałacyku wykorzystującego piękną perspektywę widokową wybranego miejsca na terenie rezydencji.

Pałacyk przebudowano potem w stylu rokokowym. W podziemiach mieści się barokowa kuchnia, pomieszczenie z maszynerią tak zwanego magicznego stołu – windy, która przez trzy kondygnacje przenosi z kuchni do salonu zastawiony stół z przygotowanym posiłkiem. Uwaga! Wspominane rozkosze miały bowiem dotyczyć właśnie kulinariów.

W podziemiach znajdziemy również grotę, czyli sztuczną jaskinię, której ściany pokryto sztukaterią z tysiącami muszli, pereł z masy perłowej, odłamków szkła i luster. Dziś pereł już jednak nie uświadczymy – podczas niedawnej renowacji zastąpiono je imitacjami wytworzonymi w technologii 3D.

Samo miasto powstało w XIV wieku. Zaczynało się od kwadratowego rynku, z którego promieniście rozchodziły się kręte uliczki zabudowane mieszczańskimi domami. Krążąc uliczkami ponad dachami budynków, widzimy majestatyczny zamek. Według historyków sztuki najwięcej domów nawiązujących do zamkowej konstrukcji i jej detali pochodzi z drugiej połowy XVI wieku. Tutejsi mieszczanie i dworzanie doskonale wiedzieli, co było modne, i miasto jest doskonałym przykładem renesansowej architektury. Na ścianach domów podziwiać można niemalże włoskie sgraffita i naścienne malarstwo, często o „reportażowej" czy nawet ironicznej treści.

Tuż pod zamkiem sąsiadują ze sobą dawne XVI-wieczne klasztory: Franciszkanów, Franciszkanek i Beginek. Teraz cały kompleks nosi nazwę „Muzeum Klasztorne" – co jest charakterystyczne dla mocno zlaicyzowanego czeskiego państwa i ma służyć „relaksowi oraz rozrywce dla rodzin z dziećmi w sali zabaw historycznych". Na gości czekają więc historyczna wystawa „Życie i sztuka w klasztorach Krumlova", a na dzieci „kreatywne warsztaty". Do muzeum wracają też, a ma ich wracać więcej, gotyckie rzeźby i figury Chrystusa wywiezione z klasztornych kościołów w latach pięćdziesiątych XX wieku.

Okolica i starówka też pełna jest muzeów i galerii: Muzeum Egona Schielego, słynnego austriackiego malarza i grafika; Muzeum Tortur; Muzeum Figur Woskowych; zabytkowa kopalnia grafitu; Muzeum Legend Filmowych; Muzeum Zabytkowych Motocykli; Muzeum Raftingu.

Niedawno otwarto też escape room tematycznie zlokalizowany w Czeskim Krumlovie. Gra nazywa się „Londýn – Český Krumlov". Mieści się w budynku dawnego młyna zaaranżowanym na mieszkanie członka ruchu oporu, radiotelegrafisty Jana Medka. Jest rok 1942. Łączność z Londynem została przerwana, gestapo już jedzie. Kto będzie szybszy – ty czy Niemcy?

Atrakcją jest też 50-minutowy rejs tratwą po Wełtawie przez centrum Czeskiego Krumlova. Rzeka meandruje przez całe miasto i po drodze pokonuje się dwa jazy utrzymujące stały poziom wody. Tę trasę można też przepłynąć samemu i wynająć kajak. Trasa kończy się, a jakże, jesteśmy wszak w Czechach, przy wejściu do browaru.

Nad Czeskim Morzem

Ale urok Czeskiego Krumlova to także okolica: lasy i narodowy Park Szumawa oraz pobliskie pasmo Gór Nowohraskich. Tylko 6 km od Krumlowa jest góra Klet, idealny cel jednodniowej pieszej wycieczki – bardziej leniwi mogą wjechać kolejką linową z pobliskiego Krasetina.

Ale Klet to nie tylko piękna przyroda, na szczycie jest najstarsza kamienna wieża widokowa w Czechach z roku 1825. Po drodze mija się zaś najwyżej położony zegar słoneczny w Czechach i nadajnik telewizyjny zbudowany w czasach socjalistycznej „normalizacji" w 1978 roku. W poliżu jest tu także obserwatorium, które należy do światowej czołówki w dziedzinie badań asteroid, i również warte jest odwiedzenia.

20 km dalej rozciąga inny krajoznawczy klejnot – Jezioro Lipnowskie, ośrodek sportów wodnych i przepiękny akwen żeglarski. To największe sztuczne czeskie jezioro, zwane Czeskim Morzem, powstało w latach pięćdziesiątych, kiedy zbudowano tu tamę. Zalew ma 48 km długości, a tafla wody znajduje się na wysokości 726 m n.p.m.

Do końca istnienia Czechosłowacji Lipno nad Wełtawą, z powodu bliskości granicy z RFN i Austrią, było terenem na pół zamkniętym. Jednocześnie wiodła tędy trasa ucieczek z „obozu wschodniego". Trzy razy próbowano na ten teren wlecieć z RFN prywatnym helikopterem, żeby zabrać uciekinierów. W sierpniu 1975 roku czescy pogranicznicy ostrzelali taki lądujący helikopter. Jedna z uciekających kobiet i pilot zostali ranni. Udało się jednak poderwać maszynę i odlecieć do Niemiec. Trzy osoby odleciały, ale dwie zostały: starsza kobieta i pomocnik pilota, zresztą Polak. Oboje trafili do więzienia.

Cysterski ślad

W późnym średniowieczu Krumlov był centrum wzorcowo zagospodarowanego regionu, m. in. dzięki cystersom. Zakon założono w 1098 r. w Cîteaux we Francji i mówi się, że gdyby nie cystersi, to świat zachodni stałby dzisiaj na zdecydowanie niższym poziomie cywilizacyjnym. Byli też pierwszym zakonem ogólnoeuropejskim, bo już w pierwszej połowie XII wieku dotarli do prawie wszystkich krajów kontynentu.

Osiedlali się w miejscach odludnych, na terenach niezagospodarowanych, które dzięki swojej pracowitości i wiedzy przekształcali w kwitnące ośrodki rolnicze i rzemieślnicze: budowali młyny, stawy rybne, systemy melioracyjne i kanały. Zaczęli w Europie Środkowej hodować karpie, żeby pomagać w walce z głodem. Uczyli ludność stosowania trójpolówki, nawożenia, melioracji i gdzie się dało, uprawy winorośli. Ich opactwa szybko stawały się samowystarczalnymi, dobrze prosperującymi i dochodowymi przedsiębiorstwami.

Jednocześnie odgrywali ważną rolę w życiu umysłowym. W klasztorach zakładali skryptoria, gdzie kopiowali i tworzyli nowe księgi, a wykształceni ojcowie prowadzili szkoły. W naszej części Europy podnieśli na wyższy poziom budownictwo i architekturę, wprowadzając sklepienia, które wyparły zwyczaj krycia kościołów drewnianymi belkami.

25 km od Krumlova w miasteczku Vyšši Brod znajduje się funkcjonujący ponownie od marca 1991 r. Klasztor Cystersów (znany pod niemiecką nazwą Hohenfurth, zamknięty wraz z wysiedleniem Niemców po 1945), a w jego niedalekim sąsiedztwie kompleks klasztoru Złota Korona, jednego z najwspanialszych gotyckich zabytków Europy Środkowej.

Tym dwóm opactwom południowe Czechy zawdzięczają w średniowieczu wysoki poziom rozwoju. Do cystersów należało tutaj na początku XVI wieku 150 wsi, 20 folwarków i nawet jedno miasteczko.

Klasztor w Złotej Koronie założył w roku 1259 Peter Wok, marszałek Królestwa Czeskiego i jeden z twórców jego ówczesnej świetności. Ponieważ w klasztorze znalazła się wyjątkowa relikwia – fragment cierniowej korony, którą rzymscy żołnierze mieli założyć na głowę Jezusa podczas ukrzyżowania – całą miejscowość nazwano Złota Korona. Klasztor zlikwidował cesarz Austrii Józef II w ramach absolutystycznej polityki podporządkowania kościoła państwu w roku 1785. Budynki kupiła rodzina Schwarzenbergów i przerobiła na fabrykę tekstyliów.

W socjalistycznej Czechosłowacji mieściły się tam magazyny biblioteczne, a dzisiaj państwowe muzeum, które jednak stara się nawiązywać do specyfiki miejsca także ekspozycjami. Dzięki powrotowi cystersów do regionu po powstaniu demokratycznego państwa czeskiego i ich staraniom o pokazanie swojej historii i tożsamości turyści mogą lepiej uświadomić sobie, jak ważne to było miejsce dla europejskiej kultury; na dodatek w otoczeniu architektonicznym, które po prostu rzuca na kolana.

Jeśli zapytacie, gdzie znajduje się centrum Europy Środkowej, bez wahania odpowiem: właśnie tutaj, w południowych Czechach. ●

Andrzej Krawczyk

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

• Historyk i dyplomata. Specjalizuje się w historii Europy Środkowej XX w. W latach 1980-82 współredaktor „Biuletynu Solidarności UW"; w latach 80. członek zespołu „Biblioteki Historycznej i Literackiej" w drugim obiegu i współwydawca pisma „ABC", poświęconego Europie Środkowej i Wschodniej. Od 1989 r. w administracji. Ambasador Rzeczpospolitej w Republice Czeskiej (2001-2005), na Słowacji (2009-2012) oraz w Bośni i Hercegowinie (2013-2018). W latach 2006-2007 podsekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta

1 RP

eprasa.pl e842ac5a5d

Hamnet, czyli Hamlet

Bo ja się przyznam: siedziałem w kinie wbity w fotel oglądając najpierw narodziny miłości i związku Williama i Agnes („domowe” imię Ann Hathaway, żony Szekspira), codzienne troski, a potem rozpacz i całkiem inne przeżywanie żałoby

Jarosław Mikołajewski
Felieton z cyklu „Za pięć trzynasta”

FOT. AGATA GRZYBOWSKA/FOCUS FEATURES/UPI

O tym, że imiona Hamnet i Hamlet współistniały za czasów Szekspira w kronikach Statfordu, i że były stosowane na równych prawach, informuje wstępny napis filmu „Hamnet”. Jak u nas Jan i Janusz pewnie. Tyle że po polsku nie powstał utwór dramatyczny „Jan” ani „Janusz”, który od czterystu lat zachowywałby niepokojącą żywotność i świeżość, inspirując coraz to nowe odczytania, dociekania i zarwane noce. Nie powstał też film, który w żadne polskie dzieło literackie wgryzałby się z taką pasją.

Mówię poważnie: nie czuję, że mamy w Polsce filmowe czy teatralne odczytanie arcydzieła, które by doprowadzało do łez i w poczuciu niezrozumienia pozostawiałoby wobec częstych opinii, że fabuła nie jest przekonująca, i aktorzy za mało wybitni.

Dużo tego na dwie godziny

Bo ja się przyznam: siedziałem w kinie wbity w fotel oglądając najpierw narodziny miłości i związku Williama i Agnes („domowe” imię Ann Hathaway, żony Szekspira), konstruowanie ich osobowości, narodziny dzieci, troskę o nie, małżeńskie rozczarowanie, śmierć małoletniego synka (Hamneta), rozpacz, artystyczne oddalenie dramaturga od codziennych trosk rodziny, zapis przedstawienia, w którym uczestniczy osierocona mama, początkowe niezrozumienie, wreszcie stopniowe odzyskiwanie osobistej historii w dziele tego, który był osieroconym ojcem, i całkiem inaczej przeżywał swoją żałobę...

Uff. Dużo tego. Bardzo dużo jak na dwie godziny seansu. Wiele wątków, stanów emocjonalnych, sugestii, skojarzeń z innymi dziełami Szekspira i z innymi filmami o stracie dziecka, o nienaukowym, lecz domyślnym i czułym poszukiwaniu życiowych źródeł tych, które znamy jako arcydzieła.

A kiedy zorientowałem się, że film zaraz się skończy – wiele łkania we mnie i bardzo mokre powieki.

Jest w filmie szczegół dla mnie ważny. To znak przebaczenia ludzi, którzy dawniej kochali się bez zastrzeżeń, aż coś w nich pękło

A na policzkach – ten święty smark, który świadczy o utracie kontroli nad emocjami, o nieupozowanym, niewykalkulowanym odbiorze na salonikach, gdzie zastanawiamy się czy nam się właściwie podobało, czy nie, i jak to zostanie odebrane.

Gra samozatraciem

Ten felieton nie jest recenzją, pominę więc prawie wszystkie nazwiska twórców filmu. Zaświadczając o wspaniałości zdjęć Łukasza Żala, o której w kraju nad Wisłą mówi się z uzasadnionym uznaniem, nie umiem nie wziąć w obronę lekceważonego Paula Mescala (Szekspir) i nie wpisać się w zbiorowy zachwyt grą Jessie Buckley (Agnes / Anne) (**oboje na zdjęciu).**

Mescal owszem, zwłaszcza na początku filmu, jest niewyrazisty, lecz ani przez chwilę nie miałem wątpliwości, że mamy do czynienia ze świadomym wycofaniem, szlachetnym samowyciszeniem, budującym Williama jako artystę odklejonego od rytuałów domu na rzecz filozoficznego skupienia, uwewnętrzniającego przeżycia, które często wyrażają się słowem i gestem.

Tak właśnie czuję – że Paul Mescal gra samozatarciem. Przy czym wyciszenie to zostaje nam po królewsku zrekompensowane sceną, w której Szekspir, grający Hamleta-ojca, spotyka się we własnym dramacie twarzą w twarz z Hamletem-synem.

Bez spuszczania wzroku

Tymczasem Jessie Buckley, która mam nadzieję, że odbierze za rolę Agnes wszystkie nagrody świata, daje nam szczodry, niepohamowany popis od samego początku, kiedy wciela się w mieszkankę lasu, leśną wróżkę czy wiedźmę, po czym staje się namiętną kochanką i matką, przeżywającą swoje dramatyczne macierzyństwo do granic.

Dodam, że za przyczynek do geniuszu aktorki uważam scenę w teatrze, gdzie Agnes śledzi rozwój fabuły w kluczu rodzinnym, nie spuszczając wzroku z postaci dramatu także wtedy, kiedy są za kulisami, aż wykluwa się w niej zrozumienie dla opowieści Williama. Owszem, ten moment filmowy zaliczam do najpiękniejszych, jakie widziałem kiedykolwiek w kinie w ciągu coraz dłuższego mojego życia.

Sprawdźcie na własnej skórze

Jest jeszcze jeden szczegół, na który pragnę zwrócić uwagę – motyw, na który sam sobie wydaję się wyjątkowo wyczulony.

Jest nim znak przebaczenia ludzi, którzy dawniej kochali się bez zastrzeżeń, aż coś w nich pękło. Pomost pomiędzy dawną miłością a zabliźnieniem dramatów. Odnajduję ten znak w „Hamnecie” właśnie, lecz także w nadzwyczajnej „Wersji Browninga” z Albertem Finneyem i Gretą Scacchi, a nawet w niedawnym przeboju kinowym „La La Land”.

W moim porządku świata „Hamnet” jest filmem koniecznym, więc zwłaszcza tych, którzy czytali o nim niepochlebne opinie, zachęcam gorąco, żeby sprawdzili na własnej skórze. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34420264

1 RP

eprasa.pl e842ac5a5d

ADAM MICHNIK POLECA

ZŁOWROGIE CZASY TRUMPA I PUTINA

Porządek międzynarodowy, jaki powstał w Europie i na świecie po II wojnie światowej, **jest otwarcie kwestionowany. Już od ponad 20 lat**

Prezydenci USA i Rosji spotkali się w sierpniu ub.r. w Anchorage na Alasce, żeby uzgodnić warunki pokoju kończącego wojnę w Ukrainie. Nie uzgodnili

FOT. ANDREW HARNIK/GETTY IMAGES

Adam Daniel Rotfeld*

Przed swoim przyjazdem do Warszawy w czerwcu 2012 r. Henry Kissinger zasygnalizował mi, że chciałby się spotkać. Odniosłem wrażenie, że zależy mu na dyskretnej rozmowie. Dotyczyła ona głównie relacji Stanów Zjednoczonych z Europą oraz oceny potencjalnej nowej pozycji Niemiec w Europie i w świecie.

Wspominam o tym, bo myślenie Kissingera wybiegało w przyszłość. A rozwój wypadków na przełomie lat 2025/26 w znacznej mierze potwierdził jego ówczesne przewidywania, zgodnie z którymi transatlantyckie relacje ulegną fundamentalnej redefinicji.

– Strategie USA i Europy – mówił – będą się rozwijać w różnych kierunkach. Europa, co naturalne, pozostanie zainteresowana Atlantykiem i amerykańskim parasolem militarnego bezpieczeństwa; strategiczne zainteresowanie Stanów będzie zorientowane coraz bardziej na Pacyfik i Azję Południowo-Wschodnią.

W Stanach narastać będzie nostalgia za izolacjonizmem i postrzeganiem swego miejsca w świecie jako swoistej wyspy między Atlantykiem i Pacyfikiem. Przy tym głównym wyzwaniem i zagrożeniem będą Chiny, a nie Rosja.

W nawiązaniu do swoich osobistych doświadczeń z Niemcami, Kissinger mówił: – Cała powojenna historia Republiki Federalnej świadczy o tym, że w społeczeństwie niemieckim nastąpiła jakościowa transformacja. Niemcy są dziś wzorem państwa demokratycznego i pokojowego, bez żądzy odwetu i rewizjonizmu terytorialnego. Nie są jednak przygotowane do pełnienia roli przywódczej w Europie, bo nadmiarowi ich siły nie towarzyszy poczucie odpowiedzialności za przywództwo. Nadmiar siły i rola przywódcza mogą sprawić, że dostaną „małpiego rozumu", jak w latach 30.

Miałem wówczas wrażenie, że nawiązuje do głośnego przemówienia, które pół roku wcześniej wygłosił w Berlinie szef polskiego MSZ. Radosław Sikorski zwrócił się wówczas do elit niemieckich z następującym przesłaniem:

„Mniej zaczynam się obawiać niemieckiej potęgi niż niemieckiej bezczynności. Niemcy stały się niezbędnym narodem Europy. Nie możecie sobie pozwolić na porażkę przywództwa. Nie możecie dominować, lecz macie przewodzić reformom. Jeśli włączycie się w proces podejmowania decyzji, możecie liczyć na wsparcie ze strony Polski".

Dziś – po ogłoszeniu w grudniu 2025 r. Narodowej Strategii Bezpieczeństwa USA, po interwencji Ameryki w Wenezueli, porwaniu i aresztowaniu Nicolasa Maduro i jego żony, po znowelizowaniu doktryny Monroe z 1823 r. (dziś przybrała nazwę Donroe), po zapowiedziach inkorporacji Grenlandii do USA, po kontrowersyjnym wystąpieniu prezydenta USA na forum w Davos i wielu innych przejawach powrotu do imperialnej polityki – przestrogi Kissingera mogłyby odnosić się raczej do oceny polityki obecnego lokatora Białego Domu niż do kanclerza Niemiec.

•

Przedstawione tu rozważania dotyczą zarówno przyczyn i źródeł tego stanu rzeczy, jak sposobów przeciwdziałania i zarysu strategii, która powinna zapobiec spełzaniu świata ku katastrofie. Przyczyny są wielorakie i wielopłaszczyznowe, natury wewnętrznej i międzynarodowej.

Na ogół bezpieczeństwo narodowe kojarzone jest ze zdolnością państwa do obrony swego terytorium i jego mieszkańców przed potencjalną zewnętrzną napaścią militarną. W naszych czasach obejmuje ono nie tylko aspekty wojskowe i polityczne, ale też gospodarcze i finansowe, kulturowe i tożsamościowe, ekologiczne i klimatyczne czy technologiczne i cybernetyczne.

W polityce bezpieczeństwa każdego państwa istotną rolę odgrywają doświadczenia z przeszłości (pamięć historyczna, której nie należy mylić z tzw. polityką hi-

1 RP

eprasa.pl e842ac5a5d

storyczną), tożsamość kulturowa, spoistość społeczeństwa, porządek prawny oraz ustrój, czyli sposoby sprawowania władzy. Inna bowiem jest polityka państw demokratycznych, które respektują zasady i normy prawa; budują politykę opartą na zaufaniu i współpracy, na poszukiwaniu przyjaciół – podczas gdy relacje państw autorytarnych i despotycznych wobec świata zewnętrznego oparte są na braku zaufania, dezinformacji i strategii zmierzającej do wasalizacji sąsiadów i wrogości. Same siebie określają jako „twierdzę otoczoną przez wrogów".

Polityka tych państw ze swej istoty prowadzi do agresji i konfliktów, a nie współpracy i respektowania prawa oraz przyjętych zobowiązań. Istnieje zatem ścisły związek między sposobem sprawowania władzy a polityką bezpieczeństwa; między tym, co wewnętrzne, a tym, co stanowi o relacjach zewnętrznych.

Blisko 35 lat temu, kiedy obejmowałem stanowisko dyrektora Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem, SIPRI, we wprowadzeniu do „Rocznika SIPRI" pisałem: „Nowym i znaczącym zjawiskiem jest to, że zaciera się podział między wewnętrznymi i zewnętrznymi czynnikami określającymi bezpieczeństwo".

Prof. Charles L. Glaser z Uniwersytetu George'a Washingtona trafnie zauważył w „Foreign Affairs" (lipiec/sierpień 2024), że nowy dylemat bezpieczeństwa „rodzi się, gdy państwo zagrożone szuka zapewnienia sobie bezpieczeństwa i działa bezwiednie w sposób, który wywołuje poczucie zagrożenia i niebezpieczeństwa u innego państwa".

W ten sposób następuje eskalacja napięcia, która może prowadzić do wojny – „nawet wówczas, gdy obie strony chciałyby żyć w pokoju".

Nie jest to zjawisko nowe i nieznane. Sygnalizował je w swej pierwszej – i bodaj najważniejszej – monografii Kissinger, gdy przywoływał dylematy bezpieczeństwa, jak je postrzegał ponad 200 lat wcześniej minister spraw zagranicznych Austrii, książę Klemens von Metternich – na kilka lat przed i podczas kongresu wiedeńskiego (1815). Metternich upatrywał bezpieczeństwo „w stabilności, w ograniczonych do minimum zmianach istniejących instytucji".

Podejście to zakładało prymat uznania, prawowitości i legitymizację istniejącego stanu rzeczy za fundament pokoju i bezpieczeństwa.

•

Sprawy traktowane jeszcze nie tak dawno jako „nie do pomyślenia" stały się nie tylko wyobrażalne, ale w procesie podejmowania decyzji o bezpieczeństwie zajęły miejsce priorytetowe.

Porządek międzynarodowy ukształtowany w Europie i w skali globalnej po II wojnie światowej jest już od ponad 20 lat otwarcie i jawnie kwestionowany. Nie są to przecieki z tzw. miarodajnych źródeł, ale publiczne oświadczenia głów państw i szefów rządów.

10 lutego 2007 r. na Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa prezydent Władimir Putin oświadczył bez ogródek, że „zbliżyliśmy się do momentu przełomowego, w którym musimy poważnie pomyśleć o całej architekturze bezpieczeństwa globalnego".

Kilka lat później na spotkaniu klubu „Wałdaj" Putin – w nawiązaniu do debaty „Porządek światowy: nowe reguły gry czy świat bez reguł?" – oświadczył: „Zimna wojna się zakończyła. Jednak nie zawarto pokoju w formie zrozumiałych i przejrzystych uzgodnień o poszanowaniu istniejących lub wypracowaniu nowych reguł i standardów".

Oskarżył USA o naruszanie wszystkich norm, zasad i zobowiązań, a zwłaszcza o kierowanie się w swej strategii zasadą amerykańskiej wyjątkowości. W artykule opublikowanym w „New York Timesie" w 2013 r. Putin pisał: „Jest skrajnie niebezpieczne zachęcać ludzi, by uważali siebie za kogoś wyjątkowego, wszystko jedno z jakiego powodu".

Rosja rzuciła demokratycznym wspólnotom państw, a zwłaszcza Ameryce, wyzwanie w sferze politycznej i wojskowej, które już wtedy stworzyło ryzyko spełzania świata w kierunku potencjalnego konfliktu zbrojnego z użyciem broni jądrowej. Nie jest to hipoteza, ale zawartość planów operacyjnych rozważanych na różnych szczeblach przez wojskowych, które potwierdziła otwarta i niesprowokowana napaść na Ukrainę 24 lutego 2022 r.

Wojna jądrowa przestała być uważana za niemożliwą, co nie oznacza, że stała się nieuchronna. Nowe niebezpieczeństwa kryją się w tym, że budowany przez lata system zaufania w sferze wojskowej okazał się nietrwały i nieskuteczny. Może to być przesłanką do niekontrolowanego i niesterowalnego przerastania incydentów w konflikt zbrojny na skalę globalną, którego przywódcy mocarstw nie będą zdolni powstrzymać. Rozważane są z całą powagą możliwości użycia broni jądrowej, bo takie uderzenie może zapewnić przewagę strategiczną temu mocarstwu, które użyje jej jako pierwsze.

•

Uprzytomniłem sobie to nowe zagrożenie, kiedy jako przewodniczący Rady Konsultacyjnej Sekretarza Generalnego ONZ w sprawach rozbrojenia zaproponowałem w 2008 r., aby w rekomendacjach dla niego udzielić poparcia inicjatywie uwolnienia świata od broni nuklearnej zgłoszonej przez George'a P. Schultza, Kissingera, Williama Perry'ego i Sama Nunna, i popartej przez wielu innych amerykańskich ekspertów i badaczy.

Ku mojemu ówczesnemu zdziwieniu sprzeciw wyraził rosyjski uczestnik Rady Anatolij Antonow (późniejszy wieloletni ambasador Rosji w Waszyngtonie). Na moją uwagę, że przecież inicjatywa ta jest odpowiedzią na propozycję złożoną 20 lat wcześniej przez Michaiła Gorbaczowa w Rejkiawiku prezydentowi Reaganowi, usłyszałem, że „jest to odpowiedź o 20 lat spóźniona. Rosja nie jest zainteresowana zakazem broni jądrowej". Zrozumiałem, że dla Rosji postulat uwolnienia świata od broni atomowej jest nie do przyjęcia.

W czasie przerwy Antonow wyjaśniał mi, że w latach zimnej wojny ZSRR miał przewagę w siłach konwencjonalnych. „Dziś głównym instrumentem równowagi jest dla nas broń rakietowo-jądrowa".

Ogólne założenia strategii NATO opierały się od czasów „doktryny Harmela" (1967) na dwoistym podejściu: odstraszaniu i odprężeniu. Koniec zimnej wojny sygnalizował fundamentalną zmianę.

Na szczycie Paktu w Londynie przyjęto dokument końcowy (7/8 czerwca 1990), którego ostatnie zdanie brzmiało: „Dziś nasz Sojusz rozpoczyna zasadniczą transformację. Współpracując ze wszystkimi państwami w Europie, jesteśmy zdecydowani stworzyć trwały pokój na kontynencie".

Była to adresowana do Rosji wiadomość, że wobec zachodzących zmian NATO rozważy możliwość ułożenia swoich relacji z Rosją na jakościowo nowych zasadach.

Z natury rzeczy tego typu zmiana stosunków z Rosją zakładała, że zapoczątkowany proces przemian wewnętrznych będzie opierał się na wspólnych wartościach i kształtowaniu FR jako państwa prawnego.

Świadectwem życzliwego podejścia prezydenta Borysa Jelcyna i skupionych wokół niego młodych reformatorów do demokratycznej transformacji była polityczna formuła: „Russia first". W praktyce okazała się hamulcem w spełnianiu oczekiwań świeżo proklamowanych demokracji w Europie Środkowej, które zabiegały o zgodę NATO na swą szybką akcesję do niego. W krajach Zachodu – i w USA, i w większości państw zachodnioeuropejskich – postulat ten był przyjmowany z powściągliwością podyktowaną głównie tym, by nie wywoływać negatywnych reakcji Rosji.

•

11 stycznia 1994 r. Rada NATO przyjęła dokument „Partnerstwo dla Pokoju". Na marginesie jednej z debat z udziałem liberalno-demokratycznych ekspertów i rządowych doradców ws. polityki bezpieczeństwa zapytałem zaprzyjaźnionego dyrektora Centrum Badań nad Bezpieczeństwem Uniwersytetu Harvarda (zarazem redaktora naczelnego prestiżowego kwartalnika „International Security"), czym należy tłumaczyć ten opór liberalnych amerykańskich środowisk akademickich wobec rozszerzenia NATO. „Przecież przystąpienie państw Europy Środkowej do Sojuszu – tłumaczyłem mu – wzmocni poczucie bezpieczeństwa w tych krajach, będzie sprzyjać ich dalszej demokratyzacji i (...) przyczyni się do stabilizacji w tym regionie".

Jego reakcją była lapidarna odpowiedź: „Who cares?" [„Kogo to obchodzi?"]. Sens tej reakcji zrozumiałem tak, że priorytetem dla tych wpływowych liberalnych amerykańskich środowisk jest „najpierw Rosja – a potem cała reszta".

Po powrocie z tej konferencji, która odbywała się na jednym z brytyjskich uniwersytetów, napisałem esej „Partnerstwo dla spokoju" („Polityka" z 15 stycznia 1994 r.).

Byłem już po lekturze wspólnej polsko-rosyjskiej deklaracji (podpisanej przez prezydentów Polski i Rosji w Warszawie 25 sierpnia 1993 r.). W dokumencie tym Lech Wałęsa i Borys Jelcyn zgodnie stwierdzili, że w perspektywie „decyzja suwerennej Polski, zmierzająca do integracji ogólnoeuropejskiej, nie jest sprzeczna z interesami innych państw, w tym również Rosji".

Śledząc reakcje polskiej prasy z oddali, byłem – jako dyrektor SIPRI – zaskoczony głównym przesłaniem jej komentarzy, które sprowadzały się do jednej myśli: „Rosja przyjęła ze zrozumieniem stanowisko Polski i droga do NATO stoi otworem".

Moje zdziwienie wynikało z prostego rozumowania: przecież zgoda na przyjęcie Polski do NATO należy do kompetencji państw-członków Sojuszu, a nie do Rosji. Moje ówczesne rozumowanie było logiczne i formalnie poprawne, ale – jak powiedzieliby doświadczeni politycy – nie odznaczało się znajomością sposobów podejmowania decyzji przez główne stolice państw zachodnich.

W trzy tygodnie po wyrażeniu „zrozumienia dla stanowiska Polski" Jelcyn wystosował poufny list do prezydentów USA i Francji oraz premiera Wielkiej Brytanii i kanclerza RFN. Rosyjski prezydent trafnie w nim zauważył, że „główne zagrożenie dla Europy nie wynika obecnie z konfrontacji Wschód-Zachód, ale z międzyetnicznych konfliktów nowej generacji".

I dalej: „Nie uważamy NATO za blok wymierzony w nas. Ważne jest jednak, aby wziąć pod uwagę, jak na taki krok mogłaby zareagować nasza opinia publiczna. Nie tylko opozycja, ale i siły umiarkowane bez wątpienia odebrałyby to jako swoistą neoizolację państwa, co stałoby w sprzeczności ze stopniowym włączaniem go w przestrzeń euroatlantycką. (...) Preferujemy sytuację, w której stosunki między naszym państwem a NATO były o kilka stopni cieplejsze od tych między Sojuszem a Europą Wschodnią. (...) W dłuższej perspektywie nie należy być może wykluczać naszego członkostwa w NATO. Na razie jednak pozostaje to kwestią teoretyczną".

Jelcyn sygnalizował też swoją gotowość, aby „wspólnie z NATO zaoferować gwarancje bezpieczeństwa państwom Europy Wschodniej, podkreślając ich suwerenność, integralność terytorialną, nienaruszalność granic i utrzymanie pokoju w regionie".

Dokument ten, choć poufny, był szeroko komentowany i cytowany w prasie. Kiedy kopia listu trafiła do moich rąk, postanowiłem opublikować pełny tekst jako aneks do swojego rozdziału w roczniku SIPRI.

Przesłanie Rosji do czterech mocarstw zachodnich w sposób jasny wyrażało dwa cele: zapobiec rozszerzaniu Sojuszu na Wschód oraz uzyskać akceptowaną przez Zachód pozycję Rosji jako gwaranta niepodległości państw Europy Środkowo-Wschodniej.

•

Co mogłoby takie podejście oznaczać w praktyce? Istotę rosyjskiej strategii wyjaśniał później (2009) jeden z rosyjskich ekspertów w eseju „Odpowiedź na kwestię polską": „Maksymalny program dla Rosji to finlandyzacja całej Europy, ale zaczynać trzeba od reorganizacji przestrzeni Wielkiego Limitrofu (...). Finlandyzacja to wzajemnie korzystna pragmatyczna współpraca i stosun-

Rośnie ryzyko spełzania świata w stronę konfliktu zbrojnego z użyciem broni jądrowej. To nie hipoteza. To zawartość planów operacyjnych rozważanych przez wojskowych

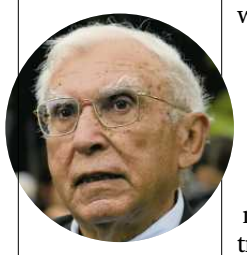

FOT. ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

***prof. Adam Daniel Rotfeld**

• ur. w 1938 r. Były dyrektor Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem (SIPRI), były szef MSZ. Uczestnik wielu międzynarodowych gremiów dla wypracowania strategii ONZ, NATO i OBWE. Ostatnia publikacja: „Wojna o wartości a porządek międzynarodowy" (w serii „Wybitni twórcy/ważne teksty", UMCS, Lublin 2023). Pracuje na Wydziale Artes Liberales UW.

eprasa.pl e842ac5a5d

ki oparte na poprawności – bez pouczania o sprawach demokracji i praw człowieka".

Wielki Limitrof w tym ujęciu miałby obejmować kraje sąsiadujące z Rosją w Europie, takie jak Finlandia i Polska oraz byłe republiki radzieckie – Ukraina, Białoruś, kraje bałtyckie i w Azji Środkowej Kazachstan, a także Turcja i Iran. Były to plany dalekosiężne, które zapewne ulegają aktualizacji, ale oddają sposób myślenia, w którym cała Europa postrzegana jest jako obszar szeroko pojmowanej „strefy wpływów", a przynajmniej „uprzywilejowanych interesów" prawdziwie globalnych mocarstw: USA, Rosji i Chin.

W Deklaracji o bezpieczeństwie Sojuszu z 4 kwietnia 2009 r. (w której przygotowaniu uczestniczyłem na prośbę ówczesnego sekretarza generalnego NATO Jaapa de Hoop Scheffera) przywódcy 28 państw NATO zobowiązali sekretarza generalnego, by „zwołał i pokierował pracami reprezentatywnej i kompetentnej Grupy Ekspertów, którzy w ścisłej konsultacji ze wszystkimi sojusznikami stworzą dla sekretarza generalnego podstawę do wypracowania nowej koncepcji strategicznej i przedstawienia propozycji jej wcielania dla podjęcia decyzji w czasie następnego szczytu". Tak też się stało.

Na tej podstawie nowy sekretarz generalny NATO Anders Fogh Rasmussen powołał grupę 12 ekspertów, której przewodniczyła Madeleine Albright, była sekretarz stanu USA. Pozostali uczestnicy to byli politycy, dyplomaci i badacze z 11 państw, z moim udziałem.

Uczestnicy tego gremium reprezentowali własne poglądy i stanowiska, zbieżne zarówno z polityką ich rządów, jak i – co równie ważne – z nastrojami społecznymi w ich krajach. Wspominam o tym, bo wyraźnie zarysowały się podziały między uczestnikami z Europy Południowej i Środkowej. Madeleine Albright (i towarzyszący jej doradca Ronald Asmus) moderowała prace Grupy tak, aby godzić różne narodowe i subregionalne punkty widzenia bez pobudzania emocji.

Przykład: uzgodniliśmy na wstępie, że nasz dokument będzie konsultowany we wszystkich stolicach państw członkowskich. Jeden z członków Grupy zaproponował, byśmy nie tylko odwiedzili stolice państw Sojuszu, ale też podjęli konsultacje na temat strategii NATO w nadchodzącej dekadzie z Moskwą.

W reakcji na tę sugestię zauważyłem, że jeśli miałaby być zorganizowana taka wspólna wizyta w Rosji (na którą nie otrzymaliśmy przecież zaproszenia), należałoby najpierw przeprowadzić konsultacje z państwami obszaru poradzieckiego, które zasygnalizowały swoje aspiracje i gotowość przystąpienia do NATO: z Gruzją i Ukrainą. Do spotkania takiego doszło w Oslo (13-14 stycznia 2010); odbyło się ono na marginesie seminarium i rozmów z dowódcami wojskowymi NATO.

Miesiąc później polecieliśmy do Moskwy (10-11 lutego 2010). Były tam spotkania i rozmowy z szefem MSZ Ławrowem, z przedstawicielami komisji spraw zagranicznych i obrony Dumy, z sekretarzem Rady Bezpieczeństwa FR Patruszewem.

Głosy rosyjskich polityków nie wniosły nowych elementów do naszej wiedzy o krytycznym podejściu Rosji do NATO. Odnotowałem, że samodzielne i racjonalne postrzeganie świata zaprezentowali jedynie niektórzy rosyjscy akademicy i badacze, z którymi spotkaliśmy się w Rosyjskiej Akademii Nauk. Jeden z nich powiedział wprost: – Kiedy myślę o potencjalnych zagrożeniach dla Rosji, widzę je raczej na Wschodzie niż na Zachodzie; bardziej obawiam się Chin niż Ameryki.

W oficjalnych wystąpieniach powracał postulat całościowego uregulowania na podobieństwo kongresu wiedeńskiego oraz motyw potrzeby nowych traktatowych uzgodnień. W rozumowaniu tym ignorowano fakt, że w dokumencie przyjętym i podpisanym w Helsinkach na najwyższym szczeblu, jakim jest Akt końcowy Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (KBWE), jest wyrażona expressis verbis klauzula, zgodnie z którą Państwa Uczestniczące mają „prawo do tego, by należeć lub nie należeć do organizacji międzynarodowych, być albo nie być stroną dwustronnych lub wielostronnych umów międzynarodowych, łącznie z prawem do tego, by być stroną międzynarodowych umów sojuszniczych; mają one również prawo do neutralności".

Co równie istotne, w interpretacji zasady „pacta sunt servanda", obowiązującej od czasów starożytnego Rzymu, należy brać pod uwagę klauzulę „rebus sic stantibus", która zobowiązuje, by uwzględniać zasadniczą zmianę okoliczności. Jeśli rozwiązanie Układu Warszawskiego i rozpad ZSRR, poprzedzony zjednoczeniem Niemiec oraz zmianą ustroju w Rosji i we wszystkich państwach regionu Europy Środkowo-Wschodniej, nie były fundamentalną zmianą okoliczności – to na czym miałaby polegać taka zmiana?

Cała ta argumentacja z zakresu prawa międzynarodowego o rzekomym niedotrzymywaniu umów międzynarodowych przez Zachód nie wytrzymuje krytycznej próby, zwłaszcza w zestawieniu z faktycznymi zobowiązaniami. Bo przecież ci politycy, którzy twierdzą, jakoby Zachód złożył obietnice, których nie dotrzymuje, jedynie udają, że nie mają żadnego znaczenia przyjęte z inicjatywy ZSRR w Helsinkach zobowiązania Aktu końcowego KBWE, zgodnie z którymi „Państwa uczestniczące będą szanować równouprawnienie narodów i ich prawo do samostanowienia".

Na mocy tej zasady „wszystkie narody mają zawsze prawo, w warunkach pełnej wolności, określać, kiedy i jak sobie życzą, swój wewnętrzny i zewnętrzny status polityczny, bez ingerencji z zewnątrz, i dążyć, według swego uznania, do rozwoju politycznego, gospodarczego, społecznego i kulturalnego".

●

Zobowiązania te traktowane są dziś przez Rosję jako ornament i fasada, a nie uroczyście podpisana norma i reguła oraz polityczno-prawne zobowiązanie, na którym miał opierać się fundament systemu bezpieczeństwa w Europie. Co więcej, cała struktura OBWE została już w przemówieniu Putina w Monachium w 2007 r. określona jako „wulgarny instrument" strategii Zachodu mieszania się w wewnętrzne sprawy Rosji.

Novum sytuacji polega na tym, że odwoływanie się do norm i zasad straciło na znaczeniu. Jeśli w czasach świata dwubiegunowego linie podziału między Moskwą a Zachodem określały kryteria ideologiczne (komunizm vs antykomunizm), to w trzeciej dekadzie XXI wieku na planie pierwszym występują głównie czynniki siły militarnej i tzw. geopolityki oraz konfrontacja wartości demokratycznych z. autorytaryzmem, populizmem i nacjonalizmem.

Dodajmy, że częste odwoływanie się do geopolityki jest wyrazem nieporadności intelektualnej w rozpoznawaniu istoty współczesnych problemów bezpieczeństwa.

Rodowód samego pojęcia geopolityki sięga czasów, w których rozwój państw i ich polityka zagraniczna były determinowane przez czynniki geograficzne. Za twórcę tego pojęcia uchodzi szwedzki politolog i geograf Rudolf Kjellén, który geopolitykę nazwał „nauką o państwie jako organizmie geograficznym lub zjawisku w przestrzeni".

Pojęciu temu szczególne znaczenie nadała w Niemczech hitlerowska propaganda, dla której geopolityka stała się instrumentem podważania traktatów międzynarodowych i ładu wersalskiego oraz uzasadnieniem ekspansji, zdobywania nowej „przestrzeni życiowej".

W debatach o współczesnym świecie i jego bezpieczeństwie pojęcie to utraciło swój pierwotny zakres znaczeniowy. Stało się publicystycznym „wytrychem", który ma charakter wieloznaczny i niczego nie wyjaśnia. Bo globalna polityka światowych mocarstw nie jest ograniczona geografią.

Na globalizację w systemie bezpieczeństwa, gospodarki, kultury, informatyki większy wpływ ma dziś cyberprzestrzeń niż przestrzeń geograficzna. Do budowy bezpiecznej Europy potrzebny jest raczej wyrafinowany klucz niż prosty wytrych, jakim stało się dziś pojęcie geopolityki.

Pandemia COVID-19 wyzwoliła w wielu państwach – nie tylko w USA, ale i w Europie – powrót do swoistego prowincjonalizmu i narodowych egoizmów. Mówił o tym w 2021 r. Henry Kissinger w rozmowie z dziennikarzem Mathiasem Döpfnerem:

„Relacje z zagranicą, szczególnie z państwami europejskimi, były dla Ameryki czymś oczywistym. Ta koncepcja nie jest już tak powszechna (...). Po stronie amerykańskiej może pojawić się pokusa myślenia, szczególnie tuż po zahamowaniu pandemii, że możemy funkcjonować jako znacznie bardziej izolowane państwo (...).

Warto jednak pamiętać, że różnice między Europą a USA nie powstały za czasów prezydentury Trumpa, ale narodziły się znacznie wcześniej, i to po obu stronach (...). Wydaje mi się, że Europa może poczuć pokusę prowadzenia odrębnej polityki niż Stany (...).

Obawiam się, że dążenia izolacyjne obu stron mogą spowodować dwie rzeczy: Europa może stać się w przyszłości jedynie elementem Eurazji. W efekcie kraje Starego Kontynentu skupią się na napięciach wynikających z rywalizacji Azji i państw Bliskiego Wschodu, mogących doprowadzić do znacznego osłabienia Europy. (...) USA staną się swego rodzaju wyspą na styku Pacyfiku i Atlantyku".

Kissinger postulował, by Europa – o ile chce tworzyć wspólnie politykę zagraniczną – rozwinęła metodę takiego opracowywania idei, by nie tylko były one dostosowane do warunków europejskich, ale znajdowały zrozumienie i zastosowanie również w innych regionach świata. Przewidywania Kissingera się sprawdziły.

Ostatnia Narodowa Strategia Bezpieczeństwa USA jest potwierdzeniem jego prognozy. W ocenie byłego przedstawiciela USA w kwaterze głównej NATO, Ivo Daaldera, strategia ta jest odbiciem „wadliwego, niespójnego i bardzo niebezpiecznego obrazu świata i roli Ameryki".

Globalizacja to nie idea, ale historyczny fakt i zjawisko. Zatem polityka, jeśli ma być adekwatna do realiów, również musi być globalna. Przed laty Kissinger, w swej monografii „Porządek światowy" (przeł. Maciej Antosiewicz), trafnie prognozował:

„Porządek należy kształtować, nie można go narzucać. Jest to szczególnie aktualne w epoce błyskawicznej komunikacji i rewolucyjnych zmian politycznych. Każdy system porządku światowego, jeśli ma się utrzymać, musi być uznawany za słuszny nie tylko przez przywódców, lecz także przez obywateli (...). Porządek i wolność, określane czasem jako przeciwne bieguny, trzeba traktować jako zjawiska współzależne".

W ten sposób autor, który współkształtował strategię polityczną światowego mocarstwa jądrowego, Ameryki, wypunktował specyfikę oczekiwań związanych z wyłaniającym się porządkiem światowym oraz współzależność ładu międzynarodowego i sytuacji wewnętrznej w różnych państwach, zwłaszcza tych, które są głównymi aktorami na globalnej scenie.

Niestety doktryna „regime change", która miała przyspieszyć w różnych państwach demokratyczną transformację, w praktyce w wielu krajach, zwłaszcza arabskich, przyniosła skutki odwrotne od zamierzonych.

Ramy poszukiwanego porządku międzynarodowego nie mogą polegać na przekreśleniu lub ignorowaniu zasad, norm i procedur już uzgodnionego i obowiązującego ładu opartego na respektowaniu konwencji i traktatów oraz fundamentalnych aktów polityczno-prawnych, do których należą Karta Narodów Zjednoczonych (1945), Powszechna deklaracja praw człowieka (1948), Akt końcowy KBWE (1975) i wiele innych wynegocjowanych dokumentów.

Dwie ostatnie dekady przyniosły rozmontowanie fundamentów stabilności strategicznej, na której opierał się globalny porządek nuklearny. Stwarza to niebezpieczeństwo niekontrolowanego staczania się świata, w którym bez intencji – a nawet wbrew intencjom – światowych mocarstw jądrowych może dojść do użycia broni jądrowej.

●

Przed europejską podróżą prezydenta Joe Bidena (czerwiec 2021) i jego debatą z przy-

Musimy zapobiec spełnieniu się wizji Orwella, zgodnie z którą jeśli demokratyczny świat nie stawi czoła nowym zagrożeniom, może powstać „świat strachu, zdrady i cierpienia, świat depczących i deptanych"

wyborcza | MAGAZYN WYBORCZA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; **E-mail:** redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCA: Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYNY I KULTURA: Agata Żelazowska
MAGAZYN WYBORCZEJ: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA:
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.
IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY

eprasa.pl e842ac5a5d

wódcami G7 w Kornwalii, szczytem NATO w Brukseli, spotkaniem z przywódcami Unii oraz genewskimi rozmowami z Putinem pismo „Foreign Affairs” opublikowało esej „Nowy koncert mocarstw”.

Autorami tego studium są wysoko notowani w środowisku akademickim badacze, którzy pełnili odpowiedzialne funkcje w demokratycznych administracjach – Richard N. Haass, przewodniczący Amerykańskiej Rady Stosunków Międzynarodowych, oraz Charles A. Kupchan, profesor stosunków międzynarodowych na Georgetown University i członek Atlantic Council.

Sformułowali oni trafną diagnozę, że cały system międzynarodowy znajduje się w „historycznym punkcie zwrotnym”, a wobec natarcia nieliberalnych i populistycznych sił demokracje są zagrożone i ustępują pola swoim przeciwnikom. Jednak ich program przeciwdziałania, oparty na historycznych analogiach z koncertem mocarstw europejskich w XIX wieku, pozostaje w luźnym związku z realiami trzeciej dekady wieku XXI.

W efekcie zaprezentowany w „Foreign Affairs” projekt globalnego koncertu na XXI stulecie bardziej nadaje się na ćwiczenia seminaryjne ze studentami niż do praktycznego wykorzystania w formułowaniu globalnej strategii USA...

Przed kilkoma laty podobne podejście proponował rosyjski ekspert, a zarazem doradca prezydenta Rosji, Siergiej Karaganow, podczas prac Panelu Wybitnych Osobistości powołanego pod auspicjami OBWE z inicjatywy szwajcarskiej prezydencji.

Karaganow zgłaszał do roboczego projektu zastrzeżenia dotyczące praktycznie każdego akapitu. Zaproponowałem wówczas, by napisał swoje votum separatum w formie listu, który będzie załączony jako aneks do wspólnego raportu. Tak też się stało.

Ten list uświadomił mi, jak trudne do uzgodnienia jest wspólne stanowisko, kiedy uczestników Grupy dzielą sprawy fundamentalne: współzależność bezpieczeństwa i wolności oraz poszanowania praw człowieka.

Zbiorowa determinacja, solidarność i siła transatlantyckiej wspólnoty mogą skutecznie zapobiec spełnieniu się przenikliwej wizji George’a Orwella, zgodnie z którą jeśli demokratyczny świat nie stawi teraz czoła nowym zagrożeniom i wyzwaniom, może powstać despotyczny i autorytarny „świat strachu, zdrady i cierpienia, świat depczących i deptanych, świat, który w miarę rozwoju staje się nie mniej, lecz bardziej okrutny” (przeł. Tomasz Mirkowicz).

Siłą demokratycznego sposobu sprawowania władzy, jak trafnie kończyła swoje ostrzeżenie przed faszyzmem Madeleine Albright, jest to, że „każdy, kto ceni wolność, upewni się w swoim wyborze lub dostrzeże zagrożenie, którego nie wolno ignorować” (Albright, „Faszyzm. Ostrzeżenie”, przeł. Katarzyna Mironowicz).

●

Fundamentalne przewartościowanie porządku międzynarodowego stawia przed Polską pilną potrzebę wypracowania strategii, która byłaby adekwatną i skuteczną odpowiedzią na wyzwania bliższej i dalszej przyszłości.

Przesłanką wyjściową w poszukiwaniu takiej strategii jest fakt, że w ostatnich 35 latach Polska nie tylko zdołała dokonać trafnego wyboru cywilizacyjnego, ale co ważniejsze, zrealizować zadania, które były niewyobrażalne dla poprzednich pokoleń. Mam na myśli zarówno przyspieszony rozwój wewnętrznych demokratycznych instytucji, jak i akcesję do obu wielostronnych wspólnot – Unii i NATO.

Usunęło to raz na zawsze dylemat, przed którym stawały elity polityczne poprzednich generacji w podejmowaniu decyzji o zapewnieniu bezpieczeństwa państwa: czy wiązać się z Niemcami przeciw Rosji, czy z Rosją przeciwko Niemcom, czy też – jak zdecydowały rządy polskie w międzywojniu – prowadzić politykę „równego dystansu” wobec obu sąsiadów.

Zdawałoby się, że ten dylemat jest odwieczny i jego unieważnienie nie jest możliwe. Stało się to jednak nie tylko możliwe, ale i realne w wyniku zmian wewnętrznych i fundamentalnej transformacji ustrojowej. Polska obrała drogę demokratycznych i pokojowych przemian, które były początkiem bezkrwawych transformacji w całym subregionie Europy Środkowo-Wschodniej.

Godny odnotowania jest fakt, że Polska jest bodaj jedynym krajem w tej części Europy , w którym transformacji nie towarzyszy zjawisko oligarchizacji życia politycznego. Jest to zasługa ojców założycieli III RP, których postawa w podejmowaniu decyzji determinowana była bezwzględnym przestrzeganiem zasad etyczno-moralnych.

Były to postacie tej miary, co Tadeusz Mazowiecki. Krzysztof Skubiszewski, Bronisław Geremek, Władysław Bartoszewski, Leszek Balcerowicz, Jacek Kuroń czy Karol Modzelewski. Przywódcą tej pokojowej zmiany, a zarazem jej symbolem stał się Lech Wałęsa.

To odwaga w zapoczątkowaniu trudnych reform wewnętrznych i bezinteresowność oraz wysokie morale osobiste ekipy, która sprawowała wówczas władzę, sprawiły, że Polska dokonała właściwego wyboru zarówno w sprawach wewnętrznych, jak i w zapewnianiu bezpieczeństwa zewnętrznego.

Jedna z chińskich mądrości głosi: „Nawet najdłuższa podróż zaczyna się od pierwszego kroku”. Te pierwsze kroki wyznaczyły kierunek dalszego marszu, w którym było wiele przeszkód, jak też błędnych decyzji. Jednak kierunek ku państwu, które opiera się na demokracji, trójpodziale władzy, praworządności i respektowaniu swobód obywatelskich, oraz rynkowej gospodarce, został utrzymany.

Nadchodzące czasy wymagają od elit politycznych i przywódców państw zarówno nowego śmiałego myślenia, jak też większej uczciwości i zwykłej przyzwoitości, których deficyt w klasie politycznej stał się w miarę wzrostu zamożności państwa coraz bardziej odczuwalny i dojmujący.

Polska noblistka pisała: „Nic dwa razy się nie zdarza/ i nie zdarzy...”. Dotyczy to w równej mierze ludzi, co i państw. Myślą przewodnią w poszukiwaniu strategii polskiej polityki obrony i bezpieczeństwa na najbliższą i dalszą przyszłość powinna być koncepcja, którą wyraża idea PAŃSTWA NIEZBĘDNEGO.

Jest to optymalna formuła kształtowania relacji z państwami wspólnoty transatlantyckiej, jak też budowania dobrych relacji z państwami całego zglobalizowanego świata. Jest to wizja państwa silnego, demokratycznego, nowoczesnego, bez kompleksów oraz życzliwego wszystkim innym uczestnikom społeczności międzynarodowej.

Istotą tej strategii jest właściwe rozpoznanie własnych słabości i umiejętne ich przezwyciężanie. Swoisty katalog tych niedomagań i słabości sporządził Tadeusz Kozłowski, pracownik polskiego MSZ w międzywojniu, który wydał na emigracji w Argentynie mało w Polsce znaną pracę „Dysproporcje polityki polskiej”.

W rozdziale „Błędy i wynaturzenia” wymieniał następujące przywary polskiej polityki zagranicznej: „brak realizmu; niechęć planowania; krańcowość zamierzeń; impulsywność decyzji; pozaczasowość założeń; subiektywizm postawy; wadliwość formy; niedbałość wykonania; urazy i kompleksy; wprowadzanie opinii narodu w błąd; »natchnienie narodów«; utrwalanie błędów i wynaturzeń; dramat polskiego patriotyzmu”.

Podstawy tej surowej krytycznej oceny można bez trudu upatrywać w doświadczeniach autora związanych z klęską wrześniową roku 1939, ale też w „spojrzeniu od wewnątrz” czy też autopercepcji polskich elit politycznych, które zgodnie z biblijną sentencją „widziały źdźbło w oku bliźniego swego, a nie dostrzegały belki we własnym”.

Po dziś dzień pokutuje ta skłonność, by za błędy własnej polityki obciążać odpowiedzialnością innych aktorów sceny politycznej, a nie dostrzegać własnych niedomagań. Do tego katalogu słabości dodałbym dziś głębokie podziały wewnętrzne – polaryzację zarówno polskiej klasy politycznej, jak też całego społeczeństwa. Podczas gdy wobec realnego ryzyka rosyjskiej napaści potrzebne są zdolności do współpracy i przezwyciężania tych podziałów.

Budowanie strategii państwa niezbędnego wymaga głębokich przewartościowań w polityce wewnętrznej. W praktyce oznacza to konieczność respektowania trzech fundamentalnych postulatów.

Sprowadzają się one do kształtowania silnych i stabilnych instytucji, które będą stały na straży demokratycznego państwa, jego wartości i porządku prawnego; po drugie, instytucje te, a w szczególności sądy i prokuratura, nie mogą być zawłaszczane przez partie polityczne; wreszcie, respektowanie zasady ciągłości w polityce zagranicznej – bo to ono stanowi o skuteczności tej polityki.

Dotyczy to spraw egzystencjalnych i tak fundamentalnych, jak zapewnienie bezpieczeństwa granic i integralności terytorialnej państwa, jego suwerenności i kulturowo-cywilizacyjnej tożsamości. ●

Tytuł – „Wyborcza”. Wykorzystane publikacje: patrz Wyborcza.pl/magazyn.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Ryszard Krynicki

Nie musi

Żeby wyjaśnić wiele zbrodni
ministerstwo spraw wewnętrznych
nie musi szukać zbyt daleko.

Utwór za: **Ryszard Krynicki,** „Wiersze wybrane”, Wydawnictwo a5, Kraków 2015.

FOT. JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34414015

W PIĄTEK W „WYBORCZEJ” DODATEK SPECJALNY

WALORYZACJA EMERYTUR

- Ile wzrosną emerytury od marca?
- Jak kobiety mogą zyskać na kolejnym przeliczeniu emerytury?
- Jakie będą podwyżki dla seniorów, którzy przeszli na emeryturę „w złym miesiącu”?
- Dlaczego nauczyciele mogą stracić na wcześniejszej emeryturze?

1 RP

eprasa.pl e842ac5a5d

ALE HISTORIA

NOWY SYN NIEBIOS

Coraz bardziej rządy Donalda Trumpa przypominają system trybutarny, jaki przez ponad dwa tysiąclecia kształtował relacje Chin z resztą Azji Wschodniej. Tyle że chiński model sprzyjał stabilności i pokojowi.

Robert Stefanicki

Korzenie tego unikalnego mechanizmu dyplomatyczno-gospodarczego sięgają i wcześniejszych epok, ale to dynastia Han (206 p.n.e. – 220 n.e.) nadała mu formę sformalizowanego systemu państwowego. Hanowie zmagali się z potężnym koczowniczym ludem Xiongnu. Początkowo stosowali dobrze znaną Europejczykom politykę pokoju przez małżeństwo (heqin) – wydawali swoje księżniczki za władców sąsiednich państw, jeśli te były zbyt potężne, by je pokonać na polu bitwy. Często uciekano się do oszustwa i zamiast córek cesarza wysyłano przypadkowe, niespokrewnione z władcą kobiety wywodzące się z pomniejszych gałęzi rodziny panującej albo wręcz z ludu.

Chiny były zmuszone wysyłać koczownikom również inne dary: jedwab, wino, ryż. Oficjalnie nazywano to braterską wymianą, ale w rzeczywistości był to haracz za spokój. Tak więc początkowo trybuty działały w drugą stronę. Dopiero Cesarz Wu (Han Wudi, 141-87 p.n.e.) dzięki zwycięstwom militarnym zmusił sąsiadów do uznania swojej dominacji i przekształcił daniny w narzędzie kontroli.

System ów, po chińsku cefu, można zwięźle podsumować dwoma kanonicznymi cytatami.

„Pod całym niebem nie ma ziemi, która nie byłaby ziemią cesarza; na wszystkich krańcach ziemi nie ma nikogo, kto nie byłby jego wasalem".

„Jeśli barbarzyńcy przyjmą kulturę Chińczyków, staną się Chińczykami; jeśli lud chiński przyjmie kulturę barbarzyńców, stanie się barbarzyński".

Pierwszy wers, pochodzący z „Księgi pieśni" z czasów dynastii Zhou, wyraża ideę, że Chiny – nazywane Państwem Środka i w tradycyjnej kosmologii umieszczane pośrodku kwadratowej Ziemi – są cywilizacyjnym centrum świata, a cesarz jako Syn Niebios ma mandat do rządzenia wszystkim, co poniżej. Pomniejsi władcy byli uważani za jego poddanych i działali jako agenci zarządzający swoimi krajami w jego imieniu, często wykonując dekrety wydawane przez cesarza.

Drugi wers – cytat z „Zuozhuan", komentarza do „Kroniki Wiosen i Jesieni", przypisywany współczesnemu Konfucjuszowi historykowi Zuo Qiumingowi – definiuje chińskość nie jako pochodzenie etniczne czy genetyczne, ale jako wybór kulturowy. Chińczykiem nie trzeba się urodzić – można nim zostać poprzez naukę pisma, etykiety, rytuałów i konfucjańskich zasad moralnych, a w szczególności poprzez uznanie wyższości cesarza i złożenie przed nim pokłonu. A skoro każdy mógł zostać Chińczykiem, to chiński władca miał teoretyczne prawo i obowiązek panować nad każdym, kto chciał się cywilizować. I to do Chin, ze względu na ich przewagę, należało definiowanie, który kraj jest cywilizowany, a który barbarzyński.

CHINY KUPUJĄ LOJALNOŚĆ

System trybutarny był skomplikowanym rytuałem. Władcy podbitych lub zależnych terytoriów wysyłali posłów do stolicy Chin (Chang'an, później Luoyang). Musieli oni wykonać tam rytuał kowtow – trzykrotne klęknięcie i dziewięciokrotne uderzenie czołem o ziemię – co symbolizowało całkowite podporządkowanie. Cesarz oficjalnie uznawał zwasalizowanego władcę, nadając mu pieczęć i chiński kalendarz. To wzmacniało jego legitymację nie tylko w relacjach z Chinami, ale i we własnym kraju, a także w relacjach z innymi państwami. Bez tego mógł być uznawany za uzurpatora, co zachęcało rywali do buntu. System działał więc w dwie strony – chińscy cesarze potrzebowali uznania ze strony państw trybutarnych, aby zademonstrować poddanym posiadanie „mandatu niebios", podczas gdy władcy ościenni dzięki chińskiej inwestyturze wzmacniali swoją pozycję polityczną w kraju.

Kluczowym elementem systemu była wymiana darów. Wasale przywozili, co mieli najlepszego: konie, przyprawy, klejnoty; w zamian cesarz obdarowywał ich chińskim jedwabiem, porcelaną, herbatą. Wartość darów od cesarza często przewyższała wartość trybutu. Dla Chin system ten był kosztowny, ale kupował lojalność, prestiż i bezpieczeństwo granic bez konieczności stałej obecności wojskowej. Niekiedy korzyści z wymiany były zaskakujące.

W 1414 roku flotylla admirała Zheng He przywiozła z Afryki żyrafę, podarowaną cesarzowi Yongle jako trybut od władcy Malindi. Chińscy uczeni natychmiast zidentyfikowali zwierzę jako mitycznego Qilina – stwora podobnego do jednorożca, którego pojawienie się miało zwiastować rządy sprawiedliwego i mądrego władcy. Fakt, że barbarzyńcy z tak daleka przysłali święte zwierzę, był dla dworu ostatecznym dowodem, że cesarz ma mandat niebios, a jego władza rozciąga się na krańce świata.

DOCHODOWA DYPLOMACJA

W praktyce niższość statusu państw trybutarnych była bardziej nominalna niż rzeczywista. Badacze podkre-

• **Cesarz Han Wudi (141-87 p.n.e.), pierwszy władca Chin, który zmusił sąsiadów do uznania swojej dominacji i przekształcił daniny w narzędzie kontroli** FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl e842ac5a5d

ślają, że system cefu nie był jednostronną dominacją, lecz współzależną grą pozorów, którą obie strony wykorzystywały dla własnych celów politycznych i gospodarczych. Choć misje trybutarne miały charakter dyplomatyczny, większość ich uczestników stanowili kupcy i były one dla państw ościennych dochodowe, dlatego też niektóre kraje walczyły o wejście do systemu, a nawet starały się wysyłać więcej poselstw, niż przewidywały oficjalne kwoty.

Kupcy towarzyszący posłom mogli sprzedawać swoje towary w stolicy Chin bez cła, co przynosiło bajońskie zyski. Chiny kontrolowały dostęp do kluczowych towarów, jak jedwab, herbata, żelazo. Odcięcie od tego rynku byłoby bolesne dla gospodarki sąsiada. Ponadto uznany wasal mógł liczyć na pomoc chińskich wojsk w przypadku ataku ze strony innego państwa.

Aby być uważane za bardziej cywilizowane, zyskać międzynarodowe uznanie i szacunek, państwa klienckie, takie jak Wietnam czy Korea, naśladowały chińską kulturę i kopiowały instytucje, w tym system egzaminów konfucjańskich, co sprawiało, że ich biurokracja myślała i działała według chińskich wzorców. Wynikało to nie tyle z przekonania o własnej niższości, ile z oportunizmu i pragmatyzmu. Nawet Korea, uznawana za modelowego wasala, przyjmowała od Chin tylko to, co uznała za użyteczne. Zdołała zachować odrębną tożsamość kulturową i była niepodległym państwem, prowadzącym niezależną politykę wewnętrzną i zagraniczną. Wprawdzie po zmianie władzy w Chinach nowy reżim Qing najechał Koreę między 1626 a 1636 rokiem, ale nie była to wojna podbojowa, lecz sposób na rewizję warunków porozumienia, jako że Korea była lojalna wobec poprzedniej dynastii Ming – po czym relacje wróciły do normy.

PIĘĆSET LAT POKOJU

System trybutarny był wyjątkowo stabilny – między 1368 a 1841 rokiem doszło jedynie do kilku większych konfliktów między państwami kręgu konfucjańskiego. Kraje ościenne rzadko tworzyły sojusze przeciwko Chinom, ponieważ nie postrzegały ich jako agresywnego zagrożenia, lecz jako źródło stabilności i korzyści. Ten „500-letni pokój", jak nazwał go włoski ekonomista i socjolog Giovanni Arrighi, stanowi uderzający kontrast z sytuacją w Europie, gdzie tylko Wielka Brytania i Francja walczyły ze sobą ponad 46 razy w latach 1300-1850. Nie oznacza to, że państwo chińskie było z natury pokojowe, gdyż angażowało się w odpieranie najazdów koczowników na swojej północnej granicy.

Chińskie daniny były czymś zupełnie innym niż system feudalny w Europie. Cesarz nie dawał wasalom ziemi, lecz prestiż i możliwości handlowe. Feudalizm opierał się zaś na przysiędze lennej składanej na Biblię; obie strony miały wzajemne obowiązki i jeśli senior nie wywiązał się z ochrony, wasal mógł teoretycznie wypowiedzieć posłuszeństwo.

W Chinach bunt przeciwko cesarzowi był postrzegany jako wystąpienie przeciwko porządkowi wszechświata. Gdy państwo ościenne odmawiało uznania zwierzchnictwa cesarza lub atakowało granice, ten wysyłał armię, by przywrócić porządek.

Celem nie zawsze był podbój terytorialny, lecz usunięcie niepokornego władcy i zastąpienie go kimś lojalnym. Przykładem mogą być kampanie dynastii Tang przeciwko królestwom na Półwyspie Koreańskim.

Inną metodą, aby podporządkować elity sąsiednich państw, było wysyłanie synów królów wasalnych do stolicy Chin. Oficjalnie byli gośćmi i studentami, w praktyce – zakładnikami gwarantującymi lojalność ojca. Przy okazji nasiąkali chińską kulturą, stając się po powrocie chińskimi agentami wpływu.

ZABIERAJ SWOJE BŁYSKOTKI I WYNOCHA

System wprowadzony przez dynastię Han przetrwał z modyfikacjami aż do XIX wieku, ale już dwa wieki wcześniej zaczął erodować. Przełomowym momentem była decyzja cesarza Kangxi z 1684 roku o zniesieniu wymogu posiadania statusu wasala przez zagranicznych kupców przybywających do Chin. Przez to oficjalny handel trybutarny stał się marginesem – w XVIII wieku stanowił zaledwie około trzech procent całkowitej wymiany, podczas gdy reszta odbywała się w ramach handlu prywatnego. System, który wcześniej służył jako oficjalna przykrywka dla handlu, stracił więc swoją główną funkcję ekonomiczną.

Niektórzy eksperci od stosunków międzynarodowych, na przykład Henry Kissinger w książce „O Chinach", argumentują, że jego ostateczny upadek był wynikiem fundamentalnego konfliktu między dwiema niekompatybilnymi wizjami świata: chińskim hierarchicznym uniwersalizmem a europejskim systemem państw narodowych, jaki wykształcił się w Europie po pokoju westfalskim z 1648 roku. Zakładał on, że państwa, przynajmniej teoretycznie, są sobie równe i uznają wzajemnie swoją niezależność i granice. Inni dowodzą, że system trybutarny upadł, ponieważ nie był w stanie przetrwać w świecie, w którym technologia i przemysł dawały przewagę nad rytuałem i tradycją. Można też na problem spojrzeć prościej: Chiny uległy silniejszym od nich imperiom.

W 1793 roku Wielka Brytania, chcąc otworzyć Państwo Środka na handel, wysłała poselstwo pod wodzą Lorda George'a Macartneya. Przywieźli oni do Pekinu ostatnie zdobycze techniki: teleskopy, zegary, balony na ogrzane powietrze. Urzędnicy dynastii Qing zażądali, by Macartney wykonał tradycyjny pokłon kowtow. Brytyjczyk zgodził się jedynie przyklęknąć na jedno kolano, tak jak robił to przed swoim królem. W rezultacie Cesarz Qianlong uznał dary za „bezużyteczne błyskotki", a Brytyjczyków za barbarzyńców. W słynnym liście do króla Jerzego III napisał: „Nie mamy najmniejszej potrzeby korzystać z wyrobów waszego kraju".

UPADEK SYSTEMU TRYBUTARNEGO

Ta arogancja doprowadziła pół wieku później do wojen opiumowych. Starcie z zachodnim imperializmem i narzucenie Chinom niekorzystnych traktatów ostatecznie doprowadziło do zastąpienia systemu

▲ **Muzeum Narodowe w Gyeongju, 29 października 2025. Prezydent Korei Południowej Lee Jae Myung wręcza Donaldowi Trumpowi wysokie odznaczenie i złotą replikę korony królów Silla, jednego z trzech historycznych państw koreańskich**
FOT. ANDREW CABALLERO-REYNOLDS / AFP

• **Luksusowy Boeing 747-8, podarunek dla prezydenta USA od katarskiej rodziny królewskiej. Samolot zwany Latającym pałacem ma służyć głowie państwa jako Air Force One, ale także już po zakończeniu kadencji**
FOT. ROBERTO SCHMIDT / AFP

• **Złoty pager ofiarowany Trumpowi przez premiera Izraela Benjamina Netanjahu. Gadżet nawiązuje do akcji izraelskich służb z września 2024 roku, kiedy to eksplodujące w Libanie i Syrii pagery zabiły 37 członków Hezbollahu**
FOT. ISRAEL GOVERNMENT PRESS OFFICE

eprasa.pl e842ac5a5d

trybutarnego zachodnim modelem dyplomacji suwerennościowo-kolonialnej. Chiny same zostały wasalem. To zniszczyło prestiż cesarza jako Syna Niebios.

W drugiej połowie XIX wieku mocarstwa kolonialne zaczęły po kolei wyrywać państwa trybutarne z chińskiej strefy wpływów: Francja przejęła Wietnam, Wielka Brytania anektowała Birmę, Rosja zaczęła dominować w Azji Środkowej i Mongolii Zewnętrznej. Chiny mimo prób interwencji okazywały się zbyt słabe, by utrzymać swoje zwierzchnictwo.

Gwoździem do trumny cefu była wojna chińsko-japońska (1894-95). Japonia, która bywała częścią systemu i przez wieki czerpała z kultury chińskiej, zreformowała się i pokonała militarnie Chiny, zmuszając je w traktacie z Shimonoseki do uznania „pełnej i całkowitej niezależności" Korei. W praktyce oznaczało to przejście Korei – najważniejszego i najbardziej lojalnego wasala Chin – w japońską strefę wpływów. Był to symboliczny i faktyczny koniec systemu trybutarnego w Azji.

W 1901 roku, po upadku powstania bokserów, Chiny zostały zmuszone do powołania ministerstwa spraw zagranicznych na wzór europejski. To była kapitulacja ideologiczna. Chiny oficjalnie zrezygnowały z roli „centrum świata" na rzecz bycia jednym z wielu członków globalnej społeczności międzynarodowej.

DONALD TRUMP, CZYLI ZMIANA DYNASTII

W okresie zimnej wojny Waszyngton i Moskwa de facto odgrywały rolę Synów Niebios dla swoich bloków. Plan Marshalla to przykład prezentu zwrotnego: USA inwestowały w Europę Zachodnią i Japonię, aby kupić ich lojalność i zakotwiczyć je w swoim systemie. ZSRR oferował swoim satelitom surowce w zamian za podległość polityczną i produkty przemysłowe. Tak jak cesarz Chin uznawał władców ościennych, w XX wieku dwa mocarstwa decydowały o tym, kto może rządzić w ich strefie wpływów. Jeśli jakiś dyktator ogłosił się antykomunistą, otrzymywał od USA inwestyturę: uznanie, broń, fundusze. ZSRR zastrzegł sobie prawo do interwencji u wasala, jeśli ten się buntował, jak Czechosłowacja w 1968 roku.

Stany Zjednoczone wygrały zimną wojnę, ponieważ ich system prezentów zwrotnych – dobrobyt, popkultura, technologia – okazał się bardziej atrakcyjny i wydajny niż oparty na strachu, ciężkim przemyśle i gospodarce centralnie sterowanej system radziecki. Odtąd to Ameryka jako jedyne supermocarstwo – nie tylko militarne, ale też kulturowe – jawiła się jako słońce, wokół którego krążyły pomniejsze państwa. Stany Zjednoczone definiowały zasięg cywilizacji na podstawie kryterium przywiązania do wolności i demokracji. Wiele krajów, w tym Polska, szczerze wierzyło, że muszą w pełni zaakceptować amerykańskie wartości, bezkrytycznie przyjąć amerykański system ekonomiczno-polityczny, aby stać się krajem cywilizowanym, zamożnym i zdobyć szacunek innych.

Aż nastał Trump. To wydarzenie porównywalne do zmiany dynastii w starożytnych Chinach.

Nowy władca na nowo ustala reguły gry, według własnych kryteriów definiuje kręgi cywilizacji i barbarzyństwa. Grenlandia należąca do Danii jest barbarzyńska, ale jak odda się amerykańskiemu Synowi Niebios, będzie cywilizowana. Wenezuela, Iran, Kuba, niegdyś podporządkowane Waszyngtonowi, to zbuntowani wasale, których trzeba zdyscyplinować i wymienić władców na bardziej powolnych.

AMERYKA I WASALE

Żądania Trumpa, by kraje sojusznicze zwiększyły wydatki na obronność, a także groźby wycofania ochrony w przypadku „niepłacenia rachunków", można uznać za nowoczesną formę opłaty trybutarnej za amerykański parasol nuklearny i militarny. Drastycznie wysokie cła to odwrócenie idei wolnego handlu na rzecz handlu koncesjonowanego sterowanego z centrum. Chcesz sprzedawać towary bogatym Amerykanom? Musisz złożyć daninę w postaci ceł lub przenieść produkcję do USA.

Dynastia Han nie uznawała równorzędnych traktatów międzynarodowych, każda relacja była dwustronna i pionowa: cesarz – wasal. Trump systematycznie demontuje organizacje wielostronne. Preferuje umowy bilateralne, bo w takim układzie łatwiej można z pozycji siły narzucać warunki mniejszym partnerom.

Mamy też współczesny rytuał kowtow – demonstracyjne uznanie wyższości władcy przez posłów. Światowi liderzy pielgrzymują do Mar-a-Lago lub Białego Domu, aby „przypieczętować deale". Niosą dary: złota sztabka i Rolex od Szwajcarów, złota korona i złoty medal od Koreańczyków, złoty hełm samurajski od Japonii, złoty pager nawiązujący do głośnej operacji wymierzonej w Hezbollah od premiera Izraela, nie złoty, ale kosztowny Boeing 747 od Kataru.

Rządy pod presją godzą się na konkretne ustępstwa gospodarcze wobec USA i koncesje dla firm powiązanych z Trumpem. Prezentem zwrotnym jest obniżenie przez Trumpa stawek celnych dla krajów, których przywódcy złożyli mu hołd.

Samo słowo „kowtow" przyjęło się w języku angielskim jako synonim uległości. Z nagłówków można się dowiedzieć, że w ostatnim roku przed Trumpem robili go różni światowi przywódcy, ale też amerykańskie media, szefowie big techów i Sąd Najwyższy. Kowtow miał też zrobić Trump przed Putinem podczas pamiętnego spotkania na Alasce.

Szorstkie traktowanie przez Trumpa sojuszników i respekt okazywany przezeń autokratycznym mocarzom sugeruje kolejną analogię ze starożytnymi Chinami. Tam też „dzikie" i wojownicze ludy – w tym Mongołowie, Dżurdżeni czy Mandżurowie – nieobjęte systemem trybutów miały w praktyce równiejsze relacje z cesarstwem niż przyjaźni mu sąsiedzi.

Ale są też istotne różnice. Główna polega na tym, że system Han był długofalowo stabilizujący – Chiny często dopłacały do interesu, by utrzymać kontrolę i prestiż. Polityka Trumpa jest chaotyczna i wywołuje chaos. Dąży do destabilizacji zastanego ładu i demontażu struktur wielostronnych. Jest nastawiona na natychmiastowy zysk finansowy. To pozwala mocarstwu numer dwa – Chinom – udanie budować własną, konkurencyjną strefę wpływów, co prowadzi do ponownej fragmentacji świata na dwa rywalizujące obozy.

„Trump wydaje się wierzyć, że Stany Zjednoczone nie potrzebują sojuszników w regionie, ale jedynie wasali", napisali w „Foreign Policy" amerykańscy politolodzy William LeoGrande i Peter Kornbluh.

„W ciągu zaledwie roku Stany Zjednoczone stały się kwintesencją Złego Sąsiada. Traktowanie Ameryki Łacińskiej jako wasala jedynie przyspieszy jej zwrot w stronę Chin, zmniejszając regionalne wpływy USA. Jeśli ktokolwiek na świecie po cichu bije brawo Trumpowi za interwencję w Wenezueli, to jest to prezydent Chin Xi Jinping".

ŚWIAT PRZYBYWA DO CHIN

Ale i współczesna polityka zagraniczna Chin, zwłaszcza odkąd rządzi Xi Jinping, bywa przez politologów porównywana do systemu trybutarnego. Chociaż Chiny oficjalnie mówią o „równości" i „wzajemnych korzyściach", struktura ich relacji z państwami Globalnego Południa wykazuje podobieństwa do porządku z czasów dynastii Han czy Ming. Jan Hobson i Shizhi Zhang w kwartalniku „Global Studies" z jesieni 2022 roku dowodzą, że współczesnym odpowiednikiem systemu danin jest Inicjatywa Pasa i Szlaku, gigantyczna sieć portów, kolei, rurociągów i innych inwestycji finansowanych przez Pekin.

Wszystkie jej nitki prowadzą do chińskiego centrum gospodarczego, tak jak w dawnym systemie drogi i szlaki wodne prowadziły do stolicy cesarstwa, a handel był koncesją przyznawaną lojalnym wasalom. Teraz w zamian za dostęp do chińskich inwestycji i pożyczek mniejsi partnerzy powstrzymują się od krytyki Komunistycznej Partii Chin, a najważniejszym wymogiem – odpowiednikiem kowtow – jest przyjęcie „zasady Jednych Chin", czyli odmowa uznania suwerenności Tajwanu.

Forum Współpracy Chiny-Afryka (FOCAC) to regularne zjazdy przywódców afrykańskich w Pekinie. Widok dziesiątek prezydentów stojących w szeregu, by uścisnąć dłoń Xi Jinpinga w Wielkiej Hali Ludowej, służy pokazaniu chińskiemu odbiorcy, że „świat przybywa do Chin, by oddać im należne miejsce jako liderowi". Chińskie instytucje są głównym wierzycielem wielu państw afrykańskich.

Zdarzało się, że kiedy te nie mogły spłacić długów, Chiny przejmowały kontrolę nad infrastrukturą. To tworzy relację trwałej zależności. Dłużnik nie jest partnerem, lecz staje się „ekonomicznym wasalem", który musi konsultować swoje strategiczne decyzje z Pekinem.

Arogancka dyplomacja „wilczych wojowników" wyrażająca się we wściekłych pohukiwaniach i sankcjach na inne państwa, na przykład za wypowiedzi ich liderów w obronie Tajwanu albo za spotkanie z „separatystą" Dalajlamą, pokazuje, że Chińczykom nadal trudno zrozumieć lub zaakceptować ideę równości w relacjach międzynarodowych. Tak samo jak Trumpowi. ●

JESTEŚM

Tomasz Szarota, jeden z najwybitniejszych żyjących polskich badaczy przeszłości, wcale tak dobrze się nie zapowiadał.

Andrzej Brzeziecki

Nieważne, czy interesują cię legiony rzymskie, dzieje Celtów, początki Polski, czy też XIX-wieczna rewolucja przemysłowa w Wielkiej Brytanii, książkę Tomasza Szaroty oraz Emila Marata i Michała Wójcika przeczytaj koniecznie. Kogóż nie spotkamy na jej łamach? Nie sposób wręcz wymienić.

Weźmy taki szczegół. W Wigilię Bożego Narodzenia 1929 roku w Paryżu spotkali się między innymi Rafał Marceli Blüth i Tadeusz Manteuffel. Pierwszy to znany w latach trzydziestych XX wieku katolicki publicysta i znawca Rosji o korzeniach żydowskich, drugi to wybitny polski mediewista, po wojnie twórca i pierwszy dyrektor Instytutu Historii PAN. Ale Blüth to przede wszystkim ojciec Tomasza Szaroty, Manteuffel zaś to jego teść. Obaj panowie oczywiście nie mogli tego wtedy jeszcze wiedzieć, składając sobie świąteczne życzenia na paryskim bruku.

Blüth, niestety, został zamordowany przez Niemców w listopadzie 1939 roku, kilka tygodni przed narodzinami swego syna. Manteuffel przeżył wojnę, choć o mały włos nie został zamordowany przez tych samych ludzi, należących do prawicowej frakcji polskiego podziemia, którzy zabili Ludwika Widerszala. Ten zaś był dziadkiem Macieja Janowskiego – obecnego dyrektora Instytutu Historii PAN.

Tomasz Szarota to historyk całe życie związany z Instytutem Historii PAN, ale także badacz niebywale zaangażowany w proces pojednania polsko-niemieckiego. Mamy więc raptem kilka postaci, ale już widać, że kryją się za nimi historie na niejedną książkę.

Dodajmy jeszcze do tego postaci matki profesora Szaroty, Elidy Marii oraz babki Eleanory Kalkowskiej związane z kręgami kultur niemieckiej i francuskiej, a zrozumiemy, że prezentowany nam tom to Historia przez duże „H". Nic dziwnego, że gdy profesor Szarota wspomina swoją podróż do Paryża we wrześniu 1967 roku, która zbiegła się z wizytą Charlesa de Gaulle'a w Polsce, mówi: „Szarota do Paryża, de Gaulle z Paryża... Wymiana taka". W Paryżu zaś Szarota miał okazję poznać Fernanda Braudela.

PODPADŁ KIENIEWICZOWI

Co ciekawe, jeden z najwybitniejszych żyjących historyków wcale tak dobrze się nie zapowiadał. Studia historyczne wybrał trochę przypadkiem. Potem także bywało różnie. Na pierwszym roku oblał egzamin ze starożytności u profesor Izy Bieżuńskiej-Małowist, u Aleksandra Gieysztora na egzaminie ze średniowiecza dostał trzy plus i już wiedział, że mediewistą raczej nie zostanie.

Marzył, by zostać na Uniwersytecie Warszawskim i pisać u profesora Stefana Kieniewicza doktorat z XIX wieku – i być może sam profesor Kieniewicz miał co do Szaroty takie plany. Zaprosił go nawet na wspólny występ w radiu niczym mistrz cechu, chciał zaprezentować słuchaczom swego czeladnika. Było Boże Narodzenie 1961 roku. W czasach, gdy radio było głównym, a w większości domów jedynym medium, taki występ oznaczał niebywały prestiż. Tyle że młody Szarota o audycji... zapomniał. Kieniewicz musiał się poczuć rozczarowany postawą młodzieńca i wyciągnąć wnioski. Żadne propozycje asystentury potem już nie padały.

Za to Tadeusz Manteuffel, wówczas dyrektor Instytutu Historii PAN (jak już wiemy przyszły teść naszego bohatera), zaproponował mu etat w two-

eprasa.pl e842ac5a5d

Y JAK POSZUKIWACZE ZŁOTA

rzonej Pracowni Dziejów Polski Ludowej, pod warunkiem że napisze doktorat właśnie z dziejów PRL. Szarotę propozycja wściekła – w jego oczach była to zwykła degradacja. Szczęśliwie zdecydował się przyjąć tę ofertę.

PREKURSOR BADAŃ NAD CODZIENNOŚCIĄ

Praca w IH PAN pozwoliła Szarocie rozwinąć skrzydła. Manteuffel zdołał wcześniej, bo zaraz po Październiku pojechać do Paryża i wystarać się dla swych podwładnych o stypendia naukowe. Załatwił też prenumeraty „Kultury” i potem „Zeszytów Historycznych” (wychodziły od 1962 roku). Młody zdolny historyk potrafił wykorzystywać takie okazje, zdołał także przeskoczyć z epoki PRL do czasów okupacji – a prace na ten temat stały się jego znakiem firmowym. Wszystkie jego publikacje – o okupowanych Warszawie i Paryżu, Stefanie „Grocie” Roweckim, prezydencie Warszawy Stefanie Starzyńskim, Elżbiecie Zahorskiej czy o karykaturach i stereotypach narodowych są w książce sumiennie omówione.

Był Szarota prekursorem badań nad codziennością. Dziś to pewnie nie robi wrażenia, ale przed laty sięgnięcie do działu ogłoszeń drobnych, nawet w prasie gadzinowej, było świetnym sposobem na dotarcie do źródeł informacji o potrzebach i sprawach bytowych warszawiaków. Szarota podawał nawet kaloryczność posiłków w kolejnych latach okupacji.

„Praca historyka jest jak poszukiwanie złota. Temu, kto pierwszy ujrzy grudkę, od razu podskakuje ciśnienie. Tego nie zrozumie chyba nikt, kto czegoś sam nie odkrył. To może być nowe źródło historyczne, ważna informacja, a nawet mały drobny przyczynek – to jest właśnie to, po co żyjemy. Po co ja żyję”.

Tu warto zatrzymać się przy genezie całej Polskiej Akademii Nauk i jej Instytutu Historii. Była to instytucja wzorowana na radzieckich rozwiązaniach. W dodatku Tadeusz Manteuffel, by kierować instytutem, przyjął ofertę władzy, gdy po lasach chowały się jeszcze niedobitki podziemia, a więc i jego towarzysze broni. Było to ryzykowne, ale uczony przechytrzył władze – w swoich młodszych kolegów i koleżanki, nieraz z legitymacjami partyjnymi w kieszeni, wszczepił najwspanialsze wartości humanistyczne. Pokazał to choćby rok 1968 i następne – gdy uczeni ci, mający być kadrą nauki komunistycznej, rzucali legitymacjami na znak sprzeciwu wobec polityki władz. Oczywiście taki manewr mógł wykonać tylko ktoś o sile charakteru Manteuffla.

Takich ludzi jak twórca IH PAN spotykamy na łamach książki znacznie więcej – bo Szarota znał także Jana Karskiego, Władysława Bartoszewskiego, Czesława Miłosza, Mariana Turskiego. Opowiadając o nich, dzieli się gorzką, ale słuszną, refleksją, że „w Polsce wciąż szuka się okazji i pretekstu, by wobec pięknej postaci, z której możemy być dumni, zgłaszać jakieś zastrzeżenia w stylu: »a właśnie że nie do końca był taki wspaniały«”.

SZAROTA SIĘ LUBI

Tomasz Szarota to jeden z ostatnich wielkich polskiej historiografii XX wieku. Oczywiście profesor lubi siebie, i to z wzajemnością. Przytoczone wyżej porównanie się z de Gaulle’em to niby dowcip… ale gdy przy innej okazji mówi: „Byłem zachwycony sobą, zadowolony” – to wiemy, że mówi prawdę. Jest jak bohater piosenki Luxtorpedy, który rano mówi, że się lubi, i tak dzień zaczyna… I słusznie, wszak ewangeliczne przykazanie miłości bliźniego zakłada najpierw miłość siebie samego.

Warto pod tym kątem przejrzeć zdjęcia opublikowane na okładce i na końcu tej starannie wydanej książki. Ze zdjęć spogląda na nas, a czasem wymachuje w naszym kierunku (właściwie w kierunku swoich rozmówców) człowiek zadowolony z siebie i przekonany co do słuszności głoszonych przez siebie poglądów.

Szczęśliwie jego rozmówcy, sami zresztą świetni badacze przeszłości i autorzy nagradzanych prac, choć niewątpliwie darzą Szarotę sympatią, nie unikają trudnych pytań. Bo nie jest tak, że trzej panowie sobie miło gawędzą, schlebiając sobie co kilka akapitów. Nie – to poważna rozmowa, czasem dyskusja, a czasem wręcz spór. Na przykład Emil Marat z Michałem Wójcikiem kilkukrotnie wiercą Szarocie dziurę w brzuchu w sprawie ustępstw czynionych w publikacjach na żądanie cenzury – wręcz zarzucają mu uległość. Ten w przypadku debiutu (chodziło o druk pracy doktorskiej poświęconej osadnictwu na Dolnym Śląsku po 1945 roku) bronił się młodym wiekiem, chęcią ujrzenia swego nazwiska w druku. Czasem też „dokuczają mu”, zwracając uwagę, że miał dość uprzywilejowaną pozycję w tamtym systemie.

W książce skrzy się od anegdot, jest sporo dramatyzmu, bo taka była historia XX wieku, ale i sporo humoru, bez którego nie da się przetrwać. Jest przede wszystkim jednak ogrom rzetelnej wiedzy.

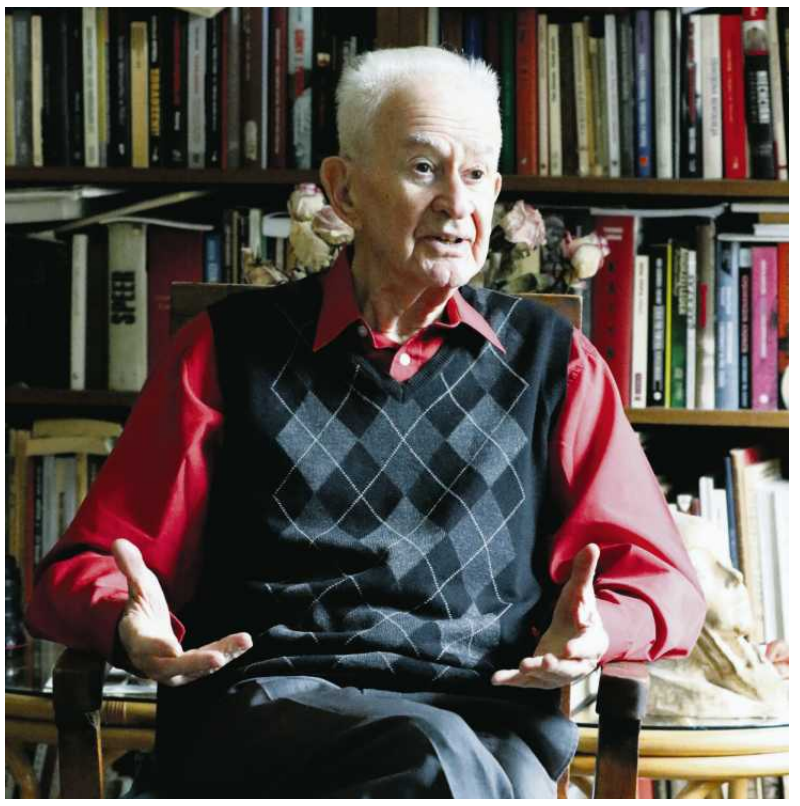

FOT. WALDEMAR GORLEWSKI

Prof. Tomasz Szarota

• (ur. 1940), jeden z najwybitniejszych polskich historyków. Lista jego dokonań jest bardzo długa, napisał m.in. książki: „Okupowanej Warszawy dzień powszedni” (1973, wielokrotnie wznawiana), „Stefan Rowecki »Grot«” (1983), „V – jak zwycięstwo. Symbole, znaki, demonstracje patriotyczne walczącej Europy 1939–1945” (1994), „Życie codzienne w stolicach okupowanej Europy. Szkice historyczne. Kronika wydarzeń” (1995), „Niemcy i Polacy. Wzajemne postrzeganie i stereotypy” (1996), „U progu Zagłady. Zajścia antyżydowskie i pogromy w okupowanej Europie” (2000), „Karuzela na placu Krasińskich. Studia i szkice z lat wojny i okupacji” (2007), „Tajemnica śmierci Stefana Starzyńskiego” (2020), „Zapomniana egzekucja. Natolin, listopad 1939” (2021), „Prekursorka »małego sabotażu«. Elżbieta Zahorska (1915–1939)” (2022).

> *Szczere mówienie światu o własnych czarnych kartach historii zaczęło w odczuciu zagranicy bardziej potwierdzać stereotyp Polaka antysemity aniżeli obraz Polaka prawdomównego, odważnego, potrafiącego uczciwie przyznać się do rzeczy złych*
>
> TOMASZ SZAROTA

Z NIEMCAMI CORAZ TRUDNIEJ

Szarota przyznaje, że obsesyjnie szuka powodów do dumy z dziejów Polski. Nie oznacza to, jak wiemy, że zamyka oczy na prawdę, ale zwraca uwagę też, że wielka dyskusja o Jedwabnem jest także powodem do dumy. Żaden inny kraj, gdzie także dochodziło do zbrodni albo współudziału w niej, tak długo nie przerabiał tematu, jak Polska. Na dobrą sprawę wciąż o tym dyskutujemy, i to nie tylko na poziomie akademickim.

Tymczasem na Litwie analogiczna dyskusja szybko przycichła; Francuzi nie mają kaca z tego powodu, że w okupowanym Paryżu antysemityzm był demonstrowany gorliwiej niż w okupowanej Warszawie, zaś „coraz częściej sami Niemcy widzą siebie TYLKO w roli ofiar”. Szarota nazywa wręcz czymś haniebnym postawę wielu Niemców, którzy najwyraźniej mieli sporą satysfakcję, gdy sprawa Jedwabnego stała się głośna. I powtarza za Joachimem Trenknerem, że nawet jeśli wszyscy na świecie mogą Polakom wypominać antysemityzm, to Niemcom akurat to nie przystoi.

Boje z Eriką Steinbach to osobna część książki. Szarota – choćby przez dzieje rodzinne, ale także ze zwykłej przyzwoitości – zawsze szukał okazji do porozumienia z Niemcami i dialogu. Nigdy jednak nie miał wobec nich kompleksów.

Przeciekawe są opowieści o tym, jak Niemcy próbowali wmanewrować Szarotę w członkostwo w radzie fundacji Ucieczka, Wypędzenie i Pojednanie. Ten jednak zorientował się w porę, że chodzi o „pojednanie między samymi Niemcami: pojednanie męczenników, wypędzonych z tymi, którym po wojnie udało się tego koszmaru nie przeżyć”. Ostatecznie Polak demonstracyjnie opuścił uroczyste posiedzenie inauguracyjne. Trzeba oddać tygodnikowi „Der Spiegel”, że dał głos Szarocie, który wyraźnie pokazał różnicę między wypędzeniem Niemców z Pomorza a wypędzeniem z życia, jakie Niemcy chcieli zgotować wszystkim Żydom. A w myśl ustaw norymberskich Szarota była dla Niemców Żydem.

DUMA Z III RP

Profesor Szarota od początku – jeszcze w czasach PRL – przekonywał, że „lata okupacji to nie tylko akty strzeliste odwagi, martyrologia i bohaterstwo, to również sprawy negatywne i brudne”. Tu mówi jednym głosem z Adamem Michnikiem, dla którego Jedwabne i inne zbrodnie Polaków są częścią wspólnej przeszłości. Nikt współczesnym Polakom nie może narzucić poczucia winy za te wydarzenia, ale nikt też nie zdejmie z nich odpowiedzialności za pamięć o nich i zgłębianie rzetelnej wiedzy na temat przeszłości.

W odrzucaniu „pedagogiki wstydu” Szarota widzi zarazem dość naturalną reakcję obronną. Mówi też, że po latach przechyłu w kierunku szukania w Polakach winnych „przyszedł czas, żeby społeczeństwu przez mądrą politykę państwową pozwolić złapać równowagę”. Idzie w tym nawet dalej, twierdząc, że zarówno on, jak i tacy ludzie jak Adam Michnik czy Paweł Machcewicz popełnili pewien błąd. „To, że tak odważnie, wręcz masochistycznie przyznawaliśmy się do czarnych kart w polskiej historii – to być może był błąd. Dlaczego? Otóż to szczere mówienie światu o własnych czarnych kartach historii zaczęło w odczuciu zagranicy bardziej potwierdzać stereotyp Polaka antysemity aniżeli obraz Polaka prawdomównego, odważnego, potrafiącego uczciwie przyznać się do rzeczy złych”.

Zbrodnia w Jedwabne to już historia z pierwszej połowy poprzedniego wieku, ale sama debata o Jedwabnem oraz wszystkie jej społeczne i polityczne reperkusje to już także nasza historia najnowsza (wszak studia historyczne już dawno pokończyli ludzie, którzy dopiero rodzili się w momencie publikacji książki Jana Tomasza Grossa) i warto pokazać, że ta historia to powód do dumy III RP. ●

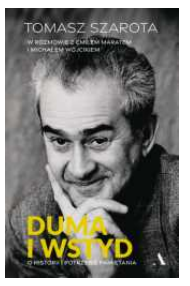

Duma i wstyd. O historii i potrzebie pamiętania

Tomasz Szarota w rozmowie z Emilem Maratem i Michałem Wójcikiem
Agora, 2025

eprasa.pl e842ac5a5d

Obaj mieli krew na rękach, podpisywali wyroki śmierci na wrogów ludu, bezwzględnie usuwali też partyjnych konkurentów.

• **Moskwa, 1949 rok. Walter Ulbricht (z brodą) na prawo od Józefa Stalina, na lewo od sowieckiego dyktatora: minister obrony ZSRR Nikołaj Bułganin i przywódca Chin Mao Zedong (w czarnym uniformie)** FOT. AUTOR NIEZNANY, WIKIMEDIA COMMONS

BIERUT I ULBRICHT PORTRET PODWÓJNY

Adam Krzemiński

„Bratnie kraje" były skrojone według jednego wzorca. Ale różniły je historia, geopolityczne położenie, doświadczenie wojny oraz charakter narzuconych przez Stalina przywódców. Dobrze pokazują to biografie Bolesława Bieruta i Waltera Ulbrichta – założycieli dwóch sąsiednich demoludów – PRL i NRD. Ilko-Sascha Kowalczuk – autor dwutomowej biografii Ulbrichta „Niemiecki komunista" (2023) oraz „Komunistyczny dyktator" (2024), uważa go za „najskuteczniejszego niemieckiego komunistę XX wieku". Natomiast Grażyna Pomian w – niestety niedokończonej – pracy „Bierut i jego partia" (2023) nie mogłaby tego powiedzieć o pierwszym prezydencie PRL.

Byli rówieśnikami – roczniki 1892 i 1893 – o różnym statucie „proletariackiego pochodzenia". Bierut, syn wyrobnika, dorastał w suterenie na obrzeżach 60-tysięcznego Lublina, Ulbricht – syn krawca – na poddaszu kamienicy w centrum 400-tysięcznego Lipska. Na parterze grzecznie pozdrawiał studenta Gustava Stresemanna, przyszłego kanclerza Republiki Weimarskiej.

Mieli różne szanse na starcie. W cesarstwie wilhelmińskim szkolnictwo było dobrze zorganizowane i obowiązkowe. Na polskich peryferiach carskiego imperium do 1911 roku nie było obowiązku szkolnego. Awans biedoty przez wykształcenie był rzadki i trudny. Bierut powtarza pierwszą klasę i za udział w strajku zostaje ze szkoły relegowany. Pomagając w księgarni, chłonie gazety i raczej lekkie powieści. W 1905 imponują mu bojowcy PPS-Frakcji Rewolucyjnej. Ale sam woli już się nie narażać.

Ulbrichta nauczyciele podstawówki zachęcali do studiów. Ale w rzemieślniczej rodzinie liczył się konkret. Walter kończy solidną ciesielską zawodówkę, jego stół do dziś służy prawnukowi. Potem zwyczajem czeladników „na wędrówce" przez Niemcy, Austrię i Szwajcarię ma potwierdzić, że potrafi się utrzymać. Dzięki ojcu, który zabiera go na mityngi z legendarnymi przywódcami SPD, wcześnie przechodzi polityczną inicjację. Jest pracowity, ma drobnomieszczańskie gusty, ale „klasową" pewność siebie. Jego notatki z socjaldemokratycznych kursów dokumentują lektury raczej mało dostępne w Lublinie.

Samouk Bierut w 1910 roku, pracując w drukarni jako zecer, znajduje promotora w osobie redaktora „Kuriera Lubelskiego" Jana Hempla – entuzjasty spółdzielczości, filozofa, podróżnika, przyszłego komunisty i ofiary stalinowskich czystek. Dzięki niemu zbliża się do PPS-Lewicy. Bywa w dworkach społeczników, jest uczynny, solidny, ale nie bez kompleksów z powodu biedy i braku obycia.

NA PASKU MOSKWY

Dla obu wojna jest cezurą. W Lublinie po wycofaniu się Rosjan w 1915 roku ruszają polskie inicjatywy kulturalne i polityczne. Przyjeżdża Piłsudski. Skrajnej lewicy marzy się rewolucja społeczna i obalenie kapitalizmu. Bierut się waha. Pracuje w spółdzielczym magazynie i jako rzetelny organizator awansuje na kierownika handlowego. Jego inicjacją jest publiczny sprzeciw w 1917 przeciwko tworzonemu przez Berlin i Wiedeń marionetkowemu Królestwu Polskiemu. Po czym z obawy przed aresztowaniem ucieka do Warszawy.

Na kursach spółdzielczości poznaje Marię Koszutską i w 1918 wstępuje do Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy (SDKPiL), następnie do Komunistycznej Partii Polski (KPP) – nie tyle z porywu, ile ze środowiskowego automatyzmu, jak pisze Grażyna Pomian. W latach 20. dwukrotnie przechodzi w Moskwie kilkumiesięczne kursy Kominternu. Po czym jako emisariusz jest – raczej bez sukcesów – wysyłany do Bułgarii, Austrii i Czechosłowacji.

Ulbricht już latem 1914 był dość znanym w Lipsku działaczem Socjaldemokratycznej Partii Niemiec (SPD), protestującym przeciwko nadciągającej wojnie. W 1915 – pewnie w wyniku donosu – został powołany do jednostki transportowej przerzuconej do Polski, a potem na Bałkany, skąd pisywał relacje do gazet. W 1918 dwukrotnie dezerterował.

Wojna podzieliła SPD, najpotężniejsze niemieckie ugrupowanie. Przez lata atakowana jako partia „facetów niemających ojczyzny" w 1914 poparła w Reichstagu kredyty wojenne, co w kwietniu 1917 doprowadziło do rozłamu na większościową SPD i Niezależną Socjaldemokratyczną Partię Niemiec (USPD). A w noc sylwestrową 1918/1919 – do powstania Komunistycznej Partii Niemiec (KPD) z czynnym udziałem działaczy SDKPiL: Róży Luksemburg i Leona Jogichesa, zamordowanych w trakcie powstania Spartakusa, a także Karola Radka – emisariusza Lenina w Berlinie. Współzałożycielem KPD był także późniejszy prezydent NRD Wilhelm Pieck, a w Lipsku – Ulbricht.

KPP powstała przed KPD, ale trudno porównywać wagę obu tych partii w dziejach komunizmu i partyjną karierę przyszłych prezydentów PRL i NRD. Obie partie odrzucały międzywojenny ład i kapitalistyczny ustrój swych krajów. Należąc do Kominternu, były zależne od moskiewskiej centrali. Jednak KPP była w Polsce partią marginalną, choć miała liczących się w życiu społecznym sympatyków. W chwili jej likwidacji przez Stalina w 1938 roku pod zarzutem trockizmu i piłsudczykowskiej agentury liczyła 17 tys. członków, w tym niespełna 4 tys. przebywało w ZSRR, gdzie czystki przeżyło około tysiąca. W Polsce członkowie KPP – także Bierut – byli więzieni za szpiegostwo i działalność na rzecz ZSRR. Ale to nie KPP spowodowała wrześniową katastrofę 1939 roku, lecz Hitler i Stalin.

Natomiast w Niemczech KPD wydatnie przyczyniła się do upadku republiki. Powstała na kontrze wobec „zdradzieckiej" SPD, która, stawiając na reformy parlamentarne, zdławiła

eprasa.pl e842ac5a5d

niemiecką rewolucję na wzór bolszewickiej, co szybko pogłębiło i przyspieszyło podziały w niemieckim ruchu robotniczym. Zaledwie pięć dni po KPD w Monachium powstała „Niemiecka Partia Robotnicza”, która rok później dopisała sobie określenie „narodowosocjalistyczna” – NSDAP. I w 1923 obie te „antysystemowe” siły z dwóch przeciwnych stron próbowały obalić republikę.

KPD pod naciskiem Moskwy przygotowywała „niemiecki październik”, zbrojne powstanie. W Turyngii, gdzie Ulbricht był już regionalnym szefem partii, gromadzono broń i przygotowywano listy osób mających być usunięte, ale powstanie w ostatnim momencie odwołano.

W Hamburgu doszło jednak do strzelaniny z policją, w której padły dziesiątki zabitych i rannych. A w listopadzie Hitler przeprowadził nieudany pucz monachijski.

MIĘDZY STALINEM A HITLEREM

KPD i NSDAP zostały zawieszone. I gdy Hitler w więziennej celi pisał „Mein Kampf”, Ulbricht – poszukiwany w Europie listami gończymi – schronił się w moskiewskim Hotelu Lux, kwaterze Kominternu. Po przywróceniu KPD został zaocznie wybrany do Reichstagu. I mając już immunitet w Berlinie, stanął na czele najważniejszego okręgu KPD. Jego berlińskim odpowiednikiem w NSDAP był Joseph Goebbels. Ścierali się ze sobą w Reichstagu i na mityngu w berlińskiej robotniczej dzielnicy Friedrichshain, co zakończyło się bijatyką i rejteradą Goebbelsa.

Krwawe walki uliczne z „brunatnymi” to część heroicznej legendy KPD podobnie jak późniejsza martyrologia komunistów w III Rzeszy. Jednak skrajności także się stykały. W 1923 naziści dawali do zrozumienia, że są tylko przeciwko Żydom w partii, ale w ataku na republikę można na nich liczyć. A przed ostatnimi wolnymi wyborami 1932 roku KPD i NSDAP wspólnie poparły strajk berlińskich transportowców. Nawet nawołując od 1936 roku z emigracji do „frontu ludowego” przeciwko Hitlerowi, KPD nie wycofała się ze stalinowskiej tezy o „socjalfaszyźmie” SPD.

Po przejęciu władzy przez Hitlera Ulbricht, ukrywając się, zapuścił kozią bródkę. Szybko jednak stał się jednym z pół miliona uchodźców z Rzeszy. Diaspora niemieckich komunistów liczyła 10 tys. osób, z których 4 tys. wylądowały w ZSRR. Ulbricht w Hotelu Lux przeszedł przez stalinowskie czystki, które pochłonęły 40 proc. czołowych działaczy Kominternu. Bywał nie tylko na cenzurowanym, ale także w komisjach weryfikujących innych. Trudno powiedzieć, na ile miał krew na rękach. Bo ostateczne decyzje podejmowali NKWD i Stalin…

Pakt Stalina z Hitlerem wywołał mętlik w tym środowisku. W Paryżu Willi Münzenberg, zręczny organizator komunistycznej propagandy w czasach Republiki Weimarskiej, wypalił: „Jesteś zdrajcą, Stalinie!”. Latem 1940 jego przykryte gałęziami zwłoki znaleziono w lesie na południu Francji, miał drut na szyi.

W hitlerowskim więzieniu szef KPD Ernst Thälmann fantazjował tymczasem, że pakt otwiera możliwość wpływania na państwa faszystowskie. Hitler pozostaje wrogiem – głosiły podziemne ulotki KPD, ale pakt ustanawia przyjazne stosunki z narodem radzieckim i być może nazizm to także droga do socjalizmu… A w Moskwie Pieck i Ulbricht nabrali wielkoniemieckich apetytów, nalegając na włączenie do partii także austriackich i czeskich komunistów, na co Komunistyczna Partia Austrii (KPÖ) zarzuciła im szowinizm.

Po polskich komunistów nie wyciągali ręki, bo skoro nie było KPP, to i nie było „kwestii polskiej”. Choć akurat Ulbricht w sierpniu 1939 przez niedopatrzenie wystąpił w obronie Polski. Tak wierzył w Stalina, że nie dostrzegał zwiastunów zmiany kursu i wysłał do Bazylei zaakceptowany w Moskwie artykuł o polskich prawach do Gdańska. Ukazał się już obok tekstów zachwyconych „diabelskim paktem”.

• **Bolesław Bierut, komunistyczny prezydent Polski w latach 1947-1953**
FOT. ROMAN BURZYŃSKI, WIKIMEDIA COMMONS

TOWARZYSZ ULBRICHT NA FRONCIE

Stalin był rozczarowany niemieckimi komunistami. Ale polskimi – podkreśla Grażyna Pomian – pogardzał. Na Polakach mścił się za rok 1920 „akcją polską”, w której, jak podaje Pomian, do 1939 roku wymordowano w sumie 228 046 mieszkających w ZSRR Polaków. Jesienią 1939 niemiecko-radziecką granicą wymazał Polskę ze swych atlasów. Dla Mołotowa była „pokracznym bękartem traktatu wersalskiego”, bezprzedmiotowym powodem kontynuowania wojny. Finis Poloniae miał być faktem. Natomiast Finis Germaniae w żadnej fazie wojny ojczyźnianej nie był deklarowanym celem Stalina, który już w lutym 1942 zapowiedział w rozkazie do armii, że Hitlerzy przychodzą i odchodzą, ale naród i państwo niemieckie pozostają.

Niemniej niemieccy komuniści nie budzili już na Kremlu sympatii. Przerzucani przez Komintern do Rzeszy emisariusze szybko ginęli. Niektórzy zostawali konfidentami gestapo. Inni utykali w szwedzkich więzieniach lub – jak Herbert Wehner – przechodzili do emigracyjnej SPD.

Stąd sarkazm Chruszczowa wobec Ulbrichta, który pod Stalingradem przez gigantofony przekonywał z radzieckich okopów żołnierzy Wehrmachtu do dezercji. „Sprawdziłem w sztabie. Dziś towarzysz Ulbricht nie zapracował na posiłek! Nikt do nas nie przeszedł…”.

Jednak Ulbricht wytrwale, przy trzaskającym mrozie i niekiedy „przyjaznym ostrzale” powtarzał swe apele. Potem organizował wśród jeńców komitet Wolne Niemcy. Odwoływał się do tradycji prusko-rosyjskiego sojuszu w 1813 roku. Obiecywał na prawo i lewo. I zapracował na zaufanie towarzyszy radzieckich. W dniu samobójstwa Hitlera – 30 kwietnia 1945 – wylądował z pierwszą grupą niemieckich komunistów nad Odrą, by w radzieckiej strefie okupacyjnej tworzyć niemiecką administrację, która „ma wyglądać demokratycznie, ale być pod naszą kontrolą”.

Wojenna kariera Bieruta zaczynała się dużo skromniej. Jesienią 1939 dociera do Białegostoku, gdzie przyjmuje radzieckie obywatelstwo z paragrafem elementu niepewnego i skierowanie do chutoru niedaleko Kijowa. Wraca jednak do Białegostoku i po niemieckim najeździe na ZSRR rusza do Mińska białoruskiego, gdzie przez rok – najwyraźniej za wiedzą Moskwy – jest w kolaboranckim zarządzie miasta odpowiedzialny za zaopatrzenie. W lipcu 1943 zostaje ściągnięty do Warszawy do kierownictwa partii utworzonej w 1942 roku przez komunistycznych emisariuszy, aby „rozpalić w Polsce wojnę partyzancką”.

DENAZYFIKACJA I DROGA DO SOCJALIZMU

W Polskiej Partii Robotniczej po śmierci Nowotki oraz likwidacji jego zabójcy – także „emisariusza” – na pierwszy plan wysuwają się „krajowcy” z Władysławem Gomułką, który w 1935 roku także ukończył kursy Kominternu. Ale w lutym 1943 doprowadza on do rozmów z przedstawicielami państwa podziemnego. Bieruta przerzucono za Bug już po wyjściu na jaw sprawy Katynia i zerwaniu przez Stalina stosunków z polskim rządem emigracyjnym. Jesienią będzie kandydatem Moskwy na przewodniczącego partii, ale przegra z Gomułką, który zainicjuje utworzenie w styczniu 1944 Krajowej Rady Narodowej. Jej przewodniczącym zostanie Bierut – zresztą z oporami, bo przy braku łączności nie znał opinii centrali. Ta ich „kohabitacja”, konkurencja i wzajemna niechęć wpłyną na specyfikę PRL w bloku wschodnim.

Dla Bieruta KRN była zalążkiem przyszłej władzy komunistycznej opartej na radzieckich strukturach. Według Gomułki miała tworzyć alternatywę dla państwa podziemnego, przyciągając jak najszerszy wachlarz sił demokratycznych. Donosy Bieruta na Gomułkę do Moskwy będą w 1948 podstawą uwięzienia Gomułki za „odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne”. Grażyna Pomian utworzenie KRN nazywa formalnym początkiem polskiej wojny domowej o suwerenność, ustrój i granice państwa polskiego, toczącej się w kraju z czynnym udziałem Moskwy. W sierpniu 1944 Bierut zostaje namaszczoną przez Stalina twarzą „Polski lubelskiej”. Ściągnięty do Moskwy na wyproszoną przez Winstona Churchilla rozmowę z premierem „Polski londyńskiej” Stanisławem Mikołajczykiem, w obecności Stalina stwierdzi, że o żadnym powstaniu w Warszawie nie słyszał.

Rok później – w czasie konferencji poczdamskiej – różnica między Ulbrichtem i Bierutem zakrawa na niebotyczną. Ulbricht w radzieckiej strefie okupacyjnej tworzy według dyrektyw generałów niemiecką administrację, ale państwowa przyszłość okrojonych Niemiec jest nieustalona. Bierut jest już nieformalną głową państwa przesuwanego geograficznie na Zachód, a ustrojowo na Wschód. Jego Polska – po wejściu byłego „londyńskiego” premiera do tymczasowego „rządu jedności” – zyskuje międzynarodowe uznanie i ma otrzymywać reparacje wojenne z części ściąganej przez Moskwę ze swojej strefy okupacyjnej.

Tych obu stalinowców obowiązuje „dialektyka” sprzecznych dyrektyw Kremla o zaostrzanie walki klasowej i równocześnie dbanie o „narodową specyfikę”. W okupowanych Niemczech zaczyna się aliancka denazyfikacja i reedukacja, a w Polsce – spory o „polską drogę do socjalizmu” nakładane są na walkę z „reakcyjnym podziemiem”.

OBRONA PÓŁPAŃSTWA

Ulbrichta i Bieruta łączy też wymuszona akceptacja strat terytorialnych – polskich Kresów Wschodnich za linią Curzona oraz niemieckich ziem za Odrą i Nysą. Ta nowa „granica pokoju” oburzała niejednego niemieckiego stalinowca. Johannes R. Becher, wybitny poeta, przyszły minister kultury i autor słów hymnu NRD, odmówił w 1948 wyjazdu na wrocławski kongres intelektualistów, mówiąc, że pojedzie do Breslau, ale nie do Wrocławia. Ulbricht natomiast z nieporuszoną miną mówił w czerwcu 1945 w berlińskim kinie Colosseum do ponad tysiąca towarzyszy, że Niemcy wschodnie są stracone, ale pierwszym obowiązkiem KPD, która jest partią wcale nie „ruską”, lecz niemieckich patriotów, jest „położenie w naszych szeregach kresu wszelkim uczuciom nienawiści do narodu polskiego”. Już przed Poczdamem wiedział od Stalina, że większość wysiedleńców napłynie do radzieckiej strefy…

Ulbricht w odróżnieniu od Bieruta nie przebierał się w strój bezpartyjnego ojca narodu. Nie dodawał do przysięgi „tak mi dopomóż Bóg”. Był surowy wobec siebie i współpracowników. Nie pił, gimnastykował się, zręcznie wymanewrowywał konkurentów. Sprawnie realizował narzucane przez Stalina także w innych demoludach „zjednoczenie” komunistów z socjalistami. I w grudniu 1949 Stalin na uroczystym przyjęciu z okazji swych siedemdziesiątych urodzin usadowi Ulbrichta po swojej lewicy, a Mao Zedonga po prawicy.

Z tych dwóch pereł w koronie stalinizmu niemiecka nadal była obiektem manewrów Moskwy z zachodnimi współokupantami Niemiec. Po reformie walutowej w strefach zachodnich w 1948 roku Stalin próbował wyprzeć aliantów z podzielonego Berlina. Blokada się nie udała, w 1949 powstało najpierw NATO, a potem Republika

eprasa.pl e842ac5a5d

Federalna. Odpowiedzią było utworzenie NRD, ale już w 1952 roku, w czasie wojny koreańskiej, Stalin kusił Niemców zjednoczeniem za cenę neutralizacji i utrzymania demilitaryzacji kraju. Alianci odpowiadają: „przedtem wolne wybory", a kanclerz Adenauer: „w żadnym wypadku".

Do dziś trwa spór, czy to była zmyłka Moskwy jak w 1954 jej wniosek o przystąpienie do NATO, czy jednak zaprzepaszczona przez Adenauera szansa na przywrócenie jedności kraju. Dawny nadreński separatysta zdecydowanie wybrał integrację „swojej" części Niemiec z Zachodem. Ale jego lustrzanym odbiciem na wschodzie był Ulbricht broniący swego półpaństwa przez ścisłe kopiowanie radzieckich wzorów. Irytowało to radzieckiego komisarza Władimira Siemjonowa, który w poufnym liście do Stalina sugerował odsunięcie Ulbrichta.

To istotna różnica między PRL i NRD. W czasach stalinowskich „Polska Zachodnia" istniała symbolicznie na emigracji, a w kraju – trwała w jawnym lub skrywanym oporze i nadziei, jeśli nie na wielką wojnę, to na przyszłą transformację ustroju. Natomiast dla mieszkańca NRD zachodnie Niemcy były realnym państwem „cudu gospodarczego" – z dostępną witryną zachodniego Berlina. Hipotetycznie możliwa była także długofalowa europejska metamorfoza radzieckiego tworu niemieckich komunistów. Ale ta droga została zablokowana przez twardy dogmatyzm i brak wyobraźni Ulbrichta i jego następcy Ericha Honeckera.

„ODWILŻ" PO POLSKU I NIEMIECKU

Śmierć Stalina w marcu 1953 nie zachwiała państwem Bieruta – polska „odwilż" nastąpiła w 1955, a cezurą w wewnętrznej konstrukcji PRL był dopiero rok 1956. Natomiast istnienie NRD zawisło na włosku. Na początku czerwca 1953 jej kierownictwo zostało wezwane do Moskwy, gdzie Chruszczow, Mołotow, Mikojan i Beria ostro nakazali, by wobec trudności gospodarczych i masowych ucieczek na Zachód natychmiast odwołać stalinowską politykę, wypuścić bezpodstawnie więzionych i urynkowić gospodarkę. Gdy ludzie Ulbrichta błagali o tydzień na przygotowanie opinii publicznej, usłyszeli: „za tydzień to możecie już nie mieć państwa"... Ponoć Beria w walce o spadek po Stalinie proponował porzucenie NRD, co rychło stało się pretekstem do aresztowania i zastrzelenia „krwawego Ławrentija"...

Komunikat rządowy o zmianie kursu spowodował eksplozję w całej NRD: protesty w zakładach przeciwko nagłemu podniesieniu norm nałożyły się na gromadzenie się rodzin przed więzieniami. A bałagan decyzyjny władz zaostrzał hasła demonstrantów: od „szpicbródka musi odejść", po żądanie natychmiastowych wolnych wyborów.

Ulbrichta i NRD uratowały czołgi radzieckie, egzekucje uliczne i masowe aresztowania. Powstanie zostało zakwalifikowane jako „próba sterowanego z Zachodu faszystowskiego puczu", ale represje zostały szybko cofnięte, gospodarkę przestawiono bardziej na konsumpcję, a na Moskwie wymuszono obietnicę zakończenie demontażu w ramach reparacji. W sierpniu 1953 roku PRL, aby ratować NRD, zrezygnowała z reparacji wojennych, które i tak były zależne nie od Berlina, lecz od radzieckiego demontażu w strefie. Szkoda, że Ilko-Sascha Kowalczuk nie zauważył tej współzależności. Natomiast chwała mu za to, że pokazał, jak w rezultacie weryfikacji Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec (SED) po czerwcu odsetek byłych członków NSDAP wzrósł do 10 proc. Taka była „odwilż" po enerdowsku. Niby zdławiono faszystowski pucz, ale nazistów chętnie przyswajano, także w redakcji „Neues Deutschland", od czołowego komentatora Guntera Kertzschera, po kierownika działu kulturalnego Rainera Kerndla – obaj z demonstrowaną niechęcią do Polski, powstania warszawskiego i „Solidarności"...

Od śmierci Stalina PRL i NRD są „nierównoczesne". Wolfgang Harich, młoda gwiazda enerdowskiego marksizmu, ceniony także na Zachodzie entuzjasta marksistowskiego filozofa Györgya Lukácsa i konserwatysty Arnolda Gehlena, opisuje, jak w 1954 roku jego polscy koledzy Leszek Kołakowski i Włodzimierz Brus jeszcze trzymali się oficjalnej interpretacji Hegla, podczas gdy oni z NRD już swobodnie poważali stalinowski kanon. Jednak w 1955 te role się odwróciły. Teraz oni byli potulni, a Polacy szybowali, nie zostawiając suchej nitki na doktrynie. Enerdowcy kataraktę przeszli w 1953 roku. Cezurą w PRL był rok 1956 – tajna mowa Chruszczowa na XX Zjeździe KPZR, śmierć Bieruta, powstanie w Poznaniu i polski Październik.

> Ulbricht pod Stalingradem przez gigantofony przekonywał z radzieckich okopów żołnierzy Wehrmachtu do dezercji. Chruszczow mówił o tym z sarkazmem: „Sprawdziłem w sztabie. Dziś towarzysz Ulbricht nie zapracował na posiłek! Nikt do nas nie przeszedł..."

Zarówno Bierut, jak i Ulbricht mieli krew na rękach – podpisywali wyroki śmierci na wrogów ludu, usuwali też partyjnych konkurentów za „prawicowe" czy jakiekolwiek inne odchylenie. Z pewną różnicą – Ulbricht łamał usuwanych procesem i partyjną samokrytyką, wegetowali potem na prowincji na podrzędnych stanowiskach. To dlatego tygodnik „Polityka" po burzliwych wewnętrznych dyskusjach opublikował w 1958 roku – dla przestrogi – haniebne kajanie się Karla Schirdewana, więzionego w III Rzeszy oskarżonego o „działalność frakcyjną" na rzecz obalenia Ulbrichta i zjednoczenia Niemiec.

AROGANCKI STALINOWIEC

Kowalczuk lata 1953-1956-1961 nazywa latami „wewnętrznego założenia" tej NRD, którą znaliśmy do roku 1989. Jest to kopia pojęcia „innere Reichsgründung" – nadania wewnętrznego kształtu II Rzeszy przez Bismarcka przez wojnę kulturową (Kulturkampf) z katolikami i liberałami w 1872-1978. A także ustawy przeciwko socjalistom z 1878 roku przy równoczesnych odgórnych reformach socjalnych autorytarnego państwa zdominowanego przez Prusy i protestantyzm. W NRD polegało to na wykręceniu się stalinowca Ulbrichta i jego otoczenia od destalinizacji mimo mowy Chruszczowa na XX Zjeździe KPZR, na przerażeniu powstaniem na Węgrzech i „zwycięstwem rewizjonistów" w PRL. Zwieńczeniem tej wewnętrznej budowy państwa było odcięcie go w 1961 roku murem berlińskim od Zachodu – co przerwało ucieczki 3 mln Niemców na Zachód, wymuszając pozostałym jakieś ułożenie się w państwie SED.

W Polsce momentem „wewnętrznego założenia" PRL był rok 1956. Przyciągający tysiące ludzi pogrzeb Bieruta zmarłego w Moskwie tuż po wysłuchaniu mowy Chruszczowa to nieoficjalny pochówek polskiego stalinizmu z masakrą w Poznaniu jak krzyżem na jego grobie. Powrót Gomułki to z kolei trwalsza cezura niż na Węgrzech, bo niezmiażdżona radzieckimi czołgami. Dla Ulbrichta zmiażdżenie powstania węgierskiego było potwierdzeniem zdławienia „faszystowskiego puczu" 17 czerwca 1953 w NRD. Natomiast polski Październik stale uwierał niczym kamień w bucie, bo Gomułka wytrzymał próbę sił z Chruszczowem i w Warszawie „wygrali rewizjoniści". Gorzej. Chruszczow na uroczystych przyjęciach z okazji szczytów RWPG potrafił w obecności Ulbrichta kpić sobie z niego, podczas gdy Gomułkę nazywał „twardym człowiekiem" w odróżnieniu od „miękkiego" Bieruta.

Ulbricht miał z obydwoma do czynienia. W biografii Kowalczuka Bierut nie pojawia się ani razu, natomiast Gomułka kilkanaście razy. A mógłby więcej, gdyby autor sięgnął także do polskich źródeł, jak choćby „Dzienników" Mieczysława F. Rakowskiego, w których Ulbricht w bardzo niechętnym tonie pojawia się ponad sto razy. Szef SED był w Polsce odbierany jako arogancki stalinowiec, rzecznik dogmatycznej polityki kulturalnej oraz „enerdowski nacjonalista" unikający bardziej zrównoważonego podziału pracy w RWPG, przeciwnik rubla transferowego oraz zbliżenia Polski z Republiką Federalną.

Kowalczuk potwierdza polskie opinie o „komunistycznym dyktatorze", który w 1969 roku wyrąbał w Moskwie: „Chcemy kooperacji jako prawdziwe państwo niemieckie. Nie jesteśmy Białorusią. Nie jesteśmy republiką radziecką, a więc prawdziwa kooperacja...". Tą butą naraził się Leonidowi Breżniewowi, który w 1971 w końcu poparł frondę Honeckera w kierownictwie SED. Trudno zmierzyć, czy – jak sugeruje Kowalczuk – Ulbricht w mniejszym stopniu niż Gomułka nalegał w 1968 na interwencję w Czechosłowacji. To była ta sama hańba. I nie pomniejsza jej obawa Gomułki, że Praska Wiosna łamała „żelazny trójkąt" PRL-NRD-CSRS mający wymusić uznanie przez Bonn granicy na Odrze i Nysie, które Ulbrichta denerwowało. „Po co wam ono – mówił w Warszawie według zapisków Rakowskiego – skoro uznała ją NRD". Gomułka i premier Józef Cyrankiewicz byli tu jednak dalekowzroczni. Nie wierzyli w trwałość państwa Ulbrichta...

Era Ulbrichta i Gomułki zakończyła się niemal równocześnie. Życiowy tryumf Gomułki – uznanie granicy na Odrze i Nysie przez Bonn – przesłoniła tydzień później masakra strajkujących na Wybrzeżu. Człowiek, który w 1956 był witany przez tłumy jako symbol „polskiej drogi", odszedł 20 grudnia 1970 roku w niesławie.

Upadek Ulbrichta odbył się na raty. Wiosną 1971 stracił przywództwo SED, ale pozostał – coraz bardziej – lekceważoną głową państwa. Gdy umarł w 1973 roku w czasie berlińskiego festiwalu młodzieży, nie było państwowej żałoby. NRD wczesnego Honeckera zdawała się u celu: była uznana przez Zachód, weszła do ONZ, miała najwyższy w bloku standard życia.

Ulbricht biologicznie mógłby dotrwać do katastrofy swego państwa. W 1989 roku miałby 96 lat. Jego żona Lotte, rocznik 1903, tę zapaść w pełni doświadczyła. Zmarła w 2002 w Republice Federalnej, w znów zjednoczonym Berlinie.

DLACZEGO NRD WYPAROWAŁA

Nie ma co ronić łez za państwem Ulbrichta, choć w nowych landach w starym pokoleniu wciąż utrzymuje się coś z „ostalgii" za ciepełkiem nisz enerdowskiej prywatności, a w młodszym – silny u AfD i na lewicy afekt niechęci do „kolonizacji" przez zachodnie partie, media i korporacje. Tak jak w Polsce moda na PRL chyba bardziej Gierka niż Gomułki.

Czy NRD – umownie twór Stalina i Ulbrichta – była z góry skazana na byt „państwa sezonowego"? Owszem, mówił w sierpniu 1989 roku czołowy ideolog SED Otto Reinhold. W odróżnieniu od innych państw bloku, których „państwowość nie zależy przede wszystkim od ustroju społecznego", NRD może istnieć jedynie „jako państwo antyfaszystowskie, socjalistyczne", jako alternatywa RFN. „Kapitalistyczna NRD nie miałaby obok kapitalistycznej Republiki Federalnej żadnej racji bytu".

I tak się stało. Jednak Reinhold nie miał racji. Nie wspomniał Austrii – kapitalistycznej, także sąsiadującej z Republiką Federalną i w 1938 w dużej mierze oklaskującej „Anschluss" do Rzeszy. W 1945 utożsamiła się z rolą „pierwszej ofiary Hitlera" i neutralnej tarczy obrotowej między Wschodem i Zachodem. W 1995 weszła do UE i nie rozpłynęła się w Republice Federalnej. „Austriacka droga" w NRD wymagałaby stopniowej „socjaldemokratyzacji" SED, nie do pomyślenia dla dogmatyków wokół Ulbrichta i Honeckera, którzy uskarżali się w Moskwie na „rewizjonizm" w PRL i zapatrzenie na socjaldemokrację. Latem 1981 Honecker przeciwko „Solidarności" wytoczył nad Odrę i Nysę czołgi, a w stanie wojennym polecił wysyłać dzieła Lenina.

Od 1956 roku PRL, pod wpływem wybuchów w latach 1968, 1970, 1976, 1980-1981, przechodził stopniową ustrojową metamorfozę. NRD miała swoje zmiany kursu, odkręcania i przykręcania śruby. Ale niezależne siły – jak w PRL Kościół, mimo stanu wojennego także „Solidarność" oraz „reformatorzy" w PZPR – mogące wykorzystać pierestrojkę Michaiła Gorbaczowa były zapóźnione i nieprzygotowane. Latem 1989, gdy Polska miała już niekomunistycznego premiera i enerdowscy opozycjoniści zapewniali, że również mają swojego Mazowieckiego i Kiszczaka (ale nie mieli Wałęsy), od członków Komitetu Centralnego SED można było usłyszeć: „Polska nie ma znaczenia. Gdy odejdzie Gorbaczow, wszystko wróci na socjalistyczną drogę".

Jesienią padł mur berliński, a w 1990 roku NRD przestała istnieć, podczas gdy Polska we „wspólnocie interesów" z Republiką Federalną poparła zjednoczenie Niemiec i ruszała w kierunku „euroatlantyckich struktur".

Z polskiego punktu widzenia wyparowanie NRD było wariantem optymalnym. Na szczęście blokujące Polsce drogę na Zachód „czerwone Prusy" nie zmieniły się w demokratyczną, otwartą na Europę, ale ciasno egocentryczną „druga Austrię" wplątaną we własne powiązania z niemiecką „konfederacją" i Rosją, odciągając uwagę zachodnich Niemców od środkowej Europy.

Niemniej historia NRD i PRL może być traktowana jako przestroga, że w momentach przełomowych dzieje państw i społeczeństw toczą się po równoczesnych torach. Jedne dobrze wyczuwają okno możliwości, a te, które się spóźniają, ukarze życie, jak powiedział Honeckerowi Gorbaczow w ostatni jubileusz powstania NRD... To trafne słowa również w obecnej zawierusze. ●

1 RP

eprasa.pl e842ac5a5d

Okruchy historii

Polska szkoła hagiografii

Autor najgorszej książki w historii IPN szkoli nauczycieli historii, jak uczyć o „żołnierzach wyklętych”

Motyka

Parafrazując Forresta Gumpa, można powiedzieć, że książki najgorsze są jak pudełko czekoladek: za każdym razem, gdy do nich zajrzymy, znajdziemy coś nowego i zarazem śmiesznie-strasznego. Przejrzenie „Komendanta »Burego«” Michała Ostapiuka (Warszawa 2019), najbardziej nieudanej publikacji w całej historii IPN, znakomicie potwierdza tę regułę.

Magdalena Semczyszyn brawuro wykazała autorowi niekompetencję w recenzji ogłoszonej w „Kwartalniku Historycznym” (nr 2, 2020), a Mariusz Mazur w książce „Nauka w epoce postprawdy” (UMCS 2024) nie krył zaskoczenia, że można robić karierę historyka, wykazując się takimi brakami warsztatowymi.

Choć ta dwójka znakomitych historyków wykazała Ostapiukowi przytłaczającą wręcz liczbę wpadek, to i tak bez trudu do przedstawionej przez nich celnej argumentacji można dorzucić dodatkowe trzy grosze.

Przypomnijmy, że dowódca partyzantki narodowej na Białostocczyźnie Romuald Rajs „Bury” na początku 1946 roku, równo 80 lat temu, zamordował 79 polskich wyznawców prawosławia i spalił pięć wsi, w których ci mieszkali. Gdy został aresztowany, natychmiast zaczął winę za te wydarzenia zrzucać na podwładnych. Przesłuchiwany 18 listopada 1948 roku ujawnił nazwisko swojego zastępcy Kazimierza Chmielowskiego „Rekina”, dodając przy tym, że podjął on studia na „Politechnice w Bytomiu”.

Ostapiuk „rozgrzesza” swojego bohatera z tych słów, twierdząc bez podania dowodów, iż funkcjonariusze UB już i tak wszystko wiedzieli. Tymczasem trzeba kategorycznie stwierdzić, że ujawnione przez Rajsa dane pozwalały na odnalezienie „Rekina”. W regionie śląskim działała tylko Politechnika w Gliwicach, wystarczyło zatem wysłać zapytanie do katowickiego UB o sprawdzenie tej informacji, by niemal natychmiast uzyskać odpowiedź, iż studiuje on tam pod swoim nazwiskiem. „Rekin” musiał widnieć w kartotece UB, ponieważ w marcu 1947 roku ujawnił się, podając dane o służbie w AK w czasie wojny i oczywiście zatajając swoją późniejszą działalność w podziemiu narodowym.

Co ważniejsze, „Bury” przesłuchującym go funkcjonariuszom od razu zaproponował współpracę i utworzenie za ich wiedzą pozorowanego oddziału, który pomógłby w likwidacji resztek podziemia. Pisał: „Od pierwszego zetknięcia się z Urzędem Bezpieczeństwa prosiłem o pozostawienie faktu mego aresztowania w tajemnicy. Mam tu na myśli współpracę z Urzędem Bezpieczeństwa, na który złożę przysięgę, w zamian za opiekę nad moją żoną i dzieckiem. Znajomość moja terenu i ludzi będzie skierowana przeciwko dalszym siewcom paniki i niezgody przeciwko bandom grasującym i wszystkim tym, którzy [...] będą bruździć”.

Według Ostapiuka „Bury” chciał omamić funkcjonariuszy, wyjść na wolność i natychmiast przystąpić od nowa do walki partyzanckiej. Na dowód podaje wyrwany z kontekstu fragment doniesienia agenta szpiegującego „Burego” w celi więziennej. Rajs faktycznie się odgrażał, że po wyjściu na wolność „wytoczy morze krwi z komunistów za Katyń, za Kaługę, za warszawskie powstanie i za okradanie narodu polskiego”. Jednak, co Ostapiuk przemilcza, miało to miejsce w maju 1949 roku, kiedy jego propozycja współpracy została już odrzucona i czekał w celi na proces. To wtedy pocieszał się w rozmowie z agentem UB, iż niebawem będzie wojna, „Amerykanie zrzucą bombę atomową” i „wyjdzie na wolność”. A wtedy rozprawi się z komunistami i sędziami, którzy będą go sądzić tak, że „w prędkim czasie będzie nosił szlify generalskie”.

Ostapiuk przechodzi do porządku dziennego nawet nad propozycją, by UB wziął za zakładników, jako gwarancję jego wierności, żonę i dziecko „Burego”. Gdyby faktycznie chciał oszukać UB, naraziłby ich przecież na śmiertelne niebezpieczeństwo. No, chyba że ufał w humanitaryzm komunistycznego aparatu represji, co jednak wydaje się nieprawdopodobne.

Można zadać pytanie, czy warto wspominać o książce wydanej kilka lat temu. Otóż wyczytałem właśnie informację, że w Muzeum Żołnierzy Wyklętych w Ostrołęce odbyło się w poprzednim roku szkolenie dla nauczycieli, „jak opowiadać o historii, a w szczególności o Żołnierzach Wyklętych, młodzieży w szkołach. O tym mówił kierownik działu naukowo-wydawniczego [...] Michał Ostapiuk”. Szkopuł w tym, że na przykładzie książki „Komendant »Bury«” można co najwyżej szkolić nauczycieli z tego, jak nie należy mówić o powojennym podziemiu. ●

Prof. Grzegorz Motyka

Autor jest historykiem, politologiem, pracownikiem Instytutu Studiów Politycznych PAN

Historia krzepi

Okaleczeni przez Jałtę

W 1945 roku prezydent Roosevelt naiwnie liczył na współpracę ze Stalinem, wyrażał się o nim równie ciepło jak dziś Trump o Putinie.

Nałęcz

Stany Zjednoczone, gwarant ładu światowego, diametralnie zmieniają politykę. Prezydent Donald Trump odrzuca porządek oparty na prawie międzynarodowym i poszanowaniu demokracji. Kieruje się egoistycznie pojmowanymi interesami swojego kraju oraz osobistymi korzyściami. Najpotężniejszy człowiek świata bliski jest wskrzeszenia nowej wersji zmory jałtańskiej złożonej do grobu w 1989 roku dzięki zwycięstwu NATO w zimnej wojnie.

Zdrada jałtańska z lutego 1945 roku najbardziej okaleczyła Polskę. Stało się tak, chociaż to ona pierwsza przeciwstawiła się zbrojnie niemieckiej agresji wspieranej w 1939 roku przez ZSRR jako sojusznika Trzeciej Rzeszy. Polacy walczyli na wszystkich frontach drugiej wojny światowej, także w podziemiu, ponosząc ogromne straty. Mimo tej ofiary krwi i twardych zobowiązań sojuszniczych prezydent USA Franklin Delano Roosevelt i premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill oddali nasz kraj wraz z całą Europą Środkowo-Wschodnią Stalinowi, zadowalając się zdobyczami w innych częściach świata. Roosevelt naiwnie liczył na współpracę z moskiewskim tyranem, o którym wyrażał się równie ciepło jak dzisiaj Trump o Putinie.

Co ta gra oznaczała dla milionów Polaków, można się przekonać, sięgając po niedawno wydane świetne wspomnienia Edmunda Króla, przedstawiciela pokolenia najbardziej okaleczonego przez zdradę jałtańską. Urodził się on w roku 1911, jeszcze w niewoli, ale ukształtował go patriotyczny duch odrodzonej Polski. Jak każdy maturzysta II RP, w czasie służby wojskowej został podchorążym rezerwy i w takim stopniu walczył w kampanii wrześniowej 1939 roku na Podkarpaciu.

Nie opuścił rąk po klęsce i ze swoim oddziałem przekroczył granicę Węgier. Został tam internowany, ale w maju 1940 roku nielegalnie przedostał się do Jugosławii i dalej, do Syrii, należącej do Francji, gdzie wstąpił do Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich. W 1941 roku walczył w północnej Afryce, między innymi w legendarnej obronie Tobruku. Potem odznaczył się w przegranym przez aliantów starciu pod Gazalą, za co dostał Krzyż Walecznych i awans na podporucznika.

W styczniu 1944 roku, w szeregach 3. Dywizji Strzelców Karpackich, trafił na front włoski. Walczył pod Monte Cassino, gdzie zastąpił rannego dowódcę w kierowaniu kompanią. Na tym stanowisku służył do końca wojny. W lipcu 1944 roku w natarciu na Ankonę jego oddział brawurowo zdobył umocnione wzgórze Santo Stefano, biorąc licznych jeńców. Otrzymał za to order Virtuti Militari oraz awans na porucznika. Kapitulacja Niemiec zastała go w wyzwolonej przez Polaków Bolonii.

Radość ze zwycięstwa zatruwała jałtańska zdrada aliantów i oddanie Polski Stalinowi.

„Polski żołnierz – napisał we wspomnieniach – zobaczył brutalne oblicze świata, jego zło, przewrotność i cynizm, i że sprawiedliwość w takim świecie to nieuchwytna zjawa, to miraż.”

Wielu jego towarzyszy broni zdecydowało nie wracać do zniewolonego kraju. Bił się z myślami także on, zwłaszcza że zamożny krewny oferował karierę w Stanach Zjednoczonych. Zrezygnował z niej, bo z kraju nie mogła wyjechać jego żona, Wanda, poślubiona 15 lipca 1939 roku i niewidziana od końca sierpnia 1939. Wojenną odyseję zakończył w sierpniu 1947 roku w Gdańsku, gdzie zacumował statek, którym wrócił do kraju wraz z innymi żołnierzami Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

Gotów był pracować dla Polski, jaka w tamtych warunkach była możliwa. Jednak komunistyczna władza uznała go za obywatela gorszej kategorii i napiętnowała taką opinią: „Przesiąknięty sanacyjną propagandą. Wróg Polski Ludowej. Obecnie wrogo nastawiony do władzy ludowej”. Zaoszczędzono mu wprawdzie represji, ale skazano na pracę na podrzędnych stanowiskach.

Poświęcił się całkowicie rodzinie i dokumentowaniu wojennej przeszłości, odtwarzając ją między innymi dzięki rozległej korespondencji z dawnymi towarzyszami broni, bardzo wartościowej i obszernie cytowanej we wspomnieniach.

Zmarł w 1986 roku, nie doczekawszy wolnej Polski. W przełomie 1989 roku miał udział jego syn, Jan, poseł „Solidarności” i późniejszy wicemarszałek Sejmu. On też opracował i wydał wspomnienia ojca, spłacając w ten sposób dług całemu jego pokoleniu, niezłamanemu przez zdradę jałtańską. Dobrze wiedział z tradycji rodzinnej, jak bardzo dorobek tej generacji przyczynił się do odbudowania niepodległej i demokratycznej Polski. ●

Tomasz Nałęcz

Autor jest historykiem i politykiem, emerytowanym profesorem UW, w latach 2001-05 był wicemarszałkiem Sejmu, doradcą prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. historii i dziedzictwa narodowego

Byłem Karpatczykiem. Przez osiem lat z Polski do Polski

Edmund Król
Wydawnictwo Nieoczywiste 2025, s. 579.

eprasa.pl e842ac5a5d

weekendówka 192

WSZYSTKO CZERWONE

Nie ma opcji, żebyście dziś przed tym uciekli. Zarówno przed kolorem czerwonym, jak i przez serduszkowym kształtem, który będzie na Was spoglądał z każdej sklepowej półki, witryny cukierni czy kafeterii, z ekranów telefonów i telewizorów. I to niezależnie od tego, czy Walentynki – święto zakochanych, zaadaptowane w Polsce w latach 90. przez szefową wydawnictwa Harlequin Ninę Kowalewską-Motlik.

Ale zanim czerwone serduszko zawładnęło datą 14 lutego, musiało jakoś stać się symbolem miłości i uczuć wszelakich ciepłych. Rzecz w tym, że o początkach owej symboliki za wiele nie wiemy. Serce, jakkolwiek czerwony kojarzy nam się z gorącem, krwią, pasją etc., to nasze ludzkie serce wcale tego „podręcznikowego" serca nijak nie przypomina. Bliższe temu symbolowi jest choćby serce żółwia, ale raczej trudno wnioskować, że to sympatyczne i mądre gady w tym przypadku posłużyły za inspirację.

Symbol serca pojawiał się już w starożytności, ale nie jako ilustracja naszego żywotnego organu, tylko jako ornament roślinny (np. bluszcz). Jako symbol romantycznej miłości prawdopodobnie po raz pierwszy użyto go w średniowiecznym francuskim rękopisie „Roman de la Poire", który datowany jest na ok. 1250 rok. Na miniaturze, która ozdabia literę „S" rozpoczynającą stronę, mężczyzna klęczy przed są ukochaną, a w wyciągniętych w jej kierunku dłoniach trzyma coś na kształt serca, którego obrazki znamy dziś. Nie jest to dokładnie takie serce, ale wrzecionowaty kształt i czerwonawy odcień sprawiają, że o pomyłce nie może być mowy. Zresztą, gwoli ścisłości sam młodzieniec też ma sens alegoryczny – uosabia tzw. douz-regart/ Doux Regard, czyli słodkie spojrzenie, który obdarza się oblubienicę.

Wyraźniejszy już symbol czerwonego serca pojawiał się też na kartach do gry – karciane kolory, które znamy obecnie, widniały na XV-wiecznych taliach francuskich, chociaż, jak czytamy w tekście w serwisie BBC, system francuski wziął się z wcześniejszego systemu niemieckiego, który wyróżniał cztery karciane kolory: liście, żołędzie, dzwonki i serca. BBC cytuje Naomi Lebens z londyńskiej wyższej szkoły The Courtauld Institute of Art., która przytacza postać Étienne'a de Vignollesa, zwanego „La Hire" (Gniew) jednego z francuskich dowódców podczas wojny stuletniej, towarzysza broni Joanny d'Arc. Otóż jak głosi legenda, to właśnie on miał wprowadzić cztery karciane kolory, które znamy do dziś, w tym ten, który nas interesuje najbardziej - kier. Zresztą sam „La Hire" posłużył jako model dla waleta kier.

My dzisiejszą „Weekendówkę", idąc tym czerwonym tropem, poświęcamy właśnie kolorowi czerwonemu. A od Walentynek, jako się rzekło, i tak nie uciekniemy. ●

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl

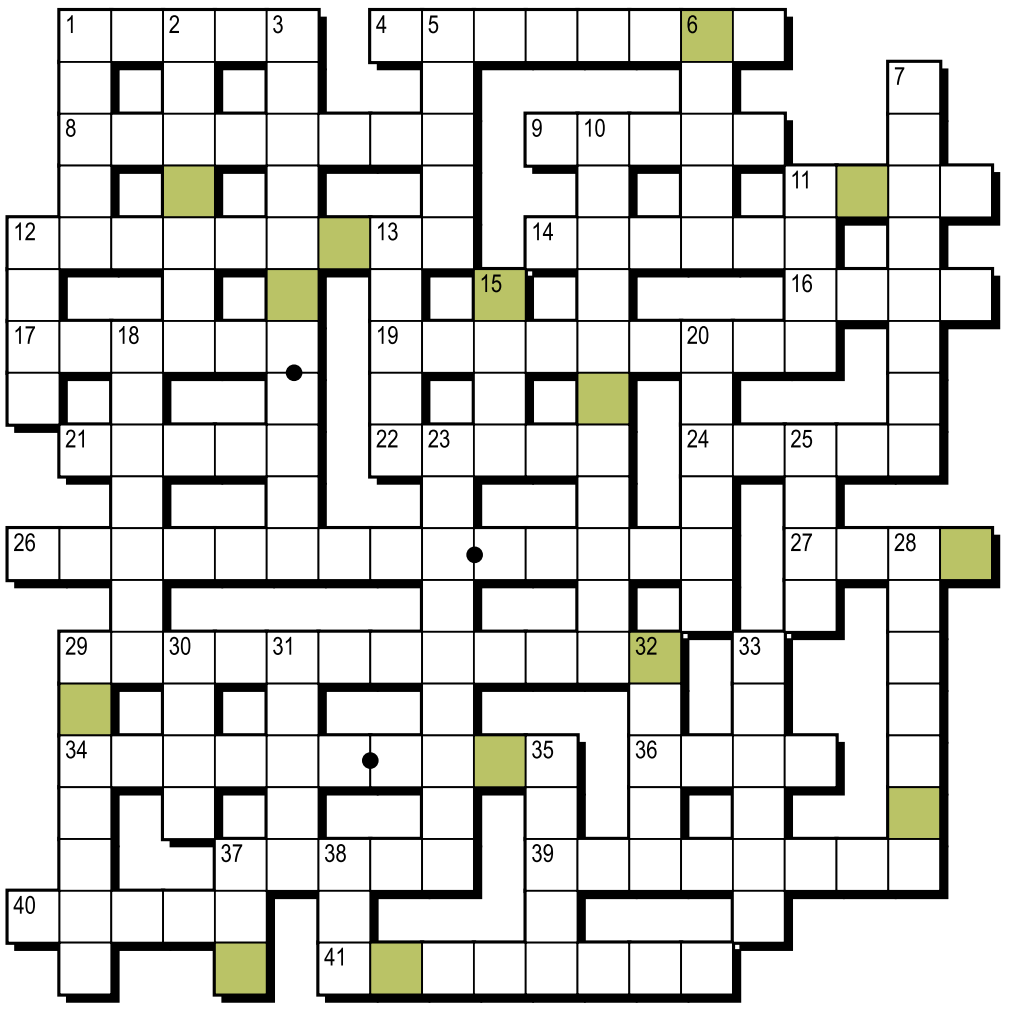

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 191 z 7.02:

Poziomo:
1) Etiopia 7) bieda 9) fryzura 11) Exodus 12) Usain Bolt 13) trio 14) ucho 16) Jamajki 18) Ameryka 20) Afryka 22) Chopin 23) Malone 24) Bravos 25) festiwale 26) pisarz 28) wieś 31) Bob Marley 33) uprawa 34) System 35) talent 36) muzyka 37) piękno.

Pionowo:
2) trzcina cukrowa 3) plażowiczka 4) atletyka 5) Ogrodu serce 6) miasto 8) Dania 10) rastafarianizm 15) Hey Joe 17) Kamil Bednarek 19) Daab 21) bobsleista 27) Woman 28) wyspy 29) rum 30) Maleo 32) rytm

Hasło: IRON LION ZION

KRZYŻÓWKA CZERWONA
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
1) czerwony jak ... (warzywo)
4) „Te opolskie dziouchy, wielkie paradnice, kazały se poszyć czerwone ..."
8) „Czerwona ...", film z Jennifer Lawrence
9) w bajce o Królewnie Śnieżce: krasnoludek z zaczerwienionym nosem
11) ... Szwajcarii, biały krzyż na czerwonym tle
12) wymachują czerwonymi muletami
14) czerwończyki nieparki
16) z koniczyną czerwoną, makami, goryczkami i mnóstwem innych kwiatów i traw
17) czerwona, w piórniku lub do ust
19) europejska stolica z dzielnicą czerwonych latarni
21) czerwone ... akwariowe, np. fantomy, danio koralowe
22) zaczerwienić się jak ...
24) Maciej, zagrał w filmie „Czerwony kapitan"
25) odznaczenie przyznawane amerykańskim żołnierzom, którzy ucierpieli lub zginęli na polu walki
27) pomidorówka
29) jeden ze szczytów w masywie Czerwonych Wierchów (Tatry)
34) zarumieniona skóra twarzy
36) zaczerwienione u pijaczków
37) czerwona lub ochronna
39) Czerwony Czworokąt w gwiazdozbiorze Jednorożca
40) czerwone ..., iglaki zwane także jałowcami wirginijskimi
41) kolor intensywnie czerwony, szkarłatny

Pionowo:
1) o Czerwonym Kapturku
2) imię wokalisty w piosence „Czerwony jak cegła"
3) despotyczna władczyni z powieści „Alicja w Krainie Czarów"
5) czerwone ... tańczyły mi przed oczami (byłem bardzo zmęczony)
6) azjatyckie państwo z czerwoną flagą
7) zaznaczy na czerwono błędy dostrzeżone w tekście
10) Ewa Cichocka lub Krystyna Świątecka z zespołu Czerwony Tulipan
11) strażacki – czerwony
12) „Czerwone ... na Monte Cassino"
13) ... zakazu, okrągłe, z czerwoną obwódką
15) czerwony ... na dnie zbiornika, może wskazywać na obecność żelaza w wodzie
18) afrykańskie państwo nad Morzem Czerwonym
20) wytwórnia, która zrealizowała film „Mała syrenka" z czerwonowłosą Arielką
23) w kalendarzach oznaczana kolorem czerwonym
25) zaczerwienione od mrozu
28) Mars – Czerwona ...
29) warzywo obfitujące w karoten
30) „To było ... w kolorze czerwonym, a to był mój kolor ulubiony", w piosence zespołu Sztywny Pal Azji
31) Czerwona ..., malownicza przełęcz w słowackich Tatrach Wysokich
32) Sueski – łączy Morze Czerwone z Morzem Śródziemnym
33) z Placem Czerwonym
35) ... Czerwona, w 1945 r. doszła do Berlina
37) czerwony – w logo klubu NBA z Chicago
38) czerwony jak ... (skorupiak)

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414082

Literówka · Quizy
Sudoku · Krzyżówki
Szukaj w APLIKACJI WYBORCZEJ

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację
POBIERZ Z Google Play
Pobierz w App Store
1 RP

eprasa.pl e842ac5a5d

wysokieobcasy.pl

wysokie obcasy

wyborcza

14 / FAŁSZYWE CASTINGI
Zdejmij bluzkę, wyślij self-tape

20 / JOANNA WADOWSKA-KRÓL
Lekarka od „ołowianych dzieci”

EWA BEM

Serce to jest muzyk

– rozmowa Aliny Mrowińskiej

ISSN 1506-9087 Dodatek do „Gazety Wyborczej”. Sprzedaż łącznie z „Wyborczą” wysokieobcasy.pl NR 7 (1378) SOBOTA – CZWARTEK, 14-19 LUTEGO 2026

eprasa.pl e842ac5a5d

Uśmiechnięte

MONIKA TUTAK-GOLL

Wiecie co, ona jest młodą kobietą, chyba nigdy nie widziałem, żeby się uśmiechała. Znam cię 10 lat, nie sądzę, bym kiedykolwiek widział uśmiech na twojej twarzy". To Donald Trump, parę dni temu, do Kaitlan Collins, reporterki CNN.

„Dlaczego się nie uśmiechasz?" – to dziennikarz, na konferencji, do Sereny Williams, wycieńczonej po meczu w ćwierćfinale US Open.

„Uśmiechnij się, dziewczynka nie wygląda dobrze z taką smutną miną" – to obca kobieta, w autobusie, do małej dziewczynki (dziewczynka miała normalny wyraz twarzy, żadne nieszczęście).

„Uśmiechnij się, złość piękności szkodzi!" – to wujek na imieninach.

Słyszałaś to kiedyś? Słyszą to dziennikarki, tenisistki, polityczki: gdy Hillary Clinton kandydowała w wyborach prezydenckich, ludzie mówili, że ma zaciśnięte usta i powinna się uśmiechać częściej.

Nigdy nie słyszałam, by ktoś zwracał w ten sposób uwagę mężczyźnie. By zapytał sportowca po meczu: „Dlaczego się nie uśmiechasz? Chcemy cię widzieć uśmiechniętego!". Tak jak nikt nie zapyta o zaplatanie warkoczyków, bo nikt nie uzna tego za ważne. Kobietę zapyta.

Przecież kobieta nie powinna wyglądać zbyt poważnie.

Wiele lat temu „Wysokie Obcasy" opublikowały wywiad z autorką świetnego projektu „Stop telling woman to smile" („Przestańcie mówić kobietom, żeby się uśmiechnęły"), Tatyaną Fazlalizadeh. Fazlalizadeh któregoś dnia poczuła, że jej szczęki sztywnieją, i namalowała swój portret z hasłem „Stop telling women to smile". Rozkleiła plakaty na mieście i stała się sławna. Bo okazało się, że mnóstwo kobiet na całym świecie ma dość roli milusich koteczków – pisałyśmy.

Artystka mówiła: „Kobieta powinna zachowywać się tak, żeby zapewnić mężczyznom zadowolenie, rozrywkę, komfort. Gdy odmawiasz, spotyka cię kara za to, że nie posłuchałaś i nie zrobiłaś tego, do czego ich zdaniem mają prawo".

Od tamtego projektu minęła prawie dekada, a dyscyplinowanie kobiet uśmiechaniem się trwa w najlepsze. Kiedy śmieją się za głośno – są histeryczkami. Kiedy się nie uśmiechają – są smętne.

Niektórzy – jak Trump – chcą w ten sposób zdyskredytować i upokorzyć rozmówczynię. To zwykły seksizm. Trump najwyraźniej uważa, że gdy powie kobiecie, że się nie uśmiecha, cały świat weźmie ją za zgorzkniałą. Mówił to zresztą nie po raz pierwszy; najczęściej wyciąga to w sytuacji, w której nie umie lub nie chce odpowiedzieć na pytanie, więc próbuje na szybko odwrócić uwagę. Ostatnio dziennikarka pytała go o sprawę Epsteina i zadośćuczynienie ofiarom. Naprawdę to sytuacja, w której powinna się uśmiechać?

Dziś na okładce Ewa Bem – uśmiechnięta, bo chciała, bo nikt nie mówił „Pani Ewo, proszę o szeroki uśmiech!". Tak, kobiety się uśmiechają, i to chętnie, jak każdy, ale niekoniecznie na życzenie. Nie chodzimy codziennie smętne. Tak samo jak nie chodzimy codziennie uśmiechnięte.

Uśmiechajcie się, kiedy chcecie – tego wam życzę na walentynki. Ale nigdy na życzenie, choćby nawet i prezydenta USA (a może zwłaszcza). ▲

Monika Tutak-Goll – dziennikarka, redaktorka naczelna „Wysokich Obcasów" i „Wysokich Obcasów Extra"

JUŻ W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EXTRA"

■ **NA OKŁADCE:** Monica Bellucci i jej włoskie widzenie świata ■ **TEMAT NUMERU: Miłość po latach** • Jak utrzymać wieloletni związek? • Co zrobić, by uczucie nie słabło? • Czy odrobina łagodnego samooszukiwania może nam wyjść na korzyść? • O swoich związkach opowiadają nam: Joanna Przetakiewicz, Paulina i Maciej Orłosiowie, Alżbeta Lenska i Robert Biedroń ■ **Psychologia:** Toksyczne matki też kochają ■ **Twarze:** Olga Bołądź, Margot Robbie i Barbara Walters ■ **„Wysokie Obcasy Extra"** już w sprzedaży z prezentem – Biolią BHL Barierowy krem ochronny do twarzy lub dwiema wybielającymi pastami do zębów Himalaya

www.wysokieobcasy.pl wysokieobcasy wysokieobcasy.pl listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA PROWADZĄCA NUMER:
Monika Tutak-Goll

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska

GRAFICY:
Katarzyna Trzeszczkowska
Marta Rozenbajgier
Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Anna Woźniakowska
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Sylwia Sass

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska
INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Katarzyna Seiler
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloch
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl
SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz
DYREKTOR BIURA REKLAMY:
Marek Wilk
KIEROWNICZKA SPRZEDAŻY:
Wioletta Napurka
SZEFOWA PROMOCJI:
Agnieszka Placek

Z-CA SZEFA PROMOCJI:
Katarzyna Stożek
DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szałański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 43 26
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.
Na stronach 13, 28 zamieszczony jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy" nr 7 (1378)
NA OKŁADCE:
EWA BEM
FOT. RAFAŁ LATOSZEK

eprasa.pl e842ac5a5d

Wybierz bohaterkę 2025 roku – zagłosuj na www.wysokieobcasy.pl/superbohaterka, uzasadnij swój wybór i wygraj nagrodę!

14 historii, 15 wyjątkowych kobiet

Przeczytajcie o nominowanych na www.wysokieobcasy.pl/superbohaterka i zagłosujcie w plebiscycie „Wysokich Obcasów". To bohaterki, które spotkaliście na naszych łamach w zeszłym roku. Kobiety, które swoim życiem, postawą, wartościami rozpaliły waszą i naszą wyobraźnię. Które swoją śmiałością, swoją wizją zmieniają świat. Zarażają energią, siłą i niezłomnością. Potrafią przezwyciężać zarówno osobiste bariery, jak i społeczne czy polityczne ograniczenia. Czasami to osoby znane ze sceny, świata nauki, biznesu. Czasami rozpoznawane jedynie lokalnie czy tylko w swoim środowisku. Głosując na nasze Superbohaterki, możecie wygrać nagrody. Regulamin akcji jest dostępny na *www.wysokieobcasy.pl/superbohaterka*

NOMINOWANE W PLEBISCYCIE:

KATARZYNA BUTOWTT
URSZULA DUDZIAK
GIZELA JAGIELSKA
JULIA KAMIŃSKA
JOANNA KOWALCZUK
KLARA KOWALCZYK
WERONIKA MLICZEWSKA
SABINA OBWIOSŁO-BUDZYŃ
ANNA PRZEDPEŁSKA-TRZECIAKOWSKA
MAGDALENA RÓŻCZKA
NATALIA SKOCZYLAS I URSZULA CHOWANIEC
KATARZYNA SŁOMIŃSKA
ZUZANNA STAŃSKA
JOANNA TALEWICZ

5× Naszyjnik z mosiądzu pozłacanego kolekcja BeLoved od YES

5× Apaszka SOLAR x Wysokie Obcasy i Voucher o wartości 300 zł do wydania w sklepach stacjonarnych SOLAR

5× Zestaw fizjoterapeutyczny od GEDEON RICHTER

5× Kolekcja do pielęgnacji paznokci od NEONAIL

5× Zestaw kosmetyków NEO MAKE UP do makijażu

5× Zestaw 3 kosmetyków Anti-Âge Global od Yves Rocher

SPONSOR STRATEGICZNY: YES

SPONSOR GŁÓWNY: SOLAR

SPONSORZY: YVES ROCHER FRANCE, NÉONAIL, NÉO MAKE UP, GEDEON RICHTER

eprasa.pl e842ac5a5d

Superbohaterka 2025

Wybierz bohaterkę 2025 roku, zagłosuj na www.wysokieobcasy.pl/superbohaterka

Świat jest pełen wspaniałych kobiet, Polska jest pełna wspaniałych kobiet. W każdym numerze przedstawiamy wam osoby, które robią rewolucję w świecie i zmieniają go na lepsze.
Co roku spośród naszych bohaterek wybieramy Superbohaterkę „Wysokich Obcasów”. Doceniamy odwagę, empatię, wrażliwość, wiarę w to, że można żyć inaczej. Bo Superbohaterka ma w sobie nieustępliwość, determinację, wyobraźnię. I potrzebę działania.
Superbohaterka inspiruje. Czasem wychodzi z siostrami na ulicę, innym razem walczy z systemem samotnie, w domowym zaciszu. Czasem musi wykrzyczeć swoją złość, innym razem wystarczy szczera opowieść, przełamanie tabu, by dokonać zmiany.
Przedstawiamy wam 14 historii i 15 kobiet nominowanych do tytułu Superbohaterki 2025 roku. Są wśród nich kobiety, które inspirują tym, co mówią, tworzą, śpiewają. Są kobiety, które pomagają innym i nie zostawiają nikogo bez wsparcia. Są podróżniczki, działaczki społeczne, sportowczynie.
O tych bohaterkach mogłyście i mogliście przeczytać w zeszłym roku w „Wysokich Obcasach”. To one mają odwagę, by działać, naprawiać, przeciwstawiać się przemocy i językowi nienawiści.
Wybierzcie swoją Superbohaterkę. Czekamy na wasze głosy. ▲

JULIA KAMIŃSKA

aktorka, aktywistka
– za bezkompromisowość i odwagę w działaniu na rzecz praw kobiet w Polsce

URSZULA DUDZIAK

artystka, światowa ikona jazzu
– za śmiałość twórczą i inspirowanie kobiet, by miały odwagę żyć pełniej, radośniej

ANNA PRZEDPEŁSKA -TRZECIAKOWSKA-

powstanka
– za to, że nigdy nie milczy, gdy dzieje się krzywda

MAGDALENA RÓŻCZKA

aktorka
– za Fundację Ukochani, za walkę na rzecz rodzicielstwa zastępczego w Polsce

GIZELA JAGIELSKA

lekarka
– za to, że idzie jasną ścieżką w niejasnym prawie

eprasa.pl e842ac5a5d

NATALIA SKOCZYLAS I URSZULA CHOWANIEC

aktywistki, autorki książki „Grubancypacja. O grubości bez przepraszania”
– za wyciąganie grubości ze sfery wstydu

ZUZANNA STAŃSKA

historyczka sztuki
– za aplikację Dailyart i jej międzynarodowy sukces

JOANNA KOWALCZUK

podróżniczka
– za zdobycie sześciu z siedmiu najwyższych wulkanów świata

JOANNA TALEWICZ

prezeska Fundacji W Stronę Dialogu
– za to, co robi na rzecz Romek w Polsce

KATARZYNA BUTOWTT

modelka, ikona polskich wybiegów
– za odważną opowieść o rodzinie i przełamanie tabu

KATARZYNA SŁOMIŃSKA

modelka, psycholożka, pacjentka onkologiczna
– za opowieść o tym, że kobiecość nie znika z usuniętymi piersiami

WERONIKA MLICZEWSKA

reżyserka filmu „Dziecko z pyłu”
– za wybitny film dokumentalny, świadectwo wielkiej wrażliwości i nietuzinkowego talentu

KLARA KOWALCZYK

pierwsza Polka w programie kartingowym F1 Academy
– za śmiałość ściganiu się na torze wyścigowym

SABINA OBWIOSŁO-BUDZYŃ

założycielka Fundacji „Zapisane w mózgu”
– za książkę „Niewidzialna”, za upominanie się o osoby z alzheimerem

FOT. RAFAŁ MASŁOW, WOJCIECH OLKUŚNIK/DZIEŃ DOBRY TVN/EAST NEWS, WERONIKA ŁAWNICZAK/NETFLIX, HUBERT KOMERSKI, MACIEJ JEDRZEJEWSKI, KAROLINA JACKOWSKA, KAROL GRYGORUK, DAWID GRZELAK, ŁUKASZ GIZA/AGENCJA WYBORCZA.PL, ARCHIWUM PRYWATNE (4), VIPHOTO/EAST NEWS

eprasa.pl e842ac5a5d

EWA BEM

Byłam jego wszechświatem

Tak strasznie boli, jak trzeba się nieoczekiwanie rozstać z człowiekiem, z którym się było tak długo, 42 lata. Jakby ubyło trzy czwarte mnie i wszystkiego wokół. Bo on jest wszędzie i jest wszystkim, każdym obrazkiem w tym domu, każdym schodkiem.

eprasa.pl e842ac5a5d

eprasa.pl e842ac5a5d

Z **EWĄ BEM** ROZMAWIA **ALINA MROWIŃSKA**
ZDJĘCIE **RAFAŁ LATOSZEK**

W

W przepięknym miejscu pani mieszka. Las wchodzi przez okno niemal do kuchni, w której rozmawiamy.
– Tak, pięknie tu mam, wszyscy się zachwycają i my też ciągle się zachwycaliśmy. Powietrze jest nieprawdopodobne; kiedy wracaliśmy z miasta, czuliśmy taki strzał tlenu.

Do tego absolutna cisza i spokój, które jeszcze do niedawna były wielką zaletą tego domu, a teraz są moim małym przekleństwem. Od prawie roku mieszkam tu sama i cisza nie jest dla mnie szczególnie miła.

Została pani sama w wielkim domu.
– Tego się nie spodziewałam, przenigdy taki scenariusz nie narodził się w mojej głowie, choć mam sporą wyobraźnię. Nie byłam przygotowana, jak sobie radzić z nagłą, wszechogarniającą pustką.

Chyba nie można się na to przygotować.
– Ale można choć trochę jakoś sobie poukładać w głowie, przemyśleć, a to był strzał między oczy. Nie miałam kiedy się zastanowić. I też nie przypuszczałam, że to będzie tak smakowało, jak smakuje. Tak strasznie boli, jak trzeba się nieoczekiwanie rozstać z człowiekiem, z którym się było tak długo, 42 lata. Jakby ubyło trzy czwarte mnie i wszystkiego. Bo on jest wszędzie i jest wszystkim, każdym obrazkiem w tym domu, każdym schodkiem, haustem powietrza.

Niedługo minie rok od śmierci pani męża. Każde miejsce tu to jakieś wspomnienie.
– Całe nasze życie. Najpierw mieszkała z nami nasza pierwsza córka Pamela, która też odeszła. Odeszła, czy ktoś ją powołał?

Jak pani to rozumie, że ktoś ją powołał?
– Mam jakiś wyrzut wobec Boga i trudno mi się od tego uwolnić. Od śmierci Pamelki minęło już osiem lat i mimo że bardzo starałam się zrozumieć, pogodzić, to nic do mnie nie dociera. Nie przekonuje mnie, że taki był Boży plan, którego my tu nie rozumiemy.

I że może kiedyś, w piątym pokoleniu, okaże się, że to dobrze, że tak się stało. Rozmawiałam z wieloma teologami, księżmi, ludźmi głęboko wierzącymi i NIC.

Nikt nie powiedział jednego zdania, które by trochę tłumaczyło i pomogło?
– Nikt. Kiedyś moja przyjaciółka powiedziała, że Pamela już dotarła do końca, a my jeszcze jesteśmy w drodze. Ale odeszła przepiękna dziewczyna, która miała zaledwie 39 lat, zostawiła dwoje malusieńkich dzieci. Była wyjątkowo dobrym człowiekiem.

Jest pani osobą wierzącą?
– Zostałam wychowana w głęboko katolickim domu. Moja babcia Felicja bardzo dbała o edukację religijną moją i moich dwóch braci. Chodziliśmy na religię, wszyscy przystąpiliśmy do komunii i bierzmowania. Ale czy ja wtedy byłam szczerze wierząca?

Na pewno byłam egzaltowaną dziewczynką, która lubiła zatopić się w tajemniczym, nieznanym świecie. Pamiętam salkę katechetyczną, w której mieliśmy lekcje religii, taki szczególny klimat miejsca. A proszę sobie wyobrazić, że tak mi się spodobała pierwsza komunia, że przystąpiłam do niej dwa razy.

Tego samego dnia?
– Tak, przyjęłam i przeszłam do następnego szeregu dzieci. Udało się, siostrzyczka i ksiądz nie zauważyli. Kiedy wyszłam z kościoła, rodzina czekała, żeby zrobić wspólne zdjęcia, a ja przyłączyłam się do procesji i w jakimś transie doszłam do następnej dzielnicy.

Później były różne okresy, ale cotygodniowa niedzielna msza zawsze dawała mi spokój.

Do czasu choroby Pameli.

Choroba Pameli zachwiała wiarą?
– Bardzo. Pamiętam z dzieciństwa, kiedy ojciec zakomunikował, że się z mamą rozwiedzie. Miałam wtedy siedem, może osiem lat. Codziennie jeździłam z babcią do Kościoła św. Anny na Krakowskim Przedmieściu i modliłyśmy się w intencji, żeby rodzice się nie rozeszli.

> Od prawie roku mieszkam sama i cisza nie jest dla mnie *szczególnie miła*

I potem czułam straszny zawód, że tak bardzo prosiłam, błagałam i nic to nie dało.

Podobnie z Pamelką. Też były błagania, modlitwy. Ale tu sprawa była beznadziejna od samego początku. Glejak wielopostaciowy nie daje szans na wyzdrowienie. Przetrzepaliśmy cały świat. Ani jednego takiego przypadku nie było nigdy nigdzie, nikomu się nie udało.

Pamela żyła jeszcze dwa lata od rozpoznania choroby. W ostatnim okresie nawet nie wiem, czy nas słyszała, widziała, ale była tutaj z nami. W każdej chwili mogłam do niej podejść, pogłaskać, pocałować w nóżkę. Byłam z Pamelką do samego końca.

Dziś myślę, dlaczego na moment nie położyłam się obok niej w łóżku, nie przytuliłam całą sobą. Czuję ogromny wyrzut, bardzo mi to chodzi po głowie.

eprasa.pl e842ac5a5d

Dżindżi był dla mnie ogromnym wsparciem. Bardzo Pamelę kochał; mimo że nie był jej biologicznym ojcem, był tatą najlepszym na świecie. Walczył jak lew, odwoził, przywoził na badania, chemię, szukał lekarzy.

Mąż odszedł bardzo niespodziewanie, zaledwie sześć tygodni od diagnozy.

– Byłam przekonana, że to ja odejdę pierwsza. Od dwóch lat ciężko chorowałam, przeszłam operację płuca, tygodniową śpiączkę, w końcu zdiagnozowali mi raka jajnika IV stopnia. Miesiąc w szpitalu na Płockiej, miesiąc w Instytucie Onkologii. Baliśmy się o moje życie.

Dżindżi przysięgał na wszystkie świętości, że jak wrócę do domu, to zaplanujemy jakiś wyjazd tylko we dwoje, przestanie tak dużo pracować i pouzywamy trochę życia.

Ja nie lubię latać, nie wybralibyśmy się na koniec świata ani do jego ukochanej Afryki, pewnie pojechalibyśmy do jakiegoś małego miasteczka we Włoszech, żeby sobie podreptać, coś pięknego zobaczyć. Albo na nasze ukochane Mazury, do Dłużka, gdzie mieliśmy dom przez czterdzieści lat i ani razu nie byliśmy tam sami, a bardzo chcieliśmy. Nie zdążyliśmy. Już nie było czasu, głowy i siły na skubnięcie życia. Zaczęła się walka, bardzo długo na oślep. Nie można było ustalić, co dokładnie się dzieje i co z tym robić, na jakim oddziale Dżindżiego położyć. Przechodził przez różne kliniki, różnych lekarzy w Instytucie Onkologii.

Do końca była nadzieja?

– Czekaliśmy na rozpoczęcie leczenia. W pewnym momencie zaczęłam się orientować, że nie będzie dobrze. I odszedł. Prawie do ostatniego dnia pracował, odpisywał na laptopie na maile. Jeszcze nie jestem gotowa, żeby przeczytać całą dokumentację lekarską.

Ma pani potrzebę dokładnie wiedzieć?

– Bardzo silną. O co tu chodzi? Bardzo chcę wszystko zrozumieć, ale też w jakiś sposób być z Dżindżim blisko. Może to jakiś rodzaj masochizmu, nie wiem. Rozmawiam o tym z moją terapeutką.

Po śmierci Pameli i Ryszarda korzystałam też z pomocy psychiatry, bo tylko lekarz może mi przepisać leki, a bez nich często człowiek nie daje rady. Z psychoterapeutką pracuję od lat, trafiłam na kogoś, kto mi bardzo pomaga. A może najważniejsza jest świadomość, że ona jest... Na początku chodziłam raz w tygodniu, po jakimś czasie pomyślałam, że może to głupie tak cały czas chodzić i mówić. Ale nie, to bardzo rozpakowuje człowieka.

Kiedyś ludzie regularnie się spotykali, mieli swoje rytuały, kobiety siedziały i darły pierze albo haftowały i gadały ze sobą. I te nieszczęścia stawały się jakieś mniejsze. Teraz tego nie ma, a musisz uwolnić emocje, komuś o nich opowiedzieć, i właśnie do tego służy terapeuta. Bardzo zachęcam do wizyt u psychiatrów i terapeutów, oczywiście nie na siłę, tylko jeżeli ktoś czuje taką potrzebę, sam sobie nie radzi.

Zły stan psychiczny ma wpływ na wszystko, bardzo nas dekonstruuje. Ja osobiście jestem wielką entuzjastką psychoterapii.

Bielenda

RevitalDERM

PREJUVENATION

NOWOŚĆ

AKTYWUJ SYNTEZĘ KOLAGENU

Zaufaj odkryciom współczesnej technologii i pozwól swojej skórze poczuć różnicę **od 1 aplikacji!**

PDRN

Zaawansowany składnik o silnym działaniu regenerującym i naprawczym. Zwiększa **elastyczność, jędrność** oraz **wzmacnia barierę hydrolipidową.**

KOLAGEN bio tech

wpływa na pobudzenie syntezy kolagenu w skórze*, **redukuje widoczność zmarszczek**, poprawia kondycję i wygląd skóry.

SERUM KOLAGENOWE
nawilżająco-odbudowujące

Po 4 tygodniach stosowania:**

- przywrócenie naturalnego blasku
- wzrost poziomu nawilżenia
- regeneracja i poprawa funkcji barierowych

biomikroigłowe
SERUM KOLAGENOWE
stymulująco-ujędrniające

Po 4 tygodniach stosowania:**

- ujędrnienie
- redukcja widoczności zmarszczek
- intensywne wygładzenie
- poprawa struktury naskórka

BIOMIKROIGŁY (200 000 spicule infusion)

Ułatwiają przenikanie pozostałych składników aktywnych, dzięki czemu działają one efektywniej.

KREM KOLAGENOWY
nawilżająco-stymulujący

Po 4 tygodniach stosowania:**

- zmniejszenie widoczność zmarszczek
- poprawa elastyczności
- ujędrnienie i wygładzenie

Tylko tu!
ROSSMANN Moja Drogeria
i na bielenda.com

Odkryj wszystkie produkty

*dotyczy badania in vitro składnika aktywnego;** skuteczność działania produktów potwierdzona badaniami aplikacyjnymi oraz aparaturowymi po 4 tygodniach codziennego stosowania.

OGŁOSZENIE

eprasa.pl e842ac5a5d

Ewa Bem z mężem Ryszardem, 2000 r.

FOT. MICHAŁ HETMANEK/REPORTER

Co to pani daje?
Właśnie to uwolnienie emocji. Dobry terapeuta nie daje wskazówek, tylko spłaszcza silne emocje. Uczy, jak walczyć ze strasznymi myślami, odsuwać je. Po dobrej terapii człowiek wychodzi jakby lżejszy. Bardzo, bardzo powoli mi to idzie.

Rozmawialiście z Ryszardem o odchodzeniu?
– Nie było takiego momentu, cały czas jakaś szpitalna krzątanina, nigdy nie byłam z nim sama. Strasznie żałuję, że nie odbyliśmy rozmowy w takim amerykańskim stylu, otwartej do końca. Dopiero kiedy głaskałam Dżindżiego po głowie, tak ciężko mu było już oddychać, powiedziałam: „Odpocznij już sobie, mój Siwalku".

Skąd ten „Dżindżi"?
– Kiedy poznałam Ryszarda na początku lat 80., byłam w trakcie rozwodu i miałam 2,5-letnią Pamelkę. Już coś próbowała mówić, a Dżindżi niedawno wrócił z siedmiomiesięcznej podróży po Afryce i miał na przegubach dłoni skórzane bransoletki, tzw. grigri.

Pamela ciągle pytała: „Cio to?", a Ryszard z wielką cierpliwością po raz kolejny odpowiadał, że „to jest grigri". Któregoś dnia pomyślałam: Jak ona będzie do niego mówić? Przecież nie „wujku", na to nie ma mojej zgody; nie „tato", bo o tym w odpowiednim momencie sama Pamela zdecyduje; nie „Ryszard", trochę za poważnie. I wymyśliłam „Dżindżi", a to jest przepiękna miłosna bossa nova Carlosa Jobima. Tak do Ryszarda przylgnęło, że nawet w moim środowisku muzycznym wszyscy mówili do niego Dżindżi.

Zawsze ze mną jeździł na wszystkie moje koncerty. Bardzo to lubił, miał naturę globtrotera i na pewno brakowało mu dalekich podróży. Uwielbiał robić zdjęcia; gdziekolwiek przyjeżdżaliśmy, najpierw szedł z aparatem w miasto. Na każdy nasz wyjazd starannie przygotowywał listę utworów do słuchania. Mam zachowane wszystkie jego playlisty.

Znałam pani męża, z jego firmą realizowałam serial dokumentalny. I kiedy o nim myślę, widzę spokój i delikatny uśmiech. Jaki był?
– Bardzo opanowany, spokojny, nawet gdy było trudno. Introwertyk, który wszystko chłonął jak gąbka i potem trawił. Praca w telewizji jest niełatwa, trzeba mieć nerwy ze stali.

Był wspaniałym mężem, ojcem, bardzo odpowiedzialnym za naszą rodzinę.

Nigdy się nie pokłóciliśmy, w rzeczach ważnych byliśmy jednomyślni, nie było między nami sporów. Oboje nienawidziliśmy cichych dni. W codziennych drobiazgach Dżindżi miał na mnie metodę – wpuszczał lewym uchem, wypusz-

eprasa.pl e842ac5a5d

EWA BEM

- wokalistka jazzowa, nazywana „pierwszą damą polskiego jazzu", autorka tekstów piosenek. Karierę rozpoczęła w 1969 roku w Grupie Bluesowej Stodoła. Rok później została wokalistką zespołu Bemibek, w 1974 roku rozpoczęła karierę solową. Do historii piosenki weszły jej wykonania utworów: „Żyj kolorowo", „Moje serce to jest muzyk", „Wyszłam za mąż, zaraz wracam". Jest absolwentką Akademii Muzycznej w Katowicach w klasie wokalistyki jazzowej. Jej mężem był Ryszard Sibilski, producent telewizyjny, z którym ma córkę Gabrysię. Córka Pamela, z pierwszego małżeństwa, zmarła w 2017 roku. Ma dwoje wnuków, 10-letnią Basię i 11-letniego Tomka

czał prawym i doskonale wiedział, co jest wynikiem nagłego zdenerwowania, a co rzeczą ważną.

Pamiętam, jak po naszym poznaniu zwierzyłam się przyjaciółce: „Zakochałam się, spotkałam cudnego chłopaka, który ma tak optymistyczne, piękne, niebieskie oczy".

Był bardzo przystojnym mężczyzną, do ostatniej chwili. Zdawał sobie sprawę ze swojej fizjonomii. Nie raz mu mówiłam: „Przestań się gapić w lustro, bo diabeł ci się pokaże".

Czasem się zdarzało, że ja już gdzieś byłam, Ryszard dojeżdżał po jakimś czasie i kiedy wchodził, moja pierwsza myśl: „Ale super facio", a po chwili widziałam, że to przecież mój mąż.

Albo w święta czy w sylwestra, jak wychodził od siebie z garderoby w garniturze i muszce, to mdlejcie narody. Nie okazywałam zazdrości, raz tylko powiedziałam: „Jak się o czymś dowiem, to będzie bitwa pod Grunwaldem".

To była miłość od pierwszego wejrzenia?

– Piorun strzelił, to było wielkie miłosne bum, cudowna chwila, jak nie z tego świata. Spotkaliśmy się podczas jakiegoś koncertu w Sali Kongresowej. I już wszystko było jasne.

A potem czternaście lat żyliśmy, jak to się kiedyś mówiło, „na kartę rowerową".

Nie potrzebowaliśmy żadnego potwierdzenia, mimo że byłam religijna, oboje chodziliśmy do kościoła. Myślałam: Jesteśmy dobrymi ludźmi, kochamy się, wychowujemy córki, po co nam jakieś potwierdzenie? Ale po dłuższym czasie zaczęło mi przeszkadzać, że nie mogę przystępować do komunii, bo żyłam w związku niesakramentalnym.

Trafiliśmy na niezwykłego duszpasterza – księdza Mirosława Paciuszkiewicza, który był proboszczem w naszej ówczesnej parafii. Po wielu rozmowach zaczął nas przekonywać, żebyśmy wzięli ślub kościelny. Robił to w sposób cudowny, łagodny, nie zastraszał, że pójdziemy do piekła. No i wyszłam za mąż. Do ślubu poprowadził mnie najdroższy wujaszek Rajmund, którego od lat nazywałam tatą. Rok później urodziła się Gabrysia.

Ile miała pani lat?

– 45 i nie było to in vitro. W ciąży musiałam leżeć siedem miesięcy; nie narzekałam, bo bardzo chciałam, żeby ten mój wspaniały mężczyzna miał swoje biologiczne dziecko.

Gabrysia urodziła się przez cesarskie cięcie. Kiedy wywieźli mnie z sali, Dżindżi już czekał na korytarzu i usłyszałam: „Najdroższa, dałaś światu królewnę".

Oglądałam wczoraj w internecie państwa wspólny wywiad sprzed trzech lat, po 40 latach związku. Wyglądaliście na bardzo szczęśliwych. Mąż powiedział: „To były piękne lata; jeżeli można by powtórzyć, powtórzylibyśmy".

– Na pewno. Kiedy czasem brakuje mi przytulenia, całuska, przypominam sobie, jak Dżindżi, który nie był specjalnie wylewny, czasem podchodził do mnie ni stąd, ni zowąd, unosił moją głowę, a był sporo wyższy ode mnie, patrzył mi w oczy i mówił: „Jesteś całym moim wszechświatem".

Kiedy po tygodniowej śpiączce wybudziłam się w szpitalu, pani doktor zapytała: „O czym pani teraz marzy?", a ja pomyślałam tylko o jednym, że chciałabym z moim Siwalkiem pojechać na spacer do Parku Dreszera.

OGŁOSZENIE

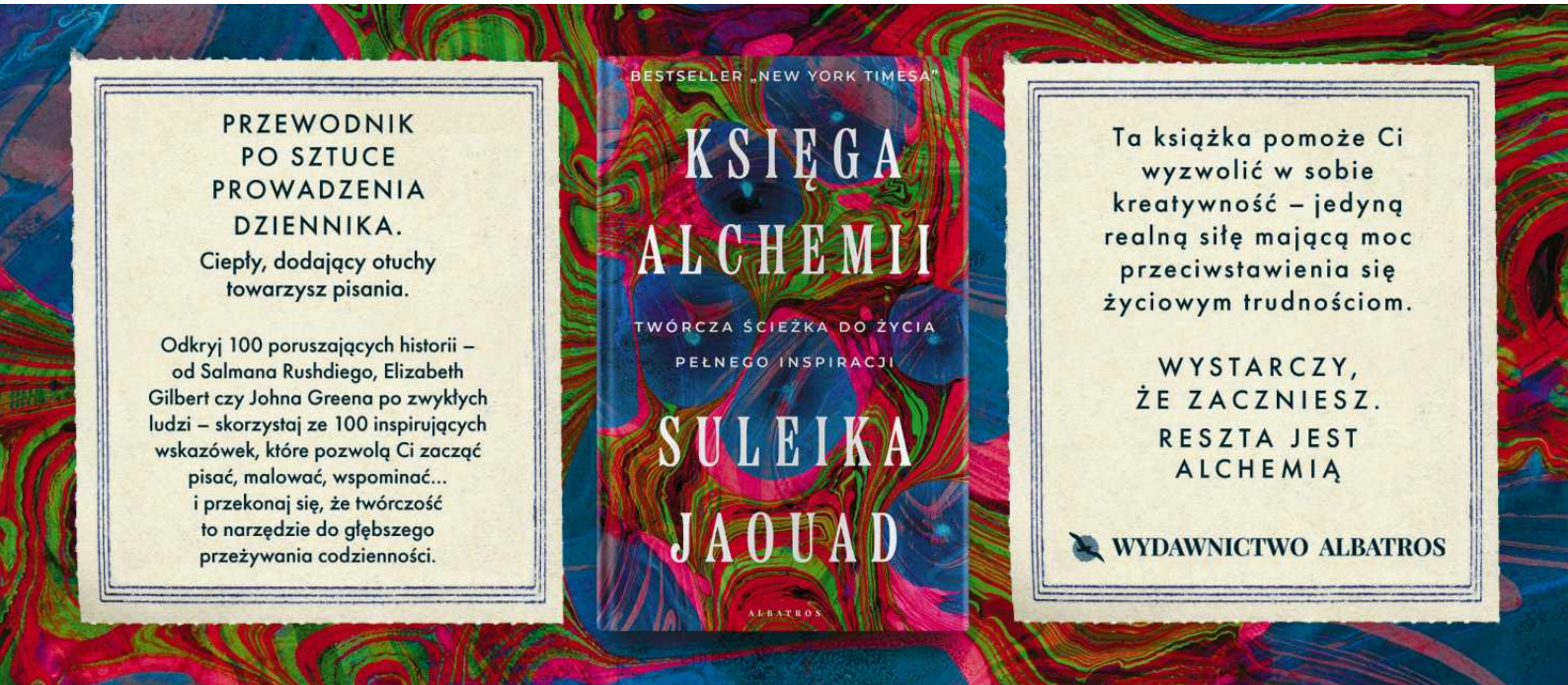

Nie znoszę powiedzenia „czas leczy rany", kiedyś mądra pani psycholog mi powiedziała, że „na najcięższe rany możemy się nauczyć robić mądre opatrunki", ale one zawsze z nami będą.
– Też nie znoszę powiedzenia, że czas leczy rany. Ja w tej strasznej czeluści mam jedno koło ratunkowe – muzykę. To, że koncertuję, jest wielkim darem. Bez tego oszalałabym.

Najgorszy czas zaczyna się po pogrzebie, ludzie przestają dzwonić, jedni uważają, że już po wszystkim, inni boją się dotknąć jakiejś czułej struny. A żałoba dopiero się zaczyna, coraz mocniej do nas dociera, że stało się coś najgorszego i nieodwracalnego.

Tydzień po pogrzebie Ryszarda byłam już na scenie, miałam koncert w Kuźni Wilanowskiej. Bałam się tylko, czy wszystko wyśpiewam, czy dam radę, bo niektóre utwory dla mnie samej są bardzo wzruszające. Ale dałam radę. I tak zaczęłam wracać.

Pojechałam na Festiwal do Opola; kiedy wyszłam na scenę, cały amfiteatr wstał, żeby mnie powitać. Później taka reakcja publiczności powtórzyła się jeszcze wiele razy. A że jestem wobec siebie krytyczna, zaczęłam myśleć: Czy ja tu nie odcinam jakiegoś kuponu?

Czy tak pięknie nie jest dlatego, że ci ludzie bardzo mi współczują?

Na szczęście szybko przestałam się zadręczać. Muzyka, kontakt z ludźmi dają mi siłę.

Nie jestem tylko odporna na podpisywanie płyt, zdjęć, bo po koncercie jestem tak zmęczona, że muszę odsapnąć w garderobie.

Małe dziecko musi mieć butelkę mleka, a ja muszę mieć w ciągu dnia jednego *batonika i kawę*

Co jeszcze pani pomaga?
– Niestety czekolada i wypicie filiżanki kawy z samego rana. Tak jak małe dziecko musi mieć butelkę mleka, tak ja muszę mieć w ciągu dnia jednego batonika i kawę.

Nie wolno mi tego robić, powinnam się odchudzić, ale nie mam już na to siły i ochoty. Tyle już tego odchudzania zrobiłam w życiu, triumfalnie po 30, 40 kilo mniej i co z tego?

Nie palę papierosów, zero alkoholu, nie wychodzę na balangi, śmieję się, że nie oglądam niecnych filmów. Dlaczego mam rezygnować z drobnych przyjemności?

Jest w pani bunt, złość, że to za dużo, że to po ludzku niesprawiedliwe, że dwie najbliższe osoby odeszły?
– Nigdy nie było we mnie buntu; jest kompletne osłupienie, jak można taki scenariusz komuś napisać?
Sama muszę do tego dojść. Czasem myślę, że zabrano Ryszarda, żebym ja mogła przeżyć.

Pani choroba odeszła?
– Od dwóch lat jestem w remisji. Cały czas biorę doustną chemię, jestem pod opieką cudownej pani doktor Magdaleny Kowalskiej. Teraz jest spokój, ale wiem, że od tej choroby nigdy się nie uwolnię, prędzej czy później wróci.

Boi się pani tego?
– Boję się ze względu na Gabrysię. Przenigdy nie chciałabym dostarczyć jej kolejnego bólu, stać się ciężarem. Strasznie przeżyła śmierć Pameli, dziewczyny bardzo się kochały, to były siostry jak dwie rękawiczki. Potem straszny cios, kiedy zachorował i odszedł Ryszard.

I nie chciałabym też walczyć za wszelką cenę. Leczenie nie może być gorsze od choroby.

Strasznie denerwuje mnie powiedzenie „przegrał walkę z rakiem". Głupie, bezmyślne; w jakimś sensie ten człowiek wygrał, bo żył do tego momentu z chorobą.

W lutym kończy pani 75 lat. Jak pani patrzy w przyszłość?
– Czuję taki głęboki żal, że nie ma nic przede mną.

Życie przed panią.
– Ale to życie już nic ciekawego mi nie przyniesie.

Nie może pani tego wiedzieć.
– Raczej wiem, ale nie mam o to pretensji. Uważam, że dosyć się najadłam życia i że per saldo miałam dobre życie. Nic bym w nim nie zmieniła, niczego nie cofnęła. Ale póki był ze mną Ryszard, miałam jakieś plany, że gdzieś wyjedziemy, razem coś zrobimy, a teraz...

Zaraz za domem mam las i dziesiątki ścieżek spacerowych. Lubiliśmy z Ryszardem chodzić razem, nie wyciągał mnie z domu, że „chodź, musisz się ruszać", tylko każde wyjście to była nasza randka. A teraz boję się wyjść sama, przez chemię mam neuropatię i problemy z chodzeniem.

Bardzo obchodzą mnie moje wnuki Basia i Tomek, ich rozwój, przyszłość, moja córka Gabrysia, która w animacji komputerowej idzie jak burza, współpracuje prawie z całym światem, dostaje nagrody, wyróżnienia. Studiowała w Londynie i Nowym Jorku, teraz jest w Warszawie. Bardzo jestem z niej dumna. Ale mnie osobiście niewiele już czeka. Powinna mnie pani zrozumieć.

Rozumiem, myślę, że byliście z mężem tak mocno zespoleni, że nie było pani oddzielnie.
– ... Tak, nie było nas oddzielnie, byliśmy tak ze sobą zespawani. I to może jest trochę zgubne, kiedy jedno odchodzi. Wie pani, ja z gruntu jestem osobą pogodną, mam w sobie, mimo wszystko, dużo światła. I jak już doszłyśmy do moich okrągłych urodzin, to dobrze by było, żeby w moim życiu wydarzyło się jeszcze coś miłego. Nie chodzi o jakieś wielkie przyjemności, ale chociaż żeby fajnie mi było obudzić się rano. ▲

eprasa.pl e842ac5a5d

wyborcza KSIĄŻKI
MAGAZYN DO CZYTANIA

Największe pismo literackie w Polsce.
Dobrze się czyta.

Zamów z bezpłatną dostawą do domu i paczkomatu

prenumerata24.pl

eprasa.pl e842ac3a5d

A teraz nagraj *self-tape*

Cieszyłam się, bo przeszłam do kolejnego etapu castingu. Nagle okazało się, że moim zadaniem jest ściągnięcie bluzki i zagranie erotycznej sceny.

TEKST **SANDRA ZAKRZEWSKA**
RYSUNEK **MAGDALENA PANKIEWICZ**

Patrz na mnie.
*Patrz, ku*wa, na mnie.*
Zdradziłam cię.
*Z pie***lonym politykiem. W Warszawie.*
***

MAM DRUGI ETAP

„Poszukujemy aktorki do głównej roli w pełnometrażowym dramacie psychologicznym" – ogłosiła Malwina Stępak na jednej z facebookowych grup. Film „Azyl" ma opowiadać historię mężatki, która po dramatycznym odejściu z domu trafia na ukrywającego się przed mediami polityka. Na casting zgłosiła się Natalia Stachyra.

Stachyra w 2022 roku ukończyła Akademię Teatralną w Warszawie. Brała udział w kilku produkcjach, pracuje w dubbingu i jako lektorka. Występuje też na deskach stołecznych teatrów. Na co dzień współpracuje z profesjonalną agencją aktorską. Wciąż szuka jednak kolejnych możliwości pracy. Ogłoszenie zobaczyła na facebokowej grupie „Praca w filmie". To popularny sposób na szukanie współpracowników do mniejszych produkcji – filmów studenckich czy mikrobudżetowych. Grup jest wiele. Najpopularniejsza „PRACA w produkcji filmowej – Statyści, Aktorzy, Epizodyści, Castingi, TFP" skupia ponad 75 tysięcy osób.

– Na wstępie wymagano jedynie podstawowych informacji, ale i tak zdziwił mnie mail, który nie wydawał mi się połączony w żaden sposób z tytułem czy tematem filmu, a zazwyczaj tak bywa. Wysłałam to mojej agentce, która powiedziała, że na tym etapie nie udostępniam żadnych wrażliwych danych i niczego poza tym, co i tak jest dostępne na stronie agencji. Wysłałam zatem maila ze zgłoszeniem – opowiada Stachyra.

Po kilkunastu dniach od zgłoszenia aktorka dowiedziała się od kierowniczki produkcji Marty Bartosik, że została zakwalifikowana do drugiego etapu castingu. – Pytania, na które miałyśmy odpowiedzieć w formie self-tape, miały chyba dać złudzenie troski o higienę pracy i komfort psychiczny. Jak się okazuje, skutecznie zmyliły niejedną dziewczynę. Później dwa wulgarne zdania do wypowiedzenia, ale takie teksty się zdarzają, więc też nie budziło to większych podejrzeń. Najdziwniejsze zadanie polegało na zapaleniu papierosa „w prowokacyjny sposób". Pomyślałam, że jest żenujące, ale może jakieś kluczowe dla postaci – nagram to raz, nie będę robiła dubla i zapomnę. Wysłałam – mówi.

> Aktorki miały przygotować stylizację ze szpilkami, *pończochami, krótką spódnicą*

***
Anna gwałtownie zdziera z siebie bluzkę i rzuca ją siłą na podłogę. Zostaje w samym staniku, patrzy mężowi prosto w oczy i każe mu na siebie patrzeć.
***

BEZ DOSŁOWNOŚCI

Po kilku tygodniach Natalia dostaje wiadomość, że zakwalifikowała się do kolejnego etapu castingu i ma nagrać self-tape z inną sceną. Ta jest szalenie wulgarna. Aktorka ma też w trakcie ściągnąć bluzkę i zostać w samym staniku. – Po przeczytaniu zadań nie chciałam brać w tym już udziału. Wydawało mi się to skrajnie nie na miejscu, że na tym etapie castingu jest wymagana jakakolwiek forma nagości i tak wulgarne, wyzywające teksty, które mogłyby być wyrwane z jakiejś erotycznej opowieści – mówi Stachyra i dodaje: – Pomyślałam, że to oszustwo. Napisałam do mojej agentki, która również zaniepokoiła się i obiecała to sprawdzić. Okazało się, że wspomniany w mailach reżyser nie ma z tym filmem nic wspólnego. Nie wysłałam tego nagrania, bo byłam czujna, ale wiem, że inne dziewczyny to zrobiły, bo odpisały na moją relację na Instagramie w tej sprawie. Jedna z nich wysłała mi wiadomości głosowe, w których opisuje, że została zaproszona na etap na żywo, którego wytyczne mocno zaczęły ją zastanawiać i zapytała, czy dalej bierze udział w projekcie „Azyl", bo chyba coś niejasno zrozumiała. Odpowiedź nie była już taka przyjemna.

Kolejny etap castingu miał odbyć się w warszawskim Teatrze Baza. Zaproszenie było oburzające. Aktorki miały przygotować „stylizację z wysokimi szpilkami, pończochami z koronkowym wykończeniem, krótką spódniczką, prześwitującą bluzką i delikatnym stanikiem pod spodem". „Zależy nam na połączeniu elegancji z wyraźnie odczuwalnym erotycznym napięciem – bez dosłowności i wulgaryzmu" – napisano.

Okazuje się, że podobnych ogłoszeń było więcej. Na początku sierpnia 2024 roku do sieci trafiło ogłoszenie dotyczące filmu o roboczym tytule „Terapia to za mało". Kierownikiem produkcji miała być wtedy Ewa Jarosz, która w stopce miała ten sam numer telefonu co wspomniana wcześniej Marta Bartosik, rzekoma kierowniczka produkcji filmu „Azyl". W czerwcu 2025 ogłoszono casting do filmu „Nie pytaj". Tutaj kontakt miał się odbywać z asystentką kierownika produkcji – Aleksandrą Kurek, która posługiwała się dokładnie tym samym numerem telefonu.

Pytam w Związku Zawodowym Aktorów Polskich, czy napłynęły zgłoszenia dotyczące fałszywego castingu do filmu „Azyl". Odpowiedź jest twierdząca. – Dostaliśmy jedno zgłoszenie od naszej członkini. Dość często otrzymujemy tego typu wiadomości, fałszywe castingi to niestety zjawisko, które

eprasa.pl e842ac5a5d

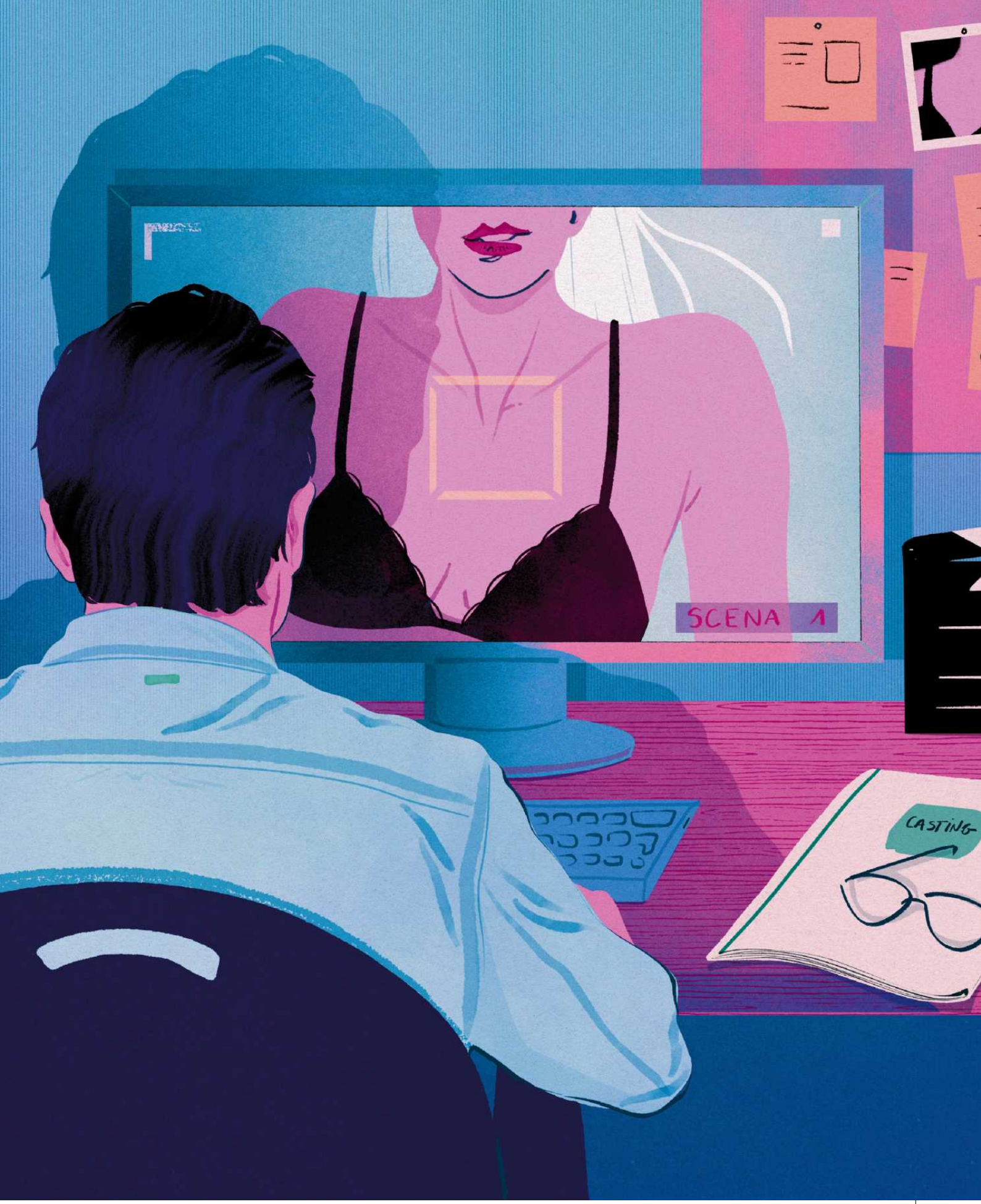

eprasa.pl e842ac5a5d

pojawia się bardzo często – zaznacza Maria Karaś-Tęcza z ZZAP i podaje przykład innej wiadomości. Brzmi znajomo. „Casting, który został mi zaproponowany, ma zabarwienie silnie seksualne. Sprawę złożyłam na policję, ale ze względu na to, że nie doszło do przestępstwa, nic nie można z tym zrobić, jedynie nagłaśniać sprawę, aby dotarła do każdego. Ta osoba proponuje w mailu drugi etap castingu, więc jest to ważne, aby jak najwięcej osób mogło się o niej dowiedzieć, by nie doszło do większej tragedii" – pisze aktorka.

Według radczyni prawnej Agaty Bzdyń w tej sprawie organy mogłyby zastosować art. 191a §1 Kodeksu karnego, tj. „kto utrwala wizerunek nagiej osoby lub osoby w trakcie czynności seksualnej, używając w tym celu wobec niej przemocy, groźby bezprawnej lub podstępu, albo rozpowszechnia wizerunek nagiej osoby lub osoby w trakcie czynności seksualnej bez jej zgody, podlega karze pozbawienia wolności od trzech miesięcy do lat pięciu". – W tego typu sprawach najważniejszy jest sposób działania sprawcy, czyli czy nagrań dokonywał on, czy panie same się nagrały, bo w tym przypadku trudno mówić o przestępstwie. Natomiast w sytuacji, gdy sprawca nagrywałby pokrzywdzone pod fałszywym pretekstem organizowania castingu do filmu, który miał nigdy nie powstać, czyli uzyskiwał je podstępem, to mówimy o przestępstwie z art. 191a kk. Ważne jest też to, czy sprawca gdziekolwiek upublicznił te nagrania, niezależnie już od tego, czy zostały nagrane przez same pokrzywdzone, czy też bezpośrednio przez sprawcę. Upublicznienie ich bez zgody pokrzywdzonych będzie wtedy również przestępstwem – zaznacza Bzdyń i dodaje, że w przypadku niechęci policji do przyjęcia zgłoszenia sprawę należy zgłosić pisemnie w prokuraturze.

Aktorka, która zgłosiła się do ZZAP, sprawdziła dane osób, z którymi korespondowała, i nigdzie nie figurują takie nazwiska. „Podają się za studentki Warszawskiej Szkoły Filmowej, a gdy zadzwoniłam do dziekanatu, okazało się, że w tej szkole nie uczą się osoby o takich nazwiskach" – dodaje.

Sama postanawiam to sprawdzić i piszę na wszystkie adresy mailowe, które udało mi się zebrać ze wspomnianych ogłoszeń castingowych. Nie dostaję odpowiedzi. Piszę też maila i wiadomość facebookową do niejakiej Malwiny Stępak, która zamieściła ogłoszenie o filmie „Azyl". Tu też odpowiada mi cisza. Po czasie konto Stępak zostaje usunięte z Facebooka.

***

Ostatni raz patrz na mnie. Na moje ciało. Na mój dekolt.

Na piersi. Na ślady, które na mnie zostawił.

***

NAIWNOŚĆ

Dla uwiarygodnienia materiały związane z filmem „Azyl" były opatrzone logo Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych. Legendarna instytucja odcina się od produkcji. „Dostaliśmy niepokojące informacje, na temat incydentów podszywania się pod Wytwórnię Filmów Dokumentalnych i Fabularnych. WFDiF nie jest w żadnym stopniu zaangażowana w produkcję filmu »Azyl«. Jeżeli natknęli się Państwo na tego typu przypadki, jak na przykład podejrzane użycie logotypu, fałszywe konto, imitujące stronę WFDiF lub inną podejrzaną działalność, prosimy o ostrożność. Dziękujemy za Państwa czujność i współpracę w tym zakresie" – napisano w oficjalnym oświadczeniu.

> Self-tape, czyli nagranie sceny przygotowanej samodzielnie, *coraz częściej zastępuje castingi*

Nie tylko film „Azyl", ale też chociażby „Terapia to za mało" sygnowane były również nazwiskiem znanego polskiego reżysera. Dzwonię, żeby zapytać, czy ma coś wspólnego z tymi filmami. Stanowczo zaprzecza. – Pierwszy raz dowiedziałem się o tej sytuacji kilka miesięcy temu. Dostałem informację z Gildii Reżyserów o tym, że jedna z młodych aktorek przygotowała dość wyrazisty self-tape do filmu, który rzekomo miałem robić – opowiada.

I kontynuuje: – Podano mi jej nazwisko i skontaktowałem się z tą dziewczyną. To była dla mnie rzeczywiście szokująca rozmowa, dlatego że okazało się, iż młoda osoba, naiwna, pełna wiary w swoją przyszłość i możliwości zawodowe, przygotowała bardzo wyrazistą i emocjonalną taśmę. Do tego pojawiały się tam elementy negliżu. Byłem zszokowany, że wykazała się taką naiwnością. Powiedziałem jej, żeby ostrzegła wszystkie swoje koleżanki, że jeśli taka sytuacja będzie jeszcze kiedykolwiek miała miejsce, to znaczy, że to prowokacja, bo ja jestem znany z tego, że nie robię w ogóle castingów. Swoje projekty obsadzam inaczej. Po drugie, nawet jeśli zrobiłbym casting, to fizycznie byłbym na miejscu, a nie prosił o nagrania. To jest nieprofesjonalne i nie mieści się w obszarze mojego warsztatu.

Dopytuję, czy myśli o podjęciu kroków prawnych przeciwko osobom, które się pod niego podszywały. – Nie, absolutnie nie. W dzisiejszej rzeczywistości można prowokować różne sytuacje w internecie, a jeśli bazujemy na entuzjazmie i naiwności młodych ludzi, to zawsze będzie to w jakiś sposób skuteczne, bo naiwnych nie brakuje. Natomiast ja nie chcę być w żadnym razie kojarzony z tego typu sytuacją, bo nie potrzebuję takiej reklamy – zaznacza. To też powód, dla którego reżyser prosi mnie, żeby nie używać w tekście jego nazwiska. Zgadzam się.

Reżyser kilkukrotnie zwraca mi uwagę, że taki rodzaj castingu jest niedopuszczalny. – To tak nie działa, bo to jest wyższa szkoła jazdy, żeby aktorkę doprowadzić do stanu rozebrania i stworzyć z tego efekt artystyczny. Do tego jest potrzebna naprawdę głęboka relacja, zaangażowanie w projekt, świadomość, w czym się bierze udział, znajomość scenariusza i pełne utożsamienie się z graną postacią. My nie robimy filmów porno, gdzie są tylko i wyłącznie takie sceny. Nas interesuje prawda postaci, psychologia, relacje. I w ramach tego postać czasami ma do zagrania coś mocnego. Jednak nigdy nie dzieje się to na żadnym castingu albo zdjęciach próbnych – mówi.

W gronie reżyserów obok jego nazwiska pojawiła się też kobieta – Maja Turkot. Próbuję znaleźć informację na temat takiej reżyserki, ale jej nie znajduję. Dopytuję reżysera, czy zna kogoś o takim imieniu i nazwisku. – Nie mam pojęcia o istnieniu takiej osoby. Znam jedynie aktorkę o tym nazwisku, która zagrała w ostatnim filmie Wojtka Smarzowskiego. Nie wiem, kim jest Maja Turkot – stwierdza.

***

Nie zdjął mi majtek – rozdarł je!

Zacisnął mi dłoń na gardle, aż mi się ciemno zrobiło.

***

TO NIEDOPUSZCZALNE

Ewa Konstancja Bułhak jest aktorką, reżyserką i pedagożką, a od 2024 roku też

eprasa.pl e842ac5a5d

dziekanką na kierunku aktorstwo w Akademii Teatralnej w Warszawie. Pokazuję jej przykładowe sceny z castingu do filmów „Azyl" i „Terapia to za mało". – Tu od razu widać, że to jest lewizna. Jeżeli ktoś w dzisiejszych czasach prosi cię o rozbierane sceny w ramach self-tape, to od razu powinna zapalić się w głowie czerwona lampka. W przypadku naszej szkoły dużo castingów jest przez nas weryfikowanych, a każdy student, jeśli ma wątpliwości, może przyjść i zapytać. Natomiast to są dorośli ludzie i ja nie mogę komuś mówić, czy warto iść na taki casting, czy nie. Natomiast możemy w ramach przedmiotów ich przestrzegać – mówi Bułhak i dodaje, że aktorzy z warszawskiej Akademii Teatralnej podczas edukacji w szkole mają obowiązkowy, specjalny przedmiot koordynacja scen intymnych i warsztaty poświęcone granicom, których twórcy powinni przestrzegać. Dzięki czemu powinni wiedzieć, że tego typu sceny nie mogą być grane na pierwszym etapie castingu.

Marcin Dorociński od kilku lat robi spektakularną zagraniczną karierę. W 2026 roku zobaczymy go w hollywoodzkim filmie „Mayday", w którym zagrał u boku Ryana Reynoldsa i nagrodzonego Oscarem Kennetha Branagha. W 2022 roku Dorociński wyznał, że zanim odniósł pierwszy zagraniczny sukces, nagrał ponad 1200 self-tape'ów. I przegrał wszystkie castingi.

Self-tape, czyli nagranie sceny przygotowanej samodzielnie w warunkach domowych i przesyłane produkcji, coraz częściej zastępuje pierwsze etapy castingu – i to już nie tylko w projektach zagranicznych. Pandemia znacząco przyspieszyła tę zmianę. To bardzo powszechna i ekonomiczna forma castingu: produkcja nie musi wynajmować studia, a młodzi reżyserzy, którzy często nie znają aktorów, mogą dzięki niej zapoznać się z szerokim wachlarzem nazwisk. Powstają też platformy, na których aktorzy mogą bezpiecznie zamieszczać swoje self-tape'y, mając pewność, że reżyser obsady lub producent zostali wcześniej zweryfikowani. – Zawsze rekomenduję korzystanie z takich rozwiązań, bo zapewniają podstawowy poziom bezpieczeństwa – mówi reżyserka castingu Nadia Lebik.

Lebik pracowała m.in. przy „Infamii", „Klangorze", „Minucie ciszy", „Edukacji XD" czy „Ministrantach". Jej również pokazuję fragmenty fałszywych castingów. – Nie ma możliwości, aby profesjonalny casting prowadzony przez zawodowego reżysera obsady do profesjonalnej produkcji miał jakiekolwiek zabarwienie erotyczne – podkreśla. – Całe środowisko reżyserów obsady bardzo dba o to, by zakres materiału wysyłanego w ramach wskazówek do nagrania self-tape'a był precyzyjnie opracowany. Nigdy nie pojawią się tam elementy związane z nagością. To absolutnie wykluczone. Wszystkie artefakty, które pojawiły się w przypadku tego fałszywego castingu – szpilki, pończochy, szminka czy inne rekwizyty – są niedopuszczalne. Nasza praca jest oparta na wyobraźni i tego samego oczekujemy od reżyserów oraz producentów. Proszenie aktora o konkretny kostium do nagrania jest po prostu nadużyciem. Jestem też oburzona językiem, który pojawia się w tej scenie – dodaje.

Reżyserka obsady zwraca uwagę na inne oszustwa castingowe, z którymi spotyka się na co dzień. – Niestety jest ich zatrzęsienie. Ludzie do nas piszą, my weryfikujemy, sprawdzamy, wymieniamy się informacjami i prosimy aktorów, by sprawdzali agentów oraz agencje. Bez przerwy dostajemy sygnały o podejrzanych ogłoszeniach. To dzieje się nieustannie i stało się sposobem na wyłudzanie danych oraz materiałów filmowych – mówi, apelując do aktorów i aktorek o rozwagę i odpowiedzialność.

Aby mieć pewność, że mamy do czynienia z profesjonalnym castingiem, powinniśmy w pierwszej kolejności otrzymać dokument dotyczący poufności projektu. Jeśli go nie ma – bo zdarzają się produkcje, które nie wymagają takiego zabezpieczenia – należy zwrócić uwagę na to, kto film produkuje i kto go reżyseruje. To elementy absolutnie kluczowe. Muszę jednak zaznaczyć, że moi koledzy – ja na szczęście nie miałam takiej sytuacji – padli ofiarą ogłoszeń, w których ktoś się pod nich podszywał. W dzisiejszych czasach nie da się mieć pełnej kontroli nad wszystkim. Możemy jednak próbować weryfikować informacje i wykazywać choć odrobinę zainteresowania tym, czym właściwie jest zaproszenie i czego dotyczy. To kwestia bezpieczeństwa – podsumowuje Lebik. ▲

***** Fragmenty pochodzą ze sceny castingowej do filmu „Azyl", którą aktorki miały nagrać i wysłać w postaci self-tape.**

OGŁOSZENIE

wysokieobcasy
w Aplikacji Wyborczej

Związki, macierzyństwo, kariera, podróże, seks, moda, kultura, uroda.
Bądź na bieżąco ze sprawami ważnymi dla kobiet

ZESKANUJ QR KOD
I POBIERZ

APLIKACJA
WYBORCZEJ

eprasa.pl e842ac5a5d

ASTRONOM KOPERNIK, CZYLI ROZMOWA Z BOGIEM 1873 JAN MATEJKO; OBRAZ ZNAJDUJE SIĘ W ZBIORACH UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO, MATERIAŁY PRASOWE

KSIĄŻKA

Anna, którą pokochał Kopernik

Myśl, by napisać o uczuciu, jakie połączyło Mikołaja Kopernika i Annę Schilling, pojawiła się w głowie Mai Wolny już ponad pięć lat temu. Najpierw chciała pisać głównie o Koperniku, zafascynowana odwagą naukową astronoma, jego śmiałością i determinacją. Potem odkryła trop miłosny – ponoć związany był uczuciowo ze swoją gospodynią; potwierdzały to listy od Jana Dantyszka, upominające go, by odprawił gosposię z powrotem do Gdańska, by uniknąć skandalu obyczajowego i by nie zdeprawowała innych uczonych we Fromborku. Wolny zaczęła historię pisać i napisałaby ją już dawno, gdyby 24 lutego 2022 Rosja nie rozpoczęła inwazji w Ukrainie. Ta wojna sprawiła, że pisarka nie była w stanie oddać się historii miłosnej z renesansu – pojechała do Rosji, by rozmawiać z ludźmi o tym, co sądzą o wojnie, o Putinie (na granicy białoruskiej została zatrzymana i otrzymała zakaz wjeżdżania na teren Rosji i Białorusi przez 20 lat), i po powrocie napisała „Pociąg do Imperium" (wyd. Marginesy, 2023).

Dopiero potem wróciła do Anny i Mikołaja i ich spóźnionej, dojrzałej miłości. O Koperniku wiedziała dużo – przeczytała prawie wszystko, co możliwe. O Annie wiadomo niewiele. Aby opowiedzieć o niej, uruchomiła wyobraźnię. W jej powieści „Ciała niebieskie" jest ona kuzynką Kopernika – ich rodziny mieszkały obok siebie w Toruniu i Mikołaj znał ją jako dziewczynkę. Poznajemy ją w 1528 roku, jako nieszczęśliwą mężatkę, której mąż jest prymitywnym brutalem, pije, bije i wymusza seks. Anna jest pod czterdziestkę, kiedy Gdańsk odwiedza Niklas Koppernigk, uczony, lekarz, duchowny, który jest pod sześćdziesiątkę. Wybucha między nimi nagłe, zakazane uczucie. Ich miłość nie może się spełnić – on jest kanonikiem, ona mężatką. Czy ich to powstrzyma? Ryzykują bardzo wiele.

Maja Wojny daje tej historii bardzo skrupulatnie napisane tło, poświęciła lata badań nad renesansem, by poznać zwyczaje mieszczan – gdy opisuje wesele, to każdy detal jest tu prawdziwy, bazuje bowiem na opisie wesela w Gdańsku z epoki. Pokazuje to, jak ścierały się myśli nowoczesne z konserwatywnymi ruchami próbującymi powstrzymać postęp. Bardzo łatwo zostać tu posądzonym o herezję, czy to jeśli jesteś naukowcem, badaczem nieba, czy niezależną kobietą, która żyje po swojemu, zna się na ziołach i ustawia tarota. W Europie płoną stosy, na których pali się czarownice. Marcin Luter ogłasza reformację. Biskupi walczą o władzę. Mikołaj Kopernik pisze swoje wielkie, rewolucyjne dzieło „O obrotach sfer niebieskich" u boku kochającej, intrygującej, bardzo nietuzinkowej kobiety.

MAJA WOLNY
„Ciała niebieskie. Powieść o Annie Schilling i Mikołaju Koperniku", wyd. Marginesy

Maja Wojny pisze swoją powieść z poszanowaniem prawdy historycznej. Gdy opisuje proces o czary, bazuje na prawdziwej historii z Gdańska. Oddaje z pieczołowitością detale strojów, domostw, targów ulicznych, sklepików z tkaninami i zamorskimi przyprawami – jednocześnie jej powieść podejmuje tematy, które czytamy jako nowoczesne: przemoc domowa, prawa kobiet, walka o niezależność i godność, walka z teoriami spiskowymi i zabobonem. Pokazuje ludzi, którzy żyją w innej scenografii, ale cierpią i kochają jak my. ▲ **(Paulina Reiter)**

eprasa.pl e842ac5a5d

KSIĄŻKA

Zwykła niezwykła proza życia

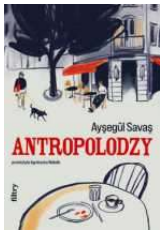

„Savaş – to pisarka, która po prostu »wie«. Savaş zna nadzieję. Savaş zna rozpacz. Savaş zna radość, znużenie, śmiech i ciekawość" – te słowa pisarza Bryana Washingtona zamieszone na tylnej okładce „Antropologów" Ayşegül Savaş skłoniły mnie do kupienia tej niepozornej książki. Nie żałowałam ani przez chwilę, podobnie jak Barack Obama, który umieścił ją na liście ulubionych książek 2024 r., czy Lauren Groff i Marina Abramović, które także chwaliły tę bardzo prostą z pozoru historię o banalnej prozie życia.

Ayşegül Savaş urodziła się w Turcji, wychowywała w Danii, studiowała socjologię i antropologię w Middlebury w amerykańskim stanie Vermont, jeździła na studenckie wymiany do Paryża i Jarosława w Rosji, a magisterkę zrobiła na Uniwersytecie San Francisco. Znając jej biografię, łatwo dostrzec podobieństwa między nią a bohaterami jej trzeciej powieści „Antropolodzy". Asya i Manu to młode małżeństwo, poznali się jeszcze na studiach, zakochali i już razem wkroczyli w dorosłość. Mieszkają w dużym, nienazwanym mieście, w innym kraju, a może nawet na innym kontynencie niż ich rodziny. Sami też pochodzą z różnych części globu, tworząc unikatową dwuosobową społeczność z własnym językiem, tylko dla nich zrozumiałymi powiedzonkami. W miejscu, które stało się ich domem, nie czują się do końca u siebie, ale lata spędzone na obczyźnie sprawiły, że ich ojczyzny także wydają się już obce. Asya boi się tego, że jej mama i babcia mogą zauważyć, jak bardzo się od nich oddaliła kulturowo.

W ich spokojnym, ułożonym życiu następuje jednak moment, kiedy muszą zdecydować, czy to, co miało być „na chwilę", ma przerodzić się w „na zawsze". W końcu niewiele rzeczy tak mocno wiąże człowieka z miejscem, jak kupno mieszkania czy domu, a do tej decyzji dorośli Manu i Asya.

Niecałe 200 stron książki Savaş można pochłonąć w jeden długi wieczór. To powieść kameralna, bez nagłych zwrotów akcji, suspensu. Tak bardzo zwykła i niezwykła zarazem, bo porusza kwestie najważniejsze – tożsamości, przyjaźni, miłości, szczęścia i przemijania. To oaza spokoju w niespokojnym świecie. ▲ **(Joanna Wróżyńska)**

AYŞEGÜL SAVAŞ
„Antropolodzy", tłum. Agnieszka Walulik, wyd. Filtry

WYSTAWA

Ciało oceanu

Wystawa „W głębi: żyjące morza, żyjące ciała" w PGS w Sopocie jest wynikiem współpracy naukowców związanych z Instytutem Oceanologii Polskiej Akademii Nauk i Uniwersytetu Gdańskiego z kuratorami sztuki współczesnej i artystami. To wystawa, która każe nam myśleć o naszych związkach z oceanem. Przypomina, że życie wyszło z morza i że nasze ciała są z wody. Koncentruje się wokół pytania: jak możemy odbudować łączność między ludzkim ciałem a ciałem wodnym, które pokrywa dwie trzecie powierzchni Ziemi?

W galerii położonej nad Zatoką Gdańską zebrano prace artystów z całego świata – z Polski, Francji, Irlandii, Litwy, Łotwy, Estonii, Grecji, Australii, Stanów Zjednoczonych, Chile, Indii, Korei Południowej i Karaibów. Zobaczymy film z lat 20., w którym obserwujemy inteligencję ośmiornicy, i nowy film grupy Superflex o nowo narodzonej wyspie, która wynurzyła się z wód oceanicznych. Wiele tu prac, które przenoszą nas w głębiny oceaniczne albo zatrzymują nas, by obserwować ruchy fal. Znajdziemy tu opowieści o istotach morskich i morskich ptakach. Zobaczymy obraz malowany podczas nurkowania na dnie morza, wideo artystki „kąpiącej się" z meduzami, trójwymiarowy gobelin upominający się o ekonomiczną sprawiedliwość w stosunku do oceanów. Na antresoli prezentowana jest ekspozycja towarzysząca wystawie „Kobiecy obraz morza", będąca efektem konkursu organizowanego przez Instytut Oceanlogii PAN w Sopocie. To dialog artystek i naukowczyń, prace inspirowane są badaniami prowadzonymi przez polskie badaczki morza. ▲ **(Paulina Reiter)**

„W GŁĘBI: ŻYJĄCE MORZA, ŻYJĄCE CIAŁA", Państwowa Galeria Sztuki w Sopocie, do 4 kwietnia 2026 r.

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI POLECA WIERSZ

Inge Weiss

córka żyda z warty
traci przytomność w dziwnym tańcu

obracana przez gęsty tłum
szturmujący drzwi kościoła

wychowana w hanowerze
upada przed esesmanem z bremy

rozmawiają tą samą niemczyzną
kiedy pcha ją w stronę furgonetki

ocal moją matkę i siostrę krzyczy
zrobię co w mojej mocy odpowiada

MARTYNA PANKIEWICZ – poetka i dziennikarka, mieszka we Wrocławiu. Wiersz pochodzi z tomu „Stypa po Żydach" (wyd. Biblioteki Śląskiej)

MARTA FREJ RYSUJE

MATERIAŁY PRASOWE, YAN TOMASZEWSKI POST – WEGORZ, 2025; SYSTEM ANIMATRONICZNY, PLA I PC, PROGRAMOWANIE W PYTHONIE FOT. TOMASZ MARYKS

eprasa.pl e842ac5a5d

Agnieszka Cygan z babcią Jolantą Wadowską-Król

Trzeba było dzieci leczyć, to *leczyła*

Ludzie z Szopienic, ale i ze Śląska, nie dadzą złego słowa powiedzieć o Joli Wadowskiej-Król. To jest ich królowa, osoba, która uratowała im życie.

Z **AGNIESZKĄ CYGAN**, WNUCZKĄ JOLANTY WADOWSKIEJ-KRÓL, ROZMAWIA **JOANNA WRÓŻYŃSKA**

Jolanta Wadowska-Król była lekarką, która w latach 70., w przychodni w Dąbrówce Małej na Śląsku, leczyła dzieci podtruwane przez hutę w Szopienicach. Okazało się, że tysiące z nich chorowało na ołowicę. Mimo presji władzy Wadowska-Król, razem z pielęgniarką Wiesławą Wilczek i prof. Bożeną Hager-Małecką, ówczesną wojewódzką konsultantką medyczną, zorganizowała badania przesiewowe u dzieci, a później wysyłała je na leczenie do sanatoriów. Uratowała kilka tysięcy dzieci. Spotkały ją za to dotkliwe represje.

W 2018 r., w ramach akcji „Kobiety na mury" zainicjowanej przez „Wysokie Obcasy", Andrzej Wieteszka namalował w Katowicach mural poświęcony Jolancie Wadowskiej-Król. Natomiast 11 lutego 2026 r. w Netfliksie premierę będzie miał serial „Ołowiane dzieci" w reżyserii Macieja Pieprzycy, opowiadający historię Wadowskiej-Król i tzw. ołowików. W rolę lekarki wcieliła się Joanna Kulig.

JOANNA WRÓŻYŃSKA: **Pamiętasz, kiedy po raz pierwszy usłyszałaś określenie „Matka Boska Szopienicka"?**

– Tak. To było piętnaście lat temu, kiedy moja kuzynka Małgorzata Król zrobiła film amatorski na konkurs „Mój bohater" i nazwała go właśnie „Matka Boska Szopienicka". Konkurs zresztą wygrała. Zapytałam babcię, skąd wzięło się to określenie, i usłyszałam historię o tym, co wydarzyło się w 1974 r. w Szopienicach. Później sama nazwałam tak swój spektakl, chociaż wiedziałam, że babcia tego określenia nie lubi.

Wiesz, skąd się wzięło?

– Powiedziała tak na nią pani z sanepidu. „O, znalazła się Matka Boska Szopienicka i będzie leczyć nasze dzieci!". To miało być prześmiewcze, szydercze, bo mieli tych zgłoszeń o chorych dzieciach tyle, że w sanepidach i laboratoriach brakowało rąk do pracy.

eprasa.pl e842ac5a5d

Joanna Kulig w roli Jolanty Wadowskiej-Król w serialu „Ołowiane dzieci" (Netflix, od 11 lutego)

Babcia się zdenerwowała, kiedy twoja kuzynka tak nazwała film, a ty spektakl?
– Nie. Zresztą babcia w ogóle się na nas nie denerwowała. Była przyzwyczajona, że ci, którzy jej nie lubili, tak ją kiedyś w Szopienicach nazywali. A myślę, że wtedy sporo ludzi jej nie lubiło i jej nie ufało.

À propos tego, jak była nazywana – wy, jej wnuki, nie mówiliście do niej „babciu".
– Mówiliśmy „Jolu". Powtarzała, że jeśli dziecko nazywa kogoś babcią, to znaczy, że ta osoba jest stara, a ona stara być nie chce. Mieliśmy więc mówić do niej po imieniu. Byli Jola i Zbyszek – jej mąż. Wszyscy tak do nich mówili, nawet my – dzieci.

W 1974 r. twoja babcia i prof. Bożena Hager-Małecka, ówczesna wojewódzka konsultantka medyczna, zaczęły podejrzewać, że dzieci mieszkające przy hucie w Szopienicach chorują na ołowicę. Przeprowadzone przez nią badania, choć tuszowane przez władze, uratowały życie tysięcy dzieci. Rozumiem, że dowiedziałaś się o tym już jako dorosła osoba? W domu się o tym nie mówiło?
– Wiedziałam, że babcia wyleczyła bardzo dużo dzieci z Szopienic, że coś się wydarzyło, ale nie wiedziałam dokładnie co i w którym roku. Kiedy byłam dzieckiem, chodziłam po szkole do przychodni w Dąbrówce Małej, w której Jola pracowała, i tam czekałam na rodziców. W Szopienicach babcię wszyscy znali i już wtedy dopytywałam, skąd jest taka sławna, bo dosłownie każdy mówił do niej „dzień dobry".

Świadomość tego, co się wydarzyło, przychodziła etapami. Babcia zaczęła być zauważana przez dziennikarzy na Śląsku, zapraszano ją do lokalnych programów w telewizji. Ale to wszystko było na bardzo małą skalę, aż do momentu, kiedy w Katowicach powstał dedykowany jej mural. To zwróciło moją uwagę, bo przecież zwykłym osobom nie poświęca się murali. Wtedy zaczęłam dopytywać.

Jola w wywiadach powtarzała te same informacje, ale nasza rodzina mogła pytać o wszystko, też o to, co babcia czuła, odkrywać emocjonalną część jej historii. Chociaż Jola bardzo neutralnie do tego podchodziła. Uważała, że to po prostu była jej praca. Trzeba było wyleczyć dzieci, no to leczyła. Nie widziała w tym nic bohaterskiego.

AGNIESZKA CYGAN

– absolwentka Łódzkiej Szkoły Filmowej, choreografka, wnuczka Jolanty Wadowskiej-Król

Na wieść o tym, że powstanie mural, powiedziała: „Nie jestem żadną bohaterką! Robiłam tylko to, co trzeba". Widziałaś w babci bohaterkę?
– Zobaczyłam dopiero, kiedy obejrzałam serial, który zrobił o niej Netflix. Dla nas to była po prostu babcia. Ale była bardzo odważna. Na nartach nauczyła się jeździć po pięćdziesiątce; jak miała osiemdziesiąt lat, nauczyła się obsługi Facebooka. Zawsze starała się całą sobą chłonąć życie. Zapytałam ją kiedyś, czy się nie bała leczyć tych dzieci po cichu i tego, co się wydarzy dalej. Miała tylu przeciwników, pytałam, jak to możliwe, że się nie wahała, że nie zrezygnowała. Powiedziała: „Gdybyś miała takiego męża i taką mamę jak ja, to też byś się nie zawahała". Oni ze Zbyszkiem i z babcią Stasią – mamą Joli, tworzyli dream team. Pomagali też w domu wpisywać Joli pacjentów na tzw. płachty. Dzisiaj byłby to Excel, wtedy Jola wpisywała wszystkich pacjentów właśnie na takie wielkie kartki papieru, które nazywali płachtami. Z tym że pacjentów było tylu, że one się z panią Wiesią, pielęgniarką z jej przychodni, nie wyrabiały. Więc Jola brała te płachty do domu i uzupełniała je babcia Stasia. Cała rodzina była zaangażowana w leczenie dzieci z ołowiu, a babcia Stasia zajmowała się jeszcze wnukami, czyli dziećmi Joli – moją mamą Asią i jej rodzeństwem – Przemkiem i Justyną.

FOT. KAMIL MARCZEWSKI, ROBERT PALKA/NETFLIX (2)

eprasa.pl e842ac5a5d

Joanna Kulig jako
Jolanta Wadowska-Król

Przyszło mi do głowy, że Zbyszek mógł mieć wątpliwości, ale nie miał. Był pomocny i nigdy nie mówił Joli, co ma robić. I tak by nic to nie dało, bo babcia zawsze stawiała na swoim. Dziadek mówił, że pamięta tylko te niekończące się płachty, które musieli wypełniać. Zapalał wtedy fajkę, bo trochę go denerwowało, ile jest z tym pracy. Mamy zresztą te oryginalne płachty. To kawał historii.

Przy okazji chciałam dodać, że Sebastian Pawlak, który gra Zbyszka w „Ołowianych dzieciach", to moja ulubiona postać. To jest wypisz wymaluj mój dziadek. Wygląda tak samo, tańczy tak samo, tak samo mówi i ma taką samą fryzurę.

Zyskałaś wgląd w to, jak twoja rodzina wyglądała, zanim się urodziłaś.
– Nie da się tego uczucia opisać. Widzę podobieństwa między Jolą a Joanną Kulig, która ją zagrała. Jest w niej podobna hardość w obliczu zadania do wykonania. Poznałam Julkę Polaczek, która gra serialową Asię, czyli moją mamę. Byłyśmy wszystkie trzy na kawie.

Nasza rodzina bardzo wspiera serial. Chcemy nagłaśniać tę historię. Babcia była skromną osobą, zawsze powtarzała, że nic takiego nie zrobiła, ale na wywiady chodziła, bo chciała, żeby ludzie na całym świecie dowiedzieli się, co wydarzyło się w latach 70. na Śląsku. Oczywiście pewnie znowu umniejszałaby swoją rolę w tej historii, ale cieszyłaby się, że mówimy o ołowicy, a przede wszystkim, że o siebie dbamy. Podkreślała, że trzeba zwracać uwagę na to, co jemy, skąd to pochodzi, gdzie mieszkamy, co wdychamy.

Powiedziałaś, że babcia była odważna. W Szopienicach spotykała się z jawnymi oznakami niechęci?
– Nie tak bardzo, jak to jest pokazane w serialu, ale babcia oczywiście nie była lubiana przez wszystkich. Niechętni jej byli zwłaszcza pracownicy huty, dla których to było źródło utrzymania. Na początku jej nie ufali. Teraz, kiedy idę do Szopienic i rozmawiam z „ołowikami", z ludźmi, których dotknęła ołowica, to wszyscy Jolę kochają. Ale babcia mówiła, że musiała mocno walczyć o ich zaufanie. Nie było jawnej nienawiści, ale dawali jej odczuć, że nie była lubiana.

Ołowica wśród dzieci nie pasowała do propagandy PRL-u, dlatego twojej babci uniemożliwiono obronę doktoratu. Myślisz, że miała o to żal?
– Jola zawsze mówiła, że nie ma żalu, że nie żałuje niczego, co się wydarzyło w latach 70. Kiedyś w rozmowie ze mną, jakby sama do siebie, powiedziała: „Ciekawe, co by było, gdybym miała ten doktorat?". Może by zrobiła później profesurę, może została znanym na całym świecie naukowcem? Nigdy się nie dowiemy. Spędziła całe życie w przychodni, była lekarką, która wypisywała recepty. Władza zniszczyła jej życie zawodowe, ale babcia nigdy nie powiedziała na głos, że ma do kogoś żal. Chociaż ja sądzę, że musiała. Skupiła się na rodzinie, wychowywaniu dzieci. I zawsze bardzo się cieszyła, kiedy doceniano panią Wiesię.

Co najbardziej podziwiałaś w babci?
– Chyba determinację. Była bardzo silną, ale też bardzo empatyczną osobą. Nigdy nie płakała. Jak sobie coś ubzdurała, coś sobie wymyśliła, to to robiła. I nieważne jak, ale zawsze musiała dokończyć to, co zaczęła. Tak było na przykład z haftowaniem. Kiedy nie obroniła doktoratu i cała ta historia z ołowicą się skończyła, babcia była bardzo nerwowa i musiała jakoś rozładować emocje. Zaczęła haftować krzyżykami. Jak się wchodziło później do niej do domu, to nie było choćby centymetra wolnej ściany, wszystko było w haftach. Mówiła: „No nie dali mi tego doktora, to chociaż hafty miałam". Haftowała do swojego ostatniego dnia.

Bardzo ją interesowało, co robią młodzi. Starała się ich też inspirować. Byliśmy z moim spektaklem na Śląskim Festiwalu Nauki. Babcia miała później wykład. Pełna sala, audytorium na 700 osób wypełnione po brzegi. Ślązacy uwielbiali jej słuchać i robić sobie z nią zdjęcia. Babci też się to podobało. Może i podkreślała, że nic nie zrobiła, ale lubiła rozmawiać z młodymi lekarzami, lekarkami i pielęgniarkami, cieszyła się, że się interesują, że chcą sobie zrobić z nią te zdjęcia. Pamiętam, jak podeszła do niej taka młoda dziewczyna i mówi: „Pani doktor, jestem na studiach pielęgniarskich, ale nie wiem, co mam dalej zrobić ze swoim życiem. Pani jest dla mnie inspiracją". Babcia wzięła ją za rękę i mówi na to: „Jaką inspiracją? Ty się bierz do roboty, pracuj, a co ma być dalej, okaże się samo".

Cała Jola – nie zastanawiaj się, po prostu pracuj i rób to dobrze. Powtarzała to na każdym spotkaniu, do znudzenia.

Była bardzo wesoła. Chyba pierwszy raz zobaczyłam ją smutną i ze łzami w oczach, kiedy zmarł Zbyszek. Dziadek odszedł po chorobie, Jola nie umiała sobie z tym poradzić, bo całe życie spędzili razem. To była prawdziwa miłość. Kochali się bardzo i bardzo dużo się przytulali. W serialu często tańczą, ale to akurat nie była prawda. Babcia nie tańczyła w domu, bo w domu się uczyło. Nie było muzyki. Byli bardzo dobrym, wspierającym się małżeństwem. Chciałabym sama stworzyć kiedyś taki związek.

Masz jakieś ulubione wspomnienia związane z babcią?

eprasa.pl e842ac5a5d

– Pojechałyśmy kiedyś na narty i poprosiła, żebyśmy zjechały kilka razy tylko we dwie. Ucieszyłam się i kiedy jechałyśmy razem gondolą, powiedziała: „Chodź, Aga, pójdziemy sobie na szczyt góry i po prostu pobędziemy ze sobą". Może to ckliwe, ale po jej śmierci ten moment najczęściej do mnie wracał. Usiadłyśmy na szczycie góry i wypiłyśmy Jägermeistera, którego Jola mi postawiła. Zawsze mówiła, że jestem na dorobku, jeszcze zdążę za nią zapłacić, a teraz płaci ona. I tak sobie popijałyśmy razem tego drineczka na szczycie góry.

Mam dużo wspomnień związanych z babcią. Zawsze robiła mi kisiel – to był jej znak rozpoznawczy. I niedobrą zupę jarzynową. Chyba tylko ona potrafiła ją tak sknocić, że jeść się nie dało. No ale jadłam, co było zrobić? Lubiłyśmy też otworzyć sobie z Jolą bombonierkę i usiąść przy tureckim serialu.

Niecały miesiąc temu, przy Uniwersytecie Śląskim, otwarto Centrum Badań nad Środowiskiem Poprzemysłowym im. Jolanty Wadowskiej-Król. Babcia byłaby dumna?

– Bardzo. Jola prowadziła badania terenowe z dr hab. Lucyną Sadzikowską, dyrektorką Centrum. Kiedy babcia miała 78-79 lat, stwierdziła, że znowu zajmie się Szopienicami. Wiedziała, że nie ma wsparcia, jakiego potrzebowała do badań, więc zaprosiła do współpracy dr Sadzikowską. Chodziły do domów „ołowików", ludzi, którzy w latach 70. zachorowali na ołowicę. Tylko że oni nie chcieli rozmawiać z nikim innym poza Jolantą Wadowską-Król. Wciąż bali się stygmatyzacji, wytykania palcami. W Szopienicach ta historia jest wciąż żywa, czuje się to w każdej rozmowie z „ołowikami".

Babcia zmarła w wieku 83 lat. Przeżyła dokładnie tyle samo czasu co dziadek Zbyszek. Oboje zmarli dziewięć dni przed swoimi 84. urodzinami. Ale to tak na marginesie. Teraz dr Sadzikowska próbuje dokończyć badania w Szopienicach. Praca, którą rozpoczęła Jola, ma więc swój ciąg dalszy. Oprócz tego naukowcy regularnie badają glebę w Szopienicach i na innych poprzemysłowych terenach na Śląsku.

Tworzymy też fundację poświęconą Jolancie Wadowskiej-Król i „ołowikom". Chcemy wesprzeć tych ludzi, zbudować na nowo wspólnotę, bo czują się porzuceni. Od kilku lat staram się z nimi spotykać, rozmawiać. Wiedzą, że jestem wnuczką Joli, i już mi trochę ufają. Dlatego będę też wspomagać Centrum. Mamy nadzieję, że serial trochę ożywi tę historię, sprawi, że ludzie na nowo zainteresują się Szopienicami. To opuszczona, brzydka i szara dzielnica, w której nikt nie chce mieszkać, bo nie wiadomo, co jeszcze kryje się w ziemi.

No właśnie. Masz jakieś oczekiwania wobec serialu „Ołowiane dzieci"? Jak sądzisz, jak zostanie odebrany w Szopienicach czy w Katowicach?

– Chciałabym, żeby Jolanta Wadowska-Król stała się twarzą ekologicznej Polski, ekologicznego Śląska, żebyśmy zyskali większą świadomość tego, gdzie i jak żyjemy.

Ludzie z Szopienic, ale i ze Śląska, nie dadzą złego słowa powiedzieć o Joli. To jest ich królowa, osoba, która uratowała im życie. Oczywiście znajdą się i tacy, którzy powiedzą, że to nie jej zasługi, że badania wykonywane były w Zabrzu, na temat serialu też pewnie będą różne opinie, ale myślę, że Szopienicy stoją murem za Jolantą Wadowską-Król. Fajnie by było, żeby Katowice i Polska zainteresowały się Szopienicami, żeby huta przestała być najważniejszym punktem dzielnicy. Jest zamknięta, ale wciąż stoi. Zostały też magazyny, opuszczony budynek dyrekcji i walcownia, w której urządzono muzeum. Na miejscu budynków, do których zburzenia doprowadziła moja babcia, jest teraz basen, a naprzeciwko huty dom kultury. Poza tym jest pustynia. Zabiera się tam ludzi na wycieczki i opowiada, że była epidemia, tragedia, że tutaj ludzie umierali. Z tym kojarzą się cały czas Szopienice.

> W Szopienicach babcię wszyscy znali i już wtedy dopytywałam, skąd jest taka sławna, *bo dosłownie każdy mówił do niej „dzień dobry"*

Przy okazji premiery swojego spektaklu „Matka Boska Szopienicka" w Łodzi powiedziałaś, że do opowiedzenia historii babci musiałaś dojrzeć. Dlaczego?

– Trudno jest opowiedzieć jej historię. Nie chciałam też skrzywdzić babci, wiedziałam, jaką biorę na siebie odpowiedzialność. Musiałam dojrzeć do historii kobiety. Kiedy pisałam spektakl, byłam w podobnym wieku co Jola w latach 70. Ja czułam się jeszcze dzieckiem, a ona mierzyła się już wtedy z ogromnym wyzwaniem. Czy byłabym w stanie nawet teraz, już starsza, iść i poinformować kilka tysięcy dzieci i przede wszystkim ich rodziców, że trzeba je przebadać, że mają wyjechać do sanatorium? Walczyć z systemem? Nie wiem. W babci była wielka siła, determinacja i odwaga. Jak to pokazać, żeby jej nie gloryfikować, nie robić z niej bohaterki, tylko przedstawić człowieka, któremu zależy na dzieciach?

Co babcia powiedziała, jak zobaczyła spektakl?

– Najpierw zobaczyła plakat. Pierwszą wersję plakatu zamówiłam u rysownika ze Śląska, który narysował Matkę Boską z dzieciątkiem w błyszczącym kolorze. Napis głosił: „Matka Boska Szopienicka, historia inspirowana faktami, spektakl Agnieszki Cygan". Myślałam, że Jola mnie zabije! Była strasznie zła, mówiła, że nie wypuszczę takiego plakatu. Ale się uparłam, powiedziałam, że potrzebujemy rozgłosu, więc musi być kontrowersyjnie, inaczej nikt nie przyjdzie. A babcia na to, że teraz przyjdą, ale źli. Opieprzyła mnie, ale w końcu zgodziła się na ten plakat. Jak zmarła, to go zmieniłam. A gdy zobaczyła spektakl , powiedziała, że nie zdawała sobie sprawy, jak dobrze można pokazać niewidzialny ołów. Bo pokazałam go jak człowieka, który nie jest ani dobry, ani zły. Dostałam na ten spektakl dofinansowanie z Ministerstwa Kultury i Jola pojechała z nami w trasę. Już chorowała, ale dalej chciała spotykać się z młodymi ludźmi. To był człowiek torpeda, nigdy się nie nudziła. Nauczyła się obsługi Gmaila i odpisywała na maile ludziom, którzy do niej pisali. A jak chciała schudnąć, to wybrała sobie drzewo 7 km w jedną stronę od domu, szła tam, dotykała je i wracała. Pytałam, czy nie może robić innej trasy – a ona, że nie, bo innej nie zna, a tę robiła ze Zbyszkiem.

Co twoim zdaniem babcia pomyślałaby o serialu Macieja Pieprzycy?

– Prywatnie pewnie powiedziałaby, że ładniej się ubierała, że ona tak źle nie wyglądała. A publicznie – pogratulowałaby Maćkowi Pieprzycy. Na pewno chciałaby poznać Joannę Kulig i czuję, że bardzo by szanowała jej pracę. Mówiłaby, że to mocna opowieść, ale trzeba brać poprawkę, że to jednak fabuła i pewne rzeczy ni są prawdziwe, ale dużo się zgadza. No i że będzie promowała i udostępniała. ▲

eprasa.pl e842ac5a5d

aprasartl e849ac5a5d

Nie za starzy na *seks*

Są dziewczyny po pięćdziesiątce, które odkrywają namiętny seks z nowym kochankiem, kobietą albo, co nierzadkie, odkrywają własnego męża.

Z **MALWINĄ GROCHALĄ**, PSYCHOLOŻKĄ, SEKSUOLOŻKĄ
ROZMAWIA **AGNIESZKA URAZIŃSKA**
RYSUNEK **KAMILA SZCZEŚNIAK**

Podsłuchałam dwie matki na szkolnym korytarzu. „Seks kończy się po trzydziestce. Później już tylko życie" – mówiła jedna. Niby żartem, ale trochę gorzko.

– Ale może być zupełnie odwrotnie – właśnie po tej trzydziestce, czterdziestce albo pięćdziesiątce on się może dopiero zacząć. Albo, precyzyjniej to ujmując, rozkręcić. Zwłaszcza gdy myślimy o seksualności kobiet.

Później budzą się do seksu?

– Nie w sensie inicjacji, rzecz jasna. Kobiety w Polsce rozpoczynają współżycie średnio między siedemnastym a dziewiętnastym rokiem życia, mężczyźni nieco wcześniej. Ale często słyszę od moich pacjentek, że młodość to, owszem, był czas, gdy seks pełnił ważną rolę, ekscytował, dawał przyjemność, wiązał się z relacjami, z namiętnością, eksperymentami, natomiast mało w tym było świadomości własnych potrzeb. Ten wątek zaczyna pracować w kobietach starszych, po tym, jak zaczynają zdejmować z siebie presję, jak ich ciało powinno się prezentować, jak się powinno zachowywać. Gdy ten czas nadchodzi – jeśli nadchodzi – świadomiej zastanawiają się, czego w seksie oczekują. Widać próby kontaktowania się ze sobą i ze swoją i seksualnością. A bardzo często to się wiąże z łamaniem tabu.

Serio, wciąż kobieca seksualność bywa tabu?

– Oj, jeszcze byś się zdziwiła, jak głęboko zakorzenione jest w nas – i w mężczyznach, i w kobietach – przekonanie, że jeśli kobieta lubi seks albo chce go uprawiać z różnymi partnerami, albo potrzebuje dużo i często, to na pewno jest z nią coś nie tak. Z drugiej strony – mamy wciąż żywe przekonania o tym, co ważne. Pomyślmy o typowej trzydziesto-, czterdziestolatce: żyje w biegu, ogarnia pracę, dzieci, dom. Partnerzy coraz bardziej angażują się w domowe sprawy, ale nie oszukujmy się: często to kobiety pozostają głównymi ogarniaczkami. A jeśli się ma w głowie, że dziecko wyrasta ze spodni, trzeba zapisać je do stomatologa, zrobić ważny projekt w pracy i pomyśleć, co rodzina zje na obiad, to na koniec dnia można być na tyle zmęczonym, że ma się ochotę odłączyć. I kończy się na przeskrollowaniu telefonu czy oglądaniu serialu przed snem. Bo seksualność wymaga przede wszystkim bycia w kontakcie ze sobą i bycia w kontakcie ze swoim ciałem.

> Jeśli relacja jest zredukowana do siedzenia na kanapie przed ekranem, to jednak ludzi nie zbliża. Znika ważny obszar flirtu, bliskości. I nie mam na myśli aktów seksualnych, tylko to, *aby jakoś na siebie inaczej popatrzeć, żeby dotknąć się gdzieś w przelocie*

A to w ogóle ważne dla kobiet? Jakie masz obserwacje?

– Dla jednych tak, dla innych mniej. I to jest OK. Ale chcę zwrócić uwagę, jak powszechne jest przekonanie, że seks powinien być ważny, bo tego oczekuje partner albo partnerka. Bo tak mówią w serwisach społecznościowych, tak piszą w gazetach, taki obraz jest w filmie. Kobiety zderzają się z lansowanym na platformach społecznościowych wzorcem współczesnej kobiety, która ma superdom, jest superfit i jeszcze ma superseks zakończony orgazmem, a przy tym ma czas nagrywać śliczne rolki, żeby o swoich sukcesach opowiadać. A prawda jest taka, że i życie, i praca, i seks są raz lepsze, raz gorsze, a przede wszystkim – trzeba nad tymi obszarami pracować i wiedzieć, czego się chce. Dla wielu kobiet seks to jest kolejna powinność, zadanie do wykonania. Ja absolutnie nie chcę powiedzieć, że kobiety się z tym seksem męczą. Wiele jest świadomych i bardzo zadowolonych z tej sfery życia. Ale wciąż słyszę od kobiet, że seks bywa dla nich obowiązkiem. A jeśli tak się o nim myśli, to raczej jest małe prawdopodobieństwo, że to będzie satysfakcjonujący obszar. I słyszę: „Wiem, że seks jest ważny, wszyscy tak mówią, ale ja tego jakoś nie czuję".

Brzmi jak problem.

– Seksualność to jeden z obszarów funkcjonowania w relacji. Warto się zastanowić, jakie my w ogóle mamy wyobrażenie o relacjach. Z moich obserwacji wynika, że nie zawsze te wyobrażenia o związkach są spójne z rzeczywistością. Często błądzą gdzieś między obrazem wykreowanym przez Disneya a tym stworzonym przez branżę pornograficzną. Czyli albo happy end z romantycznym pocałunkiem na tle zachodzącego słońca, co z seksem nie ma nic wspólnego, albo akt kopulacji, który nie ma wiele wspólnego z przyjemnością. I tak – gubimy się czasem, zawieszeni między dwoma światami.

Ale często też odnajdujemy. I do tego serdecznie zachęcam. Potrzeby partnerów? One mogą się różnić, ale największym problemem jest, gdy u jednej osoby seks jest bardzo wysoko w hierarchii, a dla drugiej jest nieistotny. Często w tym właśnie momencie para trafia do psychologa albo seksuologa. Bo ktoś w związku ma poczucie odrzucenia, braku satysfak-

eprasa.pl e842ac5a5d

cji, frustracji, a druga osoba jest w poczuciu ogromnej presji. W rozmowach z kobietami pojawia się obawa, że jeśli seksu nie będzie, partner zacznie szukać kontaktów seksualnych gdzie indziej.

A co z dojrzałymi związkami, gdy fascynacja się wypala?
– Bywa, że seksu jest coraz mniej, a nawet wcale, i obie strony deklarują, że im to odpowiada, że mają inne wspólne cele, pasje i jest im w takim „białym związku" dobrze.

Wielu z nas tęskni za tym poziomem namiętności z początków związku, gdy jedno spojrzenie potrafiło rozpalić i rzucaliśmy się na siebie, jakby świat miał się skończyć. To się zmienia po roku, dwóch, pięciu, co oczywiście wpływa na poziom pożądania. Z drugiej jednak strony warto docenić, że w dłuższym związku pojawia się zaufanie, przyjaźń, wzrasta poziom bezpieczeństwa. I to jest dobra baza do tego, aby eksplorować seksualność, żeby się poznawać. Już nie muszę tak bardzo stresować się tym, jak wyglądam przy partnerze. Mogę swobodnie powiedzieć o pragnieniach i o tym, czego nie chcę. Ważne, żeby seksualność ewoluowała. To, że jest inna niż na początku, nie znaczy, że jest gorsza.

Czyli druga połowa życia może być wspaniałym momentem, żeby osiągać rozkosz?
– To naprawdę łatwiejsze, gdy pewne role się zmieniły – nie walczymy o awans, nie mamy w domu niemowlaka. Można pomyśleć o sobie.

I chociaż nastoletnim dzieciom wydaje się, że to fuj, bo rodzice są za starzy na „takie rzeczy", to facet z brzuszkiem i pani z menopauzą mogą przeżywać naprawdę fajny czas?
– Nie dajmy sobie wmówić, że jesteśmy za starzy na seks. Wiek średni może być pełen namiętności i zbliżeń, odkryć i fascynacji. Ale to się nie bierze znikąd. Zastanówmy się, jak spędzamy czas. Otóż bardzo często wspólne wieczory w polskich domach polegają na oglądaniu seriali na Netflixie – to jest teraz wzorzec dominujący w większości par. To oczywiście może być OK, natomiast jeśli relacja jest zredukowana do siedzenia na kanapie przed ekranem, to jednak ludzi nie zbliża. Znika ważny obszar flirtu, bliskości. I nie mam na myśli aktów seksualnych, tylko to, aby jakoś na siebie inaczej popatrzeć, żeby dotknąć się gdzieś w przelocie. Bardzo często, gdy pary w średnim wieku trafiają do gabinetu, to o takich, wydawałoby się, prostych rzeczach potrzebują sobie przypomnieć. I tu podejście kobiet i mężczyzn się różni – dla wielu mężczyzn brak seksu i fizyczności jest symptomem, że coś jest nie tak. Przez to, że nie ma seksu, trudniej im angażować w inne obszary, te związane z emocjami. U kobiet jest odwrotnie – gdy nie ma takiej zwykłej, codziennej bliskości, również tej emocjonalnej, trudniej im angażować się w seks.

MALWINA GROCHALA

psycholożka, seksuolożka, terapeutka par. Psychologię o specjalności klinicznej ukończyła na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, a seksuologię na Uniwersytecie SWPS w Warszawie. Ukończyła m.in. Studium Terapii Par w Dolnośląskim Centrum Psychoterapii.

> Są pary, które znajdują wciąż nowe pomysły, jak się cieszyć bardziej i sobą, i seksem. Wychodzą razem, wyjeżdżają, a przede wszystkim – rozmawiają. *To taka prosta sprawa*

A spotykasz pary, które po prostu się sobą cieszą?
– Pewnie – i znajdują wciąż nowe pomysły, jak się cieszyć bardziej i sobą, i seksem. Wychodzą razem, wyjeżdżają, a przede wszystkim – rozmawiają. To taka prosta sprawa, żeby codziennie choć przez dziesięć minut porozmawiać o sobie. Nie o dzieciach, nie o obowiązkach. Jak się czujesz? Co przeżywasz?

A my wciąż rozmawiamy o seksie?
– Z tym seksem wcale nie jest tak, że – jak mówią niektórzy – nie trzeba o nim gadać, tylko robić. Właśnie ten brak gadania często sprawia, że przestajemy się zauważać, dotykać i traktować jak istoty seksualne. A jesteśmy nimi od poczęcia niemal do samej śmierci. Naprawdę mało jest czasu i mało przestrzeni w życiu współczesnych par na relacje, na bycie parą – nie taką biznesową, prowadzącą dom i wychowującą dzieci, działającą jak dobrze funkcjonujące przedsiębiorstwo. W zabieganej rzeczywistości można choćby poklepać się po plecach, pogłaskać. Nawet w czasie serialu. Nie chodzi o to, żeby kogoś jakoś na siłę przekonywać, żeby się samopoznawał czy rozbudzał swą seksualność. Ja tylko przypominam, że dotyku, przytulenia, kontaktu ze sobą potrzebujemy wszyscy, bez względu na wiek. On koi, jest dobry, nawet z takiego biologicznego czy zdrowotnego punktu widzenia. I każdy moment jest dobry, żeby sobie o tym przypomnieć. I o tym, że seksualność to nie jest tylko akt. To także czułość, pieszczota, troska.

Rozmawiałam niedawno z ginekolożką, która daje swoim kobietom lusterko, aby obejrzały dokładnie swoje ciała. Wiele z nich się wzbrania.
– To tak dobrze robi, aby sprawdzić, co jest dla mnie dobre, czego potrzebuję, jak wygląda moje ciało, także te intymne miejsca. Pomysł z lusterkiem jest super, podobnie jak sprawdzenie, jak działa ciepło, zimno, różne rodzaje dotyku. To może być ciekawa i ekscytująca podróż, takie odkrywanie siebie samej. Jest sporo kobiet, które właśnie w średnim wieku odkrywają swoją kobiecość i się nią cieszą. Poznają swoje ciała, odrzucając kompleksy. Skupiają się na własnych potrzebach i w końcu stawiają się na pierwszym miejscu. Po latach robienia „tego, co trzeba" bez zwracania uwagi na własną przyjemność, odżywają, gdy wychowają dzieci, spełnią matczyne obowiązki. To kryzysowy moment, syndrom pustego gniazda, który dla jednych może się skończyć depresją, dla innych bywa trampoliną do innego życia. I są dziewczyny po pięćdziesiątce, które odkrywają namiętny seks z nowym kochankiem, kobietą albo, co nierzadkie, odkrywają własnego męża. Jest radość. I tylko czasem słyszę: „Szkoda, że tyle lat zmarnowałam". ▲

FOT. MARCIN STĘPIEŃ/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl e842ac5a5d

LIST TYGODNIA

Kobiety z niezależnej sceny muzycznej dają mi siłę

Droga Redakcjo, jestem Waszą czytelniczką od bardzo wielu lat. Zawsze chciałam do Was napisać i wreszcie, w nowym roku zebrałam się na odwagę. Pomyślałam, że napiszę ręcznie taki tradycyjny list, bo jestem zmęczona e-mailami i platformami społecznościowymi.
Po pierwsze, chciałam Wam podziękować za Waszą pracę i pisanie o nas i dla nas. Jest nas tak wiele, a tak mało poświęca się nam miejsca w mediach i w przestrzeni publicznej.
Droga Redakcjo, na Waszych łamach brakuje mi jednej rzeczy: sylwetek kobiet na tzw. niezależnej scenie muzycznej.
Jestem wielką fanką rocka i alternatywy, a w Polsce mamy mnóstwo kobiet, które tworzą niesamowitą muzykę i kulturę, która nie zawsze jest w stanie się przebić – czasem taka muzyka potrzebuje trochę pomocy.
Byłabym bardzo wdzięczna, gdyby „Wysokie Obcasy" pomogły trochę w tym zakresie i być może jest szansa np. na artykuł o Ranko Ukulele, punkowym zespole Seks w Czasach Wojny (te dziewczyny są niesamowite) czy Izzy & The Black Trees.
Droga Redakcjo, Izabela Rekowska (wokalistka The Black Trees) to dla mnie nadzieja w dzisiejszych czasach.
Jest nie tylko osobą potrafiącą komponować piosenki, które można śpiewać grupowo na koncertach (byłam i polecam!), ale przede wszystkim to niezwykle wrażliwa i empatyczna kobieta. To, co się dzieje wokół nas – wojny, rewolucje, konsumpcjonizm – wszystko odbiera w sposób bardzo osobisty. To piosenki Izzy towarzyszyły mi w czasie Strajku Kobiet, to jej teksty (a może warto napisać „wiersze") przemawiają do mnie i dają mi siłę, to jej koncerty są dla mnie odskocznią od szarej jak smog codzienności na Śląsku.
Nie muszę wspominać, jak trudno w tej chwili działać w branży muzyki niezależnej, jakie koszty ponosi każdy zespół, który nie może sobie pozwolić na wsparcie dużych wytwórni i managera.
Ale właśnie fakt, że pomimo wszystkich trudności Izzy i jej zespół nie poddają się, sprawia, że ich muzyka jest dla mnie ważna i inspirująca.
Byłabym bardzo wdzięczna, gdyby Izzy znalazła się kiedyś w „Wysokich Obcasach".
Pozdrawiam serdecznie i przepraszam za pismo i ewentualne błędy (jestem dyslektyczką). Mam nadzieję, że ktoś będzie w stanie ten list przeczytać. ▲ **Ewelina**

Redakcja „Wysokich Obcasów" prosi autorkę listu o kontakt (może być mailowy)

NAGRODY

Autorka listu otrzyma zestaw AA LAAB Glass Skin przywracający skórze blask oraz książkę „Zbrodnia & Rubin" Heleny Dixon, Wydawnictwo Mando

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (5)

OGŁOSZENIE

JEŚLI CHCESZ ŻYĆ W ZDROWEJ, PEŁNEJ MIŁOŚCI RELACJI,
MUSISZ ZACZĄĆ OD SIEBIE

KSIĄŻKA, KTÓRA ZMIENIA SPOSÓB MYŚLENIA O MIŁOŚCI I ZWIĄZKACH

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL
www.wydawnictwoagora.pl
WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl
Wydawnictwo Agora

eprasa.pl e842ac5a5d

Roczna prenumerata wysokieobcasy extra tylko 169.99

Prezent*

Dla pierwszych 20 prenumeratorów

Zestaw kosmetyków AA LAAB S.M.A.R.T. dermohacking program: krem-maska na noc, multi-krem na okolice oczu, serum olejkowe, krem z SPF 50+

Zamów z bezpłatną dostawą do domu i paczkomatu

prenumerata24.pl

Oferta z prezentem obowiązuje od 15 stycznia do 18 lutego 2026 r. tylko na terenie kraju. *Prezent otrzyma pierwszych 20 osób, które zamówią prenumeratę. O kolejności decyduje data zaksięgowania wpłaty. Kosmetyki wyślemy w ciągu dwóch miesięcy. Prenumerata dotyczy wersji podstawowej czasopisma i należy ją zamówić z miesięcznym wyprzedzeniem. Infolinia: +48 513 129 995, pon.-pt. w godz. 9-14 kontakt@prenumerata24.pl

eprasa.pl e842ac5a5d